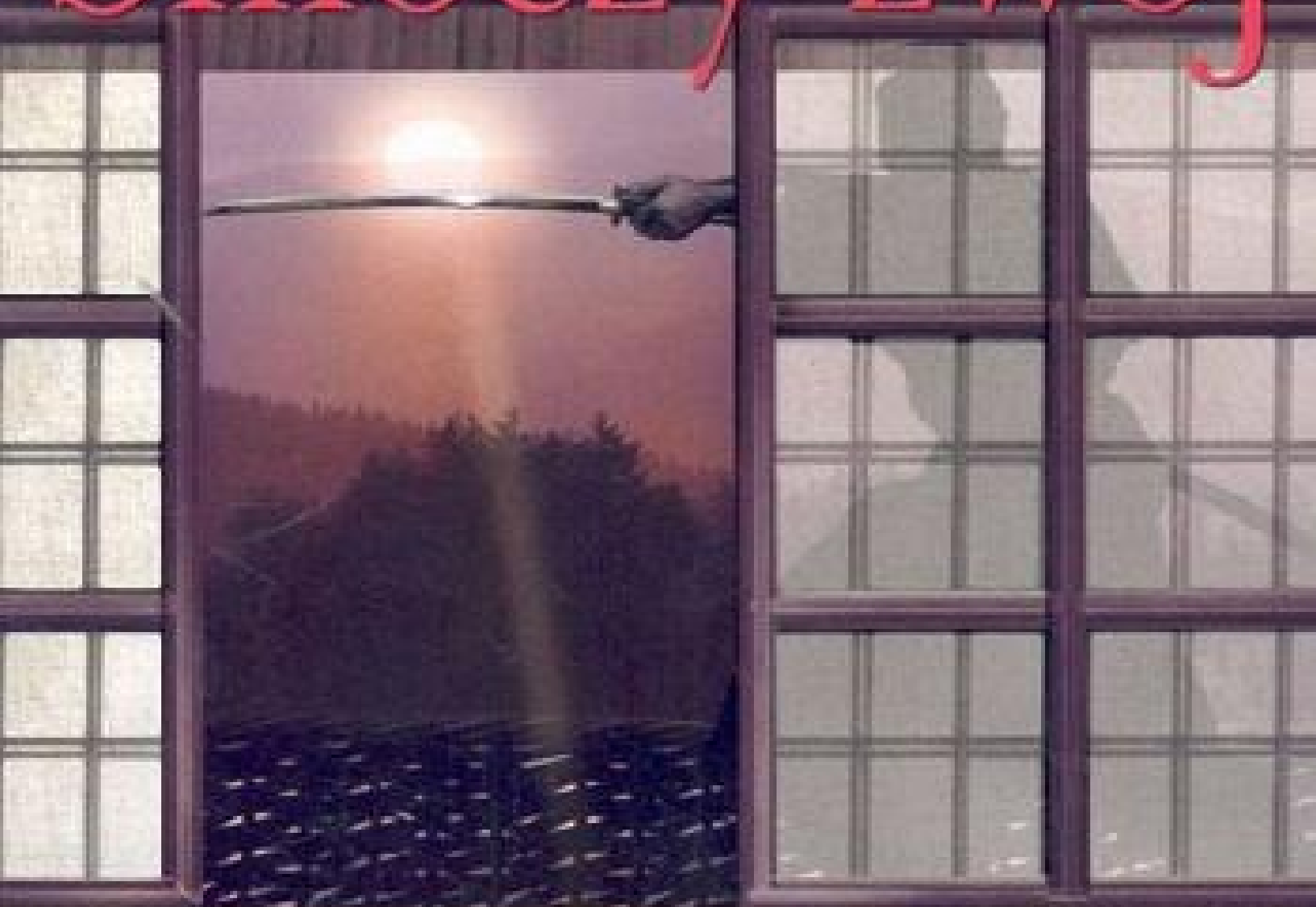


POWIEŚĆ HISTORYCZNA

I. J. Parker

Smoczy zwój



Intryga i miłość w Japonii XI w.

Thriller historyczny

WYDAWSTWA
WYDZIAŁ

I. J. Parker

Smoczy zwój

(The dragon scroll)

Tłumaczył Michał Kompanowski

1

Postacie:

(imiona rodowe podane jako pierwsze)

Główni bohaterowie

Sugawara Akitada – szlachcic, dwudziestokilkuletni, niższy rangą urzędnik wysłany z misją do prowincji Kazusa Seimei – służący rodziny Sugawara i zaufany towarzysz Akitady

Tora – dezertor, który dostaje się na służbę do Akitady **Osoby powiązane z morderstwami**

Fujiwara Motosuke – gubernator prowincji Kazusa, kuzyn Kosehiry

Sekretarz Akinobu – prawa ręka Motosuke

Kapitan Yukinari – dowódca lokalnego garnizonu Prefekt Ikeda – zrządca okręgu, podwładny Motosuke
Pan Tachibana – były gubernator prowincji, na emeryturze
Pani Tachibana – jego młoda małżonka

Mistrz Joto – przełożony świątyni Poczwórnej Mądrości Kukai – diakon tej świątyni
Higekuro – kaleki nauczyciel sztuk walki

Ayako – jego starsza córka, także nauczycielka sztuk walki
Otomi – jego młodsza córka, głuchoniema
malarka Szczur – żebrak

Hidesato – żołnierz bez pracy

Fujiwara Kosehira – szlachcic ze stolicy, najlepszy przyjaciel Akitady

Takashina Tasuku – kolejny przyjaciel ze stolicy
Pani Asagao – dama na cesarskim dworze

Pozostałe osoby

Minamoto Yutaka – dyrektor Biura Cenzorów

Soga Ietada – minister sprawiedliwości

Sato, Peonia, Junjiro – służący w domostwie Tachibanów Blizna, Yushi, Jubei – trzech zbirów

2

Jaśmina – prostytutka

Jisai – sprzedawca Seifu – kupiec handlujący jedwabiem (oraz rzesza mnichów, żołnierzy i mieszczan) 3

Prolog

Podglądacze

Heian Kyo (Kioto)

Miesiąc zmiany liści (wrzesień) 1014 roku Tej nocy było w ogrodzie dwóch podglądaczy.

Jednym z nich był siedzący na werandzie starzec. Wychylił się odrobinę do przodu, gdy do jego uszu dobiegł odgłos szurają-

cych delikatnie po ścieżce stóp, dochodzący od strony małego pawilonu.

W końcu dostrzegł młodą kobietę. Wracała sama! Przez chwilę karmił swoje oczy tęczą kolorów jedwabnej szaty i blaskiem wpiętego we włosy złota. Światło księżyca prześwitywało nie-

śmiało przez korony drzew, wzrok staruszka nie był już tak sprawny, jak niegdyś. Minał jakiś czas, nim zauważył, że kobieta płacze. Potknęła się tuż przed wychodzącą na ulicę bramą.

Zasłoniła twarz rękawem, smukłą dłonią szukając po omacku właściwej drogi. Gdy doszła do bramy, obejrzała się raz jeszcze w stronę pawilonu i zniknęła w ciemnościach.

Starzec uśmiechnął się, wykrzywając bezzębne usta. Niechyb-nie sprzeczka dwójki kochanków. Mężczyzna, któremu odnaj-mował pokój, był młody i przystojny. Nie dziw, że udało mu się zapoznać z panią o tak wysokim statusie, o czym świadczyły bogate sukna i złote spinki, o jakich zwykli śmiertelnicy mogli jedynie śnić.

Był zadowolony. Jego życie skurczyło się w miarę upływu lat do chwil spędzanych na obserwowaniu niewielkiego ogrodu, jaki widział ze swojej werandy. Tajemne przyjemności i uciechy wysoko urodzonych wypełniały mu samotne i wolno płynące godziny najprzeróżniejszymi domysłami. Z niecierpliwością 4

wyczekiwał nocy podobnych do tej. Wzdychając, uradowany poszedł chwiejnym krokiem do łóżka.

Drugi podglądacz też był zadowolony. Klęczał w zaroślach, w których skrył się, gdy zakochana para doprowadziła go do swej kryjówki. On także zauważył złote ozdoby migoczące w kobiecych włosach. Gdy przebiegła obok niego, nie mógł nadziwić się swemu szczęściu. Nie sądził, iż wyjdzie tak szybko ani że wyjdzie sama. Ruszył za nią.

Kobieta biegła szybko przez opustoszałe ulice. Nigdy jeszcze nie podążała tą drogą ani żadną inną bez towarzystwa. Zazwyczaj podróżowała powozem lub w palankinie, zawsze zaś ze służbą lecz tym razem nie było to zwyczajne wyjście. Zawsze gdy szli tędy razem, ukrywała twarz za woalem i pozwalała, by ją prowadził. Teraz z niepokojem szukała wzrokiem znajomych budynków.

Raz, a może dwa razy skręciła w złą uliczkę. Przez chwilę zdawało jej się, że słyszy za plecami kroki i miała nadzieję, że to jej kochanek, lecz gdy się odwróciła, nie zobaczyła nikogo. Większość

mijanych przez nią starych domów stało pustych, powoli popadając w ruinę. Inne odgradzały od ulic gęste krzewy, zaś ich bramy zatrzaśnięto na cztery spusty, by odstraszyć bądź

zniechęcić do wizyty niechcianych gości.

Zaczęła słaniać się na nogach. Księżyc znaczył srebrem spływające po policzkach strużki łez. Ich spotkania w ukrytym pawilonie utrzymywane były w najściślejszej tajemnicy. Nic nie mogło się równać ich namiętności. Z własnej woli oddała swe życie w ręce kochanka, a teraz była sama i zrozpaczona.

Na ulicach nie było żywego ducha, lecz w koronach drzew czały się kształty czekające cierpliwie na swoją ofiarę. Skądś dobiegł ją wrzask małego zwierzątka, coś przebiegło obok niej, ocierając się o smukłą kostkę. Przycisnęła do piersi zwisającą do stóp suknię i znów zaczęła biec, obawiając się polujących nocą 5

tygrysów i demonów o ostrych, umorusanych krwią kłach, które podążały jej tropem. Dziwne postacie wyłoniły się z ciemności skrywających opuszczone ogrody; przeraźliwe dźwięki dobiega-

ły z rozpostartych nad jej głową koron drzew. Gdy nocny ptak wzbił się w powietrze, muskając przy tym jej policzek, krzyknę-

ła, wzywając boginię Kannon.

Wtem dostrzegła pozłacany ornament dachu pagody i odetchnę-

ła z ulgą. Dotarła do zniszczonego muru starej, opuszczonej świątyni i wreszcie wiedziała, gdzie jest. Święty budynek stał w ciszy, oświetlony księżycową poświatą. Tam mieszkała bogini, opiekunka słabych i potrzebujących. Usłyszała jej wołanie o pomoc.

Zaraz za świątynią, na otwartym polu, na którym bezdomni wzniesli swe nędzne lepianki, drugi podglądacz dogonił młodą kobietę.

Drapieżnik sądził, iż jego ofiara wracać będzie w towarzystwie kochanka i dlatego, lękając się jego ostrego miecza, rozstawił w pobliżu swych ludzi, nakazując im czekać. Dziś szczęście uśmiechnęło się do niego. Niepotrzebnie obawiał się i trzymał.

Uśmiechając się złowrogo, zabiegł jej drogę. Zatrzymała się i przestraszona wstrzymała oddech. W tej właśnie chwili nad ich głowami rozwiały się chmury i światło księżyca padło na twarz mężczyzny. Cofając się na ten widok, wrzasnęła przerażona.

Tym razem bogini nie usłyszała jej błagalnych krzyków.

6

Rozdział 1

Zdarzenie w Fujisawie

Gdzieś na Tokaido

Miesiąc bez bogów (listopad) tego samego roku Tokaido, wspaniały cesarski trakt zmierzający ku wschodnim prowincjom był równie zatłoczony, co niebezpieczny. Władza ustawiła wzdłuż niego punkty kontrolne i bariery, przy których oddziały żołnierzy sprawdzały dokumenty podróżnych i patro-lowwały okoliczne tereny. Było ich jednak za mało, zaś rabunek na drogach dla zdesperowanych ludzi okazywał się jedynym sposobem na przeżycie.

Dwóch podróżnych wyruszyło ze stolicy na rozstawnych koniach. Młody, wysoki mężczyzna ubrany w wypłowiałą szatę i zwykłe, cwelichowe spodnie jechał przodem. Noszony przy boku miecz wyróżniał go od pospólstwa – był jednym z „dobrych ludzi”. Jego sługa, drobny i chudy starzec noszący zwykłą ciemną szatę, podążał za nim na jucznym koniu.

Młody szlachcic miał na imię Akitada. Był ubogim potomkiem sławnego, lecz feralnego klanu Sugawara. Miał dwadzieścia pięć lat i niedawno mianowano go urzędnikiem niższego szczebla w cesarskim Ministerstwie Sprawiedliwości. Zdobył tę posadę jedynie dlatego, iż zdał uniwersytecki egzamin z najlepszymi notami. Teraz podróżował w oficjalnej misji, której celem było zbadanie znikających w drodze z prowincji Kazusa do stolicy transportów podatków. Zadanie mu powierzone napełniało go ogromnym podnieceniem, nie tylko dlatego, że była to jego pierwsza podróż poza mury stolicy, lecz również dlatego, iż uważał je za wyróżnienie i zaszczyt, o jakich nigdy nawet nie marzył.

7

Seimei, który służył rodzinie Akitady całe swoje życie, w skry-tości własnych myśli uważał, iż jego młody pan godzien jest każdego zaszczytu, lecz trzymał te wynurzenia dla siebie. Szkolił się w księgowości, miał rozległą wiedzę na temat leczniczych ziół i szczyił się znajomością dzieł Konfucjusza, którego często zresztą zwykł cytować Akitadzie, wczuwając się w rolę ojcow-skiego niemal nauczyciela.

Jego ufność w świetlaną przyszłość młodego panicza miała zostać niebawem poddana ciężkim próbom.

Akitada uśmiechał się szeroko, pogrążony w marzeniach, jego wzrok spoczął na majaczącym na horyzoncie i wciąż odległym niebieskim paśmie górskim. Młodzian właśnie kontemplował

honory oczekujące na niego po owocnym wypełnieniu zadania, gdy nagle duży kamień uderzył jego wierzchowca w zad. Zwierzę zarżało, zrzuciło jeźdźca i pogalopowało przed siebie. Akitada uderzył o ziemię z tak dużą siłą iż niemal stracił przytomność.

W tej samej chwili dwóch muskularnych i zarośniętych męż-

czyn, uzbrojonych w długie i grube maczugi, wyskoczyło z krzewów rosnących przy drodze i chwyciło za uzdę konia Seimei, rozkazując mu z niego zejść. Starzec usłuchał, trzęsąc się z bezradnej wściekłości. Jego pan siadał powoli, trzymając się za bolącą głowę i przyglądając przytroczonemu

do siodła mieczo-wi, który oddalał się coraz szybciej wraz ze spłoszonym wierzchowcem. Jeden z bandytów uniósł wysoko w górę pałkę i ruszył w kierunku Akitady. Seimei, krzyknawszy ostrzegawczo, kopnął drugiego zbira w krocze. Mężczyzna przeokoziółkował na plecach, wyjąc wniebogłosy z potwornego bólu.

Młody szlachcic, wciąż oszołomiony upadkiem, przyklęknął i przygotował się do obrony, zaciskając gołe pięści. Ledwie umknął pierwszemu uderzeniu i w jednej chwili zrozumiał, że nieprzystająca człowiekowi jego pozycji, a grożąca mu teraz 8

śmierć może gwałtownie przekreślić jego szansę wykazania się talentem w cesarskiej służbie.

Gdy drugi bandyta otrząsnął się po kopniaku i zaatakował go maczugą na drodze pojawił się jeszcze jeden odziany w łachmany człowiek. Pojmując, co się dzieje, zareagował błyskawicznie.

Uniósł z ziemi ułamaną gałąź i uderzył nią przedramię rzezi-mieszka z siłą tak potężną, że gruchnęły kości. Chwyciwszy broń, która wypadła ze złamanej ręki, odwrócił się w stronę Akitady i drugiego rozbójnika.

Ten ruszył na pomoc swemu kompanowi, lecz nowo przybyły nie był już bezbronny, dzierżąc teraz w swych dłoniach oręż, którym posługiwał się ze sprawnością jakiejś młody panicz nie widział dotąd w swoim życiu. Choć toporne maczugi nie były tak poręczne jak chociażby bambusowe kije, obaj mężczyźni wiedzieli dobrze, jak należy ich używać. Nowy był jednak w tej sztuce lepszy. Parował nawet najszybsze uderzenia, zdawał się skakać szybciej niż polny konik i unikał ciosów tak sprawnie, iż zdążył zadać kilka bolesnych uderzeń, nim zobaczywszy lukę w gardzie przeciwnika, ugodził go w odsłonięte czoło, zwalając nieprzytomnego z nóg. Drugi zbir zbiegł, nie zważając na dolę swego towarzysza, a młody człowiek, który pośpieszył naszym bohaterom z pomocą począł wiązać swego przeciwnika liną, którą ten oplatał się do tej pory w pasie.

– Nieźle się spisałeś – krzyknął Akitada, podchodząc do nieznanego szybkim krokiem. – Zawdzięczamy ci życie... – Przerwał i zatrzymał się w osłupieniu, gdy zobaczył prostującego się wybawcę. Chłopak uśmiechał się radośnie, lecz niebezpieczny cios minął jego oko ledwie o centymetry, otwierając na policzku krwawiącą obficie ranę. – Seimei – zawołał Akitada. – Twoje lekarstwa. Szybko.

Młody człowiek potrząsnął głową, wciąż uśmiechając się szczerze i ukazując równe rzędy białych zębów. Otarł zewnętrzną 9

stroną dłoni ściekającą po policzku krew. – Nie kłopotcie się.

To nic takiego. Przyprawdzą twego konia, panie. – Popędził

drogą i po minucie wrócił, prowadząc wierzchowca. – Jeśli ze-chcecie wysłuchać mej rady, panie – powiedział – powinniście zawsze nosić swój miecz przy sobie. Być może kolejny rabuś pomyśli dwa razy, nim się na was rzuci.

Szlachcic zarumienił się po koniuszki uszów. Jak na włóczęgę ten młodzian był zadziwiająco

bezczelny. Miał jednak rację i Akitada opanował narastający w nim gniew. – To dobra rada, będę o niej pamiętał. Raz jeszcze ci dziękuję. Byłem nieostroż-

ny. Proszę, pozwól Seimei obejrzeć twoje rany. – Rysy twarzy chłopaka, noszącej liczne sińce i blizny, byłyby zapewne w normalnych okolicznościach miłe ludzkiemu oku. Akitada zastanawiał się, czy przypadkiem ich obrońca nie zarabia walką na codzienny chleb.

Nieznajomy potrząsnął uparcie głową i odsunął się od Seimei i jego pudła pełnego maści i proszków.

– Nie obawiaj się. Nie zrobi ci krzywdy – powiedział uspokajającym tonem urzędnik.

Młody człowiek rzucił mu szybkie spojrzenie i powierzył swą twarz dłoniom sługi.

– Mniemam, że mieszkasz nieopodal. Jak ci na imię? – zapytał

Akitada, przyglądając się z uwagą operacji.

– Nie, nie mieszkam. Jestem w drodze, szukając pracy na go-spodarstwie. Możecie na mnie mówić Tora.

– Żniwa już się skończyły. – Szlachcic przyglądał mu się uważnie.

– To może być szczęśliwy dla ciebie zbieg okoliczności, Tora.

Jesteśmy ci dłużni, a ja właśnie potrzebuję sługi. Twe umiejętności w posługiwaniu się kijem są godne podziwu. Może ze-chcesz nam towarzyszyć w podróży? Zmierzamy do prowincji Kazusa.

10

Seimei wypuścił z rąk słoje maści i popatrzył na pana, z niedowierzania otwierając usta. Młody człowiek zastanawiał się przez chwilę, po czym pokiwał twierdząco głową. – Czemu nie. Wasza dwójka będzie potrzebowała kogoś, kto będzie czuwał nad bezpieczeństwem, a Kazusa jest równie dobrym miejscem prze-znaczenia, jak każde inne.

– Raz jeszcze uśmiechnął się szeroko.

Seimei z trudem łapał powietrze. – Panie, chyba nie myślisz zabrać ze sobą tej... osoby.

– Masz na myśli jego, starcze? – Tora umyślnie udał, iż nie zrozumiał słów sługi i wskazał gestem związanego bandytę. – Nie martw się. Nigdzie się stąd nie ruszy. Wyślemy tu naczelnika pierwszej mijanej przez nas wioski z chęcią zainkasuję nagrodę za jego głowę.

Akitadzie propozycja wydawała się uczciwa. Zyskiwali eskortę i chętnego sługę, który nie oczekiwał za swój trud niczego więcej niż jedzenie i garść miedziaków. Jeśli Tora będzie biegł przy koniach równym tempem, nie będzie ich nawet opóźniał.

Przeprawili się przez zatokę Narumi, by pod wieczór dotrzeć do miasta zwanego Futakawa, gdzie zatrzymali się przed wielką buddyjską świątynią, w której znajdowała się kaplica poświęco-na bogu Inami, świętemu opiekunowi i patronowi uprawiają-

cych ryż rolników. Zadaszony słup, na którym wieszano wszelkie oficjalne pisma i poruczenia, stał tuż przy świątynnych bramach.

– Spójrzcie. – Akitada zachichotał, wskazując na świeżą kartkę papieru z wymalowanymi na niej dużymi, czarnymi znakami. –

„Górski Tygrys poszukiwany żywy bądź martwy za morderstwo i rabunek. Bandyta ma ponad dwa metry wzrostu, przerażający wygląd, owłosione ciało, a siłą dorównuje smokowi!“. Najwidoczniej w pobliskich górach grasuje banda rabusiów okradają-

ca podróżnych.

11

Tora uśmiechnął się szeroko. – Tak tu jest napisane? – Naprężył

mięśnie. – O sile smoka? Cóż za komplement.

Szlachcic odwrócił się ku niemu zdziwiony. – Ty jesteś tym Górskim Tygrysem? Ależ oczywiście. Tora znaczy przecież tygrys.

– No więc, to mogę być ja, poniekąd – odpowiedział młody człowiek, rumieniąc się nieznacznie. – Lecz to wszystko jest zwyczajnym nieporozumieniem.

– Co takiego? Do tego jest jeszcze poszukiwany? – wykrzyknął

Seimei. – Bandyta i morderca, nawet jeśli nie ma dwóch metrów i nie jest przesadnie owłosiony. Dobądź swego miecza, paniczu!

Wydamy go władzom.

– Kimkolwiek by był, ocalił nasze życia – przypomniał słudze Akitada, po czym odwrócił się do Tory. – Jesteś jednym z Górskich Tygrysów?

– Nie jestem. – Młody człowiek nie uciekał wzrokiem i patrzył

prosto w oczy szlachcica. – Nie musicie mi wierzyć. Pochwyco-no mnie, gdy schroniłem się w ich jaskini. Jeden z żołnierzy podarł moje papiery, twierdząc, że są kradzione. Nim się zorientowałem, co się dzieje, zakuli mnie w łańcuchy, chełpiąc się, iż niedługo odrąbią mi głowę. Chwyciłem za miecz oficera i uciekłem. – Skończywszy, oczekiwał decyzji Akitady, przypatrując mu się wyzywającym wzrokiem.

Szlachcic rzucił mu twarde spojrzenie. – Czy zabiłeś kogoś, próbując ucieczki?

– Nie. Gdy trzymałem w dłoniach miecz, żaden nie śmiał się do mnie zbliżyć. Zbiegłem z góry ile sił w nogach i w pierwszej napotkanej wiosce zostawiłem miecz oparty o chatę naczelnika.

Akitada westchnął. – Niech i tak będzie. Wierzę ci. Lecz lepiej postaram się dla ciebie o jakieś dokumenty, nim dotrzemy do kolejnego posterunku.

– Noga moja nie postanie w żadnym sądzie – powiedział obu-12

rzonym tonem Tora.

– Mówisz od rzeczy – rzekł Akitada. – Zaoferowałeś mi swoje usługi, a ja nie mogę podróżować w towarzystwie poszukiwanego przestępcy.

– Jeszcze pożałujesz swej decyzji, paniczu, gdy okaże się, że naopowiadał nam same kłamstwa. Jastrząb nigdy nie będzie słowikiem, a osoba będąca na służbie jego cesarskiej mości nie zatrudnia, ot tak sobie, czyhających po gościńcach rabusiów –

wymamrotał pod nosem Seimei.

Pan puścił słowa sługi mimo uszu.

Otrzymanie dokumentów dla podejrzanego towarzysza podróży okazało się nad wyraz łatwe. Lokalnego urzędnika tak oczarowały posiadane przez Akitadę listy uwierzytelniające, iż nie śmiał kwestionować jego nagłej potrzeby zatrudnienia dodatkowego służącego o imieniu Tora i aparycji opryszka.

Młody człowiek wyrażał swą wdzięczność ochoczą i gorliwą służbą. Czuwał nad coraz bardziej znużonymi trudami podróży Seimei i wyszukiwał im najlepsze kwatery po najniższych cenach. Zwłaszcza ostatnia umiejętność okazała się nad wyraz przydatna. Choć Akitada podróżował w interesach cesarza, nie stać go było na zwyczajną w takim przypadku zbrojną eskortę i musiał radzić sobie, mając w jukach ledwie kilka sztuk srebra i kilka worków ryżu, które służyły za prowiant i towar do wymiany.

Dla Akitady największą jednak zaletą towarzystwa Tory były lekcje walki kijem, których udzielał mu każdego wieczoru, gdy zatrzymywali się na nocleg. Jego wiara w dobry charakter nowego sługi rosła z godziny na godzinę.

Seimei był oburzony owymi lekcjami i wcale tego nie ukrywał, twierdząc, iż żaden szlachetnie urodzony człowiek nie kala się, walcząc podobną bronią. Ignorowany, przy każdej nadarzającej się okazji szukał pocieszenia w narzekaniu i krytykowaniu ma-13

nier Tory i jego braku szacunku dla czegokolwiek i kogokolwiek.

W dniu, w którym po raz pierwszy dostrzegli majaczące w oddali zarysy góry Fuji, Akitada zatrzymał konia, by w pełni móc podziwiać zapierający dech w piersiach widok. Zasnutą mgłą nie z tego świata, pokryty śniegiem szczyt zdawał się płynąć w jego kierunku unoszony białymi chmurami. Serce rozpiekały mu podziw i dumy ze swej ojczyzny tak silne, iż nie mógł wykrztusić z siebie nawet

jednego słowa.

Seimei zauważył, iż ze szczytu góry unoszą się w niebo kłęby dymu.

– Ha, ha! – zaśmiał się Tora. – Powinniście zobaczyć wielkiego ducha nocą. Piwa ogniem jak smok.

– Ogień i śnieg – powiedział Akitada, podziwiając górę, a w oczach wezbrały mu łzy. – Musi być bardzo wysoka.

– O, tak. Sięga do samego nieba – przytaknął Tora. – Ludzie, którzy wspinają się na sam szczyt, nigdy z niego nie wracają.

Idą prosto do nieba.

– Na głupotę jak dotąd nie wynaleziono lekarstwa – dociał mu Seimei, zdenerwowany zachowaniem wszystkowiedzącego słu-gi i jego całkowitym brakiem dobrych manier. – Trzymaj język za zębami, póki się nie nauczysz, jak należy się zwracać do lepszych od siebie.

Tora popatrzył na niego zranionym wzrokiem. – Co mówisz?

Czy w waszej wspaniałej stolicy nie wierzy się już w bogów?

Seimei nawet sobie nie zadał trudu, by odpowiedzieć.

W Mishimie rozpoczęli długie zejście w kierunku Hakone. Ta górską przełęcz była najdłuższa i najwyżej położona na całym trakcie Tokaido. Nad ich głowami niebo zakrywały gęste chmury, a ciężka cisza zdawała się wisieć w powietrzu uczepiona ciemnych sosen i cyprysów.

Rządowy posterunek wzniesiono pomiędzy stromym grzbietem 14

góry a jeziorem Hakone – opuszczonym skrawkiem wody odbijającym w swej toni niebo i zaśnieżone szczyty. Tu po raz pierwszy, odkąd opuścili cywilizowany świat stolicy, na własne oczy zobaczyli owoce surowej prowincjonalnej sprawiedliwo-

ści. Na wysokości oczu, tuż przy blokadzie, na zbitych półkach ułożono ścięte głowy przestępców. Każdej towarzyszyła pla-kietka, na której zapisane było przestępstwo, jakiego dopuścił

się skazany – lekcja i przestroga dla chcących spróbować szybkiego zarobku.

Akitada, choć mdliło go w żołądku, zmusił się, by przyjrzeć się plakietkom z bliska, a było ich prawie dwadzieścia. Morderstwo, gwałt, rabunek, szalbierstwo, a w jednym przypadku zdra-da. Władze tej wschodniej prowincji traktowały obowiązek sprawdzania dokumentów podróźnych jak najbardziej poważnie.

Dołączył do pozostałej dwójki, martwiąc się o Torę. Co zrobi, gdy wartownikowi nie spodoba się jego nowe dokumenty? Nie miał gwarancji, że status cesarskiego urzędnika wystarczy, by ocalić głowę jego nowego sługi, jeśli zostanie aresztowany za rzekomo popełnione zbrodnie.

Rozejrzał się dookoła. Przed nimi czekało około dwudziestu ludzi. Kolejka poruszała się powoli. Nikt nie mógł przejść przez blokadę bez dokładnej rewizji.

Nagle podszedł do nich strażnik i zapytał o dokumenty. Przyjrzał się im pobieżnie i pokazując w pierw dłonią kierunek, poprowadził poza kolejnością do stojącego na uboczu domu.

Schylając się pod zasłoną, weszli do obszernego pomieszczenia.

Seimei i Tora usiedli na niskiej ławce ustawionej naprzeciw drewnianego podestu. Akitada stał.

Na podeście siedział ubrany w uniform i noszący przesadnie długi wąs kapitan straży, za nim trzech skromnie ubranych oficjałów, zaś z boku pochyłony nad stolikiem do pisania skryba.

Strażnik wręczył dowódcy dokumenty Akitady, szepcząc przy 15

tym coś na ucho. Kapitan spojrzał na szlachcica przeszywają-

cym wzrokiem, potem przeniósł spojrzenie zimnych i ciemnych oczu na Seimei i Torę, po czym przeczytał wszystkie dokumenty, niektóre nawet dwukrotnie.

Szlachcic poczuł na górnej wardze i dłoniach kropelki potu.

Temu przyjęciu daleko było do gościnności i szacunku, jakich się spodziewał doświadczyć, przekraczając rządowe posterunki.

Podskoczył nieznacznie, gdy usłyszał szorstkie burknięcie: –

Zbliźcie się, panie!

Dzięki misji, jaką powierzono Akitadzie, i sprawowanemu przez niego urzędowi to on powinien wydawać rozkazy. Nie mógł

jednak ryzykować ściągnięcia uwagi strażników na Torę i dlatego wysłuchał bez protestu.

– Z twoich dokumentów dowiedziałem się, że powierzono ci specjalne zadanie. Wyruszyłeś ze stolicy i zmierzasz do prowincji Kazusa. Czy to prawda?

Akitada pokiwał głową twierdząco.

– Ludzie podróżujący z tobą są twymi sługami i możesz za nich ręczyć? – Paciorkowate oczy kapitana znów spoczęły na Torze.

Tym razem przyglądały mu się uważniej.

– Tak – odpowiedział szlachcic, starając się, by ton jego głosu zabrzmiał najzwyczajniej, jak to możliwe, choć serce niemal wyrywało mu się z piersi. – Starszy ma na imię Seimei, młodszy Tora.

– Rozumiem. Czemu dokumenty człowieka, którego zwiesz Torą, wystawiono w Futakawie?

Akitada poczuł, iż się rumieni. – Och... – wydukał. – Podróż okazała się cięższa, niż początkowo zakładałem... i... Seimei nie nawykł do podróżowania. Natrafiliśmy na pewne problemy... i...

no więc... wydało mi się dobrym pomysłem najęcie drugiego sługi.

Kapitan popatrzył na niego, długo nie odwracając wzroku. –

16

Problemy? – powiedział tonem, w którym pobrzmiwała drwi-na. – Nic dziwnego, skoro nie nawykliście do podróży. I tak dotarliście daleko bez jakiejkolwiek eskorty. Wielu młodych paniczyków ze stolicy zawraca z drogi i zmyka z powrotem z podkulonym ogonem na długo przed przybyciem do Hakone.

Akitada zarumienił się ponownie, tym razem z gniewu, lecz zagryzł wargi i nic nie powiedział.

– Czego szukacie w Kazusie?

– Podróżuję z cesarskiego rozkazu, jak już musiałeś zauważyć, kapitanie...

– Saito. Czy przez przypadek twoim zadaniem nie będzie zbadanie sprawy posyłanych z Kazusy do stolicy transportów podatków znikających gdzieś po drodze w tajemniczych okolicznościach?

Akitadzie nakazano zachowanie dyskrecji, lecz ten człowiek mógł udzielić mu wartościowych informacji. – Takie powierzono mi zadanie – przyznał. – Co możesz mi o nich powiedzieć?

– Wiem, że żadne towary z Kazusy od lat nie przejeżdżały przez nasz posterunek. Za to wiele rzeczy zmierza w przeciwnym kierunku – buddyjskie zwoje i rzeźby, paczki dla gubernatora –

lecz ani śladu podatków dla cesarza. – Kapitan odwrócił się do jednego ze swych urzędników. – Przynieś rejestry z ostatnich dwóch lat i kopie korespondencji dotyczącej transportu podatków z Kazusy! – Sięgnął po otwartą księgę, przewrócił kilka stron, po czym pchnął ją w kierunku Akitady. – Zobacz na własne oczy! Gdy po raz kolejny nie pojawili się tego roku o zwykłej porze, doniosłem o tym do stolicy. Ponownie.

Ponownie? Akitada pochylił się i zaczął czytać.

Urzędnik powrócił, niosąc duże pudło z dokumentami, które postawił na ziemi. Kapitan wyciągnął z niego kolejne dwa rejestry i przerzucił strony do ostatnich zapisów. – Ostatniego roku.

Nic. Proszę, tutaj – powiedział, wskazując linię wymalowanych 17

pędzelkiem znaków. – Tutaj to samo – dodał, podsuwając Akitadzie trzecią księgę. – A tu są kopie raportów wysyłanych prze-ze mnie do stolicy.

Młody szlachcic czytał, nie wierząc własnym oczom. – Od trzech lat nie było z Kazusy transportów podatków? Trzech, a może i więcej lat? – spytał. Niesłychane. Co gorsza, dokumenty dowodziły, iż nikt nie zatroszczył się do tej pory o zbadanie przyczyn.

– Dokładnie trzech lat – poprawił kapitan. – Wcześniej wszystko było w należyтым porządku. Punktualne jak gęsi odlatujące na zimę na południe.

– Jakie są tego przyczyny?

– Tego nie potrafię wyjaśnić – odrzekł kapitan. Zmierzył Akitadę wzrokiem i zacisnął wargi. – Po prostu robię to, co do mnie należy. Moi ludzie dostali rozkaz, by wypytywać każdego po-dróznego przybywającego ze wschodu o sytuację na drogach.

Nigdy nie usłyszeli nawet najmniejszej wzmianki ani plotki o rabujących bandach. By obrabować wozy pod eskortą, potrzeba małej armii. Moim zdaniem – zważ, iż to tylko opinia – towary nigdy nie opuściły Kazusy. – Odchrząknął i rzucił Akitadzie spojrzenie wprawiające w zakłopotanie. – Co potwierdza fakt, iż cesarskie władze nie marnowały swego cennego czasu na dochodzenie. – Kącik jego ust drgnął. – Do tej pory – dodał z umyślnym sarkazmem.

Akitada poczuł pulsujące na twarzy wypieki. Dobrze wiedział, co mężczyzna miał na myśli. Nikt nie chciał, by podatki się znalazły. Wysyłając do zbadania sprawy tak dużej wagi niedo-

świadczanego urzędnika niskiego szczebla, dwór zasygnalizował, iż najchętniej o wszystkim by zapomniał. Czy mógł istnieć inny powód niż ochrona gubernatora prowincji, który był Fujiwara i dalekim krewnym kanclerza? Na domiar złego był też kuzynem Kosehira, najlepszego przyjaciela Akitady. Razem 18

uczęszczali na uniwersytet i zbliżyli się do siebie, gdyż obydwu doskwierała samotność. Akitada nie miał przyjaciół, gdyż był

biedny, Kosehira – gdyż był gruby i niski.

Urażony zachowaniem kapitana, szlachcic odrzekł szorstko: –

Dziękuję za okazaną pomoc. Muszę ruszać w dalszą drogę. Jeśli już z nami skończyłeś...

Kapitan uśmiechnął się szeroko. – Oczywiście! Oczywiście! Nie będę was dłużej zatrzymywał. Powodzenia, panie. – Skłonił

się nieporadnie, udając, iż okazuje szacunek.

– Seimei, żetony!

Sługa wręczył żołnierzowi żetony, które mogli wymienić na dwa świeże konie, a ten odszedł pośpiesznie.

Gdy odprowadzano ich w stronę drzwi, kapitan zawołał: – Po-goda się zmienia. Lepiej zrobicie,

spędzając noc w naszych kwaterach.

Akitada odwrócił się i odpowiedział twardym tonem: – Dziękuję, lecz sądzę, iż wznowimy podróż.

* * *

Rozpoczęli zejście z góry za dnia. Pierwsze krople deszczu spadły na ich głowy, gdy tylko oddalili się od posterunku i od tej pory nie przestawało kroić. Szare chmury przesłoniły zapierające dech w piersiach widoki, ubrania nasiąkały wilgocią i przywarły do mokrej skóry. Przemoknięci, zmarznięci i wyczerpani przerwali podróż w Odawarze, u podnóża góry, i spędzili noc w karczmie, w której roiło się od szczurów, śpiąc na śmierdzących i spleśniałych matach, nakrywając się mokrymi ubraniami.

Ranek powitał ich jeszcze bardziej ulewnym deszczem i jeszcze gęstszymi chmurami, lecz mimo przeszkód wznowili podróż, chroniąc się pod zniszczonymi słomkowymi kapeluszami. Dro-19

ga wiła się pomiędzy pagórkami, póki nie dotarli do wybrzeża.

Czuli zapach i smak morskiej soli niesionej wilgotnym wiatrem na długo, nim zobaczyli wodę.

Gdy wyłonili się zza ostatniej chroniącej ich linii drzew, ujrzeli rozciągający się przed nimi bezmiar oceanu, otoczyła ich lodo-wata i wirująca w powietrzu szara mgła. Nad ich głowami wiatr przeganiał postrzępione chmury; pod nimi ciemny niczym wę-

giel ocean to wrzał, to znów milkł, ryczał, wymiotując brudną, żółtawą pianą, którą w następnej chwili pochłaniał. Strugi deszczu i morskie fale mieszały się ze sobą w szaleńczym tańcu, napierając na ich płaszcze. Mokre i słone od morskiej wody wiązki słomy z kapeluszy cięły boleśnie ich twarze. Seimei za-czął dokuczać kaszel.

Za Oiso trakt zmienił kierunek i począł oddalać się od wybrzeża.

Wjechali na dużą równinę; przez większą część roku bogate i tonące w zieleni źródło pożywienia – ryżu. Teraz, o tej porze roku, pola ryżowe leżały odłogiem. Ciemne plamy wody stoją-

cej pomiędzy tamami upstrzone były jak okiem sięgnąć gospo-darstwami i przysiółkami tłoczącymi się pod osłoną posepnych drzew. Tokaido przecinał te okolice na usypanej grobli, po któ-

rej bokach zasadzono sosny uginające się teraz pod ciężarem swych nasiąkniętych wodą igieł.

Wreszcie, gdy ten ponury dzień miał się ku końcowi, deszcz zelżał, by ustąpić ostatecznie miejsca mżawce. Sponiewierani i wyczerpani dotarli do zatoki Sagami i portowego miasta Fujisawa, skąd Akitada planował przeprowić się morzem do prowincji Kazusa. W ten sposób mogli zaoszczędzić

sześć dni, docierając do jej stolicy pojutrze.

Fujisawa była sporym i zatłoczonym miastem, z własnym urzę-

dem pocztowym i małym posterunkiem policji. Stanowiła głów-ny port dla łodzi przepływających się przez zatokę Sagami, zaś na pobliskiej wyspie zwanej Enoshima znajdowała się znana w 20 całym kraju świątynia.

Gdy tylko weszli do miasta, Tora oddalił się w poszukiwaniu noclegu, Akitada zaś wraz z Seimei skierowali się w stronę urzędu pocztowego, by zwrócić konie. Poruszanie się wierzchem po wąskich uliczkach nie należało do najłatwiejszych. Z

powodu mżawki robiący zakupy ludzie kryli się pod papiero-wymi parasolami. Konie płoszyły się raz po raz, a mieszkańcy Fujisawy umykali na strony, krzycząc bądź klnąc pod nosem.

Budynek, do którego zmierzali, stał blisko portu. U jego bram dostrzegli zadaszoną tablicę z ogłoszeniami. Wisiało na niej jedno bardzo duże obwieszczenie, które w przeciwieństwie do reszty było pożółkłe i zniszczone. Pismo ledwie można było odczytać, lecz dostrzegli ślady czerwonej urzędowej pieczęci, Akitada podszedł, by przyjrzeć się z bliska. Ze znaków, które udało mu się odczytać, wywnioskował, iż był to nakaz udziela-nia odpowiednim władzom wszelkich informacji dotyczących kradzieży rządowych transportów, za co obiecana była pokaźna nagroda. Pieczęć na dokumencie należała do gubernatora prowincji. Najwidoczniej przez ostatnie miesiące nikt nie zgłosił się po odebranie obiecanej nagrody, a oferta nie została ponowiona.

Akitada wrócił do Seimei. – Stare obwieszczenie dotyczące skradzionych podatków. Nie świadczy to najlepiej o gubernatorze. Chyba nie zadaje sobie najmniejszego nawet trudu, by się dowiedzieć, co się stało z zaginionymi towarami. Jak będziemy mogli przyjąć gościnę człowieka, który staje się głównym podejrzanym?

Seimei kichnął. – Nie wiem, paniczu – powiedział ponuro, szczękając zębami.

Szlachcic przyjrzał się twarzy starego sługi. Była nienaturalnie czerwona, Seimei kulił się w siodle. – Dobrze się czujesz, stary przyjacielu? – zapytał z nagłą troską w głosie.

Staruszek zatrząsnął się i kaszlnął. – Jestem tylko trochę przezię-

21

biony. Poczuję się lepiej, gdy tylko zejdem z konia i bede mogl

rozprostowac odrobinę nogi.

Oddali konie pod opiekę stajennego i zostawili juki w biurze, wyjmując z nich wcześniej wszelkie kosztowności.

Przestało mżyć, za to z powodu zachmurzonego nieba szybko robiło się ciemno. Na każdym rogu zapalano latarnie, ogniska i świece można było dostrzec tam, gdzie ludzie dobijali targu.

Zapachy ciepłej stawy, od których ciekła śliska, wypełniały ulice. Akitada i Seimei przepychali się powoli przez tłum, zatrzymując się przy karczmach, by zapytać o Torę.

Nigdzie jednak nie mogli go znaleźć. Jakby ustępujący deszcz zabrał go i poniósł ze sobą.

Gdy weszli do brudnej i niemal opuszczonej części miasta, Akitada zdał sobie sprawę, iż sługa zostaje w tyle. Zatrzymał się i powiedział: – Seimei, szukamy od godziny. Pora wrócić do karczmy, wynająć pokój i odpocząć. Potrzebujesz gorącej kąpieli, grzanego wina i suchej pościeli.

Ku jego zdziwieniu, sługa zaprotestował. – Proszę, paniczu –

powiedział drżącym głosem, szcękając przy tym zębami. – Nie możemy poszukać jeszcze przez chwilę? Mam dziwne przeczucie. To zupełnie niepodobne do Tory.

– Bzdura. Jest młody i silny. Może znudził się naszym towarzystwem i dał nogę.

– Och! – krzyknął Seimei, ściskając dłonie. – Mam nadzieję, że tego nie zrobił. Ojej, to wszystko moja wina.

– Czemu twoja?

– Mówi się, że „mroźną pogodę i zimny ryż można jeszcze znieść, lecz chłodne spojrzenia i lodowate słowa nie”. – Stary człowiek zwiesił głowę. – Byłem bardzo niewdzięczny dla tego chłopca.

– Pleciesz od rzeczy! – odpowiedział Akitada roztargnionym głosem. Przyglądał się bacznie pogrążonej w ciemnościach alej-22

ce. Na jej przeciwnym końcu zamigotały ognie pochodni, do uszu doleciały podniecone głosy. – Coś tu jest nie w porządku.

– Jeśli są tam ludzie, podejźmy i zapytajmy raz jeszcze.

– Niech i tak będzie. Lecz później poszukamy miejsca, gdzie będziemy mogli odpocząć.

Gdy doszli do zbiegowiska, zdali sobie sprawę, iż ludzie zebrali się przed odrapanym dwupiętrowym domem z powodu popeł-

nionego w nim przestępstwa. Znak nad drzwiami głosił „Wonna Altana Piękna” i zwisał krzywo, zawieszony na pojedynczym gwoździu. Ubrany w czerwony mundur posterunkowy stał na straży przy drzwiach, przyglądając się bez zainteresowania tłoczącej się przed nim grupce odzianych w łachmany gapiów.

Akitada przepchnął się przez ciekawskich i zapytał: – Co tu się stało? – Gdy tylko to zrobił, kolejnych dwóch policjantów ukazało się w drzwiach, niosąc nosze, na których rozciągnięte było ciało. Zakrywała je zakrwawiona kobieca podomka.

Posterunkowy, widząc przed sobą wysokiego, mówiącego urzę-

dowym tonem nieznanego, wziął głęboki oddech. – Jakiś włóczęga poderzwał dziwce gardło – odburknął w odpowiedzi.

Po czym uśmiechnął się szeroko, odsłaniając krzywe i żółte zę-

by. – Daleko jednak nie uciekł, a w środku zostało jeszcze wiele kobiet, więc jeśli panicz ma ochotę, niech się nie krępuje. –

Mrugnął okiem, odsunął się na bok i odszedł w ślad za swymi kompanami.

Seimei ruszył za nim, chwiejąc się na nogach. – Zaczekaj! –

zacharczał pomiędzy atakami kaszlu. Policjant nie usłyszał. Stary sługa wrócił do Akitady i chwycił go za rękaw, twarz miał

czerwoną i napiętą. – Musisz za nim iść, paniczu. To morderstwo, a ty wiesz o morderstwach wszystko. Mam dziwne przeczucie, iż ta sprawa ma jakiś związek z Torą.

– Nonsens. Jesteś chory i wyczerpany, a ja nie mogę się mieszać w sprawy tutejszej policji. Mam zadanie do wypełnienia w Ka-23

zusie.

– Proszę, paniczu. Przynajmniej zapytamy o niego na posterunku. Dzięki temu lepiej się poczuję.

Wzdychając, Akitada uległ prośbom sługi. Posterunek znajdował się niemalże w centrum miasta, wejście znaczyła duża, pa-pierowa latarnia, na której wypisano „Policja”. Wewnątrz znaleźli oficera i dwóch urzędników zajętych przesłuchiwaniami tłustego mężczyzny ubranego w poplamioną tłuszczem, niebieską bawełnianą szatę.

– Przyznaję, że pomyliłem się co do koloru jego koszuli – powiedział korpulentny mężczyzna, rozkładając dłonie, których palce przypominały tłuste larwy. – Lecz nie mógłbym zapomnieć tej szramy na twarzy. Przysięgam, że to on. Biedny Fio-

łek! Właśnie zaczynała mieć stałą klientelę. Cóż za strata, panie oficerze, cóż za strata. I któż mi to wynagrodzi? Cztery lata te-mu dałem za tę dziewczynę sześć bel najlepszego jedwabiu.

Karmiłem ją szkoliłem i właśnie czekałem na zwrot poniesionych kosztów, gdy nagle... puff... – Jego dłonie wystrzeliły do góry, gestykulując w próżni, i w tym samym momencie dostrzegł dwie wyczerpane podróżą sylwetki. – To naprawdę wstyd, że w dzisiejszych czasach pozwala się tej hołocie włó-

czyć po wspaniałym Południowym Trakcie. Uczciwy biznesmen nie może się już czuć w tym mieście bezpiecznie.

Oficer odwrócił się do Akitady i Seimei. – Czego chcecie? –

spytał rozdrażniony. – Nie widzicie, że jestem zajęty? Jeśli potrzebujecie zezwolenia na podróż lub wskazania właściwej drogi, będziecie musieli przyjść tu jeszcze raz jutro rano.

Akitada był zmęczony i zdenerwowany. Wiedział, że sługa z minuty na minutę czuje się coraz gorzej i nie miał zamiaru tracić ani chwili. – Podaj temu człowiekowi moje dokumenty, Seimei

– powiedział ostro i czekał niecierpliwie, patrząc, jak oficer rozkłada je, czyta i błędnie coraz bardziej z każdym kolejnym prze-

czytanym słowem, trzymając przed sobą cesarskie pismo nakazujące, by udzielić posiadaczowi tego pisma wszelkiej możliwej pomocy, jakiej zażąda. Zbliżając dokument z szacunkiem do czoła, padł na kolana i zaczął przeproszać.

– Wstań! – powiedział znużonym głosem Akitada. – Wystali-

śmy przodem naszego sługę, Torę, by znalazł nam nocleg, ale gdzieś przepadł. Chcę, by w tej chwili go znaleziono.

Oficer skoczył na równe nogi i zapytał o szczegóły. Gdy Akitada opisywał Torę, twarz policjanta zdradzała coraz większe zdumienie. Opaśły mężczyzna zakrzyknął zdziwiony, a urzędnicy przyglądali się wszystkiemu z wybałuszonymi oczami.

– Przed chwilą zatrzymaliśmy człowieka, do którego pasuje ten opis – przyznał oficer. – Aresztowano go niedaleko od miejsca, w którym popełniono morderstwo. Rozpoznał go ten oto człowiek – dodał, wskazując tłuszciocha, który nagle począł się nerwowo kręcić.

– No więc – zająknął się opaśły mężczyzna. – Było już ciemno, lecz rozpoznałem bliznę, gdy zobaczyłem twarz przy straganie z kluskami. Być może ci szlachetni panowie nie są świadomi gwałtownego charakteru swego sługi.

– Możemy zobaczyć więźnia? – zapytał Akitada.

– Oczywiście. Bezzwłocznie, wasza miłość! – oficer klasnął w dłonie.

Za chwilę Tora stał już przed nimi, zakuty w łańcuchy, zakrwawiony, posiniaczony i przytrzymywany przez dwóch muskularnych strażników.

– Paniczu! – krzyknął i zrobił krok w stronę Akitady. Policjanci pociągnęli go do tyłu za łańcuch.

– Musiała zajść jakaś pomyłka – powiedział młody szlachcic. –

To mój sługa. W tej chwili wypuście go na wolność.

– Ale, wasza miłość – zaprotestował oficer. – Został rozpoznany przez szanowanego mieszkańca naszego miasta. Obawiam się, 25

że...

Akitada rzucił mu piorunujące spojrzenie. – Powiedziałem, by puścić go wolno.

Rozkuto Torę, który stanął teraz za plecami pana, rozcierając nadgarstki i mrużąc pod nosem podziękowania.

– Mam nadzieję, że nie wejdzie ci to w krew, Tora – warknął

Akitada. – Szukamy cię od godziny. Gdyby nie nalegania Seimei, zgniłbyś w tym więzieniu. – Dostrzegł, że oczy sługi wezbrały łzami i złagodniał. – Co się stało?

– Należało mi się, paniczu – odpowiedział chłopak z pokorą. –

Byłem głodny i zziębnięty i pomyślałem, że mam dużo czasu dla siebie. Zatrzymałem się, by zjeść gorący rosół z kluskami.

Właśnie kończyłem posiłek, gdy rozpętało się istne piekło. Nim się spostrzegłem, leżałem na ziemi, a czterech policjantów biło mnie i kopało z całych sił.

Akitada odwrócił się do oficera. – Kiedy zbrodnia miała miejsce? Tłuscioch i policjant odpowiedzieli równocześnie: – Cztery godziny temu.

– Skąd to wiecie?

Oficer popatrzył z ukosa na świadka, który zamilkł w jednej chwili. – Gdy dotarliśmy tam, ciało było jeszcze ciepłe, a to było jakieś dwie godziny temu. Toyama był pracodawcą ofiary i przyszedł do nas, gdy tylko znalazł zwłoki – powiedział, wskazując na tłusciocha.

– Ale cztery godziny temu było jeszcze widno – powiedział

Akitada, przyglądając się podejrzliwie świadkowi. Pomimo zmęczenia i wbrew zamysłom pozwolił, by sprawa morderstwa wzbudziła jego ciekawość. Żałował, że nie widział ciała denatki i nie mógł przesłuchać ludzi, którzy ją znali. – Kiedy ten człowiek zauważył mordercę?

Ze zdenerwowania grubas mówił teraz głośniej. – Dostrzegłem go przy straganie z kluskami, gdy wracałem z policjantami z 26

posterunku. Od razu wiedziałem, że to on. Dziewczyny opisały mi wygląd klienta Fiołka. Szrama na policzku – po tym go poznałem. Ubrania... no cóż, jak już mówiłem, mogliśmy się co do nich pomylić. W każdym razie, gdy zobaczyłem go stojącego sobie jak gdyby nigdy nic, krzyknąłem i powiedziałem o wszystkim policjantom.

– To śmieszne – rzucił Akitada. – Jeśli morderstwo popełniono cztery godziny temu, nie mógł tego zrobić mój sługa. Razem ze mną i moim sekretarzem był wtedy kilka mil przed Fujisawa.

Proponuję, byście przyprowadzili świadka, i nie mam tu na my-

śli tego człowieka, by potwierdził, że mój sługa nie jest mordercą. Później oczekuję jego zwolnienia i przeprosin. Tora, dołą-

czysz do nas w gospodzie.

– W gospodzie „Pod Feniksem”, paniczu. Ponoć jest najlepsza –

odrzekł młody człowiek. Akitada nie chciał jeszcze odchodzić.

Otworzył usta, by udzielić rady tym objającym się najwidoczniej stróżom porządku i wtedy usłyszał za plecami krzyk Tory oraz ciężkie uderzenie. Odwrócił się pośpiesznie i zobaczył wą-

tle ciało Seimei rozciągnięte nieprzytomnie na zimnej podłodze.

27

Rozdział 2

Mnisi, przekupnie i Fujiwarowie

Seimei spędził w łóżku dwa dni, dygocząc z potwornej gorączki i raz po raz kaszłąc przeraźliwie. Akitada siedział przez cały czas u wezłowia łóżka, obwiniając się za to, że nie dostrzegł

wcześniej choroby przyjaciela, że nadwerżył siły starszego człowieka męczącą podróżą i że przyjął zadanie pomimo rad przyjaciół, którzy starali się go od tego odwieść. Bał się, iż straci Seimei w tym dziwnym mieście, z dala od rodziny, której wierne serce służyło tak dobrze przez całe swoje życie.

Tora wziął na siebie obowiązki doglądania chorego z cierpliwo-

ścią i delikatnością, której nikt nie spodziewałby się po gburo-watym włóczędze, na jakiego wyglądał. Akitada nie żałował

teraz tego, że ocalił młodego człowieka przed brutalnością posterunkowych. Pomimo niechęci do wyjawienia swej prawdziwej tożsamości, Tora dzielił się otwarcie wszystkimi swymi kłopotami i zmartwieniami. Był synem chłopca, stracił swą rodzinę w trakcie przygranicznych wojen, potem wcielono go siłą do armii. Zdezercerował po tym, jak pobił swego oficera, gdy ten zgwałcił młodą chłopkę.

Trzeciego dnia po omdleniu Seimei zbudził się z głębokiego snu i poprosił o coś do picia. Gdy Tora przybiegł pośpiesznie do jego łóżka, niosąc kubek wina, stary sługa odsunął go od siebie i powiedział zrzędlawie: – Ty głupcze. Nie wiesz, że wino roz-grzewa krew? Próbujesz wyprawić mnie na tamten świat? Herbaty. Potrzebuję herbaty zaparzonej z owoców jałowca, gorczy-cy i korzenia krwawnika. Pewnie spodziewasz się, że wstanę i sam poszukam składników?

– Przepraszam, staruszkule – powiedział pokornym tonem Tora. –

28

Zaraz przyniosę twoje korzenie i owoce, jeśli tylko powiesz mi, gdzie ich szukać.

– Nie kłopotz się, Tora. – Akitada położył dłoń na czole Seimei.

Było suche i chłodne. – Tutejszy zielarz powinien mieć wszystkie składniki. Weź z moich juków trochę pieniędzy i kup to, co potrzeba. – Odwrócił się do starca i dodał: – Cieszę się, widząc cię w lepszym zdrowiu, stary przyjacielu. Martwiliśmy się o ciebie. Tora opiekował się tobą, nie zważając na zmęczenie.

Stale cię nakrywał i kładł na czoło zimne okłady.

Seimei poczuł się odrobinę winny. – Och – wymamrotał. – Jak długo byłem chory?

– Dwa dni i trzy noce.

– O nie! – powiedział, próbując wstać. – Taka zwłoka! Musimy czym prędzej ruszać w drogę. Jestem pewny, że herbata postawi mnie na nogi.

Pan pchnął go łagodnie na łóżko. – Nie ma pośpiechu. Będę potrzebował twych umiejętności, gdy dotrzemy na miejsce, więc musisz być zdrowy i dobrze wypoczęty. Zatrzymamy się w tej wygodnej gospodzie, póki w pełni nie wydobrzejesz. Tora bę-

dzie się tobą opiekował, a ja wykorzystam ten czas na dowiedzenie się wszystkiego, czego zdołam, o interesującej nas sprawie. Może nawet zaoferuję swą pomoc tutejszej policji. Zdaje się, że nie są na tyle kompetentni, by sobie poradzić z morderstwem prostytutki.

Pozostali w Fujisawie przez kolejne dwa dni. Zdrowie Seimei poprawiło się znacznie i teraz wyładowywał swą złość, doku-czając Torze. Akitada złożył na posterunku kilka wizyt. Ku jego rozczarowaniu nie udzielono mu żadnych informacji ani nie odpowiedziano na pytania dotyczące popełnionej zbrodni. Oficer, nad wyraz uprzejmy, zapewnił go, iż jego sługa został

oczyszczony ze wszystkich zarzutów. Właściciel domu publicznego szybko wycofał oskarżenie, gdy jego podopieczne zaprze-29

czyły, jakoby kiedykolwiek widziały Torę. Szlachcic mógł bez przeszkód wznowić podróż.

I tak piątego ranka w piękną i kojącą zmęczenie pogodę razem z prawie zdrowym już Seimei wsiedli na statek i przepłynęli zatokę Sagami, docierając do Kisarazu – stolicy prowincji Kazusa.

Podróż morzem, choć niebezpieczna w złą pogodę, oszczędziła im tygodnia męczącej jazdy wierzchem.

Zamiast skierować się prosto do budynku sądu, Akitada zakwaterował się w skromnej gospodzie stojącej przy miejskim rynku.

Chciał wpierw przyjrzeć się miastu i jego mieszkańcom, a dopiero później obwieścić gubernatorowi swoje przybycie.

Zostawiając Seimei pod opieką Tory, ruszył na zwiedzanie.

Kisarazu kipiało od ruchu. Akitada oszacował populację na oko-

ło dziesięciu tysięcy mieszkańców, choć wydało mu się, że w mieście musi przebywać wielu przyjezdnych. Ich gospoda wypełniona była po brzegi, a w promieniach ciepłego, co mogło dziwić, zważywszy na porę roku, słońca na targowisku kłębiło się od przekupniów, klientów i ludzi, którzy wyszli na dwór zaczerpnąć świeżego, rozgrzanego powietrza. Duże i chronione bramą budynki administracji były bogato zdobione, wręcz wytworne. Gubernatorstwo Kazusy musiało być bardzo intratną posadą nawet dla kogoś pochodzącego z rodu Fujiwarów. Czy człowiek pełniący ten urząd obecnie uczynił go jeszcze bardziej opłacalnym, od trzech lat przywłaszczając sobie podatki należące się cesarzowi?

Około godziny, w której zazwyczaj spożywało się wieczorny ryż, wrócili do gospody i usiedli przy jednym z ustawionych na zewnątrz stołów. Seimei dołączył do nich i zamówił prosty posiłek u korpulentnej kelnerki w średnim wieku z wystającą do przodu górną szczęką. Tora popatrzył na nią skrzywił się i odwrócił wzrok w stronę robiących zakupy ludzi.

– Mógłbym przysiąc, że ten człowiek stracił ucho w sprzeczce z 30

łańcuchem i kulą – powiedział, wskazując ruchem głowy grupę młodych buddyjskich mnichów mijających właśnie gospodę.

Akitada podążył za nimi wzrokiem i zauważył to, o czym mówił

sługa. Łańcuchy i kule były niebezpieczną bronią używaną przez gangi rabusiów. Jedyne, co miał ten mnich wspólnego z delikatnymi klerykami o nalanych twarzach, jakich spotykał w stolicy, to była szafranowa szata i ogolona głowa. Wysoki, opalony i muskularny mężczyzna kroczył zuchwale ulicą. Twarz zaś miał pospolitego zabijaki. Ku swemu zdziwieniu Akitada odkrył, że towarzysze mnicha są do niego podobni. Szli pośród tłumu, rzucając na wszystkie strony wzgardliwe spojrzenia, nie odzywając się do nikogo. Ludzie umykali im czym prędzej z drogi.

– Hmm, dziwne. Jeśli miał burzliwą przeszłość, miejmy nadzieję, że dostrzegł błędy swego postępowania i postanowił za nie odpokutować.

Seimei, będąc podobnie jak jego pan przykładnym konfucjaniem, również podchodził do buddyzmu z rezerwą. Patrząc na mnichów, pokiwał głową. – Nie uczynisz kruka białym, nawet gdybyś miał go myć przez calutki rok.

Kelnerka podająca im jedzenie i wino wybuchnęła śmiechem i szturchnęła Seimei łokciem w bok. Starzec popatrzył na nią wściekłym wzrokiem.

– To samo mówiłeś o mnie, staruszkule – przypomniał Tora.

– Dokładnie. A tylko spójrz na niego teraz! – Akitada uśmiechnął się do młodego człowieka z zadowoleniem. Kupili kilka rzeczy. Zniszczone ubranie Tory powędrowało na śmietnik, zastąpiła je nowa niebieska bawełniana szata z czarną przepaską.

Jego długie włosy związali w kuc i spięli czarnym sznurkiem, umyli i ogolili twarz – z wyjątkiem małego wąsika. Po szramie nie było już śladu i Tora przyciągał pełne podziwu spojrzenia mijających ich młodych kobiet.

31

– Mogłem się co do ciebie pomylić – przyznał Seimei. Wziął

kęs potrawy i żuł starannie. – Zobaczymy. Pamiętaj tylko, że mistrz kung-fu mawiał, iż każdy człowiek powinien raczej martwić się własnymi brakami, niż boczyć się, że inni nie dostrzegają jego zalet.

Tora sięgnął po swoją misę ryżu i warzyw. – Bardzo mądre słowa – przyznał, kiwając głową. – Musisz mi opowiedzieć więcej o swoim mistrzu kung-fu.

Seimei wyglądał na zadowolonego. Akitada miał nadzieję, że starszy sługa zaczyna darzyć młodego chłopaka ojcowskimi uczuciami. Odetchnąłby z ulgą gdyby Seimei znalazł sobie inny obiekt nieustannych utyskiwań i pouczeń.

Pili i jedli spokojnie, przyglądając się zatłoczonemu targowisku.

– Ta prowincja wygląda na bogatą i dobrze prosperującą – powiedział Seimei, powtarzając wcześniejsze myśli swego pana. –

Pola ryżowe i plantacje morwy, które mijaliśmy po drodze, były dobrze utrzymane, a na rynku widziałem obfitość wszelkich towarów.

– Masz rację. – Akitada nie dostrzegł u tutejszych chłopów jak do tej pory żadnych śladów zaniedbania bądź skrajnej nędzy.

Wiedział, że nieuczciwa administracja zaspokajała swą chciwość nakładaniem kolejnych podatków i oszczędzaniem na utrzymaniu i remoncie dróg oraz fortyfikacji.

– Coś tu jest nie w porządku – dodał Tora. – Mam szósty zmysł, gdy idzie o takie sprawy. Ci drańscy urzędnicy nie muszą wyciskać ostatniego grosza z chłopów, jeśli zatrzymują dla siebie wszystkie zebrane podatki. Pałac gubernatora ma zielone dachówki i rynny zdobione w kształt smoków niczym najbogatsze świątynie. Skąd wzięły się na to pieniądze?

– Jakoś trudno mi powiązać kradzież wszystkich podatków z doskonale wywiązującą się z innych zadań administracją.

Tora zagwizdał nagle.

32

– Co się stało? – spytał Seimei, podnosząc wzrok znad pustego dzbana.

– Spójrzcie na tę dziewczynę! – powiedział młodzien. – Cóż za piękność. Cóż za kark! A te biodra i uda!

Po przeciwnej stronie ulicy przekupka rozstawiła swój warzywny stragan, ustawiając kosze pełne rzodkiewek, rzepy, fasoli, słodkich ziemniaków i kasztanów. Młoda dziewczyna o włosach upiętych w sposób, w jaki upinają je kobiety niższych klas, targowała się o cenę dorodnych rzodkiewek, gestykulując dłońmi.

Jej smukłe kształty skrywała obcisła, zwyczajna bawełniana suknia.

– Nie gap się jak sroka w gnat, Tora – zrugął go Seimei. – Kobiet nie powinno się oglądać ani słuchać. – Zawołał kelnerkę.

Przybiegła szybko, by wziąć od niego kolejne zamówienie na wino i pikle. – I nie próbuj dopisywać nam tych pikli do rachunku, jak poprzednio – powiedział kobiecie. – Są wliczone w cenę wina. – Dygnęła, uśmiechnęła się szeroko i odeszła po-

śpiesznie. Popatrzył za nią z ukosa i wymamrotał: – Kobietom nie można ufać. Każe nam płacić za pikle, a pieniądze pewnie wrzuca do własnej kieszeni. – Odwracając się do chłopaka, dodał: – Zapamiętaj moje słowa i trzymaj się z dala od kobiet.

Młody człowiek w twoim położeniu musi dbać o czystość umysłu, by nie zmarnować sobie życia przez jakąś kokietkę.

Rada przyszła zbyt późno. Tora z wyrazem determinacji na twarzy poderwał się i zniknął w przechodzącej grupie mieszkańców robiących zakupy.

Powstało małe zamieszanie. Ludzie odwracali głowy, by zobaczyć, co je spowodowało. Po chwili tłum zrzędł i gdy ludzie ruszyli każdy w swoją drogę, po Torze i dziewczynie nie było już śladu.

– No i proszę! – wybuchnął Seimei. – Widziałeś to, co ja? Oburzające! Rzucił się bez słowa na złamanie karku za pierwszą

sukienką która mu się spodobała. Co teraz zrobimy?

– Nic. A oto i nasza kelnerka, Seimei. Wypijmy wino i zjedzmy te wyśmienite, darmowe pikle. Jeśli Tora nie wróci, nim skoń-

czymy, pójdziemy spać. Będiesz mógł prawić mu morały na temat jego zachowania jutro rano.

– Ba! Przemawianie do rozsądku tego młodziana jest jak uderzenie głową w mur.

Właśnie przyglądali się przechodniom, gdy jakiś przekupień podszedł do grupki gości siedzących po przeciwnej stronie werandy. Był pierwszym biedakiem, jakiego zobaczyli w tym mie-

ście.

Sędziwy, przygarbiony i wychudzony, ledwie mógł unieść kosz z towarami zawieszony na szyi i ramionach. Gdy kuśtykał po-między gośćmi, stawiał go na każdym stole, na którym mógł.

Był na bosaka, a przez dziury w koszuli prześwitywała po-marszczona skóra.

W gospodzie siedzieli głównie kupcy pożywiający się ryżem.

Krzyczeli i wygrażali staremu człowiekowi, lecz on nie dawał

za wygraną może z powodu słabego słuchu, a być może dlatego, iż rozpaczliwie potrzebował zarobku. Krążył pomiędzy stolikami, aż jeden z gości zmęczony jego nagabywaniem kopnął go mocno w plecy. Starzec potoczył się na ulicę, padając na twarz.

W ślad za nim poleciał też jego kosz, towary rozsypały się dookoła, grzęznąc w błocie. Kupcy zanieśli się śmiechem. Kilku uliczników doskoczyło do starca, by po chwili uciekać z tym, co udało im się unieść.

Akitada w jednej chwili podbiegł do wiekowego sprzedawcy, przeganiając na boki urwisów. Pomógł mu wstać i poprowadził

do ławki. – Przykro mi z powodu tego, co cię spotkało, starcze –
powiedział.

– Proszę, poczęstuj się winem. Rozgrzeje cię i doda sił.

Przekupień zadrżał i zastękał, lecz wino podziałało i po chwili 34

jego paplanina zamieniła się w zrozumiałe słowa. Zdawał się bardziej zaniepokojony utratą towaru niż siniakami.

Szlachcic przyjrzał się uważnie człowiekowi, dla którego widmo głodu było o wiele straszniejsze niż sińce i połamane kości.

– Seimei, idź i sprawdź, czy nie uda ci się znaleźć jakiejś z jego rzeczy. Przynieś je tutaj.

Sługa, z oburzonym grymasem na twarzy, wrócił po chwili z koszem ubrudzonych błotem przedmiotów i postawił go na stole obok sprzedawcy. Wyciągnął zza pazuchy kartkę papieru, przedarł ją ostrożnie na pół, wytarł dokładnie dłonie i schował

czystą połowę.

Przekupień, widząc resztki zabłoconych towarów, wydał z siebie serię przeraźliwych jęków. Akitada bez zastanowienia zaoferował, że kupi to, co zostało. Starzec zamilkł momentalnie. Po-dał horrendalną sumę, którą inspektor zapłacił. Bez słowa podziękowania starzec wyrzucił zawartość kosza na stół, przerzucił sznur przez szyję, po czym oddalił się żwawym krokiem, znikając w tłumie.

– Och, ten niegodziwiec przez cały czas udawał – zakrzyknął

Seimei. – I co teraz poczniemy z tymi rupieciami? – dodał, wskazując tandetne grzebienie i szpile trzymanymi w dłoniach palcami. – Nie są warte dwóch miedziaków, a ty dałeś mu dwadzieścia. Co więcej, to rzeczy dla kobiety. W dodatku brudne. Bez dwóch zdań rozchorujemy się obaj od dotyknięcia tej kre-atury i jego nic niewartych śmieci.

– Możemy je sprezentować naszej kelnerce – zasugerował Akitada.

– Chyba wpadłeś jej w oko.

Seimei rozdziawił usta, póki nie zobaczył uśmiechu swego pana.

Już miał zamiar zrzucić wszystko na pustą tackę po piklach, gdy Akitada szybkim ruchem ręki wyciągnął jeden przedmiot ze sterty śmieci i zaczął go dokładnie czyścić. – Jeśli się nie mylę, 35

to trzymam w ręku wyrób chińskich rzemieślników wykonany metodą *cloisonne*. Takich rzeczy nie sprzedają domokrażcy.

Popatrz, Seimei, to powój. W dodatku pięknie wykonany. Każ-

dy niebieski płatek i każdy zielony liść otoczone są połączonym drutem. Ciekaw jestem, skąd ten starzec wziął tak wyszukaną ozdobę. – Rozejrzał się po tłumie, szukając twarzy sprzedawcy.

Seimei z zaciekawieniem przyglądał się niewielkiemu kwiatko-wi z emalii. – Jest bardzo mały. Wart jest dwudziestu miedziaków?

– Nie w obecnym stanie. Kiedyś musiał być zapewne częścią ozdoby wpinanej we włosy i wartej zapewne sto razy więcej.

Teraz nawet wśród najszlachetniejszych rodów tylko nieliczne kobiety noszą podobną biżuterię. Kolejna zagadka. – Inspektor zmarszczył czoło w zamyśleniu, po czym potrząsnął głową. –

Może pochodzi z kradzieży, z jakiejś obrabowanej świątyni.

Starodawne posągi bogiń przyozdabiano w ten sposób nader często. Zatrzymam to na pamiętkę. Zostaw resztę kelnerce i chodźmy spać.

* * *

Tora nie wrócił następnego ranka. Myśli Akitady zaprzętały dwie rzeczy – rozczarowanie z powodu tego, iż chłopak opuścił

ich tak szybko, gdy nie potrzebowali już ochrony i obawa przed tym, że pakuje się w kolejne kłopoty. Nie mógł jednak zrobić niczego w obu kwestiach, póki nie spotka się z gubernatorem.

Gdy Seimei zobaczył swego pana ubranego w używaną podczas polowań koszulę i wełniane spodnie

wciśnięte w buty, zaprotestował żarliwie, nalegając, by założył na tę okazję odświętne, urzędowe szaty. Akitada powstrzymał nerwy na wodzy, mając na uwadze niedawno przebytą chorobę sługi. Usiadł, utyskując pod nosem, gdy staruszek wypakowywał i odświeżał jedyną jedwabną szatę, jaką posiadał jego pan – białe jedwabne spodnie 36

i urzędowy kapelusz wykonany z usztywnionej czarnej gazy.

Przyglądał się krzątaniu Seimei pogrążony w myślach o Torze. Założenie dziwacznych kostiumów wcale nie poprawiło mu nastroju. Od rana w napięciu oczekiwał nadchodzącej rozmowy.

Otoczona murem rezydencja, w której mieszkał gubernator prowincji, była tak obszerna, iż sprawiała, że sąsiadujące z nią pozostałe budynki administracji wyglądały jak karły klęczące przed olbrzymem. Akitada i Seimei przeszli pod zadaszoną bramą podtrzymywaną przez dwie kolumny. Dwóch wystrojonych żołnierzy bez ruchu stało na straży, ich halabardy wskazywały ostrzami niebo. Nie zatrzymali ich, lecz przypatrywali się podejrzliwie.

Za bramą leżał duży dziedziniec wysypany żwirem i przedzielony na dwie części chodnikiem. Był długi na około pięćdziesięciu metrów i zmierzał wprost do stopni głównego pawilonu. Za jego dachem dostrzegli kolejne, niektóre kryte strzechą, inne dachówkami. Z pewnością znajdowały się pod nimi biura, kwatery osobistej straży gubernatora, więzienie, archiwum, magazyny i prywatna rezydencja gubernatora z kwaterami dla gości.

Akitada od razu zrozumiał, czemu strażnicy przy bramie byli w tak dobrym nastroju. Cały oddział miał dziś na dziedzińcu musztrę. Jeden z ludzi noszący skromną ciemną szatę urzędnika odłączył się od małej grupy gapiów i podszedł do dwójki podróżnych.

– Czy mogę w czymś pomóc? Wskazać właściwą drogę? – zapytał, kłaniając się w pas, widząc jedwabną szatę i czarny kapelusz Akitady znamionujące kogoś ważnego.

– Jestem Sugawara Akitada, inspektor przybyły właśnie z cesarskiej stolicy – powiedział szlachcic, rad nagle z tego, iż posłuchał swego sługi. – Możesz zaprowadzić nas do gubernatora?

Mężczyzna drgnął, pobladł i upadł na kolana, bijąc pokłony. –

Ta mało ważna osoba, klęcząca teraz przed tobą panie, to Aki-37

nobu. Jestem sekretarzem gubernatora. Oczekiwaliśmy waszej ekscelencji, lecz myśleliśmy... To znaczy, goniec wysłany przodem przybywa zazwyczaj przed orszakiem podróżującego dygnitarza. Po tysiącokrotnie przepraszam za to, iż nie został wasza ekscelencja przyjęty z należnymi mu honorami. Mam nadzieję, iż wasza ekscelencja nie natknął się w podróży na żadne kłopoty.

Akitada dostrzegł zdenerwowanie mężczyzny i ucieszył się, iż w ten właśnie sposób postanowili przybyć do rezydencji gubernatora. – Absolutnie żadnych – powiedział. – Podróżowałem wierzchem. Towarzyszył mi mój sekretarz Seimei i drugi sługa, który przybędzie później. Powstań, proszę.

Akinobu podniósł się z klęczek, na jego pociągłej twarzy rysowało się zaniepokojenie i zdziwienie, lecz nie wyrzekł słowa.

Uklonił się tylko i poprowadził ich przez główną salę – przestronne, puste pomieszczenie, którego ciemne posadzki były starannie wypolerowane, zaś pomalowane stropy podtrzymywa-

ły wysokie sklepienie. Akitada wiedział, że ten budynek służył

oficjalnym powitaniami i publicznym audiencjom. Przeszli przez główną salę, a za nią przez kolejny długi dziedziniec i weszli do trochę mniejszego pomieszczenia poprzedzianego wysokimi parawanami tworzącymi biura, w których wielu urzędników kopiowało pracowicie rejestry, wypełniało dokumenty i sprawdzało wykazy.

– To biblioteka gubernatora – powiedział sekretarz, wprowadzając ich do eleganckiego pokoju, w którym stały półki pełne oprawionych w skórę skrzyń na dokumenty, piękne politurowane biurka, a na ścianach wisiały malowidła. Drewniana podłoga przykryta była grubymi matami wykonanymi z trawy, na któ-

rych leżało kilka jedwabnych poduszek. – Usiądźcie, proszę.

Jego ekscelencja dołączy do was niebawem.

Gdy Akinobu oddalił się i gdy usiedli wygodnie na jedwabnych 38

poduszkach, Seimei wyszeptał: – Któż mógłby się spodziewać takiej wystawności na dalekiej prowincji?

Akitada nie odpowiedział. Przyglądał się zbiorowi pięknych malowideł przedstawiających cztery pory roku, który zawieszono na parawanie. Gubernator był nie tylko człowiekiem bogatym, lecz również dobrego smaku.

Nie musieli długo czekać. Fujiwara Motosuke wszedł do pokoju szybkim krokiem, wymachując w powietrzu rękami. Uśmiechnął się szeroko i zakrzyknął: – Witam, witam, witam! Jakżem rad, że cię widzę, drogi Sugawaro! Cały i zdrowy? Cóż za szczęście! – Rozpostarł ramiona, by objąć gościa.

Inspektora zaskoczyły nie tylko pozdrowienia, lecz również zadziwiające podobieństwo Motosuke do kuzyna Kosehiry.

Choć gubernator był prawie dwadzieścia lat starszy niż przyjaciel Akitady, był równie jak on korpulentny i najwyraźniej o tym samym radosnym usposobieniu. W jego wysmarowanych olejkami czarnych włosach można było dostrzec kilka srebrnych nitok, a jego wąs był gęsty i opadał ku dołowi. Szlachcic miał

dziwne uczucie, że przygląda się starszemu o kilkadziesiąt lat Kosehirze.

Seimei ukląkł, dotykając czołem maty w głębokim ukłonie, lecz Akitada wciąż siedział, skinąwszy jedynie uprzejmie głową. Nie odwzajemnił uśmiechu. Wiedział dobrze, iż zachowuje się nieuprzejmie, lecz nie mógł pozwolić na to, by człowiek, na któ-

rym ciążyło podejrzenie o zagarnięcie do własnej kieszeni zbieranych przez trzy lata podatków, obejmował go teraz jak dawno utraconego brata.

Gubernator zmrużył oczy. W normalnych okolicznościach sprawowana przez niego godność i wiek stawiały go kilka pozycji nad Akitada lecz młody szlachcic postanowił wyraźnie za-znaczyć swój tymczasowy status *kageyushi*, cesarskiego inspektora, którego zadaniem było zbadanie dokumentów ustępujące-39

go ze stanowiska gubernatora.

Motosuke opuścił wyciągnięte ramiona i usadowił się, zasypując ich nerwowo kolejnymi powitaniem i słowami troski o ich po-dróż i ewentualne zmęczenie.

– Tak, tak, gubernatorze – przerwał mu Akitada szorstko. –

Przyjmuję twe powitanie za rzecz oczywistą i jestem za nie wdzięczny, lecz nie przybyłem tu w celach osobistych ani ob-rzędowych. Przejdźmy od razu do sprawy, bez dalszej zwłoki.

To mój zaufany sekretarz, Seimei, który przedstawi teraz moje uprawnienia.

Motosuke był zszokowany tym, co usłyszał, lecz wziął z rąk Seimei zwój, z należyty szacunkiem przykładając cesarską pieczęć do czoła. Ukłonił się nisko, nim przystąpił do rozwią-

zywania jedwabnego sznurka, by przeczytać dokument.

Westchnął, gdy skończył. Zwinąwszy ostrożnie papier i wrę-

czywszy go z powrotem Akitadze, rzekł: – Jest dla mnie wielką hańbą, że te oburzające czyny popełnione zostały za czasów mego urzędowania. – Zatrzymał się i popatrzył na inspektora niemalże przestraszonym wzrokiem. – Mój kuzyn napisał do mnie, iż posiadasz niewątpliwy talent w rozwiązywaniu wszelkiego typu zagadek. Mam szczerą nadzieję, że nieocenione do-

świadczenie pozwoli ci pomóc mi w znalezieniu łajdaków od-powiedzialnych za kradzież i oczyszczeniu mych dokumentów, nim zdam urząd.

Akitada zmarszczył czoło. Choć nie cieszyła go rola, jaką przyszło mu grać, nie miał zamiaru pozwolić Motosuke na to, by przemienił go z urzędowego inspektora w osobistego doradcę i pomocnika. – Będzie konieczne udostępnienie nam bezzwłocznie wszystkich dokumentów – powiedział chłodno. – Poinstr-ujesz o tym swoich urzędników. Mój sekretarz poinformuje cię, czy upoważnia mnie do tego śledztwo, czy też potrzebna będzie twoja zgoda. – Skończywszy mówić, wstał.

40

Gubernator, który z każdym słowem bladł coraz bardziej, też się podniósł. – Oczywiście. Zadbam i przygotuję wszystko – powiedział, po czym dodał zatrwożonym głosem: – Będziecie...

będziecie chcieli z pewnością wypocząć. Kazałem przygotować dla was kwatery w mojej rezydencji. Może teraz was do nich zaprowadzę? Jeśli będziecie potrzebowali czegokolwiek, wystarczy, że zawołacie służbę.

– Dziękuję, lecz wolałbym zatrzymać się w budynku sądu. Z

pewnością macie tam przygotowane pokoje dla oficjalnych gości.

Motosuke ścisnął nerwowo dłonie, krople potu wystąpiły mu na czoło. – Tak, tak, oczywiście. Jakież ze mnie głupiec! Tyle że domy dla gości nie są tak wygodne. Ponadto robi się coraz zimniej. Zima jest wielce nieprzyjemną porą roku. Żałuję, że nie przybyliście wcześniej. Zorganizowalibyśmy wspaniałe polowanie. Mimo to mam nadzieję, iż uda mi się przedstawić was przynajmniej kilku ważnym osobistościom naszego miasta. Są-

dowe jedzenie nie przypadnie wam do gustu. To jadło dla żoł-

nierzy i więźniów. Moja prywatna kuchnia, moja służba i moja stajnia są do waszej dyspozycji. – Nie przestawał mówić, zaś jego wystraszona twarz sprawiła, że Akitada zmiękł.

– Dziękujemy – powiedział, pochylając się w przepisowym ukłonie. – Jesteś dla nas bardzo łaskawy. Będę zaszczycony, mogąc poznać tutejszych dygnitarzy. A teraz, jeśli to możliwe, zaprowadź nas proszę do archiwum. Mój sekretarz i ja chcieli-byśmy poznać twoich urzędników.

Resztę dnia spędzili w archiwum, rozmawiając z kancelistami i pobieżnie przeglądając zapisy. Inspektor był pod wrażeniem sprawności tutejszej administracji i staranności papierkowej roboty, lecz unikał zadawania pytań dotyczących zaginionych podatków. Gdy dosyć się już napatrzył na dokumenty, służący odprowadził ich do kwater. Ściemniało się, a chłodny wiatr wiał

41

pomiędzy odgrodzonymi od ulicy budynkami sądu. Pawilon z zadaszoną werandą okazał się przestronny i wygodny, miał też własny otoczony murkiem dziedziniec. Seimei rozejrzał się pobieżnie i zapytał służącego o drogę do łaźni.

– Jest jeszcze wcześniej – zaprotestował Akitada. – Wpierw chcę się przejść po okolicy.

– Zapomniałeś już o zakurzonych archiwach – powiedział sługa.

– Poza tym, kto wie, może gubernator wezwie nas, by upewnić się, czy jest nam tu wygodnie. Wydał mi się bardzo uprzejmym dżentelmenem.

Jego pan też tak myślał, lecz wolałby mieć mniej sympatycznego gospodarza.

Łaźnia była duża i pusta, jeśli nie liczyć tęgiego, niemalże na-giego służącego, który pilnował ognia i asystował przy ich ką-

pieli. Akitada poddał się dokładnemu szorowaniu, a potem, chcąc się wymoczyć, wszedł do głębokiej i wypełnionej parującą wodą wanny z cedrowego drewna. Nie mógł rozmawiać o gubernatorze w obecności służby, więc oczyścił swój umysł z wszystkich wątpliwości oraz zmartwień, próbując się odprężyć.

Gdy wrócili do swego pokoju, znaleźli w nim listy ze stolicy i garnek aromatycznej herbaty z liścikiem od Motosuke. Wiadomość zapisana była pięknymi znakami na kartce grubego papieru wykonanego z morwy i wyjaśniała, iż herbata jest nie tylko orzeźwiająca dla duszy, kojąca dla gardła i wzmacniająca dla żołądka, ale odpędza również choroby i podnosi na duchu.

Seimei był zachwycony. Choć powszechnie pitym trunkiem było wino, zasmakował w herbacie przywożonej z Chin i wierzył w jej lecznicze właściwości. Napełniwszy dwie filigranowe, porcelanowe filiżanki, podał jedną Akitadzie. – Nie powinieneś odzywać się w tak chamski sposób do gubernatora – powiedział, kręcąc głową. – Jest bez wątpienia wysoko postawioną osobistością nie tylko z powodu rangi piastowanego urzędu. Jego 42

manieri są równie nienaganne. Zgorszyły mnie twoje słowa. –

Akitada, który wciąż był zawstydzony swoim postępowaniem, nie odpowiedział. – Ach! – krzyknął sługa, smakując napoju. –

Jest bardzo gorzka. Napij się. Napij. Nie zapominaj o sprzedawcy! Ta umorusana kreatura na pewno roznosi wszelkiej maści choroby.

– Miło ze strony gubernatora, że o nas pamiętał – rzekł Akitada.

Westchnął i odstawił filiżankę, nie próbując herbaty. – Może potraktowałem go zbyt obcesowo. Przywitał nas ciepło i zaoferował gościnę, a ja odpowiedziałem zimną i sztywną etykietą jakby już przesądzono i udowodniono jego winę. Och, Seimei, będę musiał oczyścić go z zarzutów bądź wtrącić do więzienia.

Jakże to ja, zwykły urzędnik niższej ósmej rangi, mam zaaresztować Fujiwarę, który jest ode mnie nie tylko starszy, ale i wyż-

szy rangą?

Stary sługa nie przejął się słowami pana. – Przysłała cię cesarski rząd, a to daje ci prawo, by działać w imieniu jego cesarskiej mości. Gubernator dobrze o tym wie i dlatego okazał właściwą pokorę. Poza tym jesteś bardzo dobry w odkrywaniu tajemnic i bez wątpienia oczyścisz jego ekscelencję z wszelkich zarzutów.

Akitada potrząsnął głową. – W domu, jeszcze przed naszą po-dróżą słyszałem, jak ludzie mówili, iż specjalnie posyła się z tak ważną misją młodszego urzędnika, by śledztwo nie dało żadnych rezultatów. Oficer straży w Hakone też tak pomyślał. Wina za niepowodzenie spadnie na mnie, lecz obawiam się, że jeśli rozwiążę tę zagadkę, przytrafi się coś jeszcze gorszego. – Się-

gnął po listy. Jeden był od matki – odłożył go na bok. Drugi od jego dawnego profesora. – Wielkie nieba – wyszeptał, czytając.

– Tasaku wstępuje do zakonu?

– Tasaku? Czyż to nie ten lubiany przez wszystkich i dobrze wychowany młodzieniec, który zawsze recytował wiersze?

– Ten sam. Miłosne wiersze. Tasaku miał pewną renomę u ko-

biet stolicy. I dlatego właśnie te wieści są tak zadziwiające. Profesor nie wie, co było przyczyną decyzji. Najwidoczniej wszystko działo się nagle i w całkowitej tajemnicy. – Ostatni raz widział Tasaku na swoim pożegnalnym przyjęciu, na którym jego przystojny przyjaciel wypił za dużo, urządził scenę, łamiąc jego pięknie wymalowany wachlarz, po czym wypadł bez słowa na zewnątrz. To zachowanie także nie było do niego podobne, nie zapowiadało jednak tego, co miało nastąpić.

Kręcąc głową sięgnął po list od matki i dopiero wtedy zauważył

czerwoną skrzynię obitą skórą stojącą przy garnku i filiżankach.

– Wygląda na to, że herbata miała odpędzić nasz sen i pomóc przy pracy nad pierwszą partią rachunków gubernatora – sark-nął.

– Nie dzisiaj – zaprotestował Seimei. – Nawet najsilniejszy wół

potrzebuje odpoczynku po długiej podróży.

Lecz Akitada już otworzył wieko. Przez moment stał nieruchomo. Potem jego twarz pociemniała z wściekłości.

– Cóż to takiego? – spytał sługa.

– Dziesięć sztabek złota – odpowiedział szlachcic zdławionym głosem.

44

Rozdział 3

Czarnobrody

Tora westchnął z ulgą i uciechą gdy dziewczyna o kuszących biodrach zapłacała za rzodkiewki i odwróciła się w jego stronę.

Jej twarz była tak urzekająco piękna i... przerażona!

Dwoje barczystych pleców odzianych w szafranowe szaty zasłoniło mu widok. Mnisi.

Myśląc tylko o przerażeniu rysującym się na obliczu dziewczyny, Tora nie zważał na to, że mnisi ślubują czystość i po-wstrzymywanie się od przemocy. Jeśli ich się bała, był to wystarczający powód, by ruszyć jej z pomocą.

Wypadł na ulicę, uskoczył przed ciągniętym przez woły wozem, ustąpił drogi parze starszych kobiet, przeskoczył nad bezdomnym psem i wpadł na bambusową klatkę pełną śpiewających ptaszków przypasaną do pleców przechodzącego domokrażcy.

Mężczyzna wraz z wtórującymi mu ptakami począł krzyczeć, ściągając na siebie uwagę tłumu i Tora nie mógł się ruszyć, póki nie sprawdzono, czy klatce i jej zawartości nie stała się krzywda.

Do tego czasu po dziewczynie i mnichach nie było już śladu.

Jedynie sprzedawca warzyw stał przy swoim straganie, przyglądając się uważnie najbliższemu skrzyżowaniu.

– Gdzie oni poszli? – krzyknął Tora, szarpiąc mężczyznę za ramię, by zwrócić jego uwagę.

– O, jesteś członkiem rodziny? – zapytał sprzedawca. – Tak mi przykro z powodu młodej kobiety. Wielebni bracia wyjaśnili wszystko i zabrali ją ze sobą.

– Co wyjaśnili?

Popełnił błąd. Mężczyzna zmarszczył czoło i zapytał: – Kim 45

jesteś i co ci do tego?

Zaklął i pobiegł w stronę rogu ulicy. Stał przed wąską alejką prawie niemożliwą do przejścia z powodu walających się koszy, krat i zrzuconych na kupę odpadków, których pozbywali się sprzedający na rynku przekupnie. Po obu jej stronach znajdowa-

ły się niezliczone malutkie sklepiki, małe domki i ogrodzone ogródki. Pomiedzy śmieciami bawiły się dzieci, pomocnicy sklepowi biegali, roznosząc paczki, a sprzedawczynie taszczyły kosze pełne towarów. Mnisi i dziewczyna rozplynęli się w powietrzu.

Tora zaryzykował i puścił się biegiem, wymijając ludzi i nieruchome przeszkody, zatrzymując się tylko przy skrzyżowaniach, by sprawdzić, czy nie dostrzeże w nich dziewczyny.

Przy trzecim uśmiechnęło się do niego szczęście. Kątem oka zobaczył skrawek szafranowego materiału znikający za następnym rogiem i przyspieszył biegu. Gdy skręcił w kolejną uliczkę, zobaczył ich. Dziewczyna szarpała się wściekle pomiędzy dwójką trzymających ją w pewnym uścisku mnichów, próbując się im wyrwać. Jeden z nich uderzył ją mocno w twarz.

Tora ryknął i skoczył przed siebie. Chwytając obu mężczyzn za kołnierze, odciągnął ich do tyłu. Zaskoczeni mnisi, pomimo swej potężnej budowy i słusznego wzrostu, wyładowali na ziemi. Tora kopnął jednego w żebra, chwycił drugiego za szatę i podniósł na tyle, by móc uderzyć go w twarz. Mężczyzna osunął

się nieprzytomny. Gdy się odwrócił, by podobnie rozprawić się z jego towarzyszem, zobaczył tylko jego plecy i klapiące sanda-

ły. Mnich, podwinąwszy do kolan szatę, uciekał, ile miał sił w swych długich nogach.

Dziewczyna przylgnęła do ściany lichej chałupy, przyciskając rękaw do rozciętych i krwawiących warg.

– Nic ci nie jest? – zapytał Tora, podchodząc.

Powoli skinęła głową patrząc na niego wielkimi z przerażenia i 46

wilgotnymi od łez oczami.

Jakże była piękna! Tora próbował zachować się najdelikatniej, jak umiał. – Wszystko w porządku, maleństwo. Zaopiekuję się tobą. Czemu nie krzyknęłaś na pomoc? Co ci łajdacy chcieli ci zrobić?

Potrząsnęła głową. Nagle przeniosła wzrok gdzieś za jego plecy, a jej źrenice znów rozszerzyły się w przerażeniu. Odwrócił się błyskawicznie. Ciężki cios mierzący w jego głowę spadł na ramię, lecz ból i tak go oszołomił. Mnichowi, którego znokautował, wróciły zmysły i teraz postanowił odwrócić role. Tora zerwał się na równe nogi i odskoczył, próbując odciągnąć napastnika od dziewczyny. Zatrzymał się i przyklęknął. Byli naprzeciwko siebie, mnich dzierżył w prawej dłoni złamaną deskę.

Chłopak wyszczerzył zęby i ryknął raz jeszcze. Rzucił się niespodziewanie na przeciwnika. Mnich wypuścił z dłoni deskę i popędził w ślad za swoim kompanem.

Nie mogąc się nadziwić takiemu tchórzostwu, Tora odwrócił się do dziewczyny, lecz ona także zniknęła. Ledwie mógł znieść swoje rozczarowanie. Już rozmyślał o tym, jak zajmie się i otoczy opieką piękne maleństwo, po tym jak zademonstrował swoje męstwo. Niecierpliwiąc się coraz bardziej, przeszedł parę metrów, wołając: – Hej, dziewczyno! Wracaj! Nic ci już nie grozi!

Uliczka biegła pomiędzy zniszczonymi jednopiętrowymi budynkami, w których żyli biedni robotnicy. Małe chatki na zapasy i grządki warzyw otoczone były bambusowymi tyczkami, na których suszyło się pranie. W pobliżu było zbyt wiele miejsc, w których dziewczyna mogła się ukryć, a żadnej żywej duszy, któ-

ra mogła ją zauważyć.

Dając upust wściekłości wiązanką siarczystych przekleństw, Tora odwrócił się i począł wracać w kierunku targu, gdy nagle usłyszał świszczący chichot i koścista dłoń trzymająca pustą 47

drewnianą misę wychynęła z ciemności pomiędzy chatą a poła-manym płotem. Tora uskokzył na bok, po czym przyjrzał się uważniej ciemnemu zakamarkowi. Dostrzegł starego, zgarbio-nego, niedołęznego i brudnego człowieka, który wpatrywał się w niego czarnymi oczami i uśmiechał się bezzębnymi ustami.

– Mocne słowa, nieznajomy! – w głosie żebraka pobrzmiwał

ten sam świszczący dźwięk, co w jego śmiechu. – Będzie cię to kosztowało pięć miedziaków!

Nie bądź pazerny! – warknął Tora, odwracając się plecami do starca.

– Chciałbyś odnaleźć piękną spódniczkę, co? – zaświszczał starzec.

Chłopak zawrócił. – Wpierw mi powiesz, co wiesz. Nie urodzi-

łem się wczoraj.

– Ha, ha, ha. Ja też nie. Ja też.

Tora raz jeszcze przyjrzał się żebrakowi. Siedział na koszu, jedną zabandażowaną nogę wyciągał przed siebie, drugą podkur-czył – w miejscu, w którym powinno być kolano, Tora dostrzegł przeraźliwą, źle zagojoną ranę.

Szepecząc pod nosem kolejne przekleństwa, sięgnął za pazuchę, odliczył pięć miedziaków i wrzucił je do pustej misy.

Żebrak rozchylił poły swej zniszczonej szaty i wrzucił za nie misę wraz z drobniakami. – Idź za mną! – powiedział i wstał.

Tora zdębiał. Kaleka stał teraz na swych dwóch cienkich nogach, obydwu zdrowych, choć wykrzywionych jak mocno na-pięte łuki. Schował za pazuchą kikut, najwidoczniej kawałek pomalowanego, łudzącego oczy drewna i popędził, podskakując, w dół ulicy.

– Hej! – Tora opanował zdziwienie, gdy stary szelma zniknął już za rogiem i puścił się za nim w pogoń. Pięć miedziaków nie rośło na drzewie, a poza tym nie lubił, gdy próbowano wy-strychnąć go na dudka.

48

Żebrak pędził na swych patykowatych nogach z zadziwiającą prędkością. Wiedział dobrze, którądy ma bieć. Przemknęli przez opuszczony dziedziniec, minęli kilka magazynów i przebiegli przez skrzypiącą bramę, wbiegając do bocznej alejki, która prowadziła do małego zagajnika i świątyni shinto. Minąwszy lasek, świątynię wraz z jej polakierowanymi na czerwono bramami *torii*, dotarli

do opuszczonej ulicy, przy której stały magazyny i ogrodzone murem domostwa. Żebrak zatrzymał się, czekając, aż Tora go dogoni.

– Czemu uciekałeś? – zapytał chłopak, z trudem łapiąc oddech.

Starzec wskazał dłonią długi jednopiętrowy budynek wyglądem przypominający kupiecki magazyn. – Idź tam i powiedz, że przysłała cię Szczur!

Tora ryknął i chwycił żebraka za obszarpaną koszulę, podnosząc go kilkadziesiąt centymetrów nad ziemię. – O, nie ma mowy!

Wejść tam i zaraz poderżną mi gardło, a ty dostaniesz swoją działkę. Nie jestem takim idiotą by nie wiedzieć, jak obchodzi się w takich miejscach z nieznanymi. – Przysunął twarz bliżej i warknął: – Raz już mnie oszukałeś tym swoim kikutem i zarobiłeś pięć miedziaków. Teraz albo pokażesz mi dziewczynę, albo oddasz pieniądze. Jeśli tego nie zrobisz, już ja się postaram, byś był stuprocentowym kaleką. – Potrząsnął żebrakiem tak mocno, że drewniany kikut, miska i monety wypadły spod ubrania i potoczyły się ulicą.

– Nie, nie! – zaskomlał Szczur. – Nic nie rozumiałeś. Puść mnie, głupcze. Puśćże, mówię. Niebezpiecznie robić tu scenę.

Ci mnisi wciąż szukają dziewczyny, a i o tobie pewnie prędko nie zapomną. Idź tam i opowiedz im, co się wydarzyło.

Tora postawił mężczyznę z powrotem na ziemi i puścił. – Widziałeś, co się stało?

Szczur pokiwał głową. – Pilnuję jej. Teraz idź! Tylko pamiętaj, przysłał cię Szczur! – krzyknął, po czym schylił się, pozbierał

49

walające się wszędzie rzeczy i popędził w dół ulicy.

Tora popatrzył na wskazany budynek. Spadzisty dach pokryty był strzechą magazyn nie miał jednak żadnych okien. Podwójne drzwi znajdowały się pośrodku frontowej ściany. Nad nimi dostrzegł czerwony szyld, na którym czarnymi znakami było wy-pisane: Sala Treningowa Higeкуро – Walki Wręcz.

Podszedł do drzwi i otworzył je na oścież. Za nimi zobaczył

przestronną, tonącą w ciemnościach salę. Kilka grubych mat leżało rozrzuconych na podłodze, przy jednej z długich ścian stały stojaki na dębowe i bambusowe kije, którymi zapewne ćwiczą. Na drugiej ścianie wisiały łuki, kołczany i przeróżnej wielkości cele dla ćwiczących łuczników. Nie dostrzegł jednak żywej duszy.

Po przeciwnej stronie pomieszczenia zauważył drugie, mniejsze drzwi i przeszedł przez nie, wychodząc na zakurzony dziedziniec. On także był pusty, krótki płot sklecony z bambusów oddzielał

go od kuchennego podwórza przylegającego do sąsiedniej, wysokiej ściany. Gdy wychylił głowę, by spojrzeć nad ogrodzeniem, zobaczył dziewczynę. Stała do niego plecami i schylała się nad koszem kapusty. Wszędzie poznałby te kształt-ne biodra. Witając się, przeskoczył nad bambusami i podszedł bliżej.

Nie zwracała na niego najmniejszej uwagi, póki nie kopnął wiadra, wywracając je i rozlewając stojącą w nim wodę, która po-płynęła strużkami. Gdy zmoczyła stopę dziewczyny, ta odwróci-

ła się na pięcie i wlepiła w Torę zdziwiony wzrok. Jeszcze raz się przywitał. Jej oczy były duże i bardzo piękne. Stała przed nim, nie wydając z siebie dźwięku, i nagle dotarło do niego, iż może być ograniczona umysłowo.

– Nie bój się, mała siostrzyczko – powiedział, wolno wymawiając słowa i uśmiechając się do niej szeroko. – Jestem Tora.

Szczur powiedział mi, gdzie mieszkasz.

50

Potrząsnęła głową i zaczęła się cofać.

– Przestań uciekać. – Tora zaczął tracić cierpliwość, spojrzał

gniewnie na dziewczynę. – Czemu nie odpowiadasz? Może przynajmniej mi podziękujesz.

Przestraszona dziewczyna odwróciła się i pobiegła w kierunku domu. Chciał chwycić ją za ramię, lecz nim zdołał ją zatrzymać, ktoś złapał go za drugą rękę, aż stracił równowagę. Poczł bolesne kopnięcie pod kolanem, a zaraz po nim szybki cios w krzyż.

Potężne ramiona uniosły go w górę, obróciły w powietrzu i ci-snęły o ziemię. Uderzył o pień drzewa. Instynktownie przetoczył się na bok i przygotował do oddania ciosu. Zamroczony bólem ledwie widział zbliżającego się napastnika. Rzucił się do przodu. Uniesiona wysoko pięta trafiła go prosto w podbródek, odskakująca do tyłu głowa uderzyła raz jeszcze o pniak, sprawiając, że w środku dnia Torę pochłoneły ciemności nocy.

Gdy przyszedł do siebie, poczuł pomimo bólu dotyk delikatnej dłoni gładzącej jego twarz. Ktoś przytknął mu do ust chłodną wilgotną szmatkę. Oblizwał wargi i poczuł słonawy smak krwi.

Otworzył oczy.

Siedział oparty o drzewo, a nad nim pochylała się dziewczyna.

Nie jego dziewczyna, lecz jakaś nieznajoma. Spojrzał za jej plecy, szukając napastnika, lecz w pobliżu prócz nich nie było nikogo.

– Strasznie mi przykro za to, co się stało – powiedziała silnym głosem. – Myślałam, że naprzykrzasz

się mojej siostrze. Uwa-

żam na nią gdyż nie może wezwać pomocy.

Tora przypomniał sobie nagle niewdzięczną dziewczkę i spojrzał

krzywym wzrokiem. – Jak to nie może wezwać pomocy? Przecież nie było potrzeby. Krzyknąłem do niej kilka razy. Przedstawiłem się. Poza tym zna mnie. Nie wspominając już o tym, że przed chwilą uratowałem tę smarkulę przed gwałtem. Po kiego diabła miałyby wołać o pomoc? Coście za jedni? I... – Tora 51

odepchnął dziewczynę i wstał. – Kto mnie powalił i co, na wszystkie demony piekielne, tu się właściwie dzieje?

Po napastniku nie został żaden ślad, lecz na wszelki wypadek podniósł bambusowy kijek.

– Powiedziała, że jest mi przykro. – Dziewczyna przygryzła dolną wargę. – Moja siostra, Otomi, jest głuchoniema. Dlatego cię nie słyszała ani nie mogła odpowiedzieć. Ja mam na imię Ayako, a nasz ojciec Higeкуро. Naucza sztuk walki i często krę-

cą się tu z tego powodu różne podejrzan typy.

Tora zauważył, że dziewczyna jest ładna, choć nie tak jak jej siostra. Był jednak zbyt wściekły, by zwrócić to jego uwagę. –

A więc teraz jestem podejrzanym typem! – warknął. – Wielkie dzięki! Możesz powiedzieć swemu ojcu, że powinien w pierw podać powód, nim kogoś napadnie. W dodatku od tyłu! Nic dziwnego, że włóczą się tu zbiry. Żaden uczciwy mężczyzna nie walczy w ten sposób. – Uderzył się otwartą dłonią w czoło. – I pomyśleć, że posłuchałem kogoś, kto nazwał siebie Szczurem! –

Dziewczyna spłonęła rumieńcem i podniosła się z klęczek.

Otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, lecz Tora nie miał zamiaru zamilknąć. Był wściekły. – Co więcej – krzyczał – powinni-

ście lepiej się opiekować biedną dziewczyną a nie posyłać ją samą na targowisko, gdzie może wpaść w łapy pierwszego lepszego obwiesia. Dwóch drani przebranych za mnichów porwało ją sprzed straganu i prowadziło w jakieś ustronne miejsce, by sobie z nią poużywać. Dorwałem ich w ostatniej chwili. Równie dobrze mógł ją zgwałcić cały klasztor, a wy nie kiwnęlibyście palcem.

– Ale to nie daje ci prawa, by obrażać mego ojca! – wybuchnęła dziewczyna.

– O, na miłość Buddy – wymamrotał oburzony i cisnął bambusowym kijem o ziemię. Odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

– Zaczekaj! – krzyknęła. Nawet nie zwolnił kroku.

Gdy przeszedł przez drzwi, usłyszał za sobą szybkie kroki i kobieca dłoń pociągnęła go za rękaw. Odwrócił się gwałtownie i zobaczył przed sobą niemą dziewczynę. Po policzkach spływały jej łzy.

– No, eee, to znaczy, Otomi – powiedział dziwacznie. – Już wszystko w porządku. Tylko uważaj na siebie następnym razem.

– Ukłonił się przed nią.

Podbiegła także i druga siostra, klęknęła i ukłoniła się nisko. –

Ta głupia osoba przeprosza za swoje czyny i słowa. Przynoszą hańbę mojej rodzinie. Proszę, ze względu na moją siostrę, byś nie odchodził, nim nasz ojciec nie podziękuję ci za to, co zrobi-

łeś i nie poczęstuje dzbanem wina.

Tora zawahał się przez moment. Nie miał najmniejszego zamiaru pogłębiać swej znajomości z tą nader dziwną rodziną lecz ciekaw był, jak wygląda człowiek, który tak szybko położył go na łopatki. Kiwając niechętnie głową, pozwolił, by poprowadzi-

ły go do części mieszkalnej domostwa – małej, lecz utrzymanej w doskonałej czystości. Zobaczył drewniany podest służący za siedzisko, sprzęty przydatne w kuchni i kilka prostych narzędzi.

W rogu pomieszczenia ustawione jedna na drugiej drewniane szafki tworzyły strome schody prowadzące na poddasze.

Na podeście w pozie Buddy siedział mężczyzna wielki niczym olbrzym. Zajęty był reperowaniem podeszew słomianych sanda-

łów. Jego bujna, kruczoczarna broda nadała mu imię: Higekuro znaczyło bowiem czarnobrody.

– Nowy uczeń, moje dzieci? – zapytał starszej córki donośnym głosem, gdy tylko dostrzegł Torę.

– Nie, ojciec – odpowiedziała Ayako. – To przyjaciel. Obronił

dziś Otomi przed dwoma mnichami. Przysłał go do nas Szczur.

Mężczyzna przerwał pracę i wyprostował się, przyglądając się Torze z zainteresowaniem. – Naprawdę? Zatem jesteście dwymi dłużnikami, panie.

Mierząc uważnie wzrokiem olbrzyma, chłopak podszedł bliżej, ukłonił się i przedstawił. To zapewne ciosy tego muskularnego i potężnie zbudowanego mężczyzny powaliły go na ziemię. Do czego zmierzał?

– Proszę, usiądź przy mnie i skosztuj naszego wina – ciągnął

Higekuro. – Dwóch mnichów powiedziałaś? Wielkie nieba!

Widzę, że nie poszło ci z nimi łatwo. Masz posiniaczoną i po-kiereszowaną twarz. – Przywołał gestem Otomi i powiedział, wskazując oblicze Tory: – Idź i przynieś trochę maści, dziecino, a twoja siostra należy nam tymczasem wina.

Niema dziewczyna z uwagą patrzyła na usta ojca, pokiwała głową i popędziła na poddasze.

Tora przenosił wzrok z olbrzyma na Ayako. Nie wiedział, co ma o tym wszystkim myśleć. Przy tych ludziach wszystko zdawało się inne niż być powinno. A może zawędrował pośród niebezpiecznych duchy.

Ayako dostrzegła jego zmarszczone czoło i spłonęła rumieńcem.

– To moja wina, ojciec – wyszeptala, zwieszając głowę. – Tak mi wstyd. Myślałam, że chce złapać Otomi... i obawiam się, że... – Nie skończyła.

– Chcesz powiedzieć, że to byłaś ty?! – Tora osłupiał. – Ty?

Kruszyna za ledwie uniosła mnie i cisnęła o drzewo? Niemożliwe! To jakiś żart, prawda? To musiałeś być ty, mistrzu Higekuro. – Patrzył to na ojca, to na córkę. Dziewczyna odwróciła się plecami. Higekuro potrząsnął smutno głową.

– Przykro mi – powiedział. – Wiem, jak się musisz czuć i smuci mnie to bardzo. Dziewczyna. – Westchnął. – Postaraj się jej wybaczyć. Jest bardzo zdolna i dużo już umie. Sam ją uczyłem, póki nie straciłem władzy w nogach. Od tej pory pomaga mi w szkole, gdyż nie mogę już stać o własnych siłach. Ayako zajmuje się ćwiczeniami z kijami, demonstruje też zapaśnicze chwytty.

Jestem sparaliżowany od pasa w dół i dlatego mogę nauczać 54

jedynie łucznictwa. No i udzielać wskazówek, jeśli chodzi o inne sztuki.

Tora był wstrząśnięty. Unikał patrzenia na ciało mężczyzny i dlatego wlepił wzrok w jego córkę. Kobieta wojownik! Słyszał

o nich opowieści, lecz był urażony niestosownością takiego za-jęcia. Kobiety powinny być słabe, uległe, delikatne, miłe oku, uprzejme i dbające o swoich mężczyzn. W tym przypadku moż-

na było jednak pozwolić na odstępstwo od reguły. Ojciec dziewczyny był kaleką a nie doczekał się syna, który zaopiekowałby się rodziną lecz w oczach Tory Ayako w jednej chwili przestała być przedmiotem zainteresowania.

Gdy Otomi wróciła z maścią i zajęła się jego pękniętą wargą, pielęgnując ją z uwagą rzucając mu przy tym pełne litości spojrzenia pięknych oczu, poczuł, iż jego opinia o drugiej siostrze jest całkowicie uzasadniona.

Ayako podała mu kubek z winem i powiedziała cicho: – Mój ojciec jest najlepszym łucznikiem w całej prowincji. Nikt go nie pokona. Może będzie mógł pokazać ci swoje umiejętności.

Rzecz jasna za darmo.

Higekuro dodał skromnie: – Moja córka oczywiście przesadza, ale w jednym ma rację. Pozwól okazać nam wdzięczność. Gdy straciłem czucie w nogach, skoncentrowałem się na trenowaniu rąk i górnej części ciała. Napinanie łuku i strzelanie do celu są na to dobrymi ćwiczeniami. Gdy stałem się biegły w tej sztuce, wziąłem na naukę uczniów. – Wskazał na zwój zawieszony na przeciwległej ścianie. – Żyjemy wedle tych słów.

Tora zmrużył oczy i pokiwał głową. Nie umiał czytać.

– „Bez pracy nie ma jedzenia” – przeczytał Higekuro. – Każdy tu pracuje, nawet moja najmłodsza. Maluje i jest w tym bardzo dobra. Po dniu pracy dziewczęta dzielą się domowymi obowiązkami, podczas gdy ja wyrabiam słomiane sandały. Ale wystarczy już o nas. Pewnie masz nas za marnych gospodarzy.

55

Dziewczęta, może poczęstujemy naszego gościa strawą?

Tora odmówił uprzejmie, lecz zmuszono go, by został. Gdy córki zajęły się przygotowywaniem posiłku, Higekuro zapytał o zajście z mnichami. Gdy chłopak zaspokoił jego ciekawość, potrząsnął głową i rzekł: – Nie rozumiem. Otomi zwykła odwiedzać wszystkie świątynie oddalone o dzień drogi od miasta, by robić szkice do swych rysunków, lecz ostatnimi czasy robiła to niechętnie. Nie wiedziałem, że ma podstawy, by obawiać się mnichów. Szczur pilnuje jej, gdy robi zakupy, lecz gdybyś się nie zjawił, nie byłby w stanie jej pomóc. Ciekaw jestem, co sprawiło, że ci mnisi chcieli ją porwać.

– Jest piękna, oto powód – parsknął Tora.

Mężczyzna uniósł brwi. – Słyszałem o skargach na nowych mnichów ze świątyni Poczwórnej Mądrości. Myślałem, że zawinił ich młody wiek. Od teraz będziemy uważniej pilnować Otomi.

– Czy to ta duża świątynia pomiędzy wzgórzami? – zapytał To-ra.

– Tak. Moje córki mówią że jest bardzo piękna. Nowy opat jest wielkim nauczycielem. Wielu ludzi przybywa do miasta z daleka, by słuchać jego nauk. Uczęszczają na nie gubernator wraz z rodziną a także większość tak zwanych dobrych ludzi naszego miasta.

Tora słuchał nieuważnie, sycąc wzrok kształtnymi biodrami schylającej się Otomi. – Dranie! – wymamrotał. – Powinienem być ich obu na miejscu ukatrupić.

Higekuro podążył wzrokiem za spojrzeniem młodzieńca. – Czy jesteś żonaty, Tora?

– Nie. Nigdy nie było mnie stać na żonę. Oczywiście teraz... –

Zdecydował, że nie zaszkodzi, jeśli trochę minie się z prawdą. –

Teraz służę wielkiemu panu Sugawara. Właśnie przybyliśmy ze stolicy.

56

– Ach. – Ojciec pokiwał głową. – Twego pana przysłano, by przyjrzał się sprawie znikających podatków. Nie bądź taki zdziwiony. Ta tajemnica zajmuje tu myśli każdego. Trzy razy zniknął cały transport. Cały – żołnierze, tragarze, konie pociągowe, juki, skrzynie. Wszystko. Bez śladu, jeśli wierzyć oficjalnym obwieszczeniom.

Tora odwrócił wzrok od Otomi i spojrzał na czarnobrodego z niedowierzaniem. – Jak to możliwe? To musi być kłamstwo.

Wierzysz w to? – Zapytał.

– Hmm – zamyślił się Higeкуро. – Obecne władze wywiązują się dobrze z większości powierzonych im zadań. Ludziom bę-

dzie brakowało pana Fujiwary, jeśli będzie musiał zdać urząd.

Według mnie ktoś z konwoju, może wypełniając rozkazy drugiej osoby, zabrał wszystkie dobra na daleką północ. Tam opłacono tragarzy i żołnierzy, a teraz, lękając się kar, nie chcą wró-

cić do domu.

– Ci żołnierze musieli być tchórzami i oszustami. W takim wypadku winę za wszystko ponosi tutejszy garnizon. Może to jego dowódca za wszystkim stoi. Tak, tak właśnie rzecz się ma. Nic dziwnego, że opryski w habitach dokazują na targu do woli.

Kaleki mężczyzna potrząsnął przecząco głową. – Mamy w Kisarazu nowego dowódcę. Jest młody, lecz z tego, co słyszałem, zna się na swoim rzemiośle. Poza tym to policja powinna w mieście pilnować porządku. – Poklepał Torę przyjacielsko po ramieniu i dodał: – No, może tobie i twojemu panu uda się rozwiązać dla nas tę zagadkę. A oto i jedzenie.

Posiłek był prosty, lecz smaczny, towarzystwo zaś miłe, zwłaszcza Otomi, która nadrabiała milczenie mówiącymi o wiele wię-

cej spojrzeniami i czułym uśmiechem.

Gdy Tora zbierał się do wyjścia, obiecał z wielkim zapałem odwiedzić ich niedługo. Otomi zarumieniła się po koniuszki uszu, a Higeкуро zaśmiał szczerze.

57

Rozdział 4

Goście gubernatora

Jak śmie wręczać mi łapówkę w chwilę po moim przybyciu?

Akitada przemierzał pokój od ściany do ściany, kipiąc z wściekłości. Seimei ukląkł na macie, twarz miał posępną. – Może to jakieś nieporozumienie – powiedział bez przekonania.

Nagle otworzyły się drzwi. – Oto jestem – krzyknął Tora, uśmiechając się od ucha do ucha. Widząc twarz swego pana, zrozumiał, iż wydarzyło się coś złego. – Co się stało?

Wzrok starego sługi zdał się ciskać pioruny. – Gdzie się podziewałeś?! Jak śmiesz wchodzić tu jak gdyby nigdy nic?! Zaufać tobie to jak polegać na gwiazdach w deszczową pochmurną noc.

Tora zmarszczył czoło, próbując zrozumieć naganę zawartą w słowach starca.

Akitada zatrzymał się w miejscu i powiedział: – Seimei jest bardzo zdenerwowany, Tora, i ma ku temu należyty powód. Czemu odbiegłeś bez słowa?

– Aha, więc to nie daje mu spokoju? Tylko poczekaj, aż usłyszysz, co mam do opowiedzenia. – Chłopak usiadł i rozejrzał się po pokoju.

– Służba nie siedzi w obecności pana. Wstań w tej chwili i pad-nij na kolana! – warknął Seimei.

– Och. – Tora klęknął, nie przestając się uśmiechać do starego sługi. – Będziecie ze mnie obaj dumni. Ocaliłem dziewczynę przed gwałtem, lejąc niemiłosiernie dwóch mnichów. Dowiedziałem się też kilku pożytecznych rzeczy. – Zrobił pauzę. – Jest tu coś do zjedzenia? Może trochę wina? Źle się mówi o pustym

żołądki.

– Nie – syknął Seimei.

Akitada podszedł bliżej i usiadł na macie. – Powiedz, co ci się przydarzyło – rzekł.

W prostych słowach chłopak opowiedział wydarzenia minione-go dnia. Gdy skończył, dodał, prężąc pierś: – Przespałem się w wartowni i przybiegłem tu, nie zjadłszy porannej porcji ryżu, by zdać raport. A teraz, jeśli nie macie nic przeciwko, pójdę uszczknąć co nieco z kuchennego stołu.

– I ty zwiesz to raportem? – zadrwił Seimei. – Cała ta historia to jedna wielka bajka! Ganiałeś za spódniczkami, ot co.

– Bez względu na to, co robił, opisał swe przygody należycie.

Co ważniejsze dla nas wszystkich, zaprzyjaźnił się z tutejszą rodziną – powiedział Akitada i zamyślony potarł ucho. – Obecność buddyjskich mnichów jest frapująca. Wydają się dziwnymi ludźmi.

Tora uśmiechnął się, widząc skwaszoną minę Seimei, i zapytał:

– Mam jeszcze raz odwiedzić Higekuro i wypytać go o inne rzeczy? Jeśli będę miał wystarczająco dużo czasu, może uda mi się uzyskać jakieś wartościowe informacje. Na przykład, kto czmychnął z podatkami.

– Bardziej prawdopodobne, że uzyskasz w tym domu coś innego

– powiedział zrzędlawy sługa. – Zapaśnik żyjący z dwójką młodych córek, bez starszej kobiety doglądającej domu? Wszystkim wiadomo że szkoły sztuk walki nader często powiązane są z szemranym światkiem rabusi i prostytutek. Zrobisz mądrze, wystrzegając się ich towarzystwa. Błędy człowieka mierzone są podług tych, z którymi przestaje.

Tora stracił nad sobą panowanie i krzyknął na całe gardło: – A co ty możesz o nich wiedzieć, głupi starcze? Nawet nie widzia-

łeś ich na oczy. Są od ciebie po stokroć lepsi. Ciężko pracują, by mieć co włożyć do ust. Nie pasożytują na szlachcie. Nie jesteś 59

lepszy niż kleszcz na psim ogonie Seimei opadła szczęka. Akitada, który porównany do psa ledwie mógł utrzymać obojętną minę, wiedział, że starzec trafił w czuły punkt.

– Nieuprzejmie jest się zwracać w ten sposób do starszych –

powiedział szybko. – Przepróś. Seimei powiedział tak bez zastanowienia, ponieważ martwi się o ciebie. Idź raz jeszcze do Higekuro, jeśli masz na to ochotę, lecz bądź ostrożny, co mó-

wisz, póki nie rozeznamy się lepiej w tym, co dzieje się w Kazusie – dodał, uśmiechając się żywo. – Lecz nim pójdziesz, po-

ćwiczmy trochę z kijami. Będziesz musiał dbać o formę, jeśli masz zamiar zaimponować kobiecie umiejącej walczyć.

* * *

Przez kolejne dni Tora spędzał więcej czasu w mieście niż w budynku sądu, lecz skoro pojawiał się posłusznie każdego ranka, by stoczyć ze swym panem kilka treningowych walk, Akitada nie miał do niego żalu.

W sprawie tajemniczych podatków młody inspektor nie posunął

się nawet o krok i wciąż, tak jak w dniu przybycia, brodził w niewiedzy po omacku, jakby zanurzony w ciemnościach. Choć skrzynia ze złotem zdawała się dowodzić winy gubernatora, nie zdecydował się na konfrontację i odesłał sztabki bez słowa wyjaśnienia, w wyniku czego żaden z mężczyzn nie wspominał

słowem próby przekupstwa, bacznie pilnując drobiazgowego protokołu na niemożliwych do

uniknięcia oficjalnych spotkań.

Akitada i Seimei spędzali całe dnie w archiwach, sprawdzając zapisy obejmujące okres urzędowania Motosuke. Choć można by myśleć inaczej, młody wiekiem inspektor, dzięki ćwiczeniom na uniwersytecie i harówce w archiwach Ministerstwa Sprawiedliwości, był gruntownie przygotowany, by odszukać, zrozumieć i właściwie ocenić każdą finansową transakcję, od pobra-60

nia niewielkiej grzywny począwszy, na konfiskacie własności i ziemi skończywszy. Seimei niestrudzenie notował wszystko wprawioną ręką a Akinobu, sekretarz gubernatora, okazał się uprzejmym i bardzo inteligentnym pomocnikiem.

I wreszcie przyszedł dzień, w którym zamknęli ostatnią skrzynię z aktami i w którym Seimei sporządził ostatnie obliczenia. Nie wpadł im w ręce żaden wątpliwy dokument i wszystkie rachunki zdawały się być w doskonałym porządku.

– I co teraz zrobimy? – zapytał sługa.

Akitada przygryzł dolną wargę. – Oficjalnie moje zadanie dobiegło końca. Sporządź potrzebne do przekazania urzędu dokumenty, a ja podpiszę się pod nimi i przystawię mą pieczęć. Akta Motosuke będą tym samym czyste jak łąza.

– Lecz co w takim razie z rozwiązaniem tajemnicy?

– Będę musiał zgłosić swoje niepowodzenie. Chyba że... – Akitada przerwał w połowie zdania i zmarszczył brew. Chyba że w prywatnych dokumentach Motosuke znajdziemy sumy, które zostały skradzione.

– Och.

– Wiem, wiem. Prośba o udostępnienie takich dokumentów zostałaby poczytana za poważną zniewagę.

Zapadła grobowa cisza. Sługa zgarbił się i westchnął.

– Niech i tak będzie – powiedział Akitada. – Poślij po Akinobu.

Gdy sekretarz gubernatora pojawił się, bijąc pokłony, szlachcic odezwał się do niego szorstko: – Skończyliśmy sprawdzanie urzędowych dokumentów i jesteśmy gotowi zacząć pracę z prywatnymi rachunkami gubernatora. Przynieś je tutaj, jeśli łaska.

Akinobu pobladł niczym śnieg. Popatrzył z niedowierzaniem na Akitadę, potem na Seimei, przełknął głośno ślinę i powiedział

łamiącym się głosem: – Przekażę gubernatorowi życzenia waszej ekscelencji.

Gdy odprowadzili sekretarza wzrokiem, pan odezwał się do swego sługi: – To była prawdopodobnie najbardziej upokarzająca

ca rzecz, jaką kiedykolwiek przyszło mi zrobić. Widziałeś twarz tego mężczyzny? Był do cna wstrząśnięty.

Seimei nie wyglądał na szczęśliwego. – Akinobu jest bardzo lojalnym sługą i wykształconym człowiekiem. Nie mogę uwierzyć w to, że z własnej woli służy nieuczciwemu panu.

Inspektor nie odpowiedział.

Sekretarz wrócił pośpiesznie. Kładąc przed Akitada dwa duże pudła z dokumentami i kłaniając się głęboko, powiedział: – Mój pan pragnie wyrazić swą wdzięczność za wasz trud. – Zamilkł

na chwilę, po czym mówił dalej, nie patrząc już na inspektora. –

Ja też jestem bardzo zobowiązany z powodu waszej dbałości o to, by chronić gubernatora i mnie samego, jego uniżonego sługę, przed jakimikolwiek podejrzeniami. Proszę powiedzcie, w jaki sposób mogę być wam pomocny.

– Dziękuję – odpowiedział Akitada. – Poślemy po ciebie, jeśli będziemy mieli jakieś pytania.

Gdy Akinobu odszedł, pan i sługa spojrzeli po sobie zdziwieni.

– To bardzo wspaniałomyślny gest ze strony gubernatora – rzekł

Seimei.

– Obawiam się, iż to oznacza jedno. Niczego w tych aktach nie znajdziemy, kochany Seimei – westchnął inspektor.

I miał rację. Pomimo najdokładniejszej analizy wszelkich dzier-

żaw, dochodów i wydatków gubernatora i jego najbliższej rodziny, nie znaleźli niczego. Rachunki były prowadzone bez zarzutu. Motosuke nie tylko nie wydawał urzędowych pieniędzy dla prywatnych celów, lecz hojną ręką sięgał do szkatuły, by z własnych pieniędzy płacić za prace przy remoncie urzędowych budynków.

– Przynajmniej możesz wrócić do stolicy, nie będąc zmuszonym aresztować kuzyna twego najlepszego przyjaciela Kosehiry za 62

defraudację i zdradę.

Inspektor zacisnął pięści. – Mam wrażenie, że Motosuke z nas drwi, śmieje się prosto w oczy. Od początku wiedział, że niczego nie znajdziemy. Każdy człowiek mający taką pozycję jak on byłby oburzony, gdyby zażądać od niego wydania prywatnych rachunków. Myślę, że dobra i złoto są tu gdzieś ukryte, a w sprawę zamieszane są inne osoby, współnicy przestępstwa. Jestem tego pewien.

Motosuke jest zbyt nieskazitelny, by być prawdziwym człowiekiem.

– Niech panicz to sobie odpuści – prosił Seimei. – To bezna-dziejna sprawa. Może panicz tylko napytać sobie biedy i skrzywdzić niewinnego człowieka.

– Pamiętaj o łapówce!

– Jeśli ktoś jest naprawdę winny, jego czyny wrócą do niego.

Akitada potrząsnął głową i obdarzył sługę krzywym uśmiechem.

– Masz powiedzenie na każdą okazję, tyle że ja nadal muszę odnaleźć zaginione podatki.

– A co z tutejszym ziemiaństwem? Właściciele dużych posiadłości mają na utrzymaniu prywatne armie strzegące ich dobytku. Czasem schodzą na złą drogę.

Inspektor pokiwał głową i posłał po Akinobu.

– Sprawdziłem i te dokumenty – poinformował sekretarza, wskazując na skrzynie. – Może będziesz nam mógł udzielić pewnej informacji. Czy tutejsi bogaci właściciele ziemscy opłacają najemników?

Sekretarz odpowiedział bez zastanowienia. – W okolicy mamy tylko pięć takich rodzin, wasza ekscelencjo, i wszystkie są cał-

kowicie lojalne. Gubernator odwiedził każdą z nich zaraz po tym, jak zginął pierwszy transport, by upewnić się o ich niewinności. Cztery z nich wysłało swoje wojska do prowincji Hitachi, by tam tłumiły zamieszki, zaś w piątej posiadłości wybuchła epidemia ospy. Zginęło wielu ludzi, w tym właściciel i jego je-63

dyny syn. Wdowa po nim została mniszką, zaś posiadłość przeszła w ręce kuzyna.

Najwyraźniej każdy mieszkaniec Kazusy miał nienaganną reputację. – Powiedz mi, co ty o tym myślisz – powiedział rozkazującym tonem inspektor. – Ktoś ukrył przeogromne ilości złota i cennych przedmiotów. A może tobie też się wydaje, że sprawcami są jacyś tajemniczy rabusie z innej prowincji?

Sekretarz się zarumienił, po czym odpowiedział: – Nie, wasza ekscelencjo. Wydaje mi się, że coś przeoczyliśmy. Gubernator jest zakłopotany całą sprawą i żywi głęboką nadzieję, że uda się wam tam, gdzie on zawiódł. – Widząc zdziwienie rysujące się na twarzy Akitady, padł na kolana i dodał łamiącym się głosem:

– Wielkim wstydem okryło mnie to, iż nikt nie ufa mojemu pa-nu, gdyż to moim zadaniem było dotarcie do sedna sprawy.

Świadom jestem swojej nieudolności i winy i poinformuję o tym odpowiednie władze. Mój skromny dobytek nie zadośćuczyni poniesionym stratom, lecz już zacząłem sprzedaż mojej ziemi i gdy wasza ekscelencja zakończy oficjalnie dochodzenie, oddam wszystko, co posiadam, w ręce waszej

ekscelencji. – Nim zdez-orientowany Akitada znalazł odpowiednie słowo, sekretarz uklonił się, wstał i wyszedł z pokoju.

– Idź za nim, Seimei – krzyknął. – Powiedz mu, by zaprzestał sprzedaży ziemi. Powiedz, że postaramy się odnaleźć winnego.

Powiedz mu... no, wymyśl cokolwiek.

* * *

Tydzień po zakończeniu inspekcji prowincjonalnych dokumentów Akitada odwiedził niższych ranga oficjeli Kisarazu. Wpierw poszedł do kapitana Yukinariego, nowego dowódcy stacjonują-

cego w mieście garnizonu. Młody oficer zrobił na nim bardzo dobre wrażenie. Yukinari bez niepotrzebnej zwłoki przedstawił

mu stosowne zapisy świadczące o tym, że trzy transporty opu-64

ściły prowincję pod strażą o zwykłej porze roku. Poprzednik kapitana popełnił samobójstwo po drugim zniknięciu i minione-go lata do Kazusy przysłano w zastępstwie Yukinariego. Ten fakt, jak i jego próby rozwikłania zagadki eliminowały go z grona podejrzanych.

Kolejną odwiedzoną osobą był prefekt Ikeda, mianowany urzędnik odpowiadający bezpośrednio gubernatorowi Motosuke, choć mający pod sobą własny personel oraz tutejszą policję.

Ikeda był mężczyzną w średnim wieku, o nerwowym usposobieniu i nawyku cytowania statutów i regulaminów, którymi motywował każdą decyzję. Gwałtownym tonem stwierdził, iż nic mu o zaginionych podatkach nie wiadomo, gdyż zajmowa-nie się nimi nie należało do jego obowiązków. Zanegował też przypuszczenia dotyczące udziału w kradzieży jakiegokolwiek kryminalnego elementu z podległej mu prefektury. Gdy inspektor zapytał, co jego zdaniem jest przyczyną tajemniczego zniknięcia transportów, prefekt wymienił czyhających na drogach rabusiów ukrywających się w sąsiedniej prowincji – Shimosie.

W oczach Akitady Ikeda był typowym przedstawicielem biurokracji, któremu brakło zarówno odwagi, jak i wyobraźni, by zaplanować tego rozmiaru kradzież.

Pod koniec tygodnia Akitada wraz z Seimei pogrążeni w ponurym nastroju podsumowali zebrane fakty.

– Konwoje mogły zostać napadnięte i obrabowane w Shimosie, paniczu – powiedział sługa. – To wyjaśniłoby, czemu nie było o nich wieści na całej trasie od stolicy po prowincję Sagami. Takie wyjaśnienie rozwiązywałoby wszystkie nasze problemy, jednocześnie oczyszczając z zarzutów gubernatora.

– A tego chce każdy – warknął w odpowiedzi Akitada. – Do-wódca garnizonu, który nie wydaje się głupcem i z pewnością nim nie jest, sam przeszukał drogę biegnącą przez Shimosę, nie znajdując

żadnego śladu złota ni rabusiów. Yukinari jest młody, 65

lecz zdolny i drobiazgowy. Ponadto jako jedyny z tutejszych oficjeli wydaje się niepowiązany z przestępstwem. Nie miał

żadnego powodu, by zacierać ślady. Nie wygląda też na człowieka, który przyjąłby łapówkę. Towary, konie, chłopcy stajen-ni, tragarze i zbrojna eskorta – wszystko zapadło się pod ziemię, nie zostawiając po sobie najmniejszego choćby śladu – marnego buta albo pękniętej podkowy. – Potrząsnął głową. – Skoro takie wyjaśnienie jest mało prawdopodobne i absolutnie nie do przyjęcia, musimy założyć istnienie spisku – tu, w tym mieście.

Ktokolwiek za tym stoi, musi być bardzo inteligentny, sprytny, dobrze poinformowany o wszystkich istotnych datach i szczegó-

łach, a także mieć pod swymi rozkazami wielu ludzi.

– Słowem gubernator – wyszeptał Seimei.

Usłyszeli zgodne z etykietą kasznięcie i gdy się odwrócili, zobaczyli w drzwiach kłaniającego się w pas Akinobu. Wręczył

Akitadzie listy, wyjaśniając, iż przywiózł je kolejny kurier wysłany z Heian Kyo, po czym uklonił się raz jeszcze i odszedł.

Inspektor przejrzał pośpiesznie dwa pisma, lecz czytając trzecie, zakrzyknął ze zdziwienia.

– Co takiego? – spytał sługa.

– Zaproszenie na dzisiejszą kolację, samego gubernatora. Prze-

łożony tej dużej buddyjskiej świątyni, którą widzieliśmy, zatrzymał się w mieście z wizytą i pan Motosuke pragnie nas sobie przedstawić. Zaprasza także byłego gubernatora. – Akitada raz jeszcze zajrzał do listu. – Pana Tachibanę. Nikt do tej pory nie wspomniał o nim słowem. Musiał osiedlić się w Kazusie po zdaniu urzędu. Ciekawe. Na kolacji będą też Yukinari i prefekt Ikeda. – Inspektor poderwał się na równe nogi, wymachując w powietrzu listem. – Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności, Seimei. Pomyśl tylko, każdy z tych mężczyzn ma nad lokalnymi sprawami jakąś formę kontroli. Jeden z nich może być człowiekiem, którego szukamy, i dziś dobrze się im przyjrzę. Wydaje

66
mi się, że umiem tramie oceniać ludzi.

– Mam nadzieję, że się nie zawiedziesz – dodał cierpkim tonem sługa. – Powiada się, że ten, kto próbuje upolować dwa króliki za jednym razem, odpuszcza jednego, a drugiego gubi.

– Dziękuję ci za pokładaną we mnie ufność – odciął się Akitada.

– A teraz przynieś moją dworską szatę. Bez względu na twoje zdanie, odkryję prędzej czy później,

któ stoi za tajemniczymi kradzieżami. Gdy będziemy wiedzieli, kto nim jest, pozostanie nam tylko znalezienie świadka.

Seimei popatrzył na swego pana z powątpiewaniem i pomógł

mu wdziać niewygodną szatę. Podając mu urzędowy kapelusz, powiedział:

– Czy były jakieś wieści z domu, paniczu?

– Och! Byłbym zapomniał – powiedział Akitada. – Niewiele.

Kosehira napisał, iż ma nadzieję, że robię postępy w śledztwie.

Dostałem też list od młodszej siostry. W domu wszyscy zdrowi.

Damy dworu ponoć plotkują wciąż o domniemanym kochanku ulubionej małżonki cesarza. Pamiętam, że przed naszym wyruszeniem słyszałem plotki krążące po stolicy, jakoby pani Asagao zniknęła bez wieści. Wygląda na to, że pan Nakamura opu-

ścił Heian Kyo mniej więcej w tym samym czasie, by wrócić do swej rodzinnej prowincji i dlatego wszelkie podejrzenia padły na niego.

Seimei westchnął i rzekł: – Widzisz? Nawet jego cesarska mość nie jest wolny od trosk i zmartwień. Zaprawdę, gdy księżyc stoi w pełni, poczyna już niknąć. Jakież wieści od pani matki?

– Nie. Tyle tylko, że spodziewa się, iż będę pamiętał o swoich obowiązkach wobec rodziny. *

* * *

Przyjęcie odbywało się w prywatnej rezydencji gubernatora, w małym pokoju udekorowanym pięknymi malowidłami. Pod mi-

sternie rzeźbionymi i pomalowanymi krokwiami stały podwyż-

szenia, na których ułożono grube maty obszyte czarnym i bia-

łym jedwabiem i które oddzielono od reszty pomieszczenia trzciniowymi parawanami zamocowanymi na polakierowanych stojakach. Siedziało na nich pięciu mężczyzn, ich twarze oświetlały wysokie kandelabry. Rozmawiali żywo na jakiś temat, popijając przy tym wino.

Gdy zobaczyli Akitadę, zamilkli nagle.

Motosuke, ubrany w bladoczerwoną szatę, wstał, uśmiechając się do inspektora szeroko. Poprowadził go do honorowego miejsca po swojej prawicy i przedstawił gościom.

– To jest jego ekscelencja poprzedni gubernator, Tachibana Ma-saie – powiedział, wskazując na chudego starca, który siedział

dokładnie naprzeciw Akitady. Miał rzadką białą brodę i zmę-

czony wzrok.

Inspektor uklonił się i rzekł: – Jest mi bardzo przykro, iż nie dowiedziałem się o obecności waszej ekscelencji w prowincji Kazusa wcześniej, gdyż z pewnością złożyłbym mu wizytę.

Starzec odwzajemnił ukłon, uśmiechnął się dziwnie, lecz nic nie powiedział.

– Ta prowincja jest zaszczycona decyzją jego ekscelencji o osiedleniu się w niej po tym, jak skończył się okres jego urzę-

dowania – powiedział nerwowym tonem Motosuke. – Pan Tachibana jest wielkim uczonym. Poświęca swój czas na spisywanie historii tutejszych ziem.

– Z niecierpliwością będę oczekiwał na rady jego ekscelencji –

wymamrotał Akitada, zastanawiając się, jakże wspaniałą przykrywką byłaby dla przestępczej organizacji osoba byłego gubernatora.

Tachibana uśmiechnął się raz jeszcze, lecz wciąż milczał. Jego powykrzywiane palce kręciły kółka, podążając za wzorem muszli, którym ozdobiona była jego ciemnoniebieska szata.

68

– A oto jego wielebność mistrz Joto, przełożony naszej wspania-

łej świątyni Poczwórnej Mądrości – kontynuował przedstawianie gości Motosuke, widocznie poruszony brakiem zainteresowania byłego gubernatora osobą cesarskiego inspektora.

Mnich siedział po lewicy gubernatora, na drugim honorowym miejscu. Joto był młody, zważywszy na piastowany urząd, dobiegał czterdziestki. Przez głowę Akitady przemknęła myśl, iż może być młodszym synem tutejszego ziemianina. Może kolejnym Fujiwara? Następne domysły. Nie będzie łatwo je potwierdzić, gdyż wstąpienie do zakonu pociągało za sobą zerwanie więzów z rodziną i przyjęcie nowego imienia. Inspektor nie darzył buddyjskich mnichów sympatią i zauważył z cynicznym zadowoleniem, iż Joto, podobnie jak jego uczniowie, których widział w mieście, wygląda na silnego i dobrze odżywionego.

Żadnej ascezy! Na ogolonej głowie i twarzy dostrzegł purpurowy cień świadczący o gęstym zaroście i włosach, zaś usta mnicha, pełne, niemalże kobiece, były czerwone i wilgotne. Jego strój wykonany był z najlepszych materiałów – haftowana stuła udrapowana na białej, jedwabnej szacie, której krawędzie obszyte zostały czarnymi pasami tego samego materiału. Na jednym nadgarstku nosił paciorki wykonane z różowych kryształów.

Gdy przeniósł wzrok z pięknego stroju mnicha na jego twarz, zobaczył wpatrujące się w niego niewzruszenie zmrużone oczy.

By ukryć swoje zakłopotanie, powiedział szybko: – Nauki waszej wielebności znalazły mu w Kazusie wielu uczniów. Jestem nad wyraz szczęśliwy, iż mogę poznać tak natchnionego nauczyciela słów Buddy.

– Doczesna sława nie różni się niczym od mgły spowijającej przed świtem górskie szczyty. – Głos Joto miał miłe ucho, dźwięczne brzmienie. Dodawało jego słowom religijnego żaru.

Ich spojrzenia spotkały się i Akitada zrozumiał, że mnich z niego kpi. Joto zamknął powieki.

69

– Rozumiem, że już poznałeś kapitana i Ikedę – powiedział Motosuke, wskazując pozostałą dwójkę gości. Akitada skinął głową witając się z młodym, przystojnym oficerem ubranym tego wieczoru w zwyczajny cywilny strój, i z prefektem, noszącym skromną ciemnoniebieską jedwabną szatę. Inspektorowi wydało się, że Ikeda, który miał podobno około czterdziestu lat, dziś wyglądał na spiętego i znacznie starszego.

Potrawy podawane przez służbę na pomalowanych na czerwono stolikach były zadziwiające. Nawet w stolicy Akitadę rzadko goszczono w tak wystawny sposób. Przed gośćmi ustawiono ryby, krewetki i skorupiaki przyrządzone na najróżniejsze sposoby – ugotowane w zupach i potrawkach, usmażone, a także surowe. Po nich wniesiono świeże, posolone i zamarynowane warzywa i owoce oraz ryż przygotowany wedle życzenia – ciepły bądź zimny, suchy bądź wilgotny, ugotowany na papkę, zapieczony w ciastkach bądź bułeczkach. Puchary napełniono smacznym, ciepłym, ryżowym winem.

Joto, którego obowiązywały złożone śluby, podano owocowy sok i wegetariańskie potrawy.

Akitada jadł i pił oszczędnie. Przyglądał się uważnie, czekając, aż wino i jedzenie rozgrzeją krew pozostałych, po czym dołą-

czył do prowadzonej rozmowy, zadając uprzejmie Yukinariemu pytanie dotyczące jego niedawnego przeniesienia do Kazusy.

– To dobra prowincja i powoli uczę się, jak najlepiej wypełniać swoje obowiązki, ekscelencjo – odpowiedział kapitan. – Lecz jestem pewien, iż każdy z nas wolałby raczej usłyszeć od waszej ekscelencji, co też dzieje się w stolicy.

Inspektor opowiedział o znanych mu awansach, przeniesieniach, sporach i małżeństwach, dodając do nich plotkę o tajemniczym zniknięciu jednej z cesarskich żon.

– W porównaniu ze wspaniałościami stolicy, Kisarazu musi wydawać się jedynie skromną miejsciną – powiedział zakłopotany 70

Motosuke. – Lecz może nasz gość pomyśli inaczej, gdy odwiedzi świątynię Poczwórnej Mądrości. Wydaje mi się, iż równać się może nawet ze wspaniałą świątynią Czystej Wody.

– Tak też słyszałem – rzekł Akitada, odwracając się do Joto. –

Wybudowano ją całkiem niedawno. Jeśli jest tak piękna, jak mówią ludzie, to zapewne dlatego, iż znajduje się pod znakami-tym przewodnictwem waszej wielbności.

Mnich uniósł łaskawie dłoń. – Zupełnie nie. Świątynię ufundował nasz boski cesarz Shomu, by była świątynią opiekuńczą dla całej prowincji, lecz przypadło to na ciężkie czasy. Jedyne nie-liczni z jego następców byli tak wierzący, jak ten święty człowiek. Dopiero niedawno, dzięki łaskawemu wsparciu siedzącego między nami gubernatora Fujiwary, przypadł mi zaszczyt odnowy wiary w Kazusie.

Motosuke wydawał się zadowolony ze słów mnicha. – Och, mój drogi Joto. Jesteś zbyt skromny – powiedział. – To tłumy ściga-

gające na twoje kazania i nauki sprawiły, iż stało się konieczne wybudowanie wielkiej sali. W klasztornych budynkach też za-braknie niedługo miejsca, gdyż do świątyni nieprzerwanym strumieniem przybywają kolejni młodzi akolici chcący się od ciebie uczyć. Uczyniłeś ze świątyni miejsce, do którego piel-grzymują wierni nawet z najdalszych krańców wyspy.

Joto tylko się uśmiechnął.

Akitada zanotował sobie, iż mnicha i gubernatora coś łączy i postanowił przyjrzeć się bliżej źródłu funduszy przeznaczonych na rozbudowę świątyni. – Ilu mnichów mieszka obecnie w klasztorze? – zapytał.

Tajemnicze, przymrużone oczy znów spojrzały na niego z uwagą.

– Około dwustu. Waszą ekscelencję interesuje nasza wiara?

– Jestem zdumiony waszymi sukcesami, tym bardziej że Kazusa leży daleko od stolicy – odpowiedział, tak jak myślał, Akitada. –

71

Słyszałem, że wielu mnichów jest młodych, co tylko potwierdza twoje talenty jako nauczyciela. Powiedz mi, proszę, czy wyznajesz filozofię sekty Tendai, czy też może Shingon?

Ledwie dostrzegalne zdenerwowanie pojawiło się na chwilę na przystojnej twarzy Joto. – Na tym świecie jest zbyt wiele niezgody – powiedział twardo. – Choć droga, którą pokazał nam Budda, jest jedna, wszystkie ścieżki prowadzą do niego. Ja nie podążam żadną a jednak podążam też wszystkimi.

Po jego słowach zapadła bogobojna cisza. Akitada zastanowił

się nad nimi przez chwilę. Sprytna odpowiedź, zdecydował.

Gdyby mnich odrzucił kładącą nacisk na ascezę filozofię sekty Shingon, naraziłby się cesarskiemu dworowi. Tendai było zaś o wiele bardziej mistyczną praktyką.

– Pozwolę sobie na przyjemność odwiedzenia świątyni w niedalekiej przyszłości – powiedział. –

Wracając do pańskich słów, gubernatorze, wcale nie uważam Kisarazu za nudne miasto.

Wręcz przeciwnie. Wydaję mi się, iż wprost kipi w nim życie.

Rynek jest duży i zawsze pełny. Wielu ludzi zmierza do niego, przybywając z różnych stron. Z pewnością ich liczba musi stwarzać problemy i zwiększać przestępczość.

Rzucając Ikedzie przenikliwe spojrzenie, Yukinari odpowiedział

szybko: – Garnizon gotów jest stać na straży pokoju, a także chronić lud i lokalne władzę, nawet jeśli...

– Ciekaw jestem, co też stało się z człowiekiem, który zawia-
dywał kiedyś garnizonem – powiedział pan Tachibana, przerywając nagle oficerowi.

Zapadła krępująca cisza.

– Wydawało mi się, że... – rzekł uprzejmie Akitada, zwracając się do Yukinariego. – Że powiedziałaś, iż ten człowiek popełnił

samobójstwo, ponieważ utracił dwa konwoje przewożące podatki.

Kapitan zarumienił się i spojrzał na Motosuke. – Macie rację, 72

wasza ekscelencjo – wymamrotał.

Prefekt siedzący po lewej stronie Akitady przysunął się nagle bliżej i powiedział głośno: – Obawiam się, że pamięć już nie ta.

O, nie musisz się obawiać. Nic nie słyszy. To wiek. – Widząc zdziwienie na twarzy inspektora, pokiwał głową i uśmiechnął

się głupawo. – Czasem mężczyzna traci życiową energię.

Akitada odwrócił się zniesmaczony, lecz nie zniechęciło to Ikedy, czerwonego na twarzy od wypitego wina. Chwytając inspektora za ramię, jakby znali się od dawna, i dysząc mu ciężko do ucha, szepnął, tak by wszyscy usłyszeli: – W tym przypadku przyczyną była kobieta. Tachibana ma młodą żonę. Bardzo młodą i bardzo piękną. – Prefekt oblizwał wargi, mrugnął i dotknął palcem nosa. – Nie mógł jej sprostać, a teraz jest właściwie niedołącznym i niezdolnym do niczego starcem. Cóż za mar-notrawstwo.

Akitada wyrwał się z uścisku Ikedy. Potępił słowa prefekta i sposób, w jaki je wypowiedziano, lecz cieszył się z uzyskanych informacji. Jeśli Tachibana rzeczywiście był nieudolnym starcem, przestawał być tym samym podejrzany. Inspektor opanował wrzące w nim oburzenie, szukając odpowiednich słów, by udzielić prefektowi reprimendy, która nie uniemożliwiłaby współpracy z Ikedą w przyszłości.

Trudu oszczędził mu siedzący z drugiej strony prefekta Yukinari.

– Jestem pewien, Ikeda – powiedział twardo przez zaciśnięte zęby – że jego ekscelencja uzna ten obraźliwy komentarz za typowy dla pewnego rodzaju nisko urodzonych indywiduów.

Prefekt poblądł z wściekłości. Joto odchrząknął i popatrzył na wszystkich pełnym wyrzutu, karcącym wzrokiem.

Motosuke podniósł się i klasnął w dłonie. – Pozwólcie, że coś ogłoszę. – Wszyscy spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Uśmiechając się, gubernator rzekł: – Wiecie o tym, iż niedługo zdam 73

mój urząd i wrócę do stolicy przed Nowym Rokiem. – W odpowiedzi usłyszał uprzejme pomruki wyrażające ubolewanie. –

Dlatego też mamy przyjemność przebywania w towarzystwie pana Sugawary. Ma potwierdzić, że nie zostawiam po sobie żadnych długów. Ha, ha, ha. – Śmiech wydał się wymuszony i wszystkie oczy zwróciły się przezornie w kierunku Akitady.

– Lecz jest jeszcze jeden, znacznie szczęśliwszy powód mojego powrotu na dwór – zakrzyknął Motosuke i uwaga zebranych znów skupiła się na jego osobie. – Zostałem szczerze obdarowany przez jego cesarską mość – powiedział, starając się, by jego słowa zabrzmiały skromnie. – Moja jedyna córka, która spędziła ostatnie cztery lata swego życia tu, w tym wiejskim otoczeniu, wejdzie do cesarskiego domu. Gdy tylko dotrzemy do stolicy, będę miał szczęście przedstawienia jej jego cesarskiej mości.

Nagle usłyszeli hałas. Yukinari stał, wpatrując się nieprzytomnie w swój wywrócony do góry nogami stolik i rozrzucone dookoła talerze. Wina i sosy wsiąkały w trzcinowe maty.

Natychmiast pojawiła się służba, by sprzątnąć bałagan. Każdy starał się zbagatelizować zdarzenie, którego był świadkiem. Kapitan usiadł raz jeszcze. Wyglądał na oszołomionego tym, co przed chwilą usłyszał, zaś rozpromieniony gubernator odbierał

od gości pełne podziwu gratulacje.

Pomiędzy jednym a drugim uprzejmym życzeniem Akitadę chwyciła za gardło przejmująca rozpacz. Stracił szansę – nie, nigdy tak naprawdę jej nie miał – by udowodnić swym wrogom, że się mylą by udowodnić na przekór przeciwnościom, że nazwisko Sugawara jest jednak coś warte. Córka Motosuke wchodziła do cesarskiego domu, gdyż została wybrana na kolejną małżonkę, być może miała w przyszłości zostać cesarzową.

Żadne prawo nie mogło teraz dosięgnąć jej ojca, bez względu na czyny, jakich się dopuścił, a raport Akitady miał za zadanie tyl-74

ko oczyścić przyszłego cesarskiego teścia z jakichkolwiek podejrzeń. Usiadł ciężko, przysłuchując się długiej modlitwie od-mawianej przez Joto za szczęście córki gubernatora.

Chwilę później kolacja dobiegła końca. Przy drzwiach, gdzie wymieniano się pożegnaniem, pan

Tachibana wpadł na inspektora, czepiając się jego ramienia. Gdy Akitada pomagał starcowi złapać równowagę, przypomniał sobie swe naiwne podejrzenia.

Nagle były gubernator szepnął mu coś do ucha, po czym wyrwał

się z objęć i pokuśtykał chwiejnym krokiem na zewnątrz.

Inspektor patrzył za oddalającym się starcem, niepewny, czy rzeczywiście usłyszał to, co usłyszał. Słowa wypowiedziane przez Tachibanę nagłym tonem brzmiały: – Muszę z tobą porozmawiać. Przyjdź do mnie jutro i nie mów o tym nikomu.

75

Rozdział 5

Zimowy motyl

Gdy Akitada zbudził się następnego ranka, jego pokój zdawał

się tonąć w niezwykłym świetle. Zmrużył oczy. To nie promienie słoneczne, światło było zbyt szare. Wtedy przypomniał sobie wydarzenia wczorajszej nocy i ciężar całkowitej klęski znów spadł na jego barki. Motosuke, który był głównym podejrzanym

– jego jedynym podejrzanym – nie można było przedstawić zarzutów, gdyż jego córka miała wyjść za cesarza. Po kolacji Akitada nie mógł zmrużyć oka, choć w pewnym momencie musiał

usnąć ze zmęczenia i dlatego zasnął, gdyż na zewnątrz już było jasno.

Westchnąwszy, wyślizgnął się spod ciepłego kokonu jedwabnej kołdry i stanął w chłodzie pomieszczenia. Narzucając na siebie szatę, odsunął jedną z zasłon.

Jego oczom ukazał się zupełnie nowy świat. Cienka warstwa świeżego śniegu przykrywała żwirowy dziedziniec oraz gliniany mur i zmieniała pokryte dachówką spadziste dachy pawilonów w duże, świecące prostokąty zawieszane w srebrnej szarzyźnie zachmurzonego nieba. Z nagich gałęzi śliwy rosnącej tuż przy werandzie spadła biała chmurka puchu; przyglądała mu się, odchylając główki i strasząc pióra z powodu zimna, para ciekawskich, brązowych wróbli. Jeden z nich zaćwierkał i nagle zrobiło mu się lżej na sercu.

Odwrócił się, by sięgnąć po jedno z ryżowych ciasteczek, które zostawił służący. Rozłamał je w dłoni, a okruszki wyrzucił za okno. Dwójka gości sfrunęła z gałęzi, ćwierkając głośno. Minę-

ło zaledwie kilka chwil, a śnieg pod werandą zaroił się od hałasujących i trzepoczących skrzydłami wróbli. Walczyły zajadle o

każdą kruszynę, dziobiąc młodsze, a słabsze spychając na bok.

Jeden mały wróbelek trzymał się z tyłu, raz po raz próbując dopaść jedzenia, lecz po chwili uciekał z niczym przed dziobami starszych. Spróbował rzucić kilka okruchów w jego kierunku, lecz sprowokowało to jedynie jeszcze większy harmider. W

końcu jeden mały wróbelek poderwał się w powietrze i wylą-

dował praktycznie u stóp inspektora, gdzie resztki ciastka umknęły uwagi jego bardziej tchórzliwych pobratymców.

Akitada patrzył, jak mały ptaszek zaspokaja głód. Uśmiechnął

się. Przetrawanie w świecie natury, tak jak i w jego świecie, zale-

żało od determinacji, odwagi i znajdowania alternatywnych rozwiązań trapiących problemów. Być może jego wrogowie chcieli przydzielonym mu zadaniem doprowadzić go do pewnej ruiny. Zlecono

mu wyjaśnienie przestępstwa, które według nich nie mogło zostać wyjaśnione. Mógł oskarżyć Motosuke o kradzież podatków, lecz to równałoby się popadnięciu w niełaskę u cesarza. Bez różnicy, co zrobi, już był skończony.

Tuż przy jego stopach ćwierkał mały wróbel, który znalazł inną drogę, inne wyjście, by przechytryć swych rywali. Akitada powiedział sobie, że też spróbuje skorzystać z nadarzającej się okazji – z zaproszenia pana Tachibany. Strzepał z dłoni ryżowe okruszki, zasłonił okno, odwrócił się i skończył się ubierać.

* * *

Gdy Akitada brnął przez zaśnieżone ulice, zdał sobie sprawę, że jest jeszcze za wcześnie, by nachodzić dobrze wychowanego człowieka. Z drugiej strony nie miał zamiaru składać Tachibanie grzecznościowej wizyty. Im więcej zastanawiał się nad wyszep-tanymi po kolacji słowami byłego gubernatora, tym bardziej przekonywał się, że starzec był przestraszony i zwrócił się do niego o pomoc.

Przyspieszył kroku. Gdy doszedł do dzielnicy, w której zamożni 77

mieszkańcy Kisarazu mieli swe prywatne domostwa, oddzielone od zewnętrznego świata wysokimi murami, zapytał żebraka o drogę, rzucając mu w nagrodę kilka miedziaków.

Willa Tachibanów nie stała daleko. Gdy zapukał w piękne, stare, drewniane drzwi, minęła dłuższa chwila, nim otworzyły się, skrzypiąc.

Do środka wpuścił go wiekowy sługa, tak zgarbiony i niedołęż-

ny, iż inspektor tylko czekał, aż zacznie skrzypieć podobnie jak odrzwia. Za małym dziedzińcem stał główny pawilon, jego stromy słomiany dach przykrywał śnieg, co widocznie kontra-stowało z drewnianymi ścianami i okiennicami szerniałymi przez lata od pogody.

– Jestem Sugawara – powiedział starcowi, gdy ten uniósł do ucha dłoń i zamrugał oczami niepewny, co ma robić. – Pan Tachibana poprosił mnie, bym dziś złożył mu wizytę – krzyknął.

Bez słowa służący odwrócił się i pokuśtykał ośnieżoną ścieżką mijając główny pawilon i kierując się do ogrodu. Po chwili wa-hania Akitada podążył jego śladem.

Ogród musiał rozplanować mistrz. Skupiska kamieni, krzewów i przyciętych sosen, pięknych nawet o tej porze roku, przykrywał

świeży śnieg. Ścieżka wiła się pomiędzy kamiennymi latarniami i małym stawem, w którym, błyskając od czasu do czasu srebrnymi i złotymi łuskami, pływały leniwie karpie.

Ścieżka, którą podążali, połączyła się z inną tym razem odśnie-

żoną i po chwili doszli do małego budynku, stojącego na uboczu pawilonu otoczonego drewnianą werandą.

Stary służący wspiał się powoli po stopniach i zszedł drewniane sandały. Akitada, idąc w jego ślady, schylił się, by też zdjąć buty. Usłyszał dźwięk rozsuwanych drzwi, a po nim krzyk.

Ściągając pośpiesznie obuwie, zajrzał do przestronnej pracowni, na której ścianach zawieszono półki pełne książek i skrzyń z dokumentami, a której podłogę przykrywały słomiane maty.

78

Sługa stał odwrócony do niego plecami. – Panie? – zapytał

drżącym głosem. – Ach, mój biedny pan! Och, nie! Czy może panicz sprawdzić, czy jeszcze żyje? Och, muszę czym prędzej biec po doktora. O bogowie! Cóż za tragedia!

Staruszek nie tylko nie był w stanie biec, lecz nawet się ruszyć.

– Uspokój się – powiedział inspektor i mijając go, wszedł do środka.

Pan Tachibana, ubrany w zwykłą szarą, jedwabną szatę, leżał z gołą głową twarzą w dół, obok stolika, tuż pod jedną z półek.

Służący do pomocy stołek stał u jego boku, zaś luźne kartki, na pół otwarte skrzynie z dokumentami i zwoje aktów oraz zapisów leżały rozrzucone dookoła martwej postaci.

Akitada ukląkł i sprawdził puls na szyi byłego gubernatora. Nie wyczuł żadnego, ciało było już całkiem zimne. Niewielka ilość krwi wsiąkła w maty pod głową pana Tachibany. Inspektor pró-

bował sobie przypomnieć, co medyczne księgi mówiły o ustalaniu czasu zgonu. Dotknął martwej dłoni, zacisnął jej palce i poruszał nadgarstkiem. Wyczuł opór – ciało zaczęło sztywnieć.

Znaczyło to, że śmierć nastąpiła wiele – nie był pewien jak wiele – godzin temu.

Lecz czy cokolwiek by to zmieniło, gdyby wiedział dokładnie kiedy? Na jednym z narożników stolika używanego do pisania dostrzegł ślady krwi i kilka siwych włosów. Spojrzał w górę na półki. Jedna z nich, wisząca wyżej niż pozostałe, była częściowo pusta. Pośród papierzyk zobaczył przewrócony stołek. Najwidoczniej byłemu gubernatorowi przydarzył się nieszczęśliwy wypadek, gdy sięgał po dokumenty.

– Obawiam się, że twój pan nie żyje – powiedział Akitada, wstając z klęczek.

Starzec nie przestawał się na niego gapić. Jego oczy zaszyły łzami, lecz nie powiedział ani słowa.

– Nie ma potrzeby posyłać po doktora – dodał, podnosząc głos.

79

– Twój pan zmarł tej nocy. Być może spadł ze stołka, gdy sięgał

po skrzynie stojące na tamtych półkach.

– Ojej, ojej! – Starzec pobladł nagle i złapał się za pierś. Otaczając go ramieniem, inspektor wyprowadził go na zewnątrz.

– Weź kilka głębokich wdechów – powiedział. Po chwili, przypominając sobie wczorajszą noc i chwiejny krok pana Tachibany, zapytał:

– Czy twego pana trapiły zawroty głowy?

– Nigdy. Był bardzo zdrowym człowiekiem. – Stary sługa prze-

łknął ślinę i nagle stał się bardzo gadatliwy. – O tak, całkiem żywym i sprawnym. Często mu zazdrościłem. A teraz nie żyje.

– Przez twarz przemknął mu cień zadowolenia, gdy potrząsał

głową zastanawiając się nad nieprzewidywalnością ludzkiego losu.

Akitada przypomniał sobie słabego staruszka chwytającego go za ramię, by się na nim oprzeć, i uniósł ze zdziwienia brwi. –

Ale miał lekarza? Przed chwilą chciałeś po niego posłać.

– Och, nie. Nie po jego doktora. Pan nigdy nie miał doktora.

Nawet ostatniego lata, gdy narzekał na bóle żołądka. Nie lubił

ich towarzystwa. Mawiał, że tylko czynią ludzi bardziej chorymi i trują ich swymi medykamentami. Czyste życie i ciężka praca, zwykł był mawiać, trzymają go w tak dobrej formie. Powtarzał, bym jadł więcej cebuli i przestał spać tak dużo, a mój ból pleców zaraz minie.

– A minął? – spytał zaciekawiony inspektor.

– Trudno jest mi nie zasnąć i nie znoszę cebuli. Lecz pan sam wyleczył się ze skurczy żołądka. O tak. Gotował własny ryż razem ze specjalnymi ziołami i zaraz zdrowiał.

– Rozumiem. Jeśli czujesz się na siłach, może powinieneś powiadomić panią Tachibana o tym, co zaszło. Potem będziesz musiał zawiadomić o śmierci jej męża tutejsze władze. Idź do biura prefektury, oni będą wiedzieli, co należy zrobić. Zaczekam 80

tu do ich przybycia.

Służący popatrzył smutnymi oczami nad ramieniem inspektora i pokiwał głową. – Straszne – westchnął. – Pobiegnę tak szybko, jak zdołam, paniczu.

Akitada stał w drzwiach i patrzył, jak starzec siada na pierwszym stopniu, by założyć chodaki. Jego

wzrok padł na drugą parę drewnianych sandałów stojącą tuż przy drzwiach. Musiały należeć do pana Tachibany. Schylił się, by je dotknąć. Były suche.

W końcu stary sługa z wyraźnym trudem podniósł się na nogi i pokuśtykał w kierunku domu. Będzie miał wystarczająco dużo czasu, nim ktokolwiek się zjawi.

Inspektor wszedł raz jeszcze do środka i uklęknął przy ciele.

Tym razem przyjrzał się uważnie pozycji, w jakiej leżały zwłoki, po czym dotknął czaszki. Przez rzednące włosy, tuż nad kościem, poczuł wgłębienie wielkością i kształtem odpowiadające dużej skorupie ostrygi. Pod naciskiem palców kość ustąpiła i gdy podniósł je do światła, zobaczył, że umorusane są krwią i mózgiem. Miał zamiar wytrzeć dłoń o matę, gdy kątem oka zauważył błysk czegoś zielonego tkwiącego we włosach Tachibany. Ostrożnie wyciągnął z nich mały, ubrudzony krwią odłamek, niewiele większy od paznokcia małego palca. Położył go na jednej z walających się kartek papieru. Był lekko wygięty, błyszcząco zielony z jednej, wewnętrznej strony, a matowo białym z drugiej. Oduczone krawędzie były z czerwonej gliny.

Odłamek przypominał mu o kolorowych dachówkach kładzionych na dachach, z tym że miały one zazwyczaj bardziej niebieskie kolory. Rozejrzał się po pokoju, po czym ponownie wyszedł na werandę. Nigdzie ani śladu dachówek! Wszystkie budynki w domostwie Tachibanów kryte były strzechą.

Wracając do pracowni, owinał odłamek w kartkę papieru i we-tknął za pazuchę. Potem usiadł, by pomyśleć.

81

Gdy po raz pierwszy zobaczył ciało, rozczerowanie uderzyło go niczym rzeczywisty cios i teraz wstyd mu było za swą samolubność. Potem przypominał sobie o pośpiechu, z jakim były gubernator prosił go o rozmowę i w jego głowie kiełkować poczę-

ło podejrzenie, że śmierć pana Tachibany była zbyt wygodna, by mogła być przypadkowa.

Czy ktoś usłyszał wyszeptane do jego ucha słowa starca i udał

się w ślad za nim do jego domu?

Zastanawiał się, czy znajdzie jakieś odpowiedzi pośród dokumentów denata. Na etykietce zawieszanej na leżącej na matach skrzyni odczytał: „Produkty rolne”. Podniósł głowę, by przyjrzeć się półkom. Zobaczył inne skrzynie, a na nich kolejne etykiety: „Połów ryb i transport morski”, „Produkcja jedwabiu”,

„Lokalne obyczaje i osobliwości”, „Świątynie i chramy” (może tu będą informacje dotyczące świątyni mnicha Joto), „Kupcy i rzemieślnicy”, „Rośliny i zwierzęta”, „Artyści i dworzanie”,

„Przestępczość i lokalna administracja” (kolejny ciekawy tytuł).

Inspektor szukał skrzyni dotyczącej poboru podatków, lecz ta-kowej nie znalazł. Jego wzrok spoczął natomiast na ostatniej skrzyni – „Mieszkanie pośród cykad i żab”. Zaciekawiony zdjął

ją i otworzył.

W środku znalazł osobliwy zbiór papierów. Na wierzchu leżało kilka wierszy sławiących naturę – Akitada nie należał do kone-serów poezji i tylko prześlizgnął się po nich wzrokiem. Pod ni-mi zobaczył wykonane tuszem szkice kamieni, roślin i kwiatów ułożonych obok siebie w różnej kolejności, a po nich zapisy dotyczące kultury, kopie różnych tekstów chińskich opisujących ogrody wielu sławnych ludzi. Na dnie skrzyni leżał traktat zaty-tułowany „Mieszkanie pośród cykad i żab”. Opisywał przyjemności i obowiązki związane z zakładaniem i doglądaniem własnego ogrodu. Widniała na nim pieczęć Tachibany.

Inspektora urzekła pasja, z jaką ten uczony mąż oddawał się 82

sprawom i nagle owładnęło nim poczucie straty i żal, iż nie dane mu było go poznać. Ze smutkiem zamykał wieko, gdy usłyszał

dolatujący z zewnątrz odgłos biegnących po ścieżce stóp.

Zamknąwszy pośpiesznie wieko, odwrócił się w stronę drzwi i dostrzegł dwie pary kwadratowych wgłębień w słomianej macie.

Sąsiadujące ze sobą wgłębienia oddzielała odległość ponad po-

łowy metra, zaś dwie pary ponad metr. W tym miejscu musiało stać coś ciężkiego na czterech kwadratowych nogach.

Akitada usłyszał, jak ktoś wchodzi po schodach werandy i wyszedł na zewnątrz.

Zobaczył chłopca, mniej więcej dwunasto – bądź trzynastolet-niego, klęczącego na stopniach. Wpatrywał się w inspektora pełnymi cierpienia oczami. – Pan? Czy to prawda? – zapiszczał

łamiącym się głosem.

Akitada pokiwał głową. – Panu Tachibanie przydarzył się wypadek. Nie żyje.

Chłopiec przełknął ślinę, wyglądał na załamanego, lecz powiedział:

– Jestem tu, by służyć pomocą.

Inspektor uśmiechnął się, słysząc jego słowa. – Jesteś bardzo młody. Gdzie reszta służby?

– Prócz starego Sato, są tu tylko kobiety – odparł pogardliwie chłopak.

– Jak masz na imię?

– Junjiro, wasza miłość.

Znów to coś w jego głosie. Akitada przyjrzał się uważniej młodo-demu służącemu. – Kochałeś bardzo swojego pana? – zapytał.

Chłopiec pokiwał głową i przeciągnął po twarzy umorusaną dłonią.

– Jakie są rozkazy waszej miłości? – powiedział burkliwie.

– Na początek możesz wskazać mi komnaty twojej pani. Czy już ją poinformowano o śmierci męża?

83

Na twarzy Junjiro pojawił się przez chwilę zaciekle grymas. –

Nam nie wolno tam wchodzić. Do komnat wstęp ma tylko jej bona. Tam.

– Poderwał w górę rękę i wskazał na jeden ze spadzistych da-chów wystających spomiędzy drzew.

Akitada zmrużył oczy. Nie mógł nie usłyszeć niechęci w tonie głosu chłopca ani nie zauważyć srogości w towarzyszącym słowom i gestom spojrzeniu.

– Czy mam rozumieć, że bona twojej pani jest stworzeniem podobnym do smoka? – zapytał. – Stokrotne dzięki za ostrzeżenie.

Chłopiec pociągnął nosem. – Nie spróbuje swych sztuczek na tak dobrze wychowanym panu. Nienawidzi tylko nas, służby.

Wciąż opowiada państwu o nas kłamstwa. Że kradniemy, że niszczymy rzeczy, że nie wykonujemy naszych zadań. A gdy zbliżamy się do komnat pani, mówi, że przychodzimy węszyć.

To zła kobieta, zła. Z jej powodu zwolniono większość służby, a wczoraj znów się do nas zabrała. Powiedziała panu, że Sato jest za stary, by wypełniać swoje obowiązki i że nic nie robi, tylko śpi cały dzień. – Chłopiec zagryzł wargę. – Teraz nie wiem, co się z nami stanie.

– Jestem pewien, że z czasem wszystko się ułoży – powiedział

pocieszająco Akitada. – Wasz pan na pewno zostawił testament, w którym coś wam zapisał. Właśnie czekam na przybycie odpowiednich władz. Powinni tu być lada chwila. Może poczekaś na nich przed bramą? Pokazałbyś im drogę.

Junjiro uklonił się i pobiegł w kierunku ulicy.

Inspektor wrócił do pracowni pana Tachibany i nachylił się nad wgnieceniami. Ich krawędzie były ostre i wyraźne. Cokolwiek stało w tym miejscu, musiało zostać przeniesione całkiem niedawno, gdyż trzcina nie zdążyła jeszcze wrócić do normalnego kształtu. Rozejrzał się po pomieszczeniu. Tylko rozmiary stolika do pisania odpowiadały odległościom pomiędzy wgnieceniami.

Teraz stało się oczywiste, że stolik jest dziwacznie ustawiony.

Człowiek przy nim pracujący siedziałby twarzą do ściany. Czy pan Tachibana odwróciłby się plecami od uwielbianego ogrodu?

Czemu przesunął stolik? A jeśli nie zrobił tego on, to kto i w jakim celu?

Zastanowił się nad raną na głowie, krwią którą zobaczył na rogu stolika, i popatrzył uważnie na całą scenę domniemanego wypadku.

Na stoliku leżały zwyczajne przybory do pisania, równo ułożona sarta czystych kartek z ryżowego papieru, a obok nich nowy pędzelek. Nefrytowy kałamarz nosił ślady częstego używania, zaś pojemnik na wodę był pełen po brzegi. Włożył palce do ka-

łamarza. Był całkiem suchy. Co dziwniejsze, nie zauważył w pomieszczeniu nawet najmniejszej świecy bądź latarni.

Właśnie zamierzał schylić się po rozrzucone na matach papiery, gdy usłyszał za sobą delikatny szelest. Obrócił się na pięcie i zamarł w bezruchu.

W progu stała najpiękniejsza kobieta, jaką widział w życiu.

Jej oczy – piękne, skośne oczy o długich rzęsach umieszczone w doskonałym owalu twarzy – wpatrywały się w niego badawczo i ostrożnie. Podobne dziecięcym wargi były lekko rozchylone.

Oblizła je i przełknęła ślinię. – Gdzie jest mój mąż? – Ledwie słyszalne słowa brzmiały niczym tchnienie. Z rękawa migoczą-

cej w promieniach słońca niebieskiej jedwabnej sukni ozdobionej wzorem kolorowych kwiatów wyłoniła się smukła dłoń i odgarnęła z policzka kosmyk niesfornych błyszczących włosów.

– Pan jest... ?

Z niemałym trudem inspektor wrócił na ziemię. Ukłonił się ni-

żej, niż wymagała tego sytuacja, po czym powiedział: – Sugawara Akitada, jaśnie pani. Właśnie składałem pani mężowi wizytę, gdy... Być może będzie lepiej, jeśli pozwoli mi pani odprowadzić się do swoich pokoi. To nie miejsce dla pani.

Jej oczy przeskoczyły z jego oczu na podłogę. Akitada miał nadzieję, że jego postać zasłoni wnętrze pracowni, lecz pani Tachibana wydała stłumiony okrzyk pełen przerażenia. – Więc to prawda? Mój pan... nie żyje? – W jej delikatnym głosie pobrzmiwała teraz straszliwa rozpacz. Akitada dostrzegł, że jej skóra jest tak blada, iż niemal przezroczysta i poczuł się bezradny.

– Jest mi niezmiernie... e... no, tak – wyjąkał, czyniąc rękoma beznadziejne gesty. – Obawiam się, że... zdarzył się wypadek.

Proszę, niech pani pozwoli się odprowadzić. Nie powinna pani tu być. Służba powinna lepiej o panią zadbać. – Postąpił w jej kierunku, lecz kobieta przemknęła obok.

Przez chwilę stała, nie mogąc wykonać ruchu, tak jak stary słu-ga wcześniej, wpatrując się w zwłoki męża. Potem zaczęła się chwiać. Akitada złapał ją nim upadła na ciało i uniósł na rękach.

Jej ciało było lekkie i bezwładne – mały i nieznaczny ciężar dla silnych ramion. Poczował perfumy o zapachu kwiatów, lecz nie wiedział, czy dobywają się z jej szaty, czy z długich, jedwabi-stych włosów. Trzymanie w ramionach kobiety równej swojej klasie było dla niego doświadczeniem tak samo nowym, jak niemożliwym do pomyślenia w ich ograniczonym sztywnymi regułami społeczeństwie. Cóż miał z nią teraz począć? Nie mógł

przenieść jej przez ogród. Gdyby dostrzegł ich ktoś ze służby, od razu znaleźliby się na językach, a może nawet gorzej.

Prefekt Ikeda, ten postępujący wedle nakazów prawa, zasuszony i mający kosmate myśli świntuch, pojawiłby się tu w jednej chwili, prowadząc koronera i posterunkowych.

– Pani Tachibana – powiedział nagłym tonem, nachylając usta nad różowym płatkim ucha. Potrząsnął nią lekko. – Proszę, pani Tachibana.

Poruszyła się. Dobrze. Potrząsnął nią raz jeszcze. W odpowiedzi para delikatnych ramion oplótła się wokół jego szyi, a jedwabi-86

sty policzek dotknął jego twarzy. Dożyła z siebie budzące litość

„Och” i poczęła cicho płakać, kryjąc twarz w jego ramieniu.

Poczował się jak najgorszy, pozbawiony uczuć gbur i przez chwilę stał tak, trzymając ją w ramionach, pozwalając płakać. Potem spróbował po raz kolejny. – Pani Tachibana? Musi pani być teraz silna. Lada chwila ktoś może nadejść.

Ramiona puściły go niechętnie i kobieta stanęła niepewnie na matach. Objął ją ramieniem, by nie straciła równowagi.

– Jesteś bardzo uprzejmy – powiedziała cicho, odwracając twarz. – Wybacz mi. Musiałam przyjść i przekonać się na własne oczy. – Jej głos się załamał. Odsunęła się ostrożnie i zrobiła kilka kroków w kierunku drzwi.

– Proszę pozwolić się odprowadzić – powiedział Akitada, podążając za nią.

– Nie. – Przy progu odwróciła się i popatrzyła na niego. Oczy miała pełne łez. Wydawało mu się, że

widzi najsmutniejsze, a zarazem najpiękniejsze oczy na świecie. Potem się uśmiechnęła

– mały, rozdzierający serce uśmiech – i kłaniając się, powiedzia-

ła: – Spotkał mnie zaszczyt, że mogłam cię poznać, paniczu Sugawara. Nie zapomnę twojej dobroci.

Akitada zrobił jeszcze jeden krok i otworzył usta, by odpowiedzieć, lecz kobieta wymknęła się już do ogrodu, szeleszcząc suknią zostawiając po sobie jedynie zapach perfum.

Stał w progu speszony i dziwnie samotny, patrząc, jak wdowa idzie w stronę głównego pawilonu. Jej barwna suknia i pełne gracji ruchy przywiodły mu na myśl cudownego motyla żyjącego w obcym mu świecie przykrytym całunem bielutkiego śniegu.

87

Rozdział 6

Rozwiewając mgłę

Akitada odwrócił się od pustego, zimowego ogrodu, kierując się w stronę zwłok jego twórcy. Pochyliwszy się nad rozrzuconymi dokumentami, począł je przeglądać. Nie zdziwił się, gdy także i w nich nie znalazł żadnych odniesień do podatków.

Wzdychając, ułożył je mniej więcej tak, jak je zastał, i wstał, by rozprostować kości. Wtedy usłyszał dobiegające z zewnątrz głosy, jeden z nich należał do Junjiro. Najwidoczniej przybyły oczekiwane władze.

Mylił się jednak. Gdy wyrzwał do ogrodu, zobaczył rozmawiają-

cego z chłopcem, ubranego w mundur kapitana Yukinariego.

Gdy oficer dostrzegł stojącego na progu Akitadę, ukłonił się z wojskową precyzją.

– Przybyłem tak szybko, jak mogłem, ekscelencjo – powiedział, wbiegając na stopnie. – Naprawdę, straszne to wieści.

Inspektorowi wydało się, że twarz Yukinariego pomimo opalenizny jest blada i że jego oczy są zmęczone i udręczone. Czyżby rozpaczał po śmierci pana Tachibany? Z pewnością nie. Nie mogli być sobie aż tak bliscy. Różnił ich wiek. Ponadto kapitan przebywał w Kazusie dopiero od tego lata. Jednak wyglądał tak, jakby przez całą noc nie zmrużył oka. Inspektor rzekł niezobo-wiązującym tonem: – A tak, w rzeczy samej, kapitanie. Lecz cóż cię tu sprowadza?

Yukinari zarumienił się i odpowiedział: – Miałem sprawę do załatwienia w prefekturze, gdy przyszedł Sato z wieściami o śmierci swego pana. Wybacz niegrzeczne pytanie, ekscelencjo, lecz czy to prawda, że ta sprawa dotyczy też ciebie?

– Składałem panu Tachibanie grzecznościową wizytę i znalazła-88

złem ciało.

Kapitan podszedł bliżej, lecz Akitada nawet nie drgnął, nie mając zamiaru wpuszczać go do pracowni.

– Podobno upadł – powiedział Yukinari, próbując zajrzeć do środka ponad ramionami inspektora. – Wiele razy mówiłem mu, by był ostrożny. Słabł ostatnimi czasy na zdrowiu. Nie wiem, czy ci wiadomo, że miał ponad sześćdziesiąt lat? Bardzo słuszny to wiek.

Słowa kapitana sprawiły, że pomyślał o pięknej, młodej kobiecie, którą trzymał w ramionach. Miał ochotę przytaknąć. – Musieliście się zatem dobrze znać – rzekł. – Mnie nie wydał się niedołązny ani chory. Ludzie tacy jak on, chudzi, o ciele ascety, często żyją dłużej niż ich niedbający o tuszę rodacy.

Kapitan nie wiedział, co powiedzieć. Patrzył nerwowo na ginącą pośród drzew ścieżkę, drapiąc się po brodzie. – Ikeda już tu idzie. Sam się pofatygował. Jeśli nagle cię jakieś pilne rzeczy, ekscelencjo, ja mogę tu zostać. Śmiem rzec, że już niedługo nie będzie się wasza ekscelencja musiał kłopotać tą sprawą. – Jego spojrzenie spoczęło na Junjiro, który krążył w pobliżu, przysłuchując się z zapalem każdemu słowu. Kapitan zmarszczył brwi.

– Dziękuję bardzo, lecz nie skorzystam – powiedział Akitada, udając zaskoczenie. – Wydaje mi się, że moim obowiązkiem jest tu pozostać. Za to pana, kapitanie, nic z tą sprawą nie łączy, prawda? Oczywiście możesz ofiarować swe wsparcie w tak trudnej chwili pani Tachibana.

Głowa Yukinariego obróciła się błyskawicznie. Wpatrywał się w inspektora, otworzył usta, po czym zamknął je, uklonił się i odszedł pośpiesznie. Akitada obserwował, jak skręca w kierunku bramy. Nie wiedział, co ma o tej rozmowie myśleć. Po raz drugi w ciągu zaledwie dwóch dni kapitan zdradził się z okazywaniem silnych emocji.

Wciąż zastanawiał się nad zachowaniem wojskowego, gdy zza 89

rogu wyłonili się prowadzeni przez Sato Ikeda i jego ludzie.

Prefekt miał na sobie tę samą ciemnoniebieską szatę, którą nosił

poprzedniego wieczoru na kolacji, i Akitada od razu zaczął się zastanawiać, czy urzędnik także nie zmrzył tej nocy oka. Za prefektem stąpało dwóch niższej rangi urzędników i dwóch policjantów w czerwonych uniformach niosących łuki i kołczany.

Gdy Ikeda dostrzegł inspektora, uklonił się nisko. Inni, zdumieni, poszli za jego przykładem.

– Cóż za niespodziewany zaszczyt – wymamrotał prefekt, wchodząc po schodach. – Sługa powiedział mi, że na waszą ekscelencję spadła niemiła niespodzianka znalezienia ciała. Cóż za niezwykle przypadek. – Starał się, by ostatnie zdanie zabrzmiało jak pytanie, jakby obecność Akitady była podejrzana.

– Nie mniej niezwykle, jak pańska tu obecność, prefekcie – odpowiedział. – Czy zawsze masz w zwyczaju badać przypadkowe zgony osobiście? Z pewnością jest to zajęcie dla tutejszego magistrata.

Szara cera Ikedy zarumieniła się niezdrowo. – Nasz magistrat jest z wizytą w sąsiedniej prowincji – rzekł sztywnym tonem. –

Poza tym gdyby pojawiła się jakakolwiek sprawa dotycząca pana Tachibany, to i tak stawilibym się tu osobiście. Z powodu szacunku, jakim go darzyłem. – Zrobił przerwę, po czym dodał:

– Nie żebyśmy byli sobie bliscy. Jego ekscelencja nie zachęcał

podwładnych do poufałości.

– Och, a zatem byłeś już prefektem za czasów gubernatorstwa pana Tachibany?

Dziwna mina przemknęła przez twarz Ikedy. Były w niej gorycz i uraza, lecz także i cicha satysfakcja.

– Tak, byłem – odpowiedział, po czym skinął na swych towarzyszy. – Pozwól, że przedstawię ci mego sekretarza, Ogę i koronera, doktora Atsushige. –

Obaj uklonili się i Akitada odpowiedział im ukłonem. Prefekt, rozplywając się w uśmiechach, rzekł:

– Może wasza ekscelencja 90

podzieli się ze mną swymi godnymi uwagi przemyśleniami, gdy moi ludzie przyglądać się będą zwłokom?

Inspektor kiwnął głową i odsunął się na bok. Ikeda i jego trupa zdjęli obuwie i weszli do pracowni.

Akitada opisał swoje przybycie, dokładnie podając jego czas, a także ułożenie ciała denata i wygląd pomieszczenia, gdy do niego wszedł. Prefekt patrzył na niego i słuchał uprzejmie, po czym przeprosił i podszedł do koronera, który badał zwłoki. Sekretarz ukląkł obok, robiąc notatki. Doktor szybko skończył oględziny, lecz stał jeszcze przez dłuższą chwilę, wymieniając szeptem uwagi z Ikedą. Prefekt pokiwał głową i wrócił do inspektora.

– Dość jasna sprawa, ale wasza ekscelencja już sam się zapewne domyślił, co się stało – powiedział, pocierając dłonie, gest, który od zawsze denerwował Akitadę. – Biedny staruszek pracował

do późna, wszedł na tamten stół, stracił równowagę, poślizgnął się, uderzył głową o kant stolika i zmarł. Świadczą o tym stół, rozrzucone dokumenty, ułożenie ciała oraz ślady krwi i włosów na stoliku. Wypadek wydarzył się prawdopodobnie wczorajszego wieczoru. Jednak moje skromne prowincjonalne umiejętności nie mogą się równać z bez porównania doskonałym szkoleniem, jakiemu poddano waszą ekscelencję, dlatego też pokornie proszę o zdanie waszej ekscelencji.

Akitada zawahał się, po czym rzekł: – Mamy zimę i ranki są już chłodne. Zgon mógł nastąpić późną nocą lub nawet wczesnym rankiem, a wgniecenie w czaszce wskazuje na to, że przyczyną śmierci był silny cios zadany w ciemię.

– A, tak jak powiedziałem. – Ikeda pokiwał głową. – Służący powiedział mi, że jego pan często pracował do późna. Dowody mówią same za siebie. Starszy pan wraca do domu po naszej małej kolacyjce, może trochę kręci mu się w głowie od zjedzonych potraw i wypitego wina. Pracuje przez

chwilkę. Potem śpiący, a może nieczujący się najlepiej, wchodzi na stołek, by 91

sięgnąć po jakieś dokumenty. Te spadają mu na głowę i go ogłuszają. Starszy pan upada. Proste. Jestem bardzo wdzięczny za obserwacje poczynione przez waszą ekszelencję. Teraz bę-

dziemy musieli skończyć papierkową robotę, więc nie będę dłu-

żej waszej ekszelencji zatrzymywał.

Akitada raz jeszcze spojrzął na ciało, skinął głową Ikedzie i jego urzędnikom i wyszedł z pracowni. Na zewnątrz wreszcie wze-szło słońce. Nałożył buty, minął dwóch posterunkowych i podszedł do Sato i Junjiro, wciąż stojących na ścieżce.

– Muszę już iść – zwrócił się do starszego sługi. – Lecz mam nadzieję, że dopilnujesz, by z rzeczami z pracowni nic się nie stało. Prefekt stwierdził, iż śmierć waszego pana spowodował

przypadkowy upadek. Wraz z podległymi mu ludźmi zaraz skończy i nie powinien potrzebować żadnych dokumentów waszego pana. Wolałbym, żebyście nikomu nie wspominali o mo-im zainteresowaniu tymi dokumentami.

Starzec uklonił się, a Junjiro zaoferował z przejęciem: – Będę siedział na werandzie i pilnował. Dzień i noc.

Inspektor uśmiechnął się ciepło. – To nie będzie konieczne. Są-

dzę, że będziecie mieli dość zajęć przez następne dni.

– Och, na niebiosa, w rzeczy samej – powiedział Sato. – Nawet nie zdążyłeś dokończyć zmiatania ścieżki, Junjiro. Biegiem, leć po miotłę. Nie wiem, jak mogłem o tym zapomnieć. Co za dzień! – dodał, kiwając z niedowierzaniem głową.

– Zaczekaj. – Akitada przyjrzał się ścieżce. – Junjiro, czy zmiatałeś tu po tym, jak spadł śnieg?

Chłopiec popatrzył na niego zdziwionymi oczami. – Nie, wasza miłość. Dziś w ogóle nie zmiatałem. Właśnie miałem zamiar, gdy przyszedł Sato i powiedział nam o śmierci pana.

– No to najwyższy czas, żebyś się do tego zabrał, chłopcze. –

Stary sługa popatrzył gniewnie na chłopca i ten pobiegł szybko w kierunku pawilonów.

92

Sato odprowadził inspektora do ulicy. Gdy stali przy bramie, Akitada zapytał: – Czy pan Tachibana zapraszał do siebie wielu gości?

– Ostatnimi czasy nie, paniczu. Dawniej, o tak, bywali tu goście, wielu gości. Żyła wtedy jeszcze pierwsza żona naszego pana.

Ale to było dawno, dawno temu. – Rozejrzał się dookoła smutnym wzrokiem.

– Widzę, że służyłeś swemu panu od dawna – powiedział Akitada ze współczuciem. – Trudno spotkać w dzisiejszych czasach starego służącego. Większość ich kończy pracę i pozwala zająć swoje miejsce młodszym.

Sato zrobił głęboki wdech. – Ze mną jest wszystko w jak najlepszym porządku – krzyknął. – Jestem silny jak wół. Ludzie nie powinni myśleć, że starzec nie może wykonywać tej samej pracy co młodzian. Służyłem memu panu od czterdziestu pięciu lat.

Na długo przed tym, jak poślubił drugą żonę, i zawsze dobrze wypełniałem powierzone mi zadania. – Trząś się od targających nim uczuć, a oczy zaszyły mu łzami.

Akitada przypomniał sobie słowa Junjiro i postanowił skorzystać z okazji, by dowiedzieć się czegoś więcej. – Obecna pani Tachibana wprowadziła się niedawno?

Sato raz jeszcze nabrał w płuca powietrza i otarł rękawem oczy.

– Tak, panie. Jest córką starego przyjaciela mego pana. Pan wziął ją za drugą żonę, gdyż przyrzekł to jej umierającemu ojcu.

Gdy zmarła pierwsza pani, druga zajęła się domem. – Starzec ściągnął wargi i popatrzył gniewnie na stojący za bramą dom.

Najwidoczniej nie darzył młodej wdowy ciepłym uczuciem.

– Przyzwyczajenie się do nowego nigdy nie przychodzi bez trudu – powiedział chłodnym tonem Akitada. – Nie tak łatwo darzyć lojalnością inną osobę. Poza tym tak młoda pani nie jest być może zbyt doświadczona w sprawach dotyczących prowadzenia domu. – Przed oczami stanął mu obraz smukłego, nie-93

malże dziecięcego stworzenia. Patrzyła na niego, a na jej ustach zdrztał uśmiech.

– Może to i prawda – powiedział smutno Sato. – Gdy zmarła pierwsza pani i większość służby musiała odejść, różnie ludzie gadali. Zostało nas ledwie pięcioro i pilnujemy tylko swego no-sa. Jedyne Junjiro i ja jesteśmy mężczyznami, a Junjiro jest przecież jeszcze nierozważnym chłopcem. Nie mogę być wszę-

dzie naraz.

– Więc nie będę cię dłużej zatrzymywał. Wrócę później, by przyjrzeć się dokumentom twojego pana. Czy jest tu gdzieś boczne wejście, z którego mógłbym skorzystać, by nie niepokoić żałobników?

– Na tyłach posiadłości jest mała brama. Trzymamy ją zamknię-

ta lecz jeśli zawiadomisz nas wcześniej, powiem Junjiro, by cię wpuścił.

– Tak, dziękuję. To powinno wystarczyć.

Sato siłował się z bramą próbując ją otworzyć. Akitada, pomagając mu, zapytał: – Nie przestawiałaś przypadkiem ostatnio mebli w pracowni pana?

– Och, nie, proszę panicza. Nasz pan nie lubił, gdy ruszało się jego rzeczy. Zawsze zwracał na to szczególną uwagę.

* * *

Gdy Akitada wszedł na dziedziniec przed budynkiem sądu, zastał Torę siedzącego na werandzie, grzejącego się w promieniach słońca. Wyglądał na przygnębionego. Dwa bambusowe kije stały oparte o pobliski słupek. – Czekam od kilku ładnych godzin. Spóźniłeś się – powiedział oskarżycielskim tonem.

Nawet pośród równych sobie takie słowa wzięto by za nie-uprzejme i niestosowne. Lecz skoro padły z ust służącego, były rażącą niesubordynacją. Wielu panów kazałoby okładać Torę kijami do nieprzytomności. Akitada skrzywił się z niesmakiem.

94

Postanowił zaakceptować sługę takim, jakim jest, by nie psuć przyjaźni, która była równie osobliwa, co zadowalająca. Zupeł-

ny brak uległości i służalczości, całkowita uczciwość, szczerłość wypowiedzianych słów i otwartość Tory były dla inspektora bardziej cenne niż wymagane od służby posłuszeństwo. Obawiał

się, że każda próba zmiany zachowań chłopaka odstraszy go od niego.

Dlatego tylko skinął głową i powiedział: – Wstałem wcześniej, by spotkać się z panem Tachibana. Gdy dotarłem do jego domu, znalazłem jego zwłoki i musiałem czekać na przybycie władz.

Tora wytrzeszczył na niego oczy. – A, jakiś drań dopadł go, nim udało się to tobie.

Dokładnie o tym samym pomyślał Akitada, lecz zapytał: – Dlaczego tak myślisz?

Tora wyszczerzył w uśmiechu białe zęby. – Wybiegłeś, nic nie mówiąc staremu Seimei. Domyśliłem się, że wpadłeś na trop czegoś nie całkiem zgodnego z prawem.

– No, może masz rację, choć prefekt uznał, iż był to wypadek.

Ale zostawmy szczegóły na później. Jeśli jesteś gotowy do ćwiczeń, zaczynajmy. Potem chcę wziąć porządną kąpiel. Dzisiejszego ranka brakowało mi obu.

Rozebrali się do luźnych spodni, wierzchnie okrycia rzucając na poręcz werandy. Tora podniósł bambusowe kije i rzucił jeden inspektorowi. Mogli zaczynać. Powietrze było wciąż chłodne, lecz słońce zdążyło już rozpuścić cienką warstwę śniegu zalega-jącego rankiem na dziedzińcu. Po kilku

zaledwie starciach na ich torsach i plecach zajaśniały krople potu, które natychmiast zaczęły parować. Przez tych kilka chwil myśleli jedynie o walce, o sprawdzanie swych sił i umiejętności. W powietrzu niesły się ich krzyki, uderzenia bambusa i szuranie stóp na mokrym żwirze.

Parę nieśmiało spoglądających głów należących do pracowni-95

ków sądu pojawiło się w bramie prowadzącej na dziedziniec, lecz szybko zniknęło. Nie zważając na nic, pan i sługa atakowali, cofali się, uderzali, kręcili młynki, ścierali się, fintowali i parowali ciosy, póki nie zabrakło im tchu, a ich twarze nie zaczerwieniły się z wyczerpania. Tora był silniejszy i dlatego mógł

spychać Akitadę do tyłu, lecz inspektor był bardziej zwinny i nauczył się już planować swoje ruchy. Walka skończyła się nagle, gdy Akitadzie udało się jednym uderzeniem wytrącić Torze kij z dłoni i przewrócić go na ziemię. Sługa wylądował ciężko na plecach, by po chwili wybuchnąć gromkim śmiechem.

– A teraz kąpiel – krzyknął inspektor, rzucając swój kij na werandę i śpiesząc w stronę łaźni. Czuł się wprost cudownie, znowu żywy, znowu szczęśliwy. Odepchnął od siebie wszystkie zmartwienia. Wreszcie pokonał Torę. Nauczył się biegle władać bambusowym kijem. Krew pulsowała w jego żyłach ogłuszają-

cym szumem. Podskoczył do góry z radości.

Sługa szedł za nim, uśmiechając się pod nosem.

– Pokonałeś mnie, paniczu – powiedział później, gdy klęczeli naprzeciw siebie nadzy. Dwóch posługaczy noszących tylko biodrowe przepaski nurzało szorstkie worki z konopnego włókna wypełnione ryżowymi plewami w wiadrach zimnej wody i szorowało nimi ich błyszczące ciała. – Niedługo nie będę już mógł niczego cię nauczyć. Gdy nadejdzie ten moment, zapewne nie będę ci już potrzebny.

Akitada oblał się wiadrem zimnej wody, wziął gwałtowny wdech i wślizgnął się do kadzi, z której unosiły się w górę kłęby pary. Szok wywołany nagłym gorącem przeszedł w błogie odprężenie. Zanurzał się powoli, póki woda nie sięgnęła podbródka, oparł kark na drewnianej krawędzi i zamknął oczy. – Nie bądź głupcem – odrzekł. – Masz przecież inne obowiązki.

– Tak też myślałem – powiedział Tora z samozadowoleniem i też wszedł do kadzi. – Mam talent, jeśli chodzi o rozwiązywanie 96

problemów i docieranie do sedna sprawy.

– Hmmm... – zamruczał w odpowiedzi Akitada. Czuł, jak rozluźniają się jego mięśnie, jak skóra staje się miękka i rozciągliwa. Para zakrywała mu głowę, krople wody gęstniały na twarzy, lecz nie miał sił ani ochoty, by się tym przejąć. Zamknął oczy.

Pan Tachibana prosił go o wizytę – prosił w tajemnicy i nagłaco

– a ktoś zabił go tej samej nocy. Czemu? Czy Tachibana zginął, by nie doszło do spotkania? Czy zginął dlatego, iż wiedział o czymś, co nie mogło dojść do uszu inspektora? W takim razie to coś mogło dotyczyć tylko jednej rzeczy – podatków. Jak dotąd wszystko się zgadza. Tylko ktoś, kto usłyszał słowa byłego gubernatora, mógł zabić go tak szybko. Akitada spróbował sobie przypomnieć, kto stał wtedy najbliżej. Z pewnością Motosuke, gdyż to nakazywał dobry obyczaj. Ale kto jeszcze? Yukinari?

Ikeda? Joto? Za nic w świecie nie mógł sobie przypomnieć.

Postanowił nie nadwerężyć swej pamięci i skupił myśli na posiadłości pana Tachibany. Po wyglądzie można było stwierdzić, że domostwo należało do bogatego, kulturalnego i dobrze wychowanego człowieka. Budynki, mimo swej prostoty, były duże i pięknie wykonane oraz udekorowane z najwyższym smakiem.

Meble i przedmioty znajdujące się w pracowni musiały zostać wykonane z najlepszych materiałów przez najlepszych rzemieślników. Akitada pomyślał o ich właścicielu. Fakt, iż były gubernator poświęcał swój czas na kompilowanie historii prowincji, którą zarządzał, świadczył o tym, że był człowiekiem, który poważnie podchodził do swych obowiązków względem przyszłych pokoleń. Ale był przecież także człowiekiem kochającym ogrody. Człowiekiem kładącym duży nacisk na powagę i moralność, a z drugiej strony na potrzeby ducha, człowiekiem szukającym pokoju i szczęścia przez tworzenie piękna. Innymi słowy, był człowiekiem honoru. Taki mężczyzna nie zniósłby przestępstw wyrządzonych na szkodę cesarzowi. Najwidoczniej 97

oczekiwał przybycia Akitady i dopiero wtedy zareagował. Czy był przy tym człowiekiem mądrym? Być może nie. Bo jakże mógł tak wiekowy mężczyzna wziąć sobie za żonę tę piękną, młodą istotę, która stała przerażona na progu pracowni z oczami pełnymi łez, z drżącymi ustami, tak delikatnymi i wilgotnymi...

?

Czyjaś dłoń chwyciła go za ramię i potrząsnęła. Uniósł powieki.

– Utopisz się, jeśli zaśniesz – warknął Tora. – No już. Wycho-dzimy. Chcę usłyszeć wszystko, co wiesz o morderstwie.

Zasiedli razem z Seimei w pokoju inspektora wokół wpuszczonego w podłogę paleniska. Służący przyniósł południowy posi-

łek, pochylili się nad miskami ryżu i marynowanych warzyw.

Tora nalał wina.

Gdy tylko służący się oddalił, Akitada zaczął opowiadać o wydarzeniach w posiadłości Tachibany, pokazując im zielony odłamek znaleziony we włosach nieboszczyka. – Ktoś go zamordował – dodał beznamyślnie. – Zbyt starannie ułożono ciało, lecz morderca popełnił błąd, przesuwając stolik. Ponadto rana była na czubku głowy, nie zaś przy skroni czy potylicy, gdzie powinna się znajdować,

gdyby pan Tachibana podczas upadku uderzył głową o kant stolika. Ikeda próbował to wyjaśnić, wskazując na skrzynie z dokumentami. Stwierdził, iż jedna z nich musiała spaść z półki, uderzyć byłego gubernatora w głowę i ogłuszyć go, powodując upadek. Lecz gdyby tak się stało, to skrzynia powinna być ubrudzona krwią, a nie stolik. Poza tym skrzynie nie były wystarczająco ciężkie, by spowodować zgon.

Czaszka pana Tachibany była strzaskana. Ikeda sprawiał wrażenie, jakby nie mógł się doczekać, by wreszcie stwierdzić, że śmierć była przypadkowa.

– Urzędnik! – prychnął Tora. – A czego się spodziewałeś? Pewnie maczał w tym palce. To wyjaśniałoby, czemu pojawił się osobiście. Idę o zakład, że siedział od rana w biurze, czekając na 98

wezwanie. W ten sposób mógłby posprzątać to, co wcześniej mu umknęło. Pewnie się nie spodziewał, że cię tam zastanie.

Seimei obruszył się oburzony. – Wielki mędrzec zwykł mawiać

– wygłosił chłodno – że służenie swemu księciu jest najszlachetniejszym powołaniem dla każdego człowieka. Ci, co służą jako urzędnicy, czynią tak, gdyż posiadli stosowną wiedzę.

Wielki mędrzec powiedział też, że najniższe klasy trudzą się pracą gdyż nigdy nie nachodzi ich chęć nauki. Ty należysz do tej grupy ludzi i tym samym nie posiadasz żadnej wiedzy. Dlatego powinieneś trzymać język za zębami, gdy rozmawiają lepsi od ciebie.

Twarz chłopaka poczerwieniała z gniewu. Lecz ku zdziwieniu Akitady odparł tylko: – Posłuchajmy zatem, co ty masz na ten temat do powiedzenia. W ten sposób będę się mógł uczyć, by stać się lepszym człowiekiem.

Seimei pokiwał łaskawie głową. – Bardzo dobrze. Według mnie, paniczu, prefekt może być po prostu niekompetentny.

Prowincjonalni urzędnicy są marnie przeszkoleni. Co wychodzi na jaw, zwłaszcza gdy stykają się z kryminalnymi sprawami –

wyjaśnił, zwracając się do Tory. – Ponadto zastępował jedynie nieobecnego magistrata. A godzina zgonu, paniczu?

– Masz rację, czas zgonu może być ważny – rzekł inspektor, kiwając głową. – Chciałbym mieć większą pewność. Sądzę, że Tachibana żył jeszcze trzy, może dwie godziny przed moim przybyciem. A to, rzecz jasna, oznacza, iż nie mógł zaraz po powrocie z kolacji skierować się do pracowni. Przebrał się. Poza tym w pomieszczeniu nie było świec, a nie zauważyłem w nim żadnego paleniska. Gdy zginął, nie mógł pracować przy swoich dokumentach.

– Powiedziałaś przecież, że ciało sztywniało – zaprotestował

Seimei. – Musiało leżeć całą noc.

– Noc była okropnie zimna. Temperatura mogła przyspieszyć 99

sztynienie. Lecz bez względu na czas zgonu, nie sądzę, by Tachibana zginął w swojej pracowni. Morderstwo popełniono gdzie indziej, a ciało przeniesiono do odosobnionego pawilonu, by uporzować wypadek. Przy drzwiach stały drewniane sanda-

ły pana Tachibany, lecz były czyste i suche. Ponadto, wpadłem na to dopiero wtedy, gdy szykowałem się do wyjścia, ktoś od-

śnieżył ścieżkę pomiędzy głównym pawilonem a pracownią.

Nie zrobiła tego służba, musiał zatem morderca, zacierając w ten sposób ślady stóp na świeżym śniegu. Ciekawe, kiedy zaczę-

ło padać? – Popatrzył na Torę.

– Wydaje mi się, że morderca musiał być silnym mężczyzną –

odparł Tora, biorąc spojrzenie inspektora za przyzwolenie do zabrania głosu. – Musiał mieć dużo siły, by zadać cios z góry, a potem przenieść zwłoki przez ogród. Głupio mi to mówić, lecz sądząc po opisie, cherlawy prefekt nie wydaje się do tego zdolny. Może zrobił to jednak kapitan. Jest młody, zdrowy, w dodatku to żołnierz.

– Prawda. Przypomniałeś mi, że Yukinari też tam był. Próbował

nawet wejść do pracowni. Wydało mi się, że zaczął się dziwnie zachowywać, gdy zaproponowałem, by zaofiarował swe wsparcie wdowie. Cokolwiek się wydarzyło, stało się, gdyż zmusiły do tego mordercę nasze działania, a to powinno nas przybliżyć do rozwiązania zagadki. Ale ja wciąż czuję się, jakbym błędził

po omacku we mgle. Wiem, że podążam w dobrym kierunku i że kroczę właściwą drogą tyle że nie mogę jej dostrzec.

– Ale ja ją widzę – zakrzyknął Tora. – Pamiętaj o wdowie! Powiedziałaś, że jest młoda.

Akitada zmarszczył czoło. – Bardzo młoda. – I pewnie ładna.

Inspektor zaczął się wiercić. – Tak, chyba nie skłamię, gdy powiem, że jest piękna.

– No i proszę – odparł Tora, klaszcząc w dłonie. – Oto motyw.

Przystojny kapitan uwodzi młodą żonę. Gdy starzec dowiaduje 100

się, że kapitan, mając do tego, że tak powiem, lepsze narzędzia, buszuje w jego ogródku, wpada w gniew. Dochodzi do kłótni i Yukinari kładzie go ciosem w głowę.

– Bzdury! – Akitada podskoczył do góry, gromiąc Torę spojrzeniem. – Seimei ma rację. Twój głupi

język biegnie zaraz za twymi sprośnymi myślami.

Stary sługa spojrzął na swego pana, zadzierając głowę. – Och, ale chłopak może mieć rację – rzekł. – Choć przedstawia ją w ordynarnych słowach. Nie wszystkie mężatki są jednocześnie żonami. Tak wielka różnica wieku tworzy problemy. Ale o tym pręcej dowiemy się od sług. Mawia się, że tylko mąż nie wie, co tak naprawdę dzieje się w jego domu. Kobiety to stworzenia bez zasad i skrupułów.

– Dość! – warknął gniewnie inspektor. – Tą czcą gadaniną nie zbliżymy się do rozwikłania tajemnicy. Tora, przez ostatni tydzień biegałeś samopas. Gdy ja i Seimei przeglądaliśmy archiwa gubernatora, miałeś zbierać informacje, rozmawiając z tutejszą ludnością. Mów, czego się dowiedziałeś?

Chłopak zrobił się niespokojny. – Spędziłem większość czasu w domu Higekuro, paniczu. Staralem się zrozumieć tutejsze warunki. Seimei prychnął pogardliwie.

– No i jakie są tutejsze warunki? – zapytał chłodnym tonem Akitada.

– No więc, Kazusa jest bogatą prowincją. Ma dobry klimat, do-brą ziemię, pełno tu ryżu. Ponadto zaczęli tu prząść jedwab.

– To żadne nowiny – rzekł coraz bardziej niecierpliwy inspektor. – Jadąc od portu, mijaliśmy pola ryżowe. A jedwab był czę-

ścią skradzionych transportów.

– Cokolwiek z nim robią jedwab uczynił z sąsiada Higekuro bogacza. Otomi powiedziała, że zaczynał jako drobny sprzedawca z małym kramikiem, handlował tanią bawełną i kono-piami. Potem przerzucił się na jedwab i nim się obejrzał, już 101

sprzedawał hurtem. Musiał nawet pobudować w porcie i w mie-

ście magazyny. Ogrodził się wysokim murem i już nie odzywa się do swoich sąsiadów.

– Aha – rzekł Seimei, kiwając głową. To brzmi podejrzenie.

Mędrzec mawiał: „Cnota nigdy nie jest pustelniczką. Zawsze ma sąsiadów”. Kupcowi na pewno nie zbywa na cnocie. W

przeciwnym razie dzieliłby się swoim szczęściem z sąsiadami.

– Może boi się, że zostanie okradziony – odparł oschle Akitada.

– Czy w mieście jest wysoka przestępczość, Tora?

– Nie wyższa niż w każdym innym miejscu, gdzie są pieniądze.

Higekuro twierdzi, że byłaby większa, gdyby nie liczny garnizon.

– Kapitan Yukinari wspominał o posiłkach, jakie przybyły do miasta, gdy zaczęły znikać transporty. – Inspektor począł w za-myśleniu pocierać ucho. – Pomyślałbym raczej, że rosnąca liczba rekrutów, w połączeniu z nowymi uczniami ściągającymi na nauki Joto do świątyni za miastem, powinna być źródłem dodat-kowych problemów.

Tora pokiwał przecząco głową. – Wydaje mi się, że tutejsi ludzie darzą żołnierzy sympatią a znoszą towarzystwo mnichów, gdyż zarabiają dodatkowo na pielgrzymach. Nawet Higekuro i jego córkom wiedzie się teraz lepiej. Niektórzy z żołnierzy przychodzą do jego szkoły, by brać lekcje, a Otomi nieźle sobie radzi, sprzedając rysunki pielgrzymom.

– Rysunki? – spytał inspektor.

– Och, nie wspominałem wam o tym wcześniej? Ta dziewczyna umie się posługiwać pędzelkiem. Rysuje na zwojach postacie świętych i buddyjskie mandale, a pielgrzymi płacą za nie niema-

łe sumy. Raz dostała za jeden sztabkę srebra. Całą sztabkę! Powinniście zobaczyć jej dzieła. Są tak realistyczne, iż można by przysiąc, że się tam jest.

– Gdzie mianowicie? – spytał pozbawiony wyobraźni Seimei.

102

– Święci nie są żywi, tak jak i mandale, gdyż tak naprawdę nie istnieją. Jak może przedstawiać to jako rzeczywistych ludzi i rzeczywiste miejsca?

– No, nie chodziło mi o te rysunki – broniąc się, odparł Tora. –

Namalowała też kilka pejzaży gór i morza.

– Chciałbym kiedyś poznać twoich przyjaciół – rzekł, uśmiechając się, Akitada. – Otomi musi być niezwykłą artystką jeśli w ten sposób zachwalasz jej pracę.

Słowa pana zadowolili Torę, gdyż uśmiechnął się szeroko.

Rzucając ukradkiem nieśmiałe spojrzenia w stronę Seimei, zapytał: – Czy myślisz, paniczu, że ktoś taki jak ja mógłby nauczyć się pisać? – Widząc zdziwienie rysujące się na twarzy obu mężczyzn, rumieniąc się, dodał: – To znaczy tylko kilka znaków. Słowa miłe dla ucha dziewczyny.

Seimei prychnął raz jeszcze. – Pokażę ci, jak należy trzymać pędzelek i jak ruszać nadgarstkiem – powiedział. – Lecz takie umiejętności powinny służyć wyższemu celom niż pisanie miłosnych listów. Kobiety i tak nie umieją czytać ani pisać. Ich ograniczone umysły nie są w stanie ogarnąć takich rzeczy.

– Och, obiecuję, że będę się starał ze wszystkich sił nauczyć się tego, co mi pokażesz, Seimei – odparł Tora. – Ale mylisz się co do Otomi. Píše i czyta przez cały czas.

– A druga córka? – spytał Akitada.

Tora wykrzywił usta w grymasie. – Ayako? Ta dziewczyna bardziej przypomina chłopca. Pomaga ojcu szkolić uczniów. Nie spodobałaby się tobie, paniczku.

– Być może nie, przynajmniej nie w takim sensie, jak ty to rozumiesz – powiedział inspektor i pomyślał o delikatnej piękno-

ści zamkniętej w posiadłości Tachibanów. Wstał, poprawił jedwabną szatę, po czym rzekł z werwą: – Sądzę, że powinienem złożyć wdowie kondolencje. Jest bardzo młoda i niedoświadczona, może będzie potrzebowała pomocy przy sprawach doty-103

czących majątku jej nieżyjącego męża. Seimei, sporządzisz koń-

cowe dokumenty dla gubernatora. A ty, Tora, lepiej weź się do porządnej pracy i zacznij rozmawiać z mieszkańcami miasta.

Stary sługa wpatrywał się w swego pana nieruchomym wzrokiem. – Bardziej niebezpieczny od kłów i pazurów tygrysa jest szkarłatny jedwab kobiecej bielizny – powiedział.

104

Rozdział 7

Męty

Tora postanowił się upewnić, czy Higeкуро i jego córkom nic nie zagraża. Dzień był chłodny, niebo znów pełne chmur, ale na szczęście nie padał śnieg. Myśląc cały czas o Otomi, szedł tak szybko, że nie czuł chłodu.

Właśnie mijał świątynię stojącą przy tej samej ulicy co szkoła Czarnobrodego, gdy kątem oka dostrzegł dwie postacie ubrane w szafranowe szaty i pośpiesznie wszedł w bramę świątynną by z niej przyjrzeć się uważnie mnichom.

Wyglądało na to, że proszą o jedzenie. Zapukali do drzwi, od-czekali chwilę, póki ktoś im nie otworzył, powiedzieli kilka słów, po czym wyciągnęli przed siebie trzymane w dłoniach misy. Gospodarz nałożył w nie trochę jedzenia i mnisi ruszyli w dalszą drogę. Torze zaburczało w żołądku. Minęło już południe, a posiłki, które dostawał na służbie u Sugawary, nie należały, niestety, do sycących. Myślał ze złością o pełnych misach mnichów, gdy ku swemu zdziwieniu zobaczył, jak opróżniają je w bocznej uliczce, wrzucając jedzenie w rosnące opodal zarośla.

Zrobiwszy to, podeszli do kolejnych drzwi i raz jeszcze zapuka-li, prosząc o jedzenie. Czyżby byli tak bardzo rozpuszczeni i mieli tak delikatne żołądki, że szukali określonych przysma-ków?

Dopiero gdy stanęli przed domem stojącym naprzeciw szkoły Higeкуро, Tora domyślił się ich zamiarów. Drzwi otworzyła wiekowa służąca, wyszła na ulicę i wskazała dłonią dom Czarnobrodego. Mnisi zadali jej jakieś pytania, a kobieta, kiwając głową, podniosła do uszu i ust dłonie. Gdy zamknęły się za nią drzwi, mnisi stali przez moment, wpatrując się w budynek szko-105

ły, po czym odwrócili się i odeszli szybkim krokiem.

A więc kanalie odszukały Otomi!

Higekuro był sam w dużej sali, gdy wpadł do niej Tora. Ćwiczył

z łukiem skupiony tak bardzo, iż nawet nie odwrócił głowy.

Siedząc na stołku, wypuszczał strzałę za strzałą bez najmniejszego trudu, jego ruchy były płynne i lekkie, nie chybił żadnego z celów oddalonych o dwadzieścia metrów. Dopiero gdy koł-

czan był pusty, opuścił wielki łuk i obejrzał się przez ramię.

Tora bił brawo. – Myślałem, że dobrze sobie radzę z łukiem, ale nie dorastam ci do pięt – powiedział. – Czemu twoje strzały są tak długie I ile każesz sobie płacić za lekcje?

– To strzały przeznaczone na zawody – zachichotał Higekuro. –

W wojsku używa się krótszych. Zaś od moich przyjaciół nie biorę zapłaty.

– Ale mogę ci zapłacić, mam stałe zajęcie. Możemy zacząć od razu?

– Nigdy nie odmawiaj podarunku z rąk wdzięcznego człowieka.

Umnieszasz go w ten sposób. Twoje lekcje nie będą cię kosztowały ani miedziaka, lecz dziś spodziewam się uczniów. Czy nie będziesz miał nic przeciwko, gdy poproszę cię o przyjście kiedy indziej?

– Oczywiście że nie. Chcę się tylko zobaczyć z Otomi. Mnisi znów tu węszyli.

Higekuro uniósł brew. – Naprawdę? Powinna niedługo wrócić.

Chłopak zmarszczył czoło. – Poczekam zatem na nią tutaj.

– Jak chcesz – ojciec zachichotał ponownie i odwrócił się, by ćwiczyć dalej.

Tora chodził w kółko niezadowolony, wyobrażając sobie najgorsze, póki nie otworzyły się drzwi i nie stanęły w nich Otomi i Ayako. Weszły, niosąc w ramionach kosze z zakupami. – Gdzie, u diabła, żeście były? – warknął. – Nie wiecie, że niebezpiecznie jest chodzić po mieście dwóm samotnym kobietom?

106

Otomi wystraszyła się, widząc wykrzywioną ze złości twarz Tory, lecz jej siostra powiedziała tylko tonem żądającym wyja-

śnienia: – A co ci, u diabła, do tego?

Higekuro odchrząknął, po czym zaproponował: – Może zjesz z nami, Tora, teraz, gdy córki wróciły z zakupami?

– Dzięki, ale nie mam czasu – odparł chłopak, patrząc gniewnie na Ayako. – Ci przekłęci mnisi dowiedzieli się, gdzie mieszkacie. Martwiłem się o twoją siostrę.

– Czemu? – zapytała, rewanżując się takim samym spojrzeniem dziewczyna.

Ojciec odchrząknął raz jeszcze. – To miło z twojej strony, przyjacielu, lecz wydaje mi się, że Ayako bez trudu poradziłaby sobie z dwójką mnichów.

Dotknięty do żywego Tora wybuchnął: – A skąd to możesz wiedzieć? Nawet ich nie widziałeś. Nie będziecie tu bezpieczni, bo oni najwidoczniej nie zamierzają odpuścić. Tylko dwie dziewu-chy i... – zamilkł nagle.

– Kaleka. To chciałeś powiedzieć? – z potężnej piersi Higekuro dobył się dudniący śmiech. – Przyjacielu, powinienem czuć się urażony twoimi słowami! Jakże możesz mieć tak mało wiary w moje i Ayako umiejętności? Nauczanie samoobrony jest naszym codziennym zajęciem. Zamki w drzwiach są mocne. Byliby głupcami, ryzykując bolesne lanie w zamian za piękną dziewczynę – rzekł, po czym znów się roześmiał.

Ayako też się śmiała, a po chwili dołączyła do nich Otomi.

Tora wiedział, że starsza córka kpi z niego i poczuł się urażony.

– Ostrzegam was – powiedział. – Ci mnisi to wredne typy. –

Lecz jego słowa wywołały jedynie kolejne fale śmiechu. – Ach, do diabła z tym – krzyknął i obrócił się na pięcie.

W drzwiach wpadł na dwójkę uczniów i kilku krzepkich oficerów z tutejszego garnizonu, którzy przyglądali się z pogardą jego zwykłej niebieskiej koszuli. Minęli go bokiem. Tora miał

107

ochotę wszcząć bójkę, lecz opanował gniew.

Na zewnątrz zobaczył jeszcze jedną szafranową szatę. Ten mnich nie miał zamiaru prosić o jedzenie. Szedł szybkim krokiem, zmierzając w stronę masywnej, ciężkiej bramy należącej do bogatego sąsiada Higekuro. Zapukał i po chwili mu otworzo-no, po czym zniknął za drzwiami.

Próżność Tory doznała dzisiejszego dnia zbyt wielu ran, by wrócił do szkoły z kolejnym ostrzeżeniem tylko po to, by go znów wyśmiano. Machnął ręką i przypomniał sobie o pustym żołądku. Skierował swe kroki w stronę rynku, mając nadzieję zasięgnąć języka, a przy okazji zaspokoić głód.

Przyglądał się przez chwilę tłumowi krzątającemu się pomiędzy straganami, po czym zatrzymał mijającego go sprzedawcę i ku-pił za miedziaka kilka gorących kasztanów. Mężczyzna sypnął

mu parującą porcję prosto na dłoń.

Tora zawył z bólu. – Niech demony pożrą twe jądra! – zakrzyknął, podrzucając i przerzucając gorące kasztany z jednej bolącej dłoni do drugiej.

Sprzedawca patrzył na niego szeroko otwartymi, niewinnymi oczami. – Musi je pan trzymać w rękawie. W przeciwnym razie poparzy pan sobie palce – doradził.

– Dzięki bardzo za radę – warknął chłopak i odszedł od straganu.

– Następny głupi urzędnik – wyjaśnił sprzedawca kolejnemu klientowi.

Całe szczęście kasztany były smaczne i rozgrzały żołądek. Szukał przyjaznej twarzy, kogoś, kto będzie rad porozmawiać z nieznajomym. Obszedł cały rynek, nim stwierdził, że wszyscy kupcy w Kazusie są tak samo ponurzy i posępni. Wciąż głodny kupił misę gryczanych klusek.

– Tutejsi mnisi sprawiają wam jakieś kłopoty? – zapytał sprzedawcę, wręczając mu miedziaki.

108

Mężczyzna zmierzył go nieprzyjaznym wzrokiem. – Mnisi?

Skądże. Święci mężowie nieżałujący grosza – powiedział, prze-liczając monety. – W przeciwieństwie do niektórych – dodał, przyglądając się ubraniu Tory.

– Mam nadzieję, że w domu dostajesz tęgie lanie od żony – odparł chłopak i czym prędzej się oddalił. Zachowanie sprzedawcy zaniepokoiło go i po chwili zastanowienia przystanął za straganem, by poprawić na sobie koszulę i wcisnąć spodnie w buty.

Za pazuchę schował czarną czapkę, poluzował też odrobinę spięte w kuc włosy. Zadowolony z efektów, sądząc, iż nie przypomina już urzędnika, wrócił do powierzonego zadania.

Gdy usłyszał rozmowę grubej straganiarki i jej klientki, które mówiły o byłym gubernatorze, podszedł bliżej. Gdyby udało mu się pomóc wyjaśnić tę zbrodnię, jego pan wielce byłby z niego rad.

– Co się stało, babciu? – zapytała kobieta.

– Nasz stary gubernator zmarł tej nocy – powiedziała sprzedawczyni, mierząc wysoką postać zbliżającego się Tory czarnymi oczami. – Wielki to był człowiek. Ale wszystkich nas to czeka, wysoko czy też nisko urodzonych, gubernatorów czy żebraków.

Wszystko jest jednością. Budda był księciem, a stał się żebrakiem, gdy zaczął nauczać o śmierci.

– A zadziałałoby to w drugą stronę? – zapytał znajomy świszczący głos. – Chciałbym dla odmiany zostać gubernatorem.

– Bardziej pewne, że odrodzisz się jako wyleniały pies – prychnęła w odpowiedzi kobieta.

– W takim razie, gdy będę tędy przechodził, nie omieszkałam podnieść łapy, by sobie ulżyć, stara ropucho – krzyknął Szczur, dławiąc się w napadzie świszczącego śmiechu. Straganiarka, dysząc ciężko, chwyciła jedną z długich rzodkiewek.

Żebrak uskoczył zwinnie przed ciosem, ciągnąc Torę za sobą. –

Proszę, proszę – zaświszczał. – Czy to nie nasz waleczny boha-109

ter. Jak ci poszło z tą kiecką?

– Cśśś! – syknął chłopak, rozglądając się dookoła i upewniając się, czy ktoś nie usłyszał ich rozmowy. – Chodź ze mną, stary draniu. Postawię ci kubek wina, jeśli powiesz mi wszystko, co wiesz.

Oczy Szczura rozszerzyły się z zachwytu. – Nigdy nie odpowiem nie na tak złą propozycję. Znam doskonale miejsce.

Tuż za rogiem.

Nawet podpierając się kulą żebrak poruszał się tak szybko, że Tora miał problemy, by za nim nadążyć. Stary oszust, pomyślał, biegnąc w ślad za podskakującym strachem na wróble w nadziei, że uda mu się dowiedzieć czegoś ważnego.

Szczur nie zrzucił swego przebrania, póki nie dotarli do małej winiarni, wciśniętej pomiędzy dwa podobne jej budynki.

Mogła pomieścić ledwie pięciu gości naraz, ale gdy do niej weszli, w środku nie było nikogo. Na drewnianej platformie stało kilka glinianych dzbanów na wino i młoda kobieta o owalnej twarzy. Na jej plecach spało przywiązane do nich dziecko.

Szczur posadził swój wychudzony zadek na rogu platformy. –

Hej, siostrze. Należ nam to, co masz najlepszego. Mój przyjaciel płaci. – Powiedziawszy to, odwiązał sztuczną nogę i położył ją obok kuli, po czym wyprostował zdrową nogę, wzdychając z ulgą.

– Widzę, że wciąż bawisz się w oszusta – powiedział Tora, uśmiechając się szeroko.

Kobieta postawiła przed nimi butlę wina i dwie czarki. Przyglą-

dając się Torze, spytała: – Co taki przystojny młody człowiek robi w towarzystwie tego zepsutego starego drania? – Po czym klepnęła Szczura przyjacielsko w plecy.

Chłopak nalał wina. – To dla dobra mej duszy, kochana! – odparł nabożnie. – Każdego miesiąca odprawiam pokutę, trwoniąc ciężko zarobione pieniądze na takich oto leniwych wałkonii.

Przypomina mi to, kim będę, jeśli nie połamię sobie karku uczciwą pracą.

Zaśmiała się i wróciła do zajęć. Żebrak uniósł do góry czarkę. –

Za twoje prace! – zaświszczał i wychylił haustem.

Tora patrzył, jak wino znika w żyłastym, brudnym przełyku i ostrożnie zamoczył usta w winie. Było doskonałe. Szczur uderzył pustą czarką o drewno i otarł wymownie usta. Chłopak zaraz napełnił naczynie.

– I za twą pokutę! – rzekł staruch, pochłaniając drugą kolejkę.

– Sądząc po tobie, nie będę musiał szukać kolejnego obiboka przez najbliższe miesiące.

– Zawsze do usług – zaświszczał, po czym zaczął trząść się i krztusić ze śmiechu, póki Tora nie klepnął go mocno w plecy. –

No i? Czego sobie życzysz? – wychrypiał, gdy odzyskał głos.

– Martwię się o dziewczynę.

– Bogowie! – zakrzyknął Szczur. – Czy ty myślisz jeszcze o czymkolwiek poza kobietami?

– Puszczę to mimo uszu. Gdy szedłem niedawno w odwiedziny do Higeкуро, widziałem kolejną parę tych łysogłowych idiotów.

Wypytywali o coś sąsiadów i jakiś stary nietoperz wskazał im szkołę.

Szczur wyciągnął przed siebie dłoń z czarką a Tora napełnił ją raz jeszcze. Żebrak wypił szybko i znowu nadstawił naczynie. –

Nie martw się – powiedział. – Nic im się nie stanie.

Chłopak pomyślał, że Szczur go naciąga. – Hola! – warknął i chwycił przód brudnej koszuli, by przyciągnąć starca do siebie.

Dziurawe ubranie rozdarło mu się w rękach. Puścił je szybko i dostrzegł na wystających żebrach żebraka nieładnie wyglądają-

cy siniak. Ktoś musiał mu spuścić niezłe lanie.

– No i patrz, co zrobiłeś – zaskomlał starzec. – Będę musiał

chodzić nago. I to w taką pogodę! – Zaczął drzeć na całym ciele.

– Moje słabe płuca! – Zakaszłał.

– Przepraszam. – Tora wsadził dłoń za pazuchę i wyciągnął

resztę miedziaków, zapłatę za kolejny miesiąc. – Masz. – Odliczył połowę. – Kup sobie coś ciepłego. Ta szmata nie ogrzewała nawet twoich pcheł.

Szczur zgarnął monety i znów zaczął kaszleć, aż twarz zrobiła się niebieska i poczęły po niej ciec łzy. Tora doskoczył do niego przerażony. – Wody, szybko! On się dławi! – krzyknął do kobiety.

– Wina! – wychrypiał Szczur. Zakaszał i zaświszczał. – Ciepło wina... – znów odkaslnął – ... mnie uspokaja. – Charcząc, przyglądał się nalewającej kolejkę kobiecie. – Niech was błogosła-wią niebiososa – wydyszał. – Niech błogosławią.

– On i te jego napady – powiedziała sprzedawczyni beznamietnym głosem. Sięgnęła za plecy, wzięła w ramiona dziecko i przytuliła je do piersi.

Szczur pił, a Tora napełniał mu czarkę, czekał, aż starzec wypije, po czym napełniał ją ponownie. W końcu kaszel zelżał. Zerkając zza czarki, żebrak zaskrzeczał: – Dobry z ciebie chłopak.

Nie martw się. Dziewczynom nic się nie stanie. Ayako to istna diablica. Lepiej zostaw je w spokoju i zostań tu ze mną, by się napić. – Beknął i zaczął zawodzić jakąś piosenkę wrzaskliwym falsetem. – Niech piekło pochłonie wszystkich żołnierzy – wymamrotał i przysnął.

– Żołnierzy? – spytał zdziwiony chłopak. – Jakich znowu żoł-
nierzy?

Kobieta podniosła głowę, odrywając się na chwilę od dziecka. –

Pewnie to oni go pobili.

Szczur wymamrotał jakieś słowa, zwinął się w kłębek i zachrapał. Tora rzucił kilka monet za wino i wyszedł.

Na zewnątrz było już ciemno. Pomyślał zawiedziony, że zmarnował prawie cały dzień i większość pieniędzy na dwie niewdzięczne kobiety i nic niewartego obiboka, nie zyskując nicze-

go w zamian.

Na rynku wciąż było tłoczno i gwarno. Latarnie i oliwne lampy oświetlały stragany i sklepy, a większość kupujących też niosła ze sobą światła. Rzucały migoczącą, niemal magiczną poświatę na sprzedawane towary i na ubrania sunących ludzi. Nawet wieczorami sprzedawcy nie mogli narzekać na brak zajęcia. W powietrzu unosiły się, mieszając ze sobą zapachy smażonych ryb, przyprawionych zup, gotowanych klusek i pieczonych kasztanów. Tora znowu poczuł się głodny. Pociągał wino ze Szczurem, zamiast zjeść porządny posiłek. Widać tak to jest, że bycie inspektorem źle się odbija na żołądku, pomyślał.

Gdy w nozdrza złapał zapach swojego ulubionego dania, sma-

zonych ciasteczek ryżowych, do ust nabiegła mu ślinka. Zacisnął w dłoni monety, jakie mu jeszcze pozostały, i począł się rozglądać.

Sprzedawca ciasteczek był biednie ubranym młodym mężczyzną. Przeciskał się przez tłum, sprzedając swoje smakołyki z dwóch bambusowych pojemników zawieszonych po obu koń-

cach kija, który oparł sobie na ramieniu.

Tora wyprzedził go pośpiesznie i zaszedł mu drogę. – Mam cię

– krzyknął. – I w dodatku w samą porę.

Chudy chłopak wpatrywał się w niego przerażonymi oczyma, cofając się powoli.

Tora chwycił go za rękaw. – Nie tak szybko, przyjacielu – powiedział, zaglądając do bambusowych koszy wypełnionych tłustymi, kruchymi ciasteczkami. – Aż tyle! Interes musi się nieźle kręcić.

– Nie, nie. Sprzedałem ledwie kilka. Puść mnie, proszę.

Tora, teraz nie na żarty spragniony ciastek, zacisnął mocniej dłoń.

– Nie tak prędko – rzekł stanowczo. – Jeszcze z tobą nie skoń-

czyłem. Gdzie twoje maniery? Najwidoczniej nie wiesz, jak 113

należy traktować swoich dobrodziei.

Sprzedawca skulił się ze strachu. – Przepraszam, panie – wymamrotał. – Nie poznałem cię. Wczorajsza noc była strasznie ciemna. Wierz mi, zawsze płacę o czasie. Dobrze wyjaśniłeś mi wszystkie sprawy. Wracając do domu, miałem się zatrzymać przy Niebiańskiej Zagrodzie.

– Sięgnął pod koszulę. – Proszę, oto wszystko! Weź to! Ale proszę powiedz im, że Matahiro już zapłacił.

Torę tak zaskoczyły słowa sprzedawcy, że go puścił. W dłoniach trzymał ciężką paczkę. Gdy podniósł wzrok, młody człowiek zniknął w tłumie, jakby go wessał rzeczny wir.

Miał dziwne przeczucie, że w środku znajdzie monety. Sprzedawca pomylił go z kimś innym. Rozwinął papier. Jego oczom ukazało się dziesięć sztuk srebra! Duża suma jak na biednego sprzedawcę jedzenia. Może to jakiś dług.

Chodził po rynku, próbując zwrócić srebro, lecz nigdzie nie spotkał młodego sprzedawcy. Schował zawiniątko za poły koszuli.

Kolejne frustrujące spotkanie, pomyślał zrzędliwie. Wspomnienie o smażonych ciasteczkach snuło mu się po głowie, a brzuch zdawał się jeszcze bardziej pusty niż przed chwilą.

Nazwa, którą wymienił sprzedawca – Niebiańska Zagroda –

brzmiała jak nazwa gospody. Tam zostawi srebro, a przy okazji napełni żołądek. Po tym jak Szczur nadszarpnął jego skromny budżet, miał nadzieję, że sprzedawane tam posiłki będą chociaż tanie. Zapytał o drogę stojącą opodal kobietę. Spojrzała się na niego dziwnie i wskazała ciemną uliczkę, na której końcu świeciła słabo latarnia.

Wygląda to bardziej na piekielne otchłanie niż na niebiańską zagrodę, myślał, gdy spadł ze schodów, próbując przejść pod klującą matą blokującą wejście. Usłyszał śmiech. Leżał na pod-

łodze cuchnącego zjełczałym tłuszczem i niemytymi ciałami pokoju, który przypominał raczej mroczną pieczarę. Kilka olej-114

nych lamp zamiast odrobiny światła dawało tylko swój charakterystyczny, gryzący smród i czarny dym.

Gdy źrenice Tory przyzwyczyły się do ciemności, zobaczył, że w pokoju stoi tylko prosto zbita lada, zaś na ziemi siedzi kilku ludzi z najniższej klasy – bosostopi robotnicy odziani w biodrowe przepaski i pikowane bawełniane koszule – jedzący swe posiłki bądź pijący na umór. Powitali jego przybycie jak występ komika.

Tora stanął na równe nogi. Jedzenie musi tu być tanie i nie najgorsze, pomyślał, w przeciwnym razie nikogo by tu nie było.

Poza tym prędeżj zasięgnę języka w takiej norze niż w szano-wanej gospodzie.

Właściciel, gruby i łysawy jegomość, nachylał się za ladą, przypatrując się uważnie nieznanemu gościowi spod pary krzacza-stych brwi.

– Solone warzywa i dzban twojego najlepszego wina, dobry przyjacielu – zawołał do niego chłopak, po czym usiadł na wolnym miejscu, obok jednego z jedzących. Sąsiad odjął od ust misę i otarł usta rękawem. – Co też zamówiłeś, bracie? – spytał.

– Dobrze to chociaż? Umieram z głodu.

Mężczyzna uśmiechnął się pod nosem. – Najlepsza zupa fasolowa w całym mieście, jeśli zniesie ją twój brzuch. A jeśli nie zniesie, gnaj co sił w nogach na zewnątrz. Wystarczy, że smro-dzi nam tu stary Denzo. – Goście wybuchnęli śmiechem, a rze-czony Denzo powstał, by zaprezentować swoje umiejętności.

Tora bił brawo, gdy poczuł, że nachyla się nad nim okrągły brzuch gospodarza.

– A może nasz gość wolałby jedzenie podawane w Złotym Smoku – zaryczał grubas. – To ta wielka gospoda na rogu rynku.

– Czemuż to? – spytał chłopak, zadzierając do góry głowę. –

Gdybym chciał tam jeść, to zapewne bym tam poszedł. Chyba 115

natura miast mózgu sprezentowała ci tylko ten ogromny bebecch, jeśli w ten sposób zwracasz się do klienta, który ma czym zapła-cić. Chcę fasolówki. i przynieś też moim kompanom trochę wi-na.

W jednej chwili stał się ulubieńcem każdego. Gruby gospodarz wymruczał coś pod nosem i podreptał za ladę. Tora miał nadzieję, że wino rozwiąże języki. – Powiedz mi z łaski swojej... –

zagadnął, gdy zasłona przy wejściu odchyliła się i do środka weszło trzech nieznajomych. Poczekali, aż sąsiad Tory wstanie, po czym usiedli przy nim. W pomieszczeniu zapadła absolutna cisza.

Chłopak przyjrzał im się dokładnie – brzydki, oszpecony bliznami drab, opasły olbrzym i mały człowieczek o haczykowa-tym, długim nosie. Zmierzył ich dzikim wzrokiem. – A co wy sobie, do diabła, wyobrażacie? – krzyknął. – Usiądźcie gdzie indziej. Właśnie rozmawiałem ze swoim przyjacielem.

– To miejsce się nam podoba – powiedział brzydki. Rozchylił

poły koszuli, a pod nimi Tora dostrzegł kolejne blizny. Ślady po nożu, stwierdził Tora i zrozumiał nagle, że nie ma żadnej broni.

Mężczyzna uśmiechnął się, odsłaniając zniszczone i połamane zęby, jego głęboko osadzone, czarne oczy taksowały chłopaka od stóp do głów. Dwóch kompanów siedziało w milczeniu. Olbrzym miał zadziwiająco małą głowę w porównaniu z resztą ciała. Patrzył na wszystko pustymi oczami dziecka. Wolno my-

ślący, pomyślał Tora, i dlatego jeszcze bardziej niebezpieczny.

Trzeci mężczyzna był średniego wieku, o ostrych rysach twarzy i chytrych, małych oczkach łasicy. Cała trójka przyglądała się Torze wygłodniałym wzrokiem.

Odkładając na bok swą odwagę, miał wystarczająco dużo rozsądku, by nie zaczynać burdy w tym miejscu. Którykolwiek z gości mógł niespodziewanie dołączyć się do bójki i ugodzić go nożem w plecy. Spróbował przechwałek.

116

– Jeśli nie w smak wam moje towarzystwo, śmiecie – powiedział szyderczym tonem, na pół wstając – wyjdźmy na zewnątrz, a sprawię, że pożałujecie, żeście oderwali się od matczynych cycków.

Olbrzym sięgnął do rękawa i wyciągnął z niego duży nóż. Obliznął wargi. – Mogę go trochę połaskotać, szefie? – spytał proszą-

co cieniem głosem. Włosy na karku Tory stanęły dęba.

Oszpecony mężczyzna uderzył wielkoluda w ucho, nie odrywając od Tory wzroku. Olbrzym zaskomlał i schował nóż.

– Widzieliśmy, jak wzięłeś nasze pieniądze od sprzedawcy ciastek – powiedział beznamiętnym tonem. – Nie pozwalamy nieznajomym wchodzić na nasze terytorium i brać bezkarnie to, co należy do nas.

A więc o to chodziło. Pieniądze za ochronę. Te zbiry zbierały od drobnych kupców złoto i srebro, grożąc im, przetrzepując skórę albo robiąc coś znacznie gorszego. Sprzedawca musiał wziąć Torę za członka bandy i napisał mu tym samym poważnych kłopotów. Nawet jeśli odda teraz sztabki, nie puszczą go wolno w jednym kawałku. Jediną szansą było szybkie i zdecydowane działanie.

Znając sposób walki ulicznych rzezimieszków, Tora zaatakował

nagle prawą dłoń. Knykcie zaciśniętej pięści wylądowały w samym środku twarzy niskiego mężczyzny. Wstał szybko i kopnął brzydala w brzuch. Ograniczony wielkolud spróbował dźwignąć się do góry, lecz stracił równowagę. Nim zdążył pomyśleć i chwycić za nóż, Tora kopnął go z całych sił w głowę. Idiota wykrzywił usta i zaczął płakać jak dziecko, któremu stała się krzywda. Mały mężczyzna leżał obok bez ruchu, lecz herszt podniósł się z podłogi i powoli się zbliżał, trzymając w każdej dłoni po jednym nożu.

Nożownicy, którzy umieli posługiwać się dwoma ostrzami naraz, byli najgroźniejsi. Cofnął się, dostrzegł drewniany stołek i

chwycił go, by mieć ochronę przed ciosami. Wciąż rozglądał się po pomieszczeniu, szukając jakiejś broni, lecz gospoda była pusta, nie znalazł nawet kija od miotły.

Zbir zaatakował, a Tora się uchylił, zablokował jedno pchnięcie stołkiem i wygiął ciało, próbując chwycić dłoń trzymającą drugi nóż. Szanse nie były równe i nie sądził, że wyjdzie z tej bójki cało. Miał zamiar wziąć nogi za pas, gdy ktoś podał mu bambusowy kij.

Chwycił go wolną dłoń i natychmiast zaatakował. Mężczyzna z bliznami zaklął, gdy jeden z noży potoczył się po klepisku.

Jego prawe ramię zwisało bezwładnie. Mimo bólu natarł raz jeszcze, źrenice rozszerzyły mu się z wściekłości, blizna biegną-

ca od grzywki po koniuszek nosa zrobiła się krwisto czerwona.

Dziki, oszalałe zwierzę, przemknęło Torze przez głowę.

Chłopak upuścił stołek i chwycił kij dwoma rękoma. Wreszcie poczuł się pewnie. Bolesne uderzenie wylądowało na głowie napastnika, a kolejne szybkie pchnięcie trafiło go w brzuch. To-ra wytrącił mu drugi nóż i przyparł rabusia do ściany bambusowym kijem.

Goście poczęli głośno wiwatować. Tora, dysząc ciężko, przytknął koniec kija do tchawicy nożownika i rozejrzał się dookoła.

To, co zobaczył, omal nie sprawiło, że wypuścił z rąk broń.

Na ziemi leżał rozciągnięty olbrzym, a na jego potężnych plecach siedział przysadzisty mężczyzna o mocno opalonej twarzy otoczonej szarawym zarostem i siwymi, gęstymi włosami. Jego oczy mrugały do Tora z rozbawieniem, a uśmiech odsłaniał

ubytki w przednim uzębieniu.

– Hito! – Tora wydał stłumiony okrzyk zdziwienia. – Co, u diabła, tu robisz?

Mężczyzna roześmiał się głośno. – Cieszę się, że znalazłem cię w porę, mały bracie. Właśnie przechodziłem obok, gdy zdało mi się, że słyszę twój głos.

118

Drab z blizną zaczął się dusić, jego twarz nabrała purpurowego odcienia. Tora zmniejszył nacisk. – Idź po jakąś linę – powiedział gospodarzowi, który wykręcał dłonie, wybałuszając na wierzch oczy.

– Co z nimi zrobisz? – spytał Hidesato.

Tora zastanowił się przez chwilę. – Wydam ich władzom?

Wszyscy goście odetchnęli ciężko. Kilku poczęło przesuwac się w stronę drzwi. – Tylko nie władzom! – zakrzyknął gospodarz, wracając z długą liną. – Sami się nimi zajmujemy.

Nim Tora i Hidesato usiedli, by wypić za to niespodziewane spotkanie, związali wpierw dokładnie trzech zbirów.

– Dobrze ci się działo? – spytał Tora, wpatrując się w siwą szczecinę przyjaciela.

Ten wykrzywił w grymasie twarz. – Opuściłem wojsko miesiąc po tobie. Włóczę się od tej pory to tu, to tam, najmuję się ludziom, którzy mają więcej złota niż odwagi.

Tłusty gospodarz krzątał się dookoła, przynosząc im duży dzban wina, dwie misy zupy i talerz ryżu z warzywami. – Na koszt zakładu – powiedział z rozbajającym uśmiechem.

– Najmocniej dziękujemy – odparł Tora, unosząc w górę czarkę wina. – Witaj, starszy bracie! – rzekł. – Me serce się raduje, że cię widzi. Tylko poczekaj, aż powiem ci, co mi się przytrafiło.

Hidesato pociągnął łyk zupy i ruchem głowy wskazał na ubranie chłopaka. – Wyglądasz całkiem przyzwoicie.

– Nawet bardziej niż przyzwoicie. Jestem pomocnikiem do specjalnych poruczeń... – przerwał i nachylił się nad przyjacielem, szepcząc mu do ucha.

Mężczyzna wpatrywał się w Torę z niedowierzaniem, po czym uniósł czarkę i powiedział szyderczo: – Gratuluję. – A odwracając się do gospodarza, zagaił: – Popraw mnie, jeśli jestem w błędzie, lecz wydaje mi się, że podobnie jak my nie darzycie tych ludzi sympatią.

– Tych drani! – Gospodarz splunął w stronę skrępowanych zbirów.

– Opłacałem się małej łasicy i jego idiocie od lat, a gdy dołączył

do nich ten szkaradny diabeł, oddałem im małą fortunę. Poniewierają każdym klientem, gdy tylko się zjawia. Chętnie zobaczyłbym, jak odzierają ich żywcem ze skóry, ale w tych okolicach nie zawieramy zbyt wiele władzom.

– Wymuszali od sprzedawców pieniądze – wyjaśnił Tora. Hidesato uniósł brew. – Naprawdę? Istny gang.

– Poborczy podatkowi – zakrzyknął jakiś wesolek. – Biorą od biedaków, tak jak te przeklęte psy, którymi szczuje nas gubernator.

Oczy wszystkich zwróciły się w stronę Tory, zapadła krępująca cisza.

Hidesato wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Chłopak przeklął w duchu swoją niebieską szatę. – Jestem tu tylko gościem – wyjaśnił. – Za swoją pracę dostaję taką jak i wy zapłatę. Ale jeśli puścimy tych drani wolno, wrócą tu, by się zemścić.

Gospodarz pobladł na twarzy. – Masz rację. Zabijmy ich – zdecydował.

– Wtedy na pewną zjawia się tu władze – stwierdził Tora. Tłu-

ścioch wytoczył się zza lady, niosąc w rękach ciężki gliniany dzban. Sięgnąwszy do jego wnętrza, wyciągnął dziesięć sztuk srebra.

– Macie – powiedział, odliczając pięć sztuk dla Tory i pięć dla Hidesato. – Będzie wasze, jeśli się ich pozbędziecie.

– Nie – rzekł stanowczo chłopak, odpychając od siebie srebro.

– Dalej! Szybkie pchnięcie nożem i po sprawie. Pomożemy wam później z ciałami. Nikt za nimi nie zatęskni, a wy będziecie daleko stąd, zanim ktoś się zorientuje, że ich nie ma.

– Powiedziałem nie – powtórzył twardo Tora. – Nie jesteśmy 120

płatnymi zabójcami.

Hidesato popatrzył na niego uważnie, po czym wstał, by przyjrzeć się trzem bandytom. – Znasz ich imiona? – spytał gospodarza.

Ten splunął i powiedział: – Ścierwo. Ten wielki potwór to Yushi. Pewien człowiek opowiadał kiedyś, że widział, jak ten niedorozwój wybebeszał szczeniaka. Pracował dla tego chudego dziada,

Jubei. Ten z kolei był alfonsem stręczącym żołnierzom dziewczyny, dopóki ci nie dowiedzieli się, że uczy je, jak mają ich naciągać i okradać. Stłukli go na krwawą miazgę i powiedzieli, by trzymał się z dala od tego interesu. Wtedy to zajął się wymuszaniem. Kilka tygodni temu pojawił się ten brzydal. Wo-

łamy na niego Blizna. Nikt nie zna jego prawdziwego imienia.

– Powinni zgnić w więzieniu – powiedział Tora.

– Przypuśćmy, że mój przypominający bardzo urzędnika przyjaciel – zaczął Hidesato, wskazując na Torę – powie władzom, że ta trójka zbirów go napadła, co zresztą jest zgodne z prawdą.

Wy powiecie, że nie wiecie dokładnie, co zaszło. Posterunkowi zaaresztują ich i zamkną w areszcie do następnej sesji sądu. Jeśli nikt nie będzie przeciwko nim świadczył, magistrat puści ich wolno, ale nie będą was nachodzić z obawy, iż możecie zezna-wać. Kto wie, może przeniosą się nawet do innej prowincji.

Goście zastanawiali się chwilkę i przyklasnęli pomysłowi. Po jakimś czasie do gospody weszli posterunkowi i wysłuchawszy opowieści Tory oddalili się z więźniami.

Chłopak odetchnął z wyraźną ulgą. Miał zamiar zaproponować przyjacielowi nocleg w swoich pokojach, by mogli powspomi-nać stare dzieje, lecz gdy rozejrzał się po pomieszczeniu, Hidesato już w nim nie było. Zniknął bez słowa pożegnania.

Wdowa

Akitada, ubrany w schludną szatę i noszący na głowie urzędniczą czapkę, zapukał po raz drugi tego dnia do bram posiadłości Tachibanów. Do tej pory wieść o śmierci byłego gubernatora rozeszła się już po mieście i grupka ciekawskich gapiów przyglądała się Akitadzie. Tym razem nie musiał czekać długo, Junjiro ubrany w szatę utkaną z konopnego włókna – odpowiednią dla służby oplakującej utratę pana – wpuścił go do środka. Próbował nieudolnie maskować radość z roli, jaka mu przypadła. Gdy zobaczył inspektora, wyprostował się, skrzyżował ramiona na piersi i uklonił się nisko. Wysokim, przenikliwym głosem zakrzyknął: – Witaj. Ta skromna chata jest zaszczycona, mogąc gościć łaskawą osobę waszej wysokości.

Gapie sterczący na ulicy wybuchnęli śmiechem. Akitada wszedł

pośpiesznie do środka. – Cśśś! – uciszył chłopca. – Zamknij bramę. Junjiro usłuchał. – Powiedziałem coś nie tak, jak trzeba?

– Dokładnie. Tylko twój pan i twoja pani mogą mówić w ten sposób o swoim domu. A jeśli musisz zwracać się do mnie jakimś tytułem, wystarczy, że powiesz ekscelencjo.

– Jestem wdzięczny za twoje rady, wasza ekscelencjo – odparł

Junjiro, po czym zepsuł całe wrażenie, jakie chciał wywołać, dodając z szerokim uśmiechem: – Ominęła cię cała zabawa.

Łysole zawodzące i podskakujące na bosaka, słudzy wrzeszczą-

cy i rwący włosy z głów. Przypominali worki na fasolę w tych konopnych strojach. – Chwycił za poły swej szaty i wykrzywił z niesmakiem twarz. – A na zewnątrz – każdy próbuje się dowiedzieć, co też dzieje się w środku. Zupełnie jak przy święcie *bon*.

– Czy nie rozpaczasz po śmierci pana? – spytał Akitada zasko-122

czony taką nieczułością.

– Będę miał na to wystarczająco dużo czasu, gdy pani wypędzi nas z domu – odparł chłopak. – Lubię jedzenie.

Inspektor otworzył usta, lecz rozmyślił się i zażądał: – Zaprowadź mnie do niej.

– Siedzi tam przy zwłokach razem z mnichami – powiedział

Junjiro, wskazując główny budynek.

Stłumione dźwięki buddyjskich śpiewów dobiegały od strony pawilonu. Na werandzie chłopak pomógł inspektorowi zdjąć drewniane sandały, po czym otworzył drzwi.

Zapach kadzidła przytłoczył Akitadę. Pieśni falowały z jednej w drugą stronę zaciemnionego

pomieszczenia niczym przypływ, przyciągane miarowym biciem małych mosiężnych dzwoneczków, dobiegającym z przeciwległego krańca sali. Fale dźwię-

ków płynęły i pulsowały wraz z rytmicznym dudnieniem bębenków. Ledwie mógł rozróżnić kształty przez kłęby dymu, który wisiał nisko, spowijając siedzące postacie mnichów odzianych w żółte szaty, klęczących służących ubranych w jasne konopne koszule i gości, którzy założyli odświętne, ciemniejsze stroje.

Wszyscy siedzieli odwróceny do wejścia plecami w absolutnym bezruchu, wyrażając w ten sposób swój szacunek dla zmarłego.

Smugi kadzidlanej mgły unosiły się przy stojących lampach, obrysowując każdy płomień aureolą dymu i światła.

Silny zapach palonego aloesu i drzewa sandałowego sprawił, że oczy wezbrały mu łzami, a nos począł go piec niemiłosiernie.

Zmrużył oczy i dojrzał pomiędzy migoczącymi świecami po-grzebowy palankin, a w nim owinięte całunem ciało zmarłego, siedzące niczym bóstwo, które silne ramiona wiernych poniosą za chwilę w procesji.

Za palankinem ustawiono parawan, u którego podstawy dojrzał rękaw. Wdowa.

Zdając sobie nagle sprawę, iż widzi go bez przeszkód zza dREW-123

nianej kratki, Akitada podszedł do palankinu, uklonił się i usiadł

na tyle blisko parawanu, na ile pozwalała jego śmiałość.

Wreszcie lepiej widział mnichów i żałobników. Słudzy, zaledwie piątka, siedzieli stłoczeni przy Sato. Nie wyglądali na smutnych, ale raczej na przestraszonych. Twarze gości, samych męż-

czyn, których inspektor nie znał, zdradzały identyczne uczucia

– woleliby być w tym momencie gdzie indziej. Gdzie byli przyjaciele pana Tachibany? Czy przeżył wszystkich? Gdzie podziewały się przyjaciółki wdowy?

Biedna dziewczyna! Nie miała własnej rodziny, a była zbyt młoda i zbyt nieśmiała, by zaprzyjaźnić się z paniami z tutejszych dobrych rodzin. Współczując jej z całego serca, spojrzął

na parawan. Wydawało mu się, że usłyszał stłumiony szloch, lecz nie był pewien, gdyż dźwięk utonął zaraz w powodzi brzę-

ków mosiężnych dzwoneczków.

Dzierżący je mnich był młody. Jego ruchy wydały się Akitadzie emfaticzne, może nawet aż nadto przesadzone. Dzwonkom towarzyszyło nierówne bicie w bębny i inspektor, choć nie był

znawcą buddyjskiego ceremoniału, stwierdził, że śpiewy cierpią z powodu braku należytych ćwiczeń. Zdziwiło go to i przyjrzał

się uważniej twarzom mnichów. Niemal wszyscy byli młodzi, na ich twarzach rysowała się nuda i poczucie własnej ważności.

Przypominali mu młodych rekrutów, którzy dostali się do cesarskiej gwardii. Widział ich, jak wychodzą na swą pierwszą w życiu defiladę w *Daidairi*, samym sercu cesarskiej administracji, nie będąc pewni, czy ta nominacja im schlebia, czy też jest obrazą. W twarzach zawodzących przy zwłokach młodych ludzi nie było niczego, co przypominałoby mnichów. Przynajmniej nie byli tak odpychający ani nie zachowywali się tak nagannie jak ci, których widzieli na rynku pierwszego dnia. Nie wydawali się też zdolni do takiego zachowania jak dwójka, która chciała uprowadzić niemowę Tory. Być może ich miny i brak wprawy 124

w śpiewie były typowe dla nowicjuszy.

Jego myśli pobiegły w kierunku przyjaciela, Tasuku musi być już takim samym nowicjuszem, może w tej właśnie chwili też wyśpiewuje sutry. Pomyślał, iż tylko wielka osobista tragedia mogła sprawić, że człowiek taki jak Tasuku zrezygnował za-równo ze swoich przyjemności, jak i ze świetnie zapowiadającej się kariery.

Tym razem był pewien, że usłyszał dobiegające zza parawanu westchnienie. Gdy odwrócił się w jego stronę, rękaw zadrżał

odrobinę. Ukłonił się, swym spojrzeniem starając się wyrazić współczucie.

Jedwab zaszeleścił. Rękaw zniknął nagle za parawanem, po czym Akitada usłyszał kolejny szelest, a po nim cichy odgłos przesuwanych i zamykanych drzwi. Poczul się dziwnie samotny. Zawstydzony skupił uwagę na ceremonii.

Ledwie dostrzegł zasłonięty zarys ciała zmarłego. Wydało mu się skurczone i niemal niematerialne. Musieli połamać jego członki, by zgodnie ze zwyczajem umieścić go w palankinie w pozycji siedzącej. Zwłoki już sztywniały, gdy je znalazł. Starzec, którego żywot gwałtownie dobiegł końca. Akitada przypomniał sobie wychudzoną i zniszczoną wiekiem dłoń pana Tachibany zataczającą kręgi na wzorach niebieskiej jedwabnej szaty, którą miał na sobie podczas kolacji u gubernatora. Następnego ranka ubrany był w inny strój. Co też robił, gdy wrócił

do domu? Położył się spać, by później wstać, ubrać się i iść na spotkanie ze śmiercią? Kiedy zginął? Czy zbudził go bądź zaniepokoił ktoś lub może coś? Gdzie się udał? Z pewnością nie dokonał żywota w pracowni. Było w niej za mało krwi. I tylko jeden zielonkawy odłamek, który znalazł we włosach ofiary.

Inspektor zastanowił się nad narzędziem zbrodni. Czymkolwiek było, musiało być wykonane z

glazurowanej gliny, gdyż pękło lub potłukło się przy uderzeniu. Nie, w ten sposób do niczego 125

nie dojdę, pomyślał zrezygnowany. Lepiej skupić się na motywie.

Jeśli Tachibana zginął, by nie doszło do skutku jego spotkanie z inspektorem, niezapowiedzianą nocną wizytę złożył mu ktoś z gości gubernatora Motosuke. Bądź też nasłał zabójcę. Raz jeszcze Akitada zastanowił się i pomyślał o wszystkim, co wie na temat każdego z mężczyzn. Motosuke, główny podejrzany w sprawie kradzieży podatków, nic nie zyskiwał, zabijając staruszkę dopiero teraz. Miał zostać teściem samego cesarza. Chyba że obawiał się, iż inspektorowi i Tachibanie uda się zmienić decyzję cesarza, lecz takie wyjaśnienie zupełnie nie przekonywało Akitady.

Yukinari coś ukrywał. Młody kapitan pojawił się na miejscu zbrodni w dogodnym momencie. Cóż tam robił? Skoro do morderstwa doszło w nocy, morderca mógłby chcieć sprawdzić w świetle dnia, przed wizytą inspektora, czy też czegoś nie przeoczył. Wczesne przybycie Akitady mogło zaskoczyć i pokrzy-

żować mu szyki, a Yukinari wydał mu się zdenerwowany. Przypomniawszy sobie, że na kolacji młody kapitan zachowywał się dziwnie. W jakiś sposób musi być związany zarówno z Motosuke, jak i z Tachibana. Być może jest to związek, który jest dla niego wstydlivy i uciążliwy.

A co z Joto? Inspektor popatrzył na śpiewających mnichów i po raz pierwszy dojrzał pośród nich starszego mężczyznę. Gdy wpatrywał się w niego, mężczyzna uniósł powieki i odwzajemnił spojrzenie. Przez jego twarz przemknął dziwny grymas, po czym mnich uniósł dłoń w geście modlącego się Buddy i spuścił

wzrok. Dziwne! Wszystko, co dotyczyło Joto i jego mnichów, wydawało się dziwne. Czy przełożony klasztoru wysłał jednego ze swych podopiecznych, by pozbyć się w ten sposób kłopotliwego starszego pana? Bardzo możliwe. Łajdacko zachowujący się mnisi, których widział na rynku, byłiby do tego zdolni. Za-126

decydował, że przyjrzy się bliżej i uważniej bogactwu świątyni.

Został jeszcze Ikeda, który uparcie twierdził, iż był to wypadek, choć trening i doświadczenie powinny mu podpowiedzieć, że Tachibana został zamordowany. Wyjaśnienie Seimei, iż prefekt był ledwie prowincjonalnym głupkiem, kłóciło się z jego znajomością tutejszych praw i rozporządzeń, które zwykł nieustannie cytować. Ikeda wydawał się jednak człowiekiem pozbawionym ikry, zbyt powściągliwym, by zaplanować tak dużą sprawę i za nią stać.

Akitada począł się wiercić. Było mu zimno, jego członki poczę-

ły drętwieć, a plecy boleć. Jak długo jeszcze to potrwa? Chciał

złożyć kondolencje wdowie, temu dziecku pozostawionemu samemu pośród służby, która żywiła do niej urazę. Jak wiedział, nie miała nikogo, na kim mogłaby polegać. Prócz starej niańki.

Żadnych krewnych, żadnego męskiego opiekuna, nawet jednej przyjaciółki pośród kobiet swojej klasy. Czy ktoś ją odwiedził?

Yukinari? Ikeda? Motosuke? Tak młode dziewczę wiedziało z pewnością niewiele o doglądaniu domostwa. Wyobraził ją sobie opuszczoną przez służących, skuloną ze strachu na środku tej dużej, ciemnej, pustej sali, bez jedzenia, bez wody do picia. A wokół niej krążyły wygłodniałe szczury, gotowe do ataku...

Ktoś chwycił go za rękaw i pociągnął silnie do tyłu.

Była to jedna ze służących – wysoka, dobrze zbudowana kobieta w średnim wieku. Klęczała przy nim, wpatrując się w niego oczami przypominającymi dwie ciemne pestki tkwiące w dużym cieście.

– Moja pani prosi jaśnie wielmożnego pana o poświęcenie jej chwili swej cennej uwagi – powiedziała szorstko szeptem, ro-niąc przy tym kropelki śliny.

A więc tak wygląda niańka, pomyślał Akitada. Przykładając do twarzy dłoń, powstał. W zeszywniałych z zimna stopach poczuł

wpierw mrowienie, a potem ból. Podążył za służącą i wyszli z 127

głównej sali.

Wyprostowana niańka była niemal równie wysoka, co inspektor.

Wydała się Akitadzie olbrzymką. Szła przy nim, sadząc długie kroki. Przeszli przez kilka zaciemnionych korytarzy, stąpając po drewnianych podłogach, które wyglądem i dotykiem przypominały tafłę czarnego lodu. Przed oczami migwały mu wnętrza kolejnych pokoi, skąpo, lecz elegancko umeblowanych. W jednym zauważył pięknie ozdobiony kaligrafią zwój, w drugim fajansową donicę, w której zasadzono miniaturową sosnę o pięknym kształcie.

Gdy potężna kobieta otworzyła wreszcie na oścież drzwi do komnat swej pani, Akitada zmrużył oczy. Niezliczone świece i latarnie oświetlały dziwną scenerię, która właściwsza była raczej chińskiemu pałacowi niż japońskiej willi. Krokwie nad głową inspektora polakierowane były na jaskrawoczerwony i zielony kolor. Pokój zdawał się wypełniony stojakami, na któ-

rych wisały bogato zdobione szaty i ozdobione wytłaczanym wzorem zasłony. Pod jedną ze ścian stały rzeźbione i pokryte laką stoły, zdobne skórzane kufry na ubrania i stoliki do parzenia herbaty wykonane z plecionego bambusa, na których stały maleńkie czarki – podobne widział kiedyś w stolicy w sklepie chińskiego kupca. Gdy wszedł do pomieszczenia, poczuł pod stopami miękkość, grzejącą i pieszczącą stopy bardziej niż maty wykonane z morskiej trawy. Schylił głowę i zobaczył rzecz, którą rzadko można było spotkać – chiński dywan ozdobiony wzorem kolorowych kwiatów i motyli. Nawet rozsuwane drzwi wykonane były z pokrytej laką drewnianej kraty, a ozdobiły je rysunki naniesione na papier. Najbliższe mu zamknęły się szybko i został sam na sam z wdową.

Jeśli pokój, który zobaczył, zaparł mu dech w piersiach, to pani, która po niego posłała, oczarowała jego oczy. Siedziała na podium wystarczająco wysokim dla księżniczki z cesarskiego ro-128

du. Parawan, który wedle etykiety powinien zasłaniać wysoko urodzoną damę przed wzrokiem

męskich gości, był niewielki i niski. Stojąc przy drzwiach, widział niemal całą jej postać.

Narzuciła na żałobne szaty kolorową suknię ozdobioną haftowanymi wzorami kwiatu śliwy na błękitnoniebieskim tle. Jej włosy otaczały blady owal twarzy i opadały na wąskie ramiona niczym czarna laka. Patrzyła na niego dużymi proszącymi oczami, rozchyliła delikatne wargi. Akitada wpatrywał się we wdowę, oczarowany jej pięknem. Zarumieniła się i zasłoniła twarz kunsztownie zdobionym wachlarzem.

– To bardzo miło z twojej strony, że mnie odwiedziłeś – powiedziała i ukłoniła się lekko. – Proszę, usiądź koło mnie, panie.

Zbliżył się i usiadł na poduszce na tyle najbliżej podwyższenia, na ile się ośmielił. – Choć dopiero niedawno miałem zaszczyt poznać twego męża, wydaje mi się, że z biegiem czasu obdarzy-

łbym go wielkim szacunkiem i poważaniem. Przyszedłem, by wyrazić swój smutek z powodu jego odejścia – rzekł delikatnie.

– Dziękuję. – Westchnęła i zamilkła. – Nienawidzę mnichów –

wykrzyknęła nagle. – A kadzidło przyprawia mnie o mdłości.

Źle się poczułam, siedząc tam przez godziny, słysząc tylko zawodzące głosy, dzwonki i bębny. I jeszcze ten okropny zapach. Chciałam umrzeć.

Serce inspektora załomotało w piersi. Młoda wdowa po panu Tachibanie nie była wyrafinowaną kobietą, po której można by się było spodziewać, że podoła rygorom wystawionej na publiczny widok żałoby. Była zaledwie dzieckiem, zbyt młodym, by pojąć znaczenie rytuału, zbyt słabym, gdyż brakowało jej hartu ducha, którym szczycą się starsze kobiety.

– Rozumiem, że musi ci być teraz ciężko – powiedział łagodnie.

– Jeśli mogę w czymś pomóc?

– Proszę, czy mógłbyś odwiedzać mnie częściej? By porozmawiać, tak jak teraz. Jest tu tak pusto, odkąd... – Nie mogła wy-

dobyć z siebie głosu.

Akitada nie wiedział, jak ma zareagować.

– Och! – zakrzyknęła. – Wybacz mi. Zapewne myślisz, że jestem okropną kobietą. Jesteś kimś ważnym, nieprawdaż? Przysłałym z samej stolicy. Nie powinnam pytać o takie rzeczy.

– O, nie szkodzi, zupełnie nie szkodzi. – Akitada skoczył na głęboką wodę. – Z chęcią będę ci składał wizyty. Codziennie, jeśli tylko wyrazisz zgodę. Czuję się zaszczycony okazywanym zaufaniem.

Odetchnęła cicho z ulgą. Drobną dłoń wypełzła spod fałd szaty.

Wpatrywał się w nią w bezruchu. Dotykanie kobiety niebędącej członkiem własnego rodu było surowo zabronione, lecz dłoń kobiety, właściwie dłoń małego dziecka, mniejsza niż dłoń jego młodszej siostry, była tak drobniutka i przejmująco bezradna.

Może i była wdową po panu Tachibanie, lecz była również dziewczynką, niewiele różniącą się od jego siostry, choć w przeciwieństwie do niej nie miała na tym świecie nikogo, a straszliwie potrzebowała otuchy, kogoś, kto choć przez chwilę będzie jej bratem bądź ojcem, których nie miała. Pochylił się i ujął jej dłoń w swoje dłonie. Była okropnie zimna, ścisnęła jego ciepłe palce z zapalem.

– Twoje dłonie są tak ciepłe – wyszeptała. – Przemarzałam prawie do szpiku, siedząc tam przez tyle godzin.

Akitada poczuł się głupio, siedząc z nią ponownie sam na sam.

– Może powinienem zawołać twą nianię? – zaproponował. –

Przyniesie ci coś do okrycia.

– Nie, proszę nie. – Jej palce zacisnęły się wokół jego palców.

– Robi zbyt wiele hałasu o nic.

– Może będę ci zatem pomocny w bardziej praktyczny sposób?

Pobierałem prawne nauki, a przy dokumentach zmarłego będzie z pewnością dużo pracy. Czy pan Tachibana wyznaczył wyko-nawcę testamentu?

130

Jej dłoń zadrżała. – Nie wiem, o czym mówisz – odparła. – Nie znam się na tych rzeczach. Nikt nie złożył mi wizyty.

– Nikt? To dziwne. – Poruszył delikatnie palcami, próbując uwolnić się z jej uścisku. Ścisnęła raz jeszcze jego dłoń, nim ją puściła i cofnęła swoją. Ku swemu przerażeniu usłyszał dobiegający zza parawanu szloch.

– Przykro mi – rzekł, a szloch przeszedł w płacz. – Nie musisz ronić łez – dodał proszącym tonem. – Wszystko będzie w po-rządku. Sama zobaczysz. Jesteś młoda i piękna. Życie znów będzie pełne radości.

– Nie – załkała. – Nikt mnie już nie zechce. Żałuję, że też nie umarłam.

Akitada wstał. Zobaczył jej błyszczące włosy i smukłe kształty zakryte kolorowymi jedwabiami, jej wąskie ramiona i plecy unoszące się i opadające z powodu płaczu, i dwie drobne stopki ubrane w białe skarpety ocierające się nerwowo o siebie. Przesunął na bok parawan, uklęknął i przytulił ją do siebie, tak jak przytula się płaczące dziecko. Głaszcząc ją po plecach i szepcząc słowa pocieszenia,

zanurzył twarz w pachnących włosach.

Chwyliła go i przycisnęła się niczym zrozpaczone, zagubione dziecko.

– Ahem! – ostry, zachrypnięty głos rozdarł ciszę i zakończył

próby pocieszenia wdowy. Nad nimi górowała ogromna postać niańki, jej nieprzyjemną twarz wykrzywiały grymas dezaprobaty.

Akitada puścił płaczącą dziewczynę i wstał szybko. – O, świetnie. Dobrze, że jesteś – rzekł. – Twoja pani cię potrzebuje.

Wielce rozpacza i, eee... , jest jej zimno. Przynieś tu palenisko.

Albo lepiej coś ciepłego do picia! – Świadom tego, że plecie trzy po trzy, odsunął się na bok.

Kobieta chrząknęła z niezadowoleniem i minęła go, by ustawić na właściwym miejscu parawan. Wymieniła z wdową kilka zdań szeptem, po czym powiedziała ostrym tonem: – Ona potrzebuje 131

odpoczynku. Przyjdź jutro.

Inspektor odwrócił się i wyszedł.

– Nie, zaczekaj – krzyknęła za nim dziewczyna.

Zatrzymał się. Bojąc się spojrzeć na nią wpatrywał się w drugi koniec pokoju, na zwój, na którym wymalowane były tańczące żurawie, wiszący pomiędzy dwoma rzeźbionymi stolikami. Na jednym z nich stała zielonkawa waza o cienkiej szyjce, najpewniej chińskiego pochodzenia.

– Czy to prawda, że mój mąż zaprosił cię do siebie?

– Tak, pani Tachibana. Liczyłem na to, że lepiej go poznam.

– Czy chciał się spotkać z określonego powodu? Być może obiecał, że coś ci pokaże bądź o czymś opowie?

Akitada zawahał się i nie odpowiedział od razu. – Nie, nie sędzę

– odrzekł. – Czemu pytasz?

– Och, pomyślałam tylko, że gdybym wiedziała, o co chodziło, być może mogłabym pomóc ci to odszukać.

Inspektor pomyślał o pudłach na dokumenty stojących na pół-

kach w pracowni. – Twój mąż mówił o historii, nad którą pracował. Zainteresowało mnie to i chciałem ją zobaczyć.

– Nie krępuj się zatem. Dokumenty z pracowni są do twojej dyspozycji.

– Dziękuję, pani Tachibana. To bardzo miłe z pani strony. –

Wciąż unikając spojrzenia na nią ukłonił się i opuścił pokój.

W ślad za nim podążyła niańka, odchrząkując donośnie, gdy drzwi się zamknęły.

Popatrzył na nią pytająco. Rzeczywiście, maniery tej kobiety dalekie były od właściwych. Szły chyba w parze z jej nieprzyjemnym wyglądem. – Tak? – spytał.

– To tylko dziecko – rzekła kobieta oskarżycielskim tonem. –

Potrzebuje opieki, a nie przykrości.

– Zaoferowałem swą pomoc przy porządkowaniu dokumentów zmarłego – wyjaśnił inspektor. – Czy to prawda, że nie ma ni-

kogo, kto zająłby się testamentem?

– Prawda. I nic dziwnego! Ciągle z nosem w księgach. Nie go-

ścił nikogo w domu. Gdy nie siedział w pracowni, trwonił czas przy roślinach i skałach w ogrodzie. Częściej karmił ryby, niż rozmawiał ze swoją żoną. Biedne dziecko.

– Rzeczywiście, jest bardzo młoda – westchnął Akitada. Potężną niańkę można było pochwalić za czułość, z jaką dbała o swoją panią. Choć krytyka pana była już nie na miejscu.

– Ma zaledwie siedemnaście lat. Minionego lata odwiedzał ją czasem ten młody kapitan. Ach, jakże młoda pani śmiała się z jego dowcipów i opowieści. Była wtedy inną osobą. Lecz pan nie zezwolił. Odstraszył go, ot co.

– Kapitan Yukinari?

– Ten sam. A teraz nawet się do niej nie odezwie – dodała.

To tłumaczyłoby reakcję oficera na propozycję Akitady, by zło-

żył wdowie wizytę. Nagle stanął mu przed oczami obraz pana Tachibany – zadurzonego starca trzymającego to piękne dziecko w zamknięciu, otaczającego je zbytkiem i odpędzającego potencjalnych rywali w napadach szaleńczej zazdrości. Ta myśl zrodziła kolejną.

– Czy twój pan ostatniej nocy, zaraz po kolacji u gubernatora, odwiedził pokoje żony? – spytał.

Coś zamigotało w jej małych oczkach, po czym służąca wyprostowała się jak struna. – Nie rozmawiam o prywatnych sprawach z nieznanymi.

Akitada zarumienił się wbrew woli. – Nie bądź śmieszna, kobieto – warknął. – Już niedługo prefekt zada ci to samo pytanie.

Tak postępuje się, gdy bada się przypadki nagłych zgonów.

Chcę tylko wiedzieć, czy pan Tachibana wspomniał swojej małżonce o mojej wizycie.

Popatrzyła na niego podejrzliwie i powiedziała obrażonym tonem.

133

– Nie wiem. Spałam już. – A po chwili namysłu dodała: – Pan rzadko odwiedzał pokoje pani. Różnica wieku sprawiała, że był

dla niej prawie ojcem, o biedny kwiatusek. Teraz nie ma nikogo prócz mnie. Służba tego domu to sami kłamcy i złodzieje, lecz nasz pan zawsze chronił młodą panią. Och, co z nami teraz będzie? – Uniosła rękaw do twarzy i sapnęła ciężko.

– Nie zostaniecie bez opieki – rzekł szybko i odszedł. Przeszedł

przez główną salę, w której wciąż rozbrzmiewały śpiewy mnichów i wyszedł na zewnątrz. Promienie słońca sprawiły, że zmrużył oczy. Chłodne zimowe powietrze niesło ulgę dla gardła i płuc wypełnionych kadzidlany dymem. Włożywszy na stopy drewniane obuwie, skierował się na dziedziniec i skręcił w stronę pracowni. Gdy doszedł do przecięcia ścieżek, zobaczył

Junjiro pogrążonego w rozmowie z kobietą w średnim wieku.

Dostrzegli go, popatrzyli po sobie i ukłonili się nisko.

– Ta kobieta jest moją matką – wyjaśnił chłopiec. – Pracuje w kuchni i ma ci coś do powiedzenia.

Akitada przypomniał sobie o niechęci, jaką służba darzyła swoją panią. – I co? – spytał szorstko.

– Junjiro powiedział, że muszę opowiedzieć – rzekła nieśmiało kobieta. Miała zwyczajną miłą twarz i z rozpiętą dumą spoglądała na syna. – O szanownym kapitanie, panie. Widziałam go dziś rano, jeszcze przed świtem, jak przechodził obok kuchennego okna. Zapamiętałam dobrze, gdyż akurat wtedy po-myślałam sobie, że moja pani z pewnością ma teraz ochotę na ryżowy kleik. – Jej policzki spąsowiały. – Zawsze ma na niego ochotę po wyjściu kapitana.

Akitadę zamurowało, nie mógł wykonać najmniejszego ruchu, a po głowie goniły mu szaleńczo myśli. – Co masz na myśli? –

zapytał bezmyślnie. – Chcesz powiedzieć, że kapitan złożył pani Tachibana wizytę, zanim ja się tu zjawiłem?

– Było jeszcze ciemno – odparła kobieta. Poczęła się kulić pod 134

jego groźnym, przenikliwym spojrzeniem.

Junjiro objął swą matkę ramieniem. – Proszę, nie mów pani, że ci o tym powiedzieliśmy. Matka nie chciała w ogóle mówić, lecz pomyślałem, że musi. Zwłaszcza teraz, gdy nie ma już z nami pana. Matka raz wspomniała o wizytach kapitana starej Kiku, a ta wypaplała o wszystkim niani. Następnego ranka zjawili się posterunkowi i zabrali starą Kiku, oskarżając ją o kradzież szaty naszej pani. Znaleźli szatę zwiniętą i ukrytą pod po-słaniem. Nie wydaje się nam, by schowała ją tam stara Kiku, lecz pan uwierzył słowom pani.

Historia stawała się z każdym słowem koszmarniejsza. Akitada wpatrywał się w matkę i syna podejrzliwie. Czasem niezadowo-lona służba oskarżała swych bogu ducha winnych panów o straszne czyny. – Jak mogłaś rozpoznać kapitana, skoro było ciemno? – zapytał.

Zatrzęsa się ze strachu, słysząc szorstki ton jego głosu. – Światło z kuchni padało na jego hełm, paniczku. Biegł w kierunku bramy. Zawsze przychodził i odchodził tamtędy.

Inspektor popatrzył nad ich głowami na tylny mur posesji, nie-

świadom tego, że zacisnął pięści tak mocno, iż paznokcie przebiły skórę, a z dłoni poczęły skapywać na ścieżkę krople krwi. –

Powiedz o tym prefektowi, gdy się tu zjawi – odparł.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Akitada odwrócił się i poszedł

w stronę głównej bramy. Zatrzymał się przy stróżówce i zapukał

do jej drzwi. Bez odpowiedzi. Zapukał stanowczo raz jeszcze i wreszcie otworzył mu Sato. Popatrzył na inspektora zapuchnię-

tymi oczyma i poznając go, upadł na kolana. – Wybacz, ekscelencjo – krzyknął, uderzając starczą głową o ziemię. – Musiałem się zdrzemnąć. Tyle się tu teraz dzieje. Ci wszyscy wchodzący i wychodzący mnisi. Przez cały dzień nie zmrużyłem oka.

– Nieważne. Chcę ci zadać kilka pytań. – Inspektor pchnął

drzwi na oścież i wszedł do środka. Wewnątrz dostrzegł tylko 135

zniszczoną matę, siennik i palenisko.

– Ale to nie jest miejsce dla waszej ekscelencji – zaprotestował

Sato, zamykając drzwi. Ukląkł i czekał zaniepokojony.

– Czy prefekt bądź któryś z jego ludzi zabrał ze sobą z pracowni jakieś dokumenty?

– O nie, ekscelencjo. Pilnowałem ich uważnie i zamknąłem pracownię zaraz po ich wyjściu.

– Co robił twój pan, gdy wrócił ostatniej nocy do domu?

– Pewnie udał się na spoczynek. Powiedział mi, że nie będę mu potrzebny, więc położyłem się do łóżka.

– Czy widziałeś go dzisiejszego ranka? Czy zaniósłeś mu poranny posiłek, a może pomagałeś się ubrać?

– Nie, wasza ekscelencjo. Nasz pan był ode mnie znacznie silniejszy. Lubił wstawać przed świtem i nie przerywał mojego snu. Sam parzył sobie poranną herbatę. Mawiał, że jądanie o wczesnej porze źle wpływa na żołądek, a dbał o niego, odkąd zaczął mieszać z nim problemy.

– A więc skąd wiedziałeś, że zastaniemy go w pracowni? Tam mnie przecież prowadziłeś – podniósł nagle głos Akitada.

Sato wzdrygnął się i odpowiedział łamiącym się głosem: – Ale pan zawsze szedł rankiem do swojej pracowni.

– Czy wiedziałeś o tym, że przed moim przybyciem był w domu kapitan Yukinari?

Stary służący zbladł i odwrócił wzrok. – Nie, wasza ekscelencjo.

– Kłamiesz. – Inspektor uderzył pięścią. – To tajemnica, o której wie każdy ze służby. Kapitan miał romans z waszą panią. I to pod samym nosem pana Tachibany. Tego ranka widziano go, jak wychodzi tylną bramą. Zaraz po tym znalazłem zwłoki waszego pana. Mów wszystko, co wiesz o haniebnych rzeczach, które dzieją się pod tym dachem.

Sato zakrzyknął i począł bić czołem o klepisko. – Przebacz temu nic niewartemu wałkoniowi, wasza ekscelencjo. Słyszałem plot-136

ki, lecz nie zwracałem na nie uwagi. Babska paplanina. Myśla-

łem, że kapitan odwiedza pana. Obaj lubili ogrody.

– Czy wpuściłeś go ostatniej nocy bądź tego ranka?

– Och, nie. Przychodził i odchodził bez naszej wiedzy. – Stary sługa wciąż kulił się na ziemi, gdy zaczął się trząść. – Nie mogę być wszędzie naraz – wyjęczał przez szczękające zęby. – A mo-ja pamięć nie jest już taka jak niegdyś, lecz staram się z całych sił robić to, co do mnie należy. Tak dużo mam na głowie.

– Zawiodłeś swego pana, gdy potrzebował cię najbardziej –

rzekł Akitada chłodnym tonem. – Obcy mogą bez przeszkód wejść bądź wyjść przez tylną bramę, gdy ty leżysz tu i śpisz przez cały dzień. Twój pan wciąż by żył, gdybyś robił to, co do ciebie należy, tak

jak należy.

– Wstał, otrzepał z ziemi szatę i wyszedł.

Zza pleców dobiegł go lament Sato. – Ale jak miałem zapobiec upadkowi?

* * *

Akitada wrócił do swoich pokoi, kipiąc ze złości. Odkopnął

sandały na werandę i słysząc dobiegające z wnętrza głosy, wpadł do środka, sądząc, iż to Tora wrócił z informacjami.

Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu zobaczył Seimei popijające-go herbatę w towarzystwie gubernatora.

– A, wreszcie jesteś, Sugawara – rzekł Motosuke. Jego okrągła twarz uśmiechała się szczerze. – Właśnie dostałem kilka zna-komitych wskazówek dotyczących ziołowych lekarstw na moje dolegliwości z plecami. Seimei to istny skarb. Pozostaje ci tylko zazdrościć. Podróżowanie z nim to jak podróżowanie z osobi-stym lekarzem.

Sługa uśmiechnął się znacząco.

– Co cię tu sprowadza, gubernatorze? – spytał szorstko Akitada.

– Czemuś taki posepny, drogi przyjacielu? – odpowiedział pyta-137

niem Motosuke. – Seimei powiedział mi, że skończyliście sprawdzanie mych nudnych dokumentów. Wreszcie będziemy mieli czas na przyjacielską rozmowę o stolicy i tutejszych roz-rywkach. W jakie gry lubisz grywać? Ścigasz się konno? Grasz na instrumentach? Może malujesz? A może masz ochotę poznać jakąś tutejszą urocą i piękną dziewczynę? Ich maniery pozo-stawiają trochę do życzenia, lecz nadrabiają to we właściwy im sposób. – Klasnął dłońmi w kolana i zaśmiał się gromko.

– Nie mam czasu na takie rzeczy – syknął chłodno inspektor.

Być może zdążyłeś już zapomnieć o zaginionych podatkach, gubernatorze. Liczę na twą pomoc w rozwiązaniu tej sprawy.

Motosuke spochmurniał. – Jesteś okropnie poważnym młodzieńcem, zważywszy na twój wiek – odparł, potrząsając smutno głową.

– Będę musiał się do ciebie zwracać „starszy bracie”, choć nie jesteś wiele starszy od mojej córki. Sam chciałbym, byś po-myślnie zakończył to dochodzenie. Ta sprawa plami moje akta.

Lecz obawiam się, że jej wyjaśnienie nie będzie możliwe.

– Co masz na myśli?

– Depesza ze stolicy – odrzekł gubernator, wskazując na zapieczętowaną paczkę stojącą na niskim stoliku. – Podejrzewam, że w twojej znajdziesz to samo, co ja w swojej.

Akitada chwycił paczkę i rozerwał pośpiesznie pieczęć cesarskiego kanclerza. Przebiegając szybko wzrokiem treść depeszy, bladł z każdą sekundą bardziej. Gdy dotarł do końca, list wypadł z jego dłoni.

– Co się stało? – spytał trwożnie Seimei.

– Zostałem wezwany do stolicy – odparł inspektor bezbarwnym głosem.

138

Rozdział 9

Smoczy zwój

Rozchmurz się! No dalej, rozchmurz! – zakrzyknął gubernator, widząc ich posępne twarze. – Już wysłałem do stolicy prośbę, byście mogli wracać razem z moim orszakiem. Będziecie mieli dużo czasu na zwiedzenie miasta i okolic, nim ruszycie do do-mu. Nie musicie już zaprzętać sobie głów tymi kłopotliwymi podatkami. Władze w naszej cesarskiej stolicy, kierując się swą wielką mądrością postanowiły zapomnieć o całej sprawie. –

Zatrzymał się i zastanawiał przez chwilę. – Ciekaw jestem, czemu?

Akitada wpatrywał się w niego z niedowierzaniem. Jeśli Motosuke był wmieszany w kradzież, nie miałoby najmniejszego sensu, by dalej ciągnął swoją grę. A jeśli nie był, niepodobna, by był aż tak tępy. – Podejrzewam, iż uczyniono tak z powodu zaszczytu, jakiego dostąpi twoja córka.

Gubernator popatrzył na inspektora pustym wzrokiem. – A cóż to ma z tym wspólnego? – spytał naiwnie, lecz po chwili zrozumiał, co miał na myśli Akitada i zarumienił się straszliwie.

Patrząc mu prosto w oczy, inspektor powiedział: – Oficjalnie jesteś teraz poza wszelkimi podejrzeniami. – Dostrzegł nagły grymas bólu na owalnej, nawykłej do wygod twarzy, lecz przestał już dbać o uczucia gubernatora.

Motosuke siedział w milczeniu, patrząc spuszczone wzrokiem na swoje dłonie. – Uważasz, że jestem winny – wykrztusił w końcu smutnym głosem. – Wszyscy sądzą że jestem winny. –

Westchnął ciężko.

– Spójrz prawdzie w oczy. Od samego początku podejrzenia padały na ciebie – wyjaśnił inspektor. – Choć twój sekretarz

jako jedyny wierzył niezachwianie w twoją niewinność.

Ku zdziwieniu i zmieszaniu Akitady po policzkach gubernatora pociekły strużki łez. – Poczciwy Akinobu – wyszeptał. – Biedny człowiek. Podejrzenia padają także i na niego. Tylko że przed nim nie ma wspaniałych widoków na dalszą karierę. Muszę zrobić dla niego, co tylko w mojej mocy.

Wbrew swej woli inspektor spytał nagle: – Powiedz mi, co cię podkusiło, by próbować mnie przekupić?

Gubernator uniósł głowę. – Przekupić? Nigdy nie zamierzałem cię przekupywać.

– Jak mam zatem rozumieć dziesięć sztab złota dostarczonych do moich komnat w dniu naszego przybycia?

Gubernator wpatrywał się w niego przerażonym wzrokiem. –

Miały pokryć twoje wydatki. Miałem co do tego dokładne wytyczne. Nie poinformowano cię o tym? Napisał do mnie sam minister. Wyjaśnił, że w pośpiechu, z jakim przygotowywano twoją podróż, zapomniano ci przyznać w stolicy fundusze i że powinienem się tym zająć.

– Och. – Popatrzyli na siebie zawstydzeni. Akitada, świadom, jak bardzo obraził swymi słowami gubernatora, zrozumiał, że wbrew wszelkim regułom sądowej praktyki wyciągnął wnioski, które oparł na błędnym założeniu. Źle ocenił charakter tego człowieka, osądził go z góry.

Motosuke przerwał inspektorowi gorączkowe poszukiwania stosownych przeprosin wybuchem gromkiego śmiechu. – Cóż za poplątana historia! – zakrzyknął rozbawiony. – To dlatego odesłałeś złoto bez słowa wyjaśnienia i patrzyłeś na mnie spode łba za każdym razem, gdy się spotykaliśmy. Ha, ha, ha! A ja myślałem, że jesteś najgorzej na świecie wychowaną osobą.

Zastanawiałem się nawet, czy nie wysłali cię moi wrogowie, byś specjalnie sfałszował moje akta – dodał, zanosząc się od śmiechu. – Obaj... – zakrztusił się. – Obaj podejrzewaliśmy się na-140

wzajem... cha, cha... przez cały ten czas myślałeś, że ja... –

Śmiech gubernatora przeszedł w cichy chichot.

Akitadzie udało się uśmiechnąć. – Jesteś dobrym człowiekiem, skoro potraktowałeś mnie tak ulgowo. Popełniłem bardzo głupi błąd. Obawiam się, że dopiero uczę się bycia inspektorem. Nikt nie powiedział mi, że dostanę za to zapłatę.

Gubernator ponownie wybuchnął śmiechem, a wtórował mu w tym Seimei, który przysłuchiwał się rozmowie z otwartymi z niedowierzania ustami. – No i proszę! Od samego początku wydawało mi się, że musisz być w błędzie, paniczku – rzekł z zadowoleniem. – Powiedziałem ci przecież. „Podejrzenia wzywają z ciemności demony”, tak powiedziałem. Całe szczęście, że udało się to wyjaśnić.

Pan popatrzył na sługę z wyrzutem. – Przynajmniej będę mógł

wynagrodzić ci swoją pomyłkę, próbując całkowicie oczyścić twoje imię z wszelkich podejrzeń. Ile

zostało nam czasu? – spytał, zwracając się do gubernatora.

Motosuke machnął ręką. – O, tygodnie.

– Gdybym nie był tak głupi, zapytałbym cię od razu o to, kto, twoim zdaniem, mógł wzbogacić się na kradzieżach.

– Nie sądź, że się nad tym nie zastanawiałem. Pytaj do woli.

– Jakim typem człowieka jest Ikeda?

– Mało prawdopodobny sprawca. Chętny, ciężko pracujący, ambitny. Nudny i całkowicie pozbawiony smaku pies, ale to właściwa osoba do zajmowania się prefekturalną administracją.

Człowiek taki jak on poradziłby sobie dobrze w stolicy, lecz na nieszczęście dla niego pochodzi z prostego ludu i nie miałby szans na karierę, chyba że ożeniłby się z odpowiednią kobietą.

Skoro już o tym mowa, czy możesz sobie wyobrazić, że miał

tupet, by poprosić o rękę mojej córki. Wskazałem mu jego miejsce i od razu przeprosił w elegancki sposób. Nawet Yukinari ma lepsze koneksje.

141

– Kapitan także zamierzał ożenić się z twoją córką?

– O tak. Spotkał ją kiedyś i zakochał się ponoć po uszy. Jest całkiem przystojnym młodzianem, a wojskowy mundur potrafi zawrócić dziewczynie w głowie. Przyprawiał mnie o ogromny ból głowy, lecz ostatecznie do niczego nie doszło. Chwała niebiosom!

To tłumaczyłoby zachowanie Yukinariego, gdy gubernator ogłosił zamążpójście swej córki. Kapitan z pewnością wiódł

nader skomplikowane życie uczuciowe. Myśl o tym, że jest kochankiem pani Tachibana, ku jego zdumieniu wciąż raniła go boleśnie. Tego łkającego dziecka?! Akitada zmusił się, by wró-

cić myślami do rzeczywistości.

– A Tachibana?

– Stary, poczciwy Tachibana. Któżby pomyślał, że odejdzie tak szybko? Lubiłem staruszkę, lecz on wolał trzymać się na uboczu. Kiedyś poprosił mnie o dostęp do archiwum, gdyż miał

zamiar pracować nad historią tutejszych ziem. Spotykałem go tam pogrążonego w lekturze starych dokumentów i zapraszałem czasem na czarkę wina. Potem ożenił się po raz wtóry, źle do-brana to była para, i straciliśmy ze sobą kontakt. Poznałeś już wdowę?

– Tak. – Wyczuwając w słowach i tonie głosu gubernatora niechęć do młodej kobiety, Akitada zmienił temat. – Obawiam się, że jej mąż zginął w podejrzanych okolicznościach.

– Podejrzanych okolicznościach? Co masz na myśli?

Inspektor opowiedział Motosuke o wyszeptanym ukradkiem zaproszeniu i o tym, co zastał, gdy przyszedł z wizytą do pana Tachibany. Na twarzy gubernatora pojawiły się zaraz po sobie zdziwienie, zaskoczenie, a na końcu przerażenie. – Zastanawiam się, czemu Ikeda stwierdził, że śmierć była przypadkowa – za-kończył.

Motosuke wstał i począł krążyć po pokoju. – Morderstwo! Led-142

wie mogę w to uwierzyć. Masz rację, to niepodobne do Ikedy, aby popełniać takie błędy. Jest bardzo uważnym urzędnikiem.

Ale był tam również Yukinari. Może to tłumaczyłoby jego brak uwagi. Są śmiertelnymi wrogami. Rywalizowali o względy mojej córki, a co więcej, kapitan otwarcie dawał wyraz swej niechęci, ba, niemal pogardzie dla Ikedy z powodu jego pochodzenia.

Akitada nie chciał myśleć o prywatnym życiu wojskowego. –

Doszedłem do wniosku, że Tachibana zginął, gdyż wiedział, co stało się z podatkami.

– Na to wygląda. – Motosuke usiadł ponownie i potrząsnął głową.

– Powinien powiedzieć o tym mnie, lecz zapewne byłem jego głównym podejrzanym. Gdyby nie rozmawiał z tobą winą za jego śmierć obarczyłbym jakiegoś włamywacza. Jego sługa jest już stary. Ludzie powiadają że gdy śpi, do domu może wejść absolutnie każdy.

– Proszę, zatrzymaj moje podejrzenia dla siebie, przynajmniej na jakiś czas. – Akitada zrobił pauzę, po czym dodał: – Trapi mnie przełożony klasztoru, choć nie mam pojęcia, w jaki sposób może być powiązany z tym morderstwem. Świątynia Joto stała się w bardzo krótkim czasie bardzo bogata. Czy wiesz może, jak do tego doszło?

Motosuke począł się nerwowo wiercić. – Nigdy nie wyjawiali imion swoich dobroczyńców, zwłaszcza odkąd od najpotężniejszych rodów zaczęły spływać duże datki. Do tego świątynia przyciąga w ciągu całego roku setki, jeśli nie tysiące, pielgrzymów, którzy zostawiają w niej podarki. Nie sposób poznać źró-

deł bogactwa. Nawiasem mówiąc, Joto poinformował mnie, że właśnie zakończyli kolejną przebudowę. Ukończono ostatnią salę i w najbliższych dniach zostanie poświęcona. Będzie to dobra okazja do złożenia wizyty.

143

– Zapewne. Obyczaje niektórych z jego mnichów dalekie są od stosownych. Mój sługa spotkał dwóch z nich, gdy napastowali przy rynku głuchoniemą dziewczynę.

Motosuke wyprostował się nagle. – Głuchoniemą? Czyżby malarzę?

– Tak. Wydaję mi się, że maluje – odparł zdziwiony inspektor.

– Dziwne. Ponoć jest w tym bardzo dobra. Słyszałem o złym prowadzeniu się mnichów. Kiedyś rozmawiałem nawet na ten temat z Joto, lecz ten człowiek wydaje się mieć odpowiednie kazanie na każdą okazję. Powiedział mi, że służenie Buddzie pociąga za sobą konieczność poznania zarówno prostoty, jak i zbytku. Wydaję mi się, iż chciał w ten sposób powiedzieć, że przyjmuje do klasztoru tak wielu młodych ludzi, iż nieuniknione jest występowanie od czasu do czasu wszelakich problemów.

Prawdę rzekłszy, tutejsi ludzie są wdzięczni mnichom, gdyż dzięki nim w mieście kwitnie handel. Dlatego też nie składają skarg i nie chcą byśmy interweniowali. – Gubernator zacisnął

wargi i potrząsnął z wolna głową. – O nie, mój drogi przyjacielu. Obawiam się, że będziesz musiał zapomnieć o Joto i o świę-

tyni Poczwórnej Mądrości.

Motosuke opuścił ich zaraz potem. Akitada i Seimei zastanawiali się właśnie nad wieczornym posiłkiem, gdy do środka wszedł

Tora. Jego twarz była tak bardzo przygnębiona, że inspektor spytał go od razu, co się stało.

– Zmarnowałem cały dzień – odparł posępnie chłopak. –

Wszystko do niczego.

– Usiądź i opowiadaj.

Przyjąwszy czarkę wina z rąk Seimei, począł opowiadać o swoich niepowodzeniach i rozczarowaniach.

Gdy skończył, Akitada siedział zdumiony, a Seimei kiwał głową z ojcowską niemal satysfakcją – Nie ma powodu, by się zniechęcać, mój synu – rzekł. – Wszedłeś między złych ludzi, a po-144

zostałeś uczciwy, próbując chronić słabych. To zacy uczynek.

Czyny człowieka zawsze do niego wracają.

Młodzian potrząsnął głową i odparł ponuro: – Wszystko na nic.

Przyszedłem wam tylko powiedzieć, że rankiem odchodzę.

– Co takiego? – zakrzyknęli równocześnie pan i sługa.

– Próbowałem z całych sił, lecz nie mogę ci służyć. Ubrania, które mi dałeś, należą do urzędników, a

ci są pijawkami wysysa-jącymi krew z biednych robotników. Wysłałeś mnie, bym rozmawiał z ludźmi, którzy nie powiedzieliby mi nawet, jak wabi się ich pies. Nie mogę wypełnić powierzonego mi zadania i zmęczyło mnie ciągłe tłumaczenie, że nie jestem urzędnikiem i wyjaśnianie, że ty, szlachcic, próbujesz im pomóc. Nawet mój najlepszy przyjaciel Hidesato, który był dla mnie jak starszy brat, zniknął bez śladu, gdy usłyszał komu służę.

Akitada nie umiał znaleźć odpowiednich słów, by odpowiedzieć, za to Seimei popatrzył na swą schludną niebieską szatę i rzekł: – Cóż za głupstwa wygadujesz? Nasze ubrania są oznaką naszej zaszczytnej i godnej szacunku pracy, jaką wykonujemy dla cesarza. W stolicy zwykli ludzie patrzą na nas z podziwem.

Jakże możesz chcieć przez całe życie być nic nieznaczącym człowiekiem?

– Wydaje mi się, że Tora nie to chciał powiedzieć – odparł

szybko inspektor. – Wygląda na to, że tutejsi ludzie inaczej patrzą na przedstawicieli naszej profesji. Uczciwy rolnik pracuje ciężko na swym ryżowym poletku, a sprzedawca prowadzi z mozołem małe sklepy. Po czym zjawia się dobrze ubrany urzędnik i zabiera im w pocie czoła zarobione pieniądze bądź

wciela ich do wojska.

Chłopak pokiwał przecząco głową – Chciałeś powiedzieć kradnie, nie zabiera. Na Buddę, nie służyłbym przekłętymu oficja-

łowi nawet za dziesięć sztabek czystego złota, ale ty jesteś dobrym człowiekiem. Jesteś inny niż reszta. Lecz nie mogę zdra-

żyć ludzi takich jak ja. A Hidesato właśnie to sobie pomyślał.

Akitada i Seimei popatrzyli po sobie zdziwieni.

– Opowiedz mi o swoim przyjacielu.

– Był sierżantem, gdy wcielono mnie do służby – westchnął

Tora. – Niejedno razem przeszliśmy. Nauczył mnie, jak walczyć kijem, by w ten sposób zająć moje myśli po śmierci rodziców.

Pokazał mi też, jak należy trzymać łuk, by strzała leciała prosto i jak szukać pocieszenia w ramionach życzliwej dziwki, gdy przez miesiące nie wypłacano nam żołdu. Nieraz ocalił mi skór-

ę, gdy wdałem się w jakąś bójkę, a ja w ramach rewanzu kry-

łem go, gdy leżał gdzieś pijany bądź uciekał z obozu, by spotkać się ze swoją kobietą. – Przerwał i popatrzył na Akitadę przepaszającym wzrokiem. – Wiem, że ocaliłeś mi życie, lecz to co innego. Tobie było łatwo. Wystarczyło, że powiedziałeś tym draniom, kim jesteś, a zaraz puścili mnie wolno.

Jesteś szlachci-cem. Hidesato jest dla mnie... jak brat.

Seimei obruszył się, lecz inspektor powstrzymał go, kładąc dłoń na ramieniu staruszka. Poczł bolesne uczucie zazdrości – nieznajomy zaskarbił sobie lojalność jego sługi – lecz powiedział

tylko: – Rozumiem. Może uda nam się znaleźć tego Hidesato i wszystko mu wytłumaczyć.

– Zrobilibyście to?

– Oczywiście. Uważam cię za swego przyjaciela.

Tora zarumienił się i zwiesił głowę. – Ludzie tacy jak wy nie mają przyjaciół pośród ludzi takich jak ja.

– Czemu nie? Z chęcią poznam Hidesato i mam nadzieję, że w końcu przedstawiśz mnie kalekiemu zapaśnikowi i jego dwóm córkom.

Twarz chłopaka rozjaśniła się radośnie. – Higeкуро? A może pójdziemy do niego od razu? Powinien już skończyć ostatnie lekcje.

– Czemu nie? – uśmiechnął się Akitada.

146

* * *

Zastali Higeкуро i Otomi grających w *go*, Ayako naprawiała w tym czasie jeden z łuków.

Tora przedstawił ich sobie. Akitadę zaskoczyła wielkość i mu-skulatura ciała kalekiego mężczyzny. Jeszcze bardziej zaskaku-jąca była jednak naturalność i brak skrępowania, z jakimi ich przyjął. W jego dworskim ukłonie, jak i w poleceniach, jakie wydawał córkom, nie było ani odrobiny służalczości typowej dla nisko urodzonych. Nie przeprosił za skromność oferowane-go jedzenia i picia, zaś jego mowa znamionowała wykształconego człowieka.

Inspektor z przyjemnością oglądał wewnątrz skromnie urządzonego pokoju. Był czysty i zdawał się posiadać wszystko, czego mógłby potrzebować mężczyzna – wygodne podium, na którym można było odpocząć bądź rozegrać partyjkę *go*, dający ciepło piec, na którym gotowały się na wolnym ogniu aromatyczne potrawy, kilka skrzyń na osobiste rzeczy i dzieci, które z szacunkiem odnosiły się do ojca i mu usługiwały.

Dwie młode kobiety nosiły najprostsze bawełniane szaty. Były smukłe i pełne wdzięku, jedna ładna i nieśmiała, druga ciekaw-ska i niecierpliwa. Gdy Akitada obdarzył ją uśmiechem, odrzuciła do tyłu głowę. Nieoczekiwanie gest ten wydał się inspektorowi pełen uroku.

Higeкуро gładził rzadką, czarną brodę i pytał o zapaśnicze szko-

ły ze stolicy. Szlachcic powiedział mu to, co wiedział i po chwili rozmowa przeszła w luźną

pogawędkę na temat przeróżnych sportów i tego, w jaki sposób uprawia się je w stolicy i prowincjonalnych miastach. Inspektor wymienił zabawy, które w młodości zajmowały mu czas: gry w piłkę, konne wyścigi dookoła baraków cesarskiej gwardii, lekcje u mistrza zapasów i ciągłe treningi z mieczem. Higeкуро wymieniał te same dyscypliny, 147

którym oddawał się w dzieciństwie, póki Akitada nie spytał ze zdziwieniem: – Czy mam po tym wnosić, że ty także wychowa-

łeś się w stolicy?

– Tak, lecz wygnano mnie z niej za młodu – mężczyzna uśmiechnął się, widząc zdumienie na twarzy inspektora. – Nie ma w tej historii niczego niezwykłego. Przyszedłem na świat w jednej z tak zwanych dobrych rodzin i kształcono mnie na przyszłego wojskowego. Gdy jednego z mych wujów stracono za zdradę, wszystkich członków rodu skazano na wygnanie, ich majątki skonfiskowano, a tytuły odebrano. Byłem żonatym mężczyzną z dwójką dzieci, a jedyną rzeczą którą mogłem się poszczycić, były zapasy. Na szczęście dzięki nim udało mi się wspierać mych rodziców aż do ich śmierci. Zaraz po nich odeszła także moja żona, lecz udało mi się odchowić córki, zanim okaleczył mnie wypadek.

Przez cały czas, gdy opowiadał swą tragiczną historię, z jego twarzy nie zniknął uśmiech. Akitadę wzruszyła jego odwaga. –

Miałeś bardzo trudne życie – rzekł z zakłopotaniem.

– Wprost przeciwnie. Jestem wielce szczęśliwym człowiekiem.

Ayako pomaga mi w szkole, a Otomi z każdym dniem zarabia więcej swymi malunkami. – Uśmiechnął się dumny ze swoich córek.

Spojrzenie inspektora napotkało poważne oczy Ayako, która przysiadła się blisko, by słuchać, o czym rozmawiają. Dłonie położyła nieruchomo na kolanach, Akitada dostrzegł drżącą w nich siłę.

Jej siostra nakłoniła Torę na partyjkę *go*. Uśmiechała się do niego, a on odwzajemniał jej uśmiech, gdy delikatną kobiecą dłonią kładła na planszy kolejny żeton. Przez głowę inspektora przebiegło wspomnienie drobnej, chłodnej dłoni owdowiałego dziecka zamkniętego w posesji Tachibanów i uderzyło go, jak bardzo różnią się te trzy młode kobiety.

148

Z wysiłkiem wznowił rozmowę z Higeкуро. – Gubernator wspominał o renomie, jaką zyskała sobie twoja córka. Mogę zobaczyć jej prace?

– Sam gubernator? – Zadowolony ojciec klasnął głośno w dłonie. Lecz Otomi i Tora pogrążeni nad planszą zapomnieli o bo-

żym świecie. Gdy Ayako położyła dłoń na ramieniu młodszej siostry, ta odwróciła się powoli. Ojciec i córka wymienili kilka szybkich gestów i niemo wypowiedzianych słów, po czym

dziewczyna ukloniła się i uśmiechnęła do Akitady. Wstała i we-szła na poddasze, wracając z rękami pełnymi zwojów. Położyła je na podium i wróciła do Tory.

Inspektor rozwijał zwoje jeden po drugim, Higeкуро przyglądał się im, nie kryjąc zadowolenia, a Ayako stanęła przy jego boku.

Talent Otomi był zadziwiający. Jako uczonego, który darzy klasykę należnym jej szacunkiem, Akitadzie przypadły bardziej do gustu stonowane krajobrazy niż barwne, lecz zdaniem inspektora jarmarczne, wizerunki świętych mężów i mandale.

Choć musiał przyznać, że te ostatnie namalowane były z wielką wprawą i dbałością o szczegóły. Widział w swoim życiu wystarczająco dużo religijnych malowideł, by stwierdzić, że Otomi dorównywała umiejętnościami artystom ze stolicy.

Ayako pomagała, rozwijając i przytrzymując zwoje. Gdy inspektor zrobił uwagę na temat skalistego brzegu namalowanego na jednym z nich, powiedziała z przejęciem: – My też wolimy krajobrazy, lecz buddyjskie malunki lepiej się sprzedają, gdyż kupują je zarówno pielgrzymi, jak i tutejsi. Otomi bardzo uważa na dokładność. Odwiedza sławne świątynie, by kopiować zwoje i uczyć się ich znaczenia.

Akitada uśmiechnął się szczerze. – Chętnie kupię jeden z nich.

Może Otomi namalowała na którymś ze zwojów piękną zatokę Sagami? Gdy wrócę do stolicy, przypomniałby mi o mojej po-dróży.

149

Dziewczyna popatrzyła na inspektora niepewnym wzrokiem. –

Jest jeden, lecz trudno go nazwać krajobrazem. To rysunek statku w czasie burzy.

– Brzmi interesująco.

– Właściwie to rysunek burzowego smoka. Ojcie, wiesz, o którym mówię?

Higeкуро też wyglądał na niezadowolonego, lecz pokiwał

twierdząc głową. Popatrzył pośpiesznie na dwójkę graczy i powiedział: – Pokaż paniczowi ten zwój.

Ayako podeszła do jednego z ustawionych jeden na drugim ku-frów i wyciągnęła zawiniątko. Rozwinęła zwój, mówiąc: –

Otomi namalowała go podczas swojej ostatniej podróży, lecz smuci ją i denerwuje, dlatego trzymamy

go w zamknięciu.

Rysunek przedstawiał burzowego smoka owiniętego wokół statku. Potężne fale, czarne chmury i postrzępione błyskawicami niebo stanowiły tło dla pełnej śmierci i zniszczenia sceny. Tak jak na pozostałych malunkach szczegóły były zdumiewająco dokładne, lecz na tym zwoju pociągnięcia pędzlem wydawały się szybsze, niemal gwałtowne i dzięki nim obraz żywo oddawał

zakłęty w nim chaos.

Akitada pochylił się nad rysunkiem. Na pokładzie statku dostrzegł żołnierzy uzbrojonych w halabardy zwane *naginata*.

Towarzyszył im mnich. Co dziwne, na ich twarzach rysowała się obojętność. Być może zwój ilustruje jakąś religijną opowieść, pomyślał. Przyjrzał się postaci mnicha, próbując domy-

ślić się piastowanej przez niego godności. Miał dziwne wrażenie, że już gdzieś go widział.

– Możesz zapytać siostrę, gdzie widziała tę scenę? Dziewczyna zawahała się, po czym podeszła do Otomi i przekazała gestami pytanie Akitady. Młodsza siostra uniosła głowę i potrząsnęła nią wymachując na oślep rękoma.

– Nie chce o tym mówić – przetłumaczyła Ayako.

150

Inspektor przeniósł wzrok z dziewczyn na ojca. – Nie mam zamiaru niepokoić twojej córki, lecz mam dziwne uczucie, że na tym obrazie jest przedstawione coś bardzo ważnego.

– Doprawdy? – Oczy Higeкуро zapłonęły nagle. – Zgadzam się z tobą. Około miesiąca temu, zaraz po święcie zmarłych, Otomi przyłączyła się do grupy tutejszych pielgrzymów zmierzających do świątyni Nieskończonego Światła znajdującej się w prowincji Shimosa. Wybrała się w podróż, by przyrzeć się tamtejszym malowidłom. Ten obraz powstał podczas tej podróży. Gdy wró-

ciła, zauważyliśmy, że się zmieniła. Siadała w samotności, rozmyślając, zaczęła miewać straszliwe koszmary. Od początku wydało mi się, że coś się stało podczas pielgrzymki, a zwój jest częścią tej tajemnicy. Myślisz, że może być związany ze skradzionymi podatkami? Czas się zgadza. Jeśli i ty tak podejrzewasz, dajesz mi nadzieję na to, że można jej pomóc.

– Masz rację, czas i miejsce pielgrzymki odpowiadają mniej więcej dacie i trasie ostatniego konwoju. Czy twoja córka po-dróżowała statkiem, czy też świątynia, o której mówiłeś, stoi przy przybrzeżnym trakcie?

Higeкуро wpatrywał się przez chwilę w inspektora, po czym odwrócił się do Otomi i przekazał jej pytanie gestami. Zamknęła oczy i potrząsnęła gwałtownie głową. Złapał ją za ramiona i zmusił, by spojrzała mu prosto w oczy. W końcu pokiwała głowę wzięła kawałek zwęglonego drewna z kuchennego pieca i zaczęła coś kreślić na piaszczystej podłodze, gestykulując jednocześnie do ojca.

– Zatrzymała się w klasztorze w pokojach dla gości – przetłumaczył Higeкуро. – Trakt przebiega tuż

pod jego murami, a okna pokoi wychodzą na zatokę Sagami.

– Spytaj ją czy widziała juczne konie i ludzi.

Gdy jej ojciec skończył tłumaczyć kolejne pytanie, twarz Otomi pobladła, a dziewczyna zaczęła się trząść. Zacisnęła dłonie na kawałku drewna i nagryzmoła kilka nieczytelnych znaków.

151

Odrzuciła nagle drewno i wstała pośpiesznie, chwiejąc się na nogach.

– Wystarczy! – krzyknęła Ayako, zrywając się na równe nogi i chwytając płaczącą siostrę w ramiona. Spoglądała gniewnie na Akitadę. – Zadręczasz ją.

W jednej chwili inspektor zmienił zdanie co do obu sióstr. Ayako była o wiele piękniejsza niż słodka i miła Otomi. Jakże Tora mógł tego nie widzieć? – Jest mi strasznie przykro – rzekł. – Ale z pewnością zdajesz sobie sprawę z tego, że twoja siostra nie zazna spokoju, dopóki nie podzieli się z kimś swymi wspomnieniami.

– Moja siostra jest artystką – warknęła gniewnie Ayako. – Nie prostą dziewczyną jak ja. Uważam, że napadnięto ją i zbezczeszczono jej cnotę. Nie potrafi sama stawić temu czoła. Mo-

żesz być pewien, że gdybym nie obawiała się, że wyrządę jej krzywdę, już dawno dowiedziałabym się, kto to zrobił. – Wzięła głęboki oddech i dodała z wściekłością: – Zabiłabym go własnymi rękoma!

Otomi wyrwała się z ramion siostry, szukając schronienia w otwartych ramionach Tory, który krążył nerwowo, trzymając się na uboczu.

Akitada nie mógł odwrócić oczu od Ayako. – Mylisz się chyba.

Czemu podejrzewasz, że została zgwałcona? – spytał.

– A cóż innego mogło sprawić, że zachowuje się w ten sposób?

Spójrz na nią! Jest piękna, mężczyźni pożądają jej ciała. Już zapomniałeś o mnichach, którzy ją napastowali? – Spojrzała na Torę. – Pewnie twój sługa ma co do niej podobne zamiary.

– Nigdy w życiu! – zakrzyknął rozwścieczony chłopak. – Ayako! – zagrzmiął upominającym tonem ojciec. Zarumieniła się i ukloniła przed Torą. – Wybacz mi moje słowa – powiedziała szorstko. – Ale nawet w tak niezwyklej rodzinie jak nasza niestosowne jest, byś obejmował moją siostrę w taki sposób.

152

Chłopak natychmiast puścił Otomi. Dziewczyna pociągnęła nosem i uciekła na poddasze.

Higekuro westchnął i zwrócił się do Akitady: – Musimy ci się wydawać dziwną rodziną. Miej jednak na uwadze nasze pochodzenie i nasze obecne życie razem. Moje córki są dla mnie wszystkim. Może zbyt im pobłażałem, lecz to, co mieliśmy kiedyś, nic już dla naszej trójki nie znaczy.

Inspektor pokiwał głową. – Ciekawe – rzekł, wskazując zwój – że mnisi pojawili się w obu ostatnich przygodach twojej córki.

Zainteresowała mnie świątynia Poczwórnej Mądrości i jej przełożony, mistrz Joto. Czy Otomi była tam kiedykolwiek?

– O tak, chadzała tam dość często. – Higekuro zastanawiał się przez chwilę nad zadaniem pytaniem. – Sprzedaje w niej swoje dzieła pielgrzymom. Ale nie uwierzę, że to ma jakiś związek z zachowaniem mojej córki. Mnisi mistrza Joto służyli jej zawsze pomocną dłonią. Ci, których widzieliście dziś rano, chcieli zapewne przysłać do niej kolejnych klientów.

Inspektor popatrzył na starszą siostrę. – A ty, co o tym sądzisz?

– zapytał ostrożnie.

Uniosła podbródek i spojrzała mu prosto w oczy. – Uważam, że ojciec myli się co do mnichów, a ty masz rację – odpowiedziała.

– Jeśli zostawicie moją siostrę w spokoju, pomogę wam w przespiegach.

Akitada zaśmiał się i uklonił nisko. – Podziwiam twego ducha.

Zgoda, jeśli tylko pozwoli na to twój ojciec. – Odwracając się do Higekuro, spytał: – Czy powierzysz mojej opiece swoją córkę?

Ojciec pogłaskał brodę i popatrzył wpierw na Akitadę, potem na córkę i jeszcze raz na inspektora. – Ayako nie potrzebuje mojej zgody na robienie tego, co zapragnie zrobić. Możesz jej zaufać.

Życie nauczyło ją niejednego, a w nieciekawych sytuacjach jest równie przydatna, co silny mężczyzna. Tora powiedział nam, że 153

zainteresowałaś się walką na kije. Może staniecie naprzeciwko siebie?

Akitada spojrzał na dziewczynę i wydało mu się, że zobaczył

rysujące się na jej twarzy zmartwienie, lecz Ayako uśmiechnęła się tylko i spytała: – Czy panicz ma ochotę na krótką walkę?

Rozbawiony i zaciekawiony inspektor podniósł się powoli. – To byłby zaszczyt.

Wziąwszy w dłonie oliwną lampę, dziewczyna poprowadziła go do ciemnej sali ćwiczeń. Rozpaliła

pozostałe przymocowane do krokwi latarnie i lampiony. Płomienie migotały targane podmuchami wiatru, a dobrze znane przedmioty nabierały w na pół

rozświetlonych ciemnościach tajemniczych i złowieszczych kształtów.

– Ty wybierasz pierwszy – powiedziała Ayako, wskazując na ustawione pod ścianą kije.

Czując się odrobinę głupio, Akitada zdjął wierzchnie okrycie i przewiązał nogawice spodni nad kolanami. Wybrał broń, która dobrze leżała w dłoni i odwrócił się w stronę dziewczyny.

Ayako rozebrała się do pasa i miała teraz na sobie tylko spodnie.

Gdy wpatrywał się w nią nie mogąc odwrócić wzroku, schyliła się, by zacisnąć wokół kolan rzemyki. Widział już nieraz chłop-ki pracujące na polach z odsłoniętymi piersiami, lecz to, że rozebrała się przed nim ta piękna, młoda kobieta, zszokowało go i wytrąciło z równowagi.

– Czy w takim stroju prowadzisz lekcje? – spytał, nim zdążył

zastanowić się nad swoimi słowami.

Wyprostowała się powoli i popatrzyła na niego. Jej ciało było cudem natury. Szczupłe i umięśnione jak u pełnego życia chłop-ca, o delikatnych i zaokrąglonych piersiach, płaskim brzuchu i biodrach zwężających się i przechodzących w smukłe, silne uda.

Materiał spodni ukrywał przed jego wzrokiem dolną część ciała, lecz ruchy dziewczyny nie dawały wytchnienia wyobraźni.

154

Przełknął ślinę.

– Nie – powiedziała chłodno, odwracając się i sięgając po wi-szącą na gwoździu koszulę bez rękawów. – Mężczyźni nie lubią walczyć z kobietą. Dlatego noszę koszulę i spodnie jak tutejsi tragarze, a uczniowie traktują mnie przez to jak chłopca. A mo-

że wolisz nie próbować swoich sił w pojedynku z kobietą?

– Nie robi mi to żadnej różnicy. Jestem gotów. – Akitada miał

nadzieję, że migotliwe światło skryje jego zarumienione policzki.

Jeśli miał zamiar dowieść przewagi swej płci i ośmieszyć dziewczynę, srodze się zawiódł. Rozdrażniona być może jego słowami Ayako zaatakowała szybko i zawzięcie, rozbijając go w ciągu chwili. Bez słowa schyliła się po kij, który wybiła z jego dłoni, i odrzuciła mu go. Zaczęli raz jeszcze. Tym razem Akitada był ostrożniejszy, choć po raz drugi musiał uznać jej wyższość. Ponownie odrzuciła mu kij, mówiąc przy tym: –

Twoja technika nie jest zła, lecz nauczono cię jedynie ataku. Nie wiesz, jak się bronić. Patrz, jak kontruję twoje ciosy.

Zagryzł wargi i spróbował raz jeszcze, dając z siebie wszystko.

Ku jego zdziwieniu nawet najsilniejsze i najszybsze pchnięcia były blokowane bądź chybiały celu. Miał właśnie zamiar się poddać, nim zbłąźni się do końca, gdy Ayako wytrąciła mu broń po raz trzeci.

Stał, patrząc na leżący pomiędzy nimi kij, i kiwał głową. – Jesteś wspaniałym wojownikiem – powiedział z nieskrywanym podziwem.

– Dziękuję.

Jej głos był stłumiony i dlatego podniósł głowę. Stała odwróco-na plecami, wieszając koszulę z powrotem na gwoździu. Jej długie, smukłe plecy świeciły się od spływających po nich kro-pelek potu. Tym razem się nie odwróciła, póki nie założyła długiej sukni i nie przewiązała pasa. Gdy spojrzała wreszcie na 155

niego, zdało mu się, że dostrzegł w jej oczach łzy.

– Podejrzewam, że będziesz chciał złożyć potajemną wizytę w naszej świątyni – powiedziała, unikając jego wzroku. – Możemy się tam wybrać dziś w nocy, jeśli nie masz nic przeciwko.

– Z chęcią – zgodził się niemal bezwolnie. Zakładając swą szatę, zastanawiał się, czemu ta dziwna dziewczyna działała na niego w ten sposób i dlaczego chciał przebywać w jej towarzystwie nawet za cenę potrzebnego tak bardzo snu.

Dołączyli do reszty. Otomi wróciła z poddasza blada, lecz spokojniejsza. Zbierała swoje rysunki, obrazy i zwoje.

– Możesz zapytać córkę, czy sprzedałaby mi dwa ze swoich zwojów? – spytał inspektor. – Ten z węzłem i drugi z widokiem góry.

Higekuro odwrócił się do młodszej córki i przekazał pytanie.

Otomi pokiwała głową i przyniosła zamówione rysunki. – To prezent – rzekł Higekuro, wręczając je Akitadzie.

– Nie mogę ich przyjąć – odparł stanowczym tonem. – Zapłacę za nie najwyższą cenę, jaką udało się jej kiedykolwiek uzyskać.

– Popatrzyl na Ayako.

– Dwie sztabki srebra. Za każdy – powiedziała, odrzucając do tyłu głowę.

Higekuro wciągnął głośno powietrze. – Nie bądź śmieszna!

Przecież doskonale wiesz, że tyle zapłacono za zamówioną wcześniej mandale z wizerunkami trzech setek świętych.

– Zatem cztery sztabki srebra – odrzekł bez zastanowienia inspektor, dopiero po chwili przypominając sobie o złocie, które zwrócił Motosuke. – Cena wydaje się rozsądna, zważywszy na dobrze wykonaną pracę. Zapłacę twojej córce jutro. – Odwracając się do Tora, powiedział: – Pani Ayako zaoferowała się po-móc nam dzisiejszej nocy w dostaniu się do klasztoru. Co oznacza, że będziemy musieli odłożyć poszukiwania twego przyjaciela do jutra.

156

– A cóż może być w tym trudnego? – zapytał sługa, spoglądając pogardliwie na dziewczynę.

– Ta świątynia jest inna niż pozostałe, a pani Ayako już w niej była. My zaś nie.

– Będziesz musiał zmienić ubranie – powiedziała, zwracając się do Akitady.

– Zatem wstąpimy wpierw do budynków sądu.

– Tora nie będzie nam potrzebny.

– Idę z wami! – warknął chłopak.

Inspektor wahał się przez moment, po czym zwrócił się do Ayako: – Możemy wpaść w tarapaty. Tora może być pomocny.

Dziewczyna odwróciła się pośpiesznie i spojrzała na niego dzikimi oczami. – Poradzę sobie z każdym mężczyzną – rzekła. –

Co jeszcze muszę zrobić, by ci to udowodnić?

Akitada zrobił dwa kroki do tyłu. – Nie chciałem.. Nie miałem zamiaru cię obrazić. Lecz w klasztorze przebywa tak wielu mnichów, że nawet Tora i ja... – Dostrzegając w jej oczach błysk szału na dźwięk słowa „nawet”, dodał pośpiesznie: – Jeśli odkryją naszą obecność, trójka będzie miała większe szanse na ucieczkę. Dwójka będzie mogła zatrzymać przeciwnika, gdy trzecia osoba pobiegnie po pomoc.

– Jeśli będziesz uważny i nie popełnisz żadnego głupstwa, nikt się nie dowie, że weszliśmy w świątynne mury. – Odwróciła się, przebiegła przez pokój, skacząc niby potężny dziki kot i wbiegła na poddasze.

– Dziękuję, że przyjęliście mnie z równie otwartymi ramionami jak Torę. Mam nadzieję, że dobrze się zachowywał.

Higekuro popatrzył na chłopaka i Otomi, którzy zajęci byli po-rządkowaniem planszy i zbieraniem żetonów, dotykając się przy tym dłońmi tak często, jak tylko mogli. Uśmiechnął się ciepło. –

Tora jest dla mnie jak syn, którego nigdy nie miałem – odparł. –

Nie chcę, by Otomi stała się krzywda, lecz nie mogę odmówić 157

swym córkom choć odrobiny przyjemności, gdy są jeszcze mło-de. – Spojrzał w oczy Akitady z powagą. – Pamiętaj tylko o jednym. Moje córki i ja żyjemy poza światem, w którym przyzwyczałeś się żyć. Stosujemy się do własnych, ustalonych przez nas samych reguł i zasad.

Inspektor nie miał bladego pojęcia, w jaki sposób powinien zareagować na tę tajemniczą radę. Podziękował zatem gospodarzowi za wino i mile spędzony czas, po czym zabrał kupione zwoje.

Gdy wróciła Ayako, nosiła już długie, czarne spodnie i czarną koszulę z długimi rękawami. Włosy związała czarną chustą. –

Masz jakieś ciemne ubrania? – spytała, przyglądając się białym jedwabnym spodniom i jasnoszarej szacie Akitady.

– Mam, choć z pewnością nie będzie mi w nich tak bardzo do twarzy, jak tobie – odparł, uśmiechając się ciepło.

Popatrzyła na niego zdumionym wzrokiem, po czym obróciła się pośpiesznie. – To chodźmy.

158

Rozdział 10

Świątynia Poczwórnej Mądrości

Akitada przebrał się w ciemne szaty, które zwykł był nosić podczas polowań. Dołączył do czekającego na dziedzińcu Tory, który przyprowadził konie ze stajni gubernatora. Chłopak narzucił na siebie pikowany płaszcz, który był tak spłowiały i za-plamiony, że trudno było stwierdzić, czy jest zielony, czy też może czarny. Nogawki nieudolnie załatanych spodni wsadził

głęboko w buty.

– Czy przed bramą nie leży aby jakiś nagusieńki żebrak? – zapytał Akitada, wpatrując się w sługę.

– Coś jest nie w porządku z moim strojem? – spytał Tora. – Jest ciemny. Musiałem dać za niego temu chciwemu chłopcu stajen-nemu aż dziesięć miedziaków i niebieską szatę.

Chłopiec, o którym mówił, siodłał właśnie trzy konie, ziewając przy tym okrutnie. Usłyszawszy słowa Tory, stwierdził, iż naj-rozsądniej będzie się ulotnić.

– Oddałeś mu swoją nowiuteńką szatę? Zapłaciłem za nią trzy sznury miedziaków – zaprotestował Akitada.

Tora tylko parsknął. – Wystrychnięto cię na dudka. W tym jest mi przynajmniej ciepło. – Z uczuciem

pogłaskał swój nowy płaszcz. Chwycił uzdy dwóch koni i ruszył w stronę bramy, zostawiając za sobą inspektora wraz z trzecim wierzchowcem.

Ayako przyglądała się swemu koniowi z nieskrywaną niechęcią.

– No dalej – powiedział kpiącym tonem Tora. – Wskakuj! Przecież cię nie ugryzie.

Posłała mu wściekłe spojrzenie i wspięła się niezdarnie na grzbiet. Chwytając za wodze, skierowała ostrożnie potulne zwierzę na drogę.

159

– Jedźcie za mną – powiedziała, oglądając się przez ramię. – Nie możemy wyjechać Wielką Północną Bramą. Strażnicy zadawa-liby zbyt wiele pytań.

Minęli szybko puste ulice przy budynkach sądu i skręcili w wą-

ską alejkę, która kończyła się ostrokołem otaczającym miasto.

Ktoś wyłamał w tym miejscu deski, tworząc przejście w sam raz szerokie dla konia z jeźdźcem. Wydeptana ścieżka biegła w dół

ochronnego wykopu, a później w górę. Najwyraźniej nie byli pierwszymi, którym zależało na tym, by uniknąć rewizji przy wyjeździe z miasta.

Gdy wydostali się poza mury, poruszali się szybko wąskimi polnymi drózkami. Morwowe zagajniki, bezlistne o tej porze roku, wznosiły ku rozgwieżdżonemu niebu czarne gałęzie. Księ-

życ, niemal w pełni, zdawał się poruszać wraz z nimi.

Było chłodno i powietrze unoszące się z końskich chrap otulało ich łby białą mgiełką. Jechali jedno za drugim, Ayako prowadzi-

ła, a Tora zamykał kolumnę. Akitada utkwiał wzrok w smukłej sylwetce młodej kobiety. Zastanawiał się, czy nie jest jej zimno.

Poniewczasie zdał sobie sprawę z tego, że nie wiedząc, jak obchodzić się z koniem, chciała jechać przodem, wskazując im drogę.

Podjechawszy do jej boku, gdy tylko droga stała się szersza, spytał:

– Nie jest ci zimno?

– Nie – odburknęła szorstko. – Po prostu nie przepadam za końmi.

– Przepraszam, że nie zapytałem wcześniej. Może wolałabyś jechać razem ze mną?

Zawahala się przez chwilę, po czym wyprostowała się i potrząsnęła głową odmownie.

– Czemu nam towarzyszysz? Mogłaś przecież narysować drogę.

– Bo chciałam. Poza tym potrzebujecie mnie – dodała po chwili 160

niechętnie. – Wiem, jak dostać się niepostrzeżenie do klasztoru.

Gdy mnisi zaatakowali moją siostrę, stałam się podejrzliwa i złożyłam im wizytę.

– I?

– Za dnia pilnują wszystkich gości. Postanowiłam wrócić nocą.

Za pierwszym razem omal mnie nie złapali. Ostatnim razem znalazłam... coś dziwnego.

– Co takiego?

– Poczekaj, aż sam zobaczysz. – Kopnęła boki konia, przyspieszając jego krok, Akitada pozostał z tyłu.

Zagajnik się przeredził i lodowaty wiatr począł dąć w ich ubrania. Wąska dróżka doprowadziła ich do znacznie szerszego traktu biegnącego w kierunku gór. Inspektor spojrział przez ramię.

Za jego plecami rozciągała się równina opadająca powoli w stronę zatoki. Cienka srebrna linia horyzontu oddzielała nocne niebo od ziemi. Pomiedzy nimi a morzem leżało miasto – bezkształtna masa pokrytych śniegiem dachów, sosnowych gajów i pagód.

Tora owinał się szczelniej płaszczem. – W lesie będzie ciemno –

wymamrotał, spoglądając przed siebie.

Zza drzew wyłoniły się złowrogie szczyty. Kilka oświetlonych srebrzystym blaskiem księżyca dróg prowadziło w ich kierunku.

Po chwili pochłonał ich sosnowy las. Osłaniał ich od wiatru, lecz nocne zwierzęta straszły konie. Błyszczące w ciemno-

ściach ślepiea wyglądały spomiędzy rosnących przy drodze drzew. Tora zaklął. Gdy Akitada odwrócił się do niego, zobaczył, że ścisną w dłoni amulet, który nosił na szyi. Przesądny strach chłopaka zdziwił inspektora. Jak do tej pory dawał jedynie dowody swej odwagi.

Droga zaczęła się wznosić, wijąc się pomiędzy skałami. Była doskonale utrzymana i szeroka, zapewne z powodu sławy świą-

tyni, do której prowadziła.

161

Ayako zatrzymała konia i poczekała, aż do niej dołączą. – Tam!

– powiedziała, wskazując dłonią. Las przed nimi rzedł powoli i dostrzegli strome dachy strzelistej pagody rysujące się na tle gwiazdzistego nieba. Jej jasne dachówki i pozłacane zdobienia okapów, jej dzwony i wiszące latarnie migotały w księżycowej poświacie. – Tu musimy zboczyć z trasy – wyjaśniła dziewczyna. – Przy bramie dzień i noc stoją uzbrojeni strażnicy. Wej-dziemy do lasu i tam zostawimy konie. Resztę drogi przejdzie-my pieszo.

Ayako zdawała się wiedzieć, dokąd zmierza. Akitada już po chwili stracił orientację. Zatrzymali się na małej polanie, zsiadli z koni i przywiązali je do drzew.

Tora rozglądał się dookoła nerwowo. – Gdzie u diabła jesteśmy?

– Blisko zachodniego muru świątyni – odparła szorstko Ayako.

– Gdy podejmiemy bliżej, musisz przestać gadać. Nocą wysta-wiają strażę, a będziemy przechodzić blisko stajni. Nie możemy hałasować, by nie spłoszyć koni.

Małe zwierzątko wyskoczyło nagle z zarośli, przy których pasł

się koń Tory. Chłopak zaklął i chwycił pośpiesznie za kołnierz płaszcza, szukając ochronnego amuletu.

– Uspokój się! – powiedział Akitada. – To tylko lis albo borsuk.

– Skąd możesz być tego pewien? – odparł Tora, spoglądając na niego przestraszonym wzrokiem. – W tych lasach roi się od *oni* i *tengu*. Ich głodne spojrzenia śledzą nas z ciemności. Tam! To jeden z nich. Zabierajmy się stąd czym prędzej. – Chwycił wodze konia i szarpnął je nerwowo.

– Przestań, głupcze! – warknęła dziewczyna. – Wiedziałam, że nie powinniśmy cię ze sobą zabierać. A wydawało mi się, że tylko dzieci boją się nocą duchów.

– Wystarczy – rozkazał inspektor. – Nie mam zamiaru sterczeć na chłodzie, w lesie, w środku nocy, wysłuchując kłótni dwóch rozpuszczonych dzieciaków.

162

– Wybacz! – wyjąkała Ayako i ruszyła tak zwawo, że Akitada i Tora ledwie mogli za nią nadążyć. Stąpała bezszelestnie i pewnie, nic nie robiąc sobie z kamieni i wystających korzeni, o któ-

re wciąż potykali się podążający za nią mężczyźni.

Wyłonili się z lasu u stóp urwiska. Na jego szczycie wznosił się zewnętrzny mur świątynnego

kompleksu. Wydał im się nie do zdobycia.

– No i proszę – wymamrotał Tora. – Wiedziałem, że tak będzie.

Przez nią zabłądziliśmy. Tak kończy się słuchanie głupich kobiet.

– Cicho! – syknęła rozzłoszczona Ayako.

– Ale jak się tam dostaniemy? – zapytał szeptem Akitada. – Nie damy rady. Urwisko jest za strome. Nic dziwnego, że mnisi nie kłopotczą się ochroną tej części murów. Stąd nie wejdzie do środka żaden złodziej.

– Zdziwisz się, gdy się dowiesz, czym się kłopotczą – odparła ponuro dziewczyna. – Za mną.

Zanurzyła się w zarośla rosnące u podnóża urwiska. Inspektor stał przez chwilę niezdecydowany, po czym ruszył w jej ślady.

Krzaki zasłaniały wąską szczelinę. Zobaczył Ayako wspinającą się zręcznie do góry niczym mała małpka. Rozsądek podpowiadał mu, by odpuścić sobie tę wspinaczkę, lecz nie wiadomo czemu, nie miał na to ochoty. Nie chciał, by tak niezwykajna dziewczyna kpiła później z jego braku odwagi bądź siły. Poza tym coś mogło się jej przytrafić. Nie mógłby pogodzić się ani zjedną ani z drugą ewentualnością.

Wejście pod górę okazało się łatwiejsze, niż przypuszczał, pod warunkiem że nie patrzył w dół i ignorował szeptane przekleń-

stwa oraz utyskiwania wspinającego się pod nim Tory.

Gdy stanął przy Ayako na wąskiej półce skalnej tuż przy szczycie urwiska, poczuł się dumny. Przed nimi na wysokość dwóch roślących mężczyzn piętrzył się mur, który wieńczyły śliskie da-

chówki. W pobliżu rosło kilka sosen, lecz ktoś przezornie uciął

ich rozłożyste gałęzie.

Ayako ruszyła w kierunku jednego z drzew. Stało dalej od muru niż pozostałe, lecz jego złamana gałąź kończyła się metr od przeszkody. Wspięła się szybko po pniu, stanęła na gałęzi i przeskoczyła na mur. Inspektor i sługa zamarli w bezruchu. Wyładowała jak kot, chwytając się dachówek, po czym usiadła na nich i popatrzyła w dół.

– Na górze wszystko w porządku. Żadnych straży – powiedziała szeptem. Rozwiązała czarną bawełnianą chustę i opuściła ją do Akitady. – Chwyć się jej i wejdź na mur. Spróbuję ci pomóc i podciągnąć cię do góry.

Tora prychnął.

– Jestem za ciężki – odparł inspektor. – Wejście po drzewie jest chyba jedynym sposobem – dodał

niepewnym głosem.

– Nie. Gałąź nie utrzyma twojego ciężaru.

– Nieważne – burknął Tora. – Znam lepszy sposób. Tylko że... –

przerwał i popatrzył niepewnie na swego pana.

– Co takiego? Mówże.

– Będę musiał iść przodem, paniczu.

– To nie pora i miejsce, by trzymać się etykiety. Dalej.

– Ale będę musiał stanąć na twoich ramionach.

Akitada zdusił śmiech. Coraz bardziej ta eskapada przypominała mu dziecięcą zabawę. – Gdzie chcesz, żebym stanął.

Tora nakazał mu, by ustawił się plecami do muru, położył dłonie na biodrach i rozstawił odrobinę nogi. Chłopak stanął na udzie inspektora, potem na jego ramieniu i podciągnął się do góry. Akitada poczuł ból – Tora nie należał do najlżejszych – i wstrzymał oddech, czekając na chwilę, gdy sługa zdejmie buty z jego obolałych ramion.

Lecz chwila ta nie nadchodziła.

Zamiast niej usłyszał dobiegające znad głowy przekleństwa.

164

Zagryzł wargi i skupił się na tym, by na uginających się nogach utrzymać ciężar Tory.

– Odsuń się ode mnie, kobieto – warknął chłopak, po czym spojrzał w dół i dodał przeproszającym tonem: – Paniczu? Nie mogę dosięgnąć krawędzi. Ale uda mi się, jeśli podskoczę.

Akitada nie odpowiedział.

Tora odepchnął się od jego ramion. Usłyszał szuranie dłoni i butów, gdy ból z ramion rozszedł się po całym ciele. Osunął się na kolana, w uszach dzwoniło mu przeraźliwie, a oczy zasły łzami.

– Psst! – syknął z muru chłopak. – Przepraszam. Zaraz wciągnę panicza na górę.

Inspektor stanął na chwiejnych nogach i popatrzył na zwisający mu przed twarzą czarny materiał. Wątpił, by wytrzymał jego ciężar, lecz był zbyt dumny, by nie spróbować. Plecy i ramiona palił mu straszliwy ból. Wyciągnął na próbę ramiona do przodu i chwycił za chustę, czekając, aż pieczenie ustąpi choć trochę.

Zastanawiał się, czy Tora nie połamał mu przypadkiem jakichś kości.

Świątynia stała pogrążona w absolutnej ciszy. Gwiazdy i księ-

życ oświetlały jej spadziste dachy, przecinające się galerie i murki oddzielające sale, stajnie, kuchnie i pokoje mnichów. Na dachu głównej sali podobnie jak na dachu pagody ułożono dachówki. Budynki gospodarcze kryte były strzechą tworząc ciemne plamy na tle szarego żwiru dziedzińca. W pobliżu nie było żywego ducha.

– Tam jest kuchnia – wyszeptała Ayako, wskazując na długi budynek. – A tam stajnie i kwatery dla gości. Zejdziemy i przejdziemy przez tamtą bramę na kolejny dziedziniec. Tam są magazyny.

Wstała i pobiegła po murze do miejsca, w którym stała duża beczka. Akitada i Tora podążyli za nią wolnym krokiem, niena-165

wykli do biegania po dachówkach.

Już mieli ześlizgnąć się na beczkę, gdy usłyszeli cichy chrzęst.

Ktoś szedł po żwirowym dziedzińcu.

– Padnij! – szepnęła dziewczyna, rzucając się na dachówki.

Cała trójka wyciągnęła się na murze i patrzyła na dwie figury, które wyłoniły się nagle z cieni spowijających dziedziniec, zmierzając w stronę kuchni. Zniknęli w środku, po czym minutę później wyszli i ruszyli w kierunku bramy, za którą stały magazyny.

– I co teraz? – spytał rozczerwony Tora.

Dziewczyna spojrzała na niego wymownie. – Oczekamy, a potem pójdziemy za nimi. Będziemy mieli około godziny, nim znów się tu zjawią.

Gdy dała im znak, zeszli z muru i podeszli na palcach do bramy.

Kolejny dziedziniec pogrążony był w absolutnej ciszy.

– Dalej – powiedziała Ayako i ruszyła ku największemu z magazynów. Gdy dotarli do jego potężnych, drewnianych drzwi, zauważyli, że są nie tylko zamknięte na zasuwę, lecz także i na klucz.

– Widzicie? – spytała dziewczyna.

Akitada pokiwał głową. Zamknięcie magazynu w strzeżonej świątyni wskazywało na to, że jego zawartość była bardzo cenna bądź też nie do końca legalna.

– Szkoda że nie możemy wejść do środka – rzekła. – To jedyny zamknięty na klucz magazyn i mogę iść o każdy zakład, że w środku są skradzione skrzynie ze złotem.

Inspektor przyjrzał się budynkowi. Był ogromny. Bez problemów mógłby pomieścić dwadzieścia transportów.

– Odsuńcie się – powiedział Tora. – I dajcie mi spróbować. –

Ku ich zdziwieniu wyciągnął z rękawa cienki kawałek metalu, przyjrzał się przez chwilę zamkowi, po czym zaczął wyginać drut silnymi dłońmi. Włożył go w dziurkę i przekręcił. Zasuwka 166

odskoczyła i drzwi stanęły przed nimi otworem. Weszli w ciemności.

– Zamknij je – polecił Akitada, odsuwając się na bok i wstrzymując oddech. Ubranie sługi śmierdziało stajnią tak bardzo, że z bliska nie sposób było znieść jego zapachu.

Przez moment stali w bezruchu. W tej samej chwili i Akitada, i Tora skrzęsali krzemień. Migoczące światło ukazywało ich oczom ciągnące się wzdłuż całego pomieszczenia sterty towarów. Oba światła zgasty nagle. Tora po omacku szukał czegoś na podłodze. – Chwileczkę – wymamrotał. Znow błysnęły iskry, lecz tym razem udało się chłopakowi zapalić oliwną lampę, któ-

rą znalazł przy drzwiach.

Rozejrzeli się dookoła. Magazyn był ogromny, a lampa niewiel-ka. Jej światło drżało i migotało z ich każdym krokiem, rzucając na ogromne ściany cienie podobne płaskorzeźbom. Powietrze wewnątrz było stęchłe i suche, pachniało słomianymi matami, starym drewnem i przyprawami.

Gdy kroczyli powoli do przodu, usłyszeli przebiegające obok małe zwierzęta – myszy bądź szczury. Akitada uniósł wieko jednej z obszernych beczek. W środku była fasola. Tora zatrzymał się przed rzędem glinianych dzbanów. Na jednym z nich leżała długa chochla. Podniósł ją i wyjął korek z dzbana. W powietrze uniósł się silny zapach owoców.

– Kto by pomyślał? – zaśmiał się zdziwiony. – Łysolom tak jak nam grzesznikom przypadło do gustu wino. – Zanurzył chochlę, pociągnął łyk trunku i cmoknął ustami. – Dobrze.

Akitada, wciąż obolały i wyczerpany, przysiadł na skrzyni i wpatrywał się w długi rząd dzbanów. – Dziwne – szepnął do siebie. – Fasola jest podstawowym pożywieniem w buddyjskich klasztorach. Ale wino? Wino jest zakazane.

– Tak jak gwałcenie kobiet – warknęła Ayako i kopnęła zwinię-

tą rolkę słomianych mat. – Au! – Schyliła się, by jej dotknąć.

167

Szczęknęła cicho pod jej dłonią.

– Przestań pić, Tora – polecił Akitada. – I sprawdź, co jest w tych paczkach!

Gdy rozwinęli maty, ich oczom ukazało się kilka halabard, każ-

da nowa i zaostrzona.

– Na świętego Buddę! *Naginaty!* – wydyszał Tora. – Muszą się spodziewać ataku. Nic dziwnego, że pilnują tego miejsca, jakby było obleżonym zamkiem.

– Niech się temu przyjrzę. – Inspektor wstał, trzymając latarnię.

Wiązka za wiązką stały pod ścianą słomiane maty podobne do tej, którą rozwinęli. Naliczył dwadzieścia halabard rozrzuconych na podłodze. Przyglądając się pobieżnie pozostałym ma-tom, stwierdził, iż musi ich być około setki. – Wystarczająco dużo, by uzbroić armię – rzekł z podziwem. Żołnierze na zwoju Otomi też byli uzbrojeni w *naginaty*. Poczuł, jak straszliwy niepokój przenika całe jego ciało. Już sama myśl, iż cały zakon mnichów pobłąza sobie z winem i kobietami, była fantastyczna.

A teraz jeszcze broń. Przeciwko komu się zbroili? Tutejszym władzom? Cesarzowi? Nic dziwnego, że mnisi w posiadłości Tachibany przypominali mu rekrutów. Byli nimi. Stały mu nagle przed oczami rysy twarzy i zachowanie mnichów, których spotkali pierwszego dnia po przybyciu. – Zwiń je i ustaw tak, jak stały, Tora – powiedział ponurym tonem.

Ayako przypatrywała się wszystkiemu z niemą satysfakcją. –

Mówiłam. Założę się, że w pozostałych pojemnikach są zaginione podatki.

Zaczęła otwierać skrzynie i beczki. Akitada szedł za nią przy-

świecając latarnią. W jej świetle dostrzegł na skórze dziewczyny, na jej przejętej twarzy, na małych zębach, na smukłej szyi złote błyski. Obserwował jej dłonie, długie i sprawne, porusza-jące się szybko pomiędzy pudłami, kubkami, koszami i torbami.

Nie znaleźli niczego więcej.

168

Dopiero gdy dotarli do przeciwległej ściany, zorientowali się, że nie ma z nimi Tory.

– Chyba jesteśmy sami – powiedział delikatnie do Ayako. Od-wróciła się i popatrzyła na niego.

W jednej chwili Akitada stracił oddech. – Ciekaw jestem – wyszeptał w końcu, uśmiechając się głupkowato – co też się stało z Torą.

– Tu jestem – beknął chłopak, zionąc im w twarze odorem ry-

zowego wina. – Paniczu. Zastanawiałem się. A tamte skrzynie?

Te, na których siedziałeś. Czy nie przypominały ci niczego? –

^^^

– Co masz na myśli?

– Nie miałem światła, więc nie mogłem się upewnić, lecz wydaje mi się, że do takich skrzyń pakuje się zwykle srebro i złoto.

Akitada zawrócił i szybkim krokiem przeszedł przez magazyn.

Serce waliło mu w piersiach jak oszalałe. Pomalowane pojemniki, o których mówił Tora, wykonane były z obitego skórą drewna. Ich boki i kanty wzmocniono metalowymi płytami.

Uchwyty i zamki wyglądały na solidne. – Chyba masz rację. W

takich skrzyniach kupcy i cesarscy urzędnicy przewożą zazwyczaj złote i srebrne sztabki bądź monety.

Tora i Ayako rzucili się na nie z uśmiechem zadowolenia na ustach. Skrzynie nie były jednak zamknięte. Gdy unieśli wieka, zobaczyli puste wnętrza. Najwidoczniej przechowywano je tu z myślą o przyszłym wykorzystaniu. Jeśli opieczętowano je kiedyś rządowymi pieczęciami i znakami, nie pozostał po nich najmniejszy nawet ślad. Przyświecając sobie latarnią obejrzeliby dokładnie każdą skrzynię, lecz jedyną rzeczą jaką dostrzegli, były przeróżne zadrapania i jeden, raczej dziwny, ślad po przy-paleniu, który przypominał rybę wyskakującą nad powierzchnię wody do rzuconej piłki.

Akitada westchnął. – Skrzynie mogły kiedyś służyć do prze-

chowywania cennych przedmiotów używanych w religijnych ceremoniach – powiedział. – A reszta rzeczy trzymany w magazynie to tylko bele konopnego włókna, skrzynie wypełnione mosiężnymi kadzielnicami, dzwonekami i obrzędowymi szatami.

– Rozejrzał się dookoła niepokieszony. Wino i broń! To połą-

czenie nie miało sensu. Może trzymano je tu dla jakiejś bogatej i wpływowej osoby. Tylko co jeden z tutejszych, podobno po-kojowo usposobionych, wielmożów miałby począć z dwoma tysiącami halabard?

– Sprawdźmy też pozostałe magazyny? – spytała Ayako po chwili. Inspektor, choć zmęczony, pokiwał twierdząco głową. –

Zgaś światło, Tora, ale nie zamykaj drzwi. Mam wrażenie, że coś przeoczyliśmy.

Reszta magazynów była otwarta. Weszli do każdego, lecz nie znaleźli niczego podejrzanego. W środku były jedynie skrzynie fasoli, worki ryżu, jęczmiennego ziarna i prosa, dzbany z oliwą pudła pełne świec, bele jedwabiu i konopi, półki zastawione naczyniami, świątynnymi ozdobami i uszkodzonymi rzeźbami.

– Robi się późno – ponagliła Ayako. – A jest jeszcze jedna rzecz, którą chciałam wam pokazać. Nie mogę o niej zapomnieć od chwili, gdy po raz pierwszy ją usłyszałam.

– Usłyszałam? – spytał inspektor.

– Tak. Na zewnątrz. Za magazynem.

Nad pograżonym w ciszy dziedzińcem migotały gwiazdy. Księ-

życ przesunął się nieznacznie ku zachodowi. Na wschodzie dostrzegli pierwsze widoczne oznaki ustępującej nocy.

Skręcili za narożnikiem budynku i doszli do połowy otwartego dziedzińca pomiędzy magazynem a zadaszoną galerią.

– Co się tam znajduje? – spytał Akitada, wskazując kilka płaskich dachów na następnym dziedzińcu.

– Komnaty Joto i klasztornej administracji. – Dziewczyna poruszała się wolno, nasłuchując z uwagą. Nagle przywołała ich ge-170

stem dłoni.

– Słuchajcie! Słyszeliście?

Inspektor przekrzywił głowę. Ledwie mógł dosłyszeć cichy, buczący dźwięk. – Wiatr? – zapytał.

– Nie, wiatr ucichł. Poza tym dźwięk jest zbyt miarowy. Jakby śpiew.

– Masz rację. Zdaje się dochodzić spod ziemi – odparł Akitada, kucając. Monotonny, rytmiczny śpiew. Podobny do tego, który słyszał podczas pogrzebu Tachibany, tyle że teraz towarzyszył

mu pojedynczy piskliwy głos. – Śpiew. Śpiew mnichów – powiedział, podnosząc się i marszcząc brwi.

– I dobiega spod ziemi? – spytał przestraszony Tora. – Zmykajmy stąd czym prędzej. Założę się, że tam ci przekłęci mnisi chowają swoich zmarłych.

– Cisza! – syknął Akitada. – Chcę się dowiedzieć, skąd dobiega.

– Pochylony stawiał ostrożnie długie kroki, póki podążając za dźwiękiem, nie doszedł do tylnej ściany zamkniętego magazynu.

Znalazł to, czego szukał w cieniu rzucanym przez budynek, równo z ziemią – małą drewnianą kratę, szeroką prawie na pół

metra. Zaslaniała szyb, z którego dobiegały teraz wyraźniejsze odgłosy śpiewów. Dostał gęziej skórki.

Przyklęknął, po czym rozciągnął się na ziemi, próbując przeniknąć wzrokiem podziemne ciemności. Nic nie dostrzegł, lecz nozdrza wypełnił mu ciepły odór zgnilizny. Podnosząc się gwał-

townie, próbował opanować wzburzone w nim mdłości. W

głowie dzwoniły mu słowa Tory: tam ci przekłeci mnisi chowają swoich zmarłych.

– Co się stało? – spytał chłopak, trzymając się w bezpiecznej odległości.

– Nie jestem pewien. Znalazłem coś, co przypomina szyb do-prowadzający świeże powietrze do podziemnego pomieszcze-171

nia. – Głos Akitady był napięty i bezbarwny.

Ayako podeszła bliżej. – Dobrze się czujesz? – spytała, wpatrując się w kratę. – Nie podoba mi się to. Po skórze przechodzą mi ciarki.

– Podeszła jeszcze bliżej.

– Hej! Ktoś tu idzie – syknął Tora, wyglądając za narożnik magazynu. – To chyba straż.

– Idziemy – szepnął inspektor.

Wrócili tam, skąd przybyli, stąpając uważnie, lecz szybko. Bez przeszkód doszli do bramy oddzielającej dziedzińiec, na którym stały magazyny, od dziedzińca kuchennego. Właśnie mieli przez niego przejść i popędzić do beczki, po której zamierzali się wspiąć na mur, gdy usłyszeli głosy. Nurkując w cień rzucany przez ścianę, przykucnęli, nasłuchując w ciszy.

Przez bramę przeszło dwóch strażników. Za nimi kuśtykał stary mnich. Cała trójka skierowała swe kroki do dużego magazynu.

– Na niebiosa! – szepnął Akitada. – Zapomnieliśmy go zamknąć. – Nagle zdał sobie sprawę z sytuacji, w jakiej się znalazł-

li. Do tej pory nic, nawet straszliwy ból, nie było w stanie oderwać jego myśli od zadania i od dziewczyny. A teraz mieli zostać wykryci. Nawet będąc cesarskim inspektorem lub urzędnikiem niskiego szczebla w Ministerstwie Sprawiedliwości, nie mógł sobie pozwolić na to, by oskarżono go o bezprawne wtargnięcie. Nie mógłby już wtedy oskarżyć Joto o cokolwiek. To byłby koniec jego kariery. Co też chodziło mu po głowie? Przecież mnisi nie pozwolą im odejść bez przeszkód. Wzdrygając się, pomyślał o szybie.

Patrzyli bezradnie, jak strażnicy szarpnęli otwarte drzwi i odwracając się do starego mnicha, poczęli na niego krzyczeć i go besztać.

– Ty stary capie! – krzyknął jeden z nich. – Znowu nie zamkną-

łeś drzwi. Tym razem jego świątobliwość dowie się o wszystkim-172

kim i to będzie twój koniec. – Zaczęli go kopać i bić. Krzyknął

przestraszony i uciekł, biegnąc w stronę skrywającej się w cieniu trójki. Zamarli w bezruchu, mając nadzieję, że ciemności zleją się z ich ubraniami, czyniąc ich niewidzialnymi.

Starzec nie dotarł tak daleko. W jednej chwili dopadli do niego oprawcy, przewracając kopniakami na ziemię i okładając pięściami.

Tora zaklął pod nosem. Akitada ucieszony wpierw tym, że nie zostali wykryci, teraz wzdrygał się za każdym ciosem, który widział, obwiniając się za swą bezmyślność.

– Zamknij jadaczkę – rozkazał jeden z młodych mnichów, ciągnąc starca do góry. – Albo wrzucimy cię do tej zasranej nory, byś towarzyszył staremu Genninowi!

Bity znalazł w sobie resztki odwagi i krzyknął przeraźliwie: –

Diabły! Nie jesteście warci wzywania imienia pana naszego Buddy. Wasz mistrz nurza się w grzechu i zepsuciu. Jesteście mordercami i cudzołożnikami, a za to smażyć się będziecie po wsze czasy w piekle, gdzie demony... Aaa.

Pierwszy cios w twarz zamknął mu usta. Akitada nie mógł już tego znieść. Zrobił krok do przodu, lecz Ayako chwyciła go za ramię. Syknął z bólu.

Jeden ze strażników uniósł głowę i popatrzył w ich kierunku.

Przez moment jego spojrzenie spoczęło na nich i myśleli, że zostali odkryci.

– Słyszałeś to? – spytał swego towarzysza.

Drugi mężczyzna oderwał się od wykręcania ramion starego mnicha i spytał zdenerwowany: – Co znowu? Nie, niczego nie słyszałem. Lepiej pomóż mi z tym sukinkotem.

Pierwszy mnich raz jeszcze spojrział w ich stronę. – Wydawało mi się, że coś słyszałem. Coś się poruszyło.

– Pewnie kot.

Dwóch strażników wzięło pod rękę starca i ciągnąc go za sobą, 173

weszło do magazynu – zapewne by sprawdzić, czy nic nie zginęło. Ze środka dolatywało migoczące światło latarni.

– Szybko! – wyszeptała Ayako. – Zorientują się, że latarnia jest ciepła. Za chwilę cały dziedziniec zaroi się od ludzi. – Gdy tylko zdążyła to powiedzieć, usłyszeli krzyki dobiegające z magazynu: – Złodzieje! Pomocy, złodzieje!

Popędzili przez bramę, dobiegli do beczki na deszczówkę i wspięli się po niej na mur. Tora wszedł pierwszy, po nim Akitada i razem wciągnęli do góry Ayako. Dziewczyna, śpiesząc się, wywróciła beczkę, lecz udało się jej wejść na ogrodzenie. Pobiegli po dachówkach w stronę sosen. Mężczyźni zeskoczyli pierwsi, lądując ciężko na ziemi i prawie staczając się z urwiska.

Uciekając pośpiesznie, Akitada zapomniał zupełnie o bólu, lecz teraz, gdy znaleźli się poza klasztorem, kolana odmówiły mu posłuszeństwa i musiał oprzeć się o mur, by nie upaść.

Usłyszeli krzyki, a zaraz potem bicie dzwonów. Popatrzył w górę, dziewczyna wciąż stała na murze, przygotowując się do skoku. Usiadła i odepchnęła się lekko. Wylądowała na trawie, krzycząc z bólu. Gdy podbiegł, by ją podnieść, chwyciła jego ramię.

– Co się stało? – spytał.

– Kostka. – Odepchnęła go i zrobiła kilka kroków, chwiejąc się na nogach. – Skręcona – westchnęła. – Za chwilę wszystko bę-

dzie w porządku. Dalej! Nie sterczmy tu.

Z drugiej strony muru dobiegły ich krzyki i podniesione głosy.

Ktoś znalazł przewróconą beczkę.

– Nie – powiedział Akitada, chwytając ją pod ramię. – Nie możesz schodzić o własnych siłach. Zejdziemy razem. Jeśli się poślizgniesz, będę mógł cię złapać.

Hałas zza muru stawał się coraz głośniejszy. Nad dachówkami pojawiła się ludzka głowa. Ayako zawahała się, po czym pokiwała głową na zgodę.

174

Schodzili denerwująco wolno. Nie wiedział, gdzie ma stąpać i dlatego opuszczał się po omacku, większą uwagę skupiając na podtrzymywaniu dziewczyny, co wymagało bliskiego kontaktu.

Pomimo niebezpieczeństwa i trudności czuł zgrabny kształt jej ciała za każdym razem, gdy ją dotykał, a jej zapach wypełniał

mu nozdrza. Nagła potrzeba zaopiekowania się nią opanowała jego myśli, a serce zawrzało od pragnienia. Gdy stanęli na ziemi u stóp urwiska, przez chwilę obejmowała go jeszcze za szyję.

Rozluźniła objęcia i pokuśtykała w kierunku drzew.

Znaleźli konie, wsiedli na nie i wjechali na drogę. Za nimi zamarły dzwony, a krzyki oddalały się, niknąc powoli w oddali.

Wracali, nie napotykać na swej drodze żadnych kłopotów. Do miasta dotarli wraz z pierwszymi promykami słońca wychylają-

cego się zza wschodnich gór. Inspektor zamierzał odprowadzić Ayako do domu ojca i wrócić do sądu, by przespać się kilka godzin, lecz dziewczyna zarumieniona i piękna w złotej poświacie wschodzącego słońca zatrzymała się przed otwierającą się właśnie łaźnią.

– W moim domu nie będzie ciepłej wody – zwróciła się do Akitady. – A muszę wymoczyć kostkę. – Zrobiła pauzę i dodała jednym tchem:

– Pozwól Torze odprowadzić konie i zostań ze mną. Twoje ramiona muszą być pewnie sztywne od bólu.

Popatrzyli na siebie. Oczy dziewczyny błyskały w świetle poranka. Uśmiechała się nerwowo. Zrozumiał, że od początku wiedziała o jego obrażeniach i wzruszyło go to, że się nim przejmuje. Wydawało się rzeczą naturalną by przyjąć zaproszenie.

– Zabierz konie, Tora. Dojdę do domu pieszo – powiedział, schodząc z wierzchowca.

175

Rozdział 11

Rosa

Kobieta, która wzięła od nich zapłatę, zaprowadziła ich do ma-

łego pomieszczenia, na którego środku stała duża, zakrywana, drewniana kadź. U jej boku ustawiono stołek służący zarówno do siedzenia, jak i do wchodzenia do kadzi. W kamiennej pod-

łodze, blisko kadzi znajdował się otwór odprowadzający wodę, a obok niego stały dwa małe wiadra i woreczki z otrębami. Jedynym dodatkowym wyposażeniem był podest zakryty słomianymi matami. Dwa wyblakłe bawełniane kimona wisiały na haku. Powietrze wewnątrz było wilgotne i ciepłe, pachnące mokrym drewnem i trawą.

Kobieta odepchnęła ciężką pokrywę, uwalniając gęstą wilgotną parę, której kłęby poleciały w kierunku promieni słonecznych prześwitujących przez małe okienko. Przez chwilę mieli wrażenie, jakby weszli w chmurę skraplającego się światła. Akitada usłyszał, jak Ayako szepcze coś do kobiety, lecz był zbyt zmę-

czony i speszony sytuacją by skupić uwagę na rozmowie. Nie zmrużył oka od poprzedniej nocy. Odruchowo począł się rozbierać, zrzucając ubrania na maty. Napełnił jeden z kubeków wodą z kadzi, przykucnął przy otworze i spróbował wyszorować się woreczkiem, ledwie świadom tego, że Ayako robi to samo. Nagle poczuł w ramionach straszliwy ból i syknął przeciągle.

Był zbyt wyczerpany, by zaprotestować, gdy wzięła z jego dłoni woreczek, by mu pomóc.

– Wejź teraz do wody – powiedziała. – Od razu poczujesz się lepiej.

– Dziękuję – wymamrotał śpiący od wilgotnego powietrza wypełniającego pomieszczenie. Z niemałym wysiłkiem popatrzył

176

na nią przez kłęby pary. Jej złota skóra przeświecała zza białych chmurek. Wydała mu się stworzeniem nie z tego świata. – A jak twoja kostka? – spytał.

– Nie martw się o nią – Przekuśtykała obok niego, weszła na stołek i zanurzyła się w gorącej kąpieli z tą samą zwinną łatwo-

ścią z jaką wspinała się po urwisku.

Niezdarnie poszedł w jej ślady, rozlewając na boki wodę. Ciepło otoczyło go w jednej chwili, pozwalając zapomnieć ochłodzie nocy i przeszywającym wietrze. Zanurzał się powoli, póki woda nie dotknęła podbródka, podciągnął swe długie nogi, by zrobić dla niej miejsce. Gorąca woda wsiąkała każdymi porami ciała.

Zamknął oczy.

Nagle całe zmęczenie opuściło jego ciało, był całkowicie rozbu-dzony. Nigdy dotąd nie dzielił kąpeli z kobietą choć rodziny zwykły się kąpać razem, a łaźnie pozwalały nieznanym oboj-ga płci na wspólne kąpiele. Nie było w takim zachowaniu niczego nadzwyczajnego.

Tyle że w tym przypadku było inaczej. Nie mógł udawać, że kąpiel w jednej kadzi jest następstwem wspólnej wyprawy. Po-

żądał Ayako od chwili, gdy obnażyła się przed nim przed walką na kije. Od tego momentu nie był w stanie oderwać od niej oczu, za każdym razem szukając pod ubraniami smukłych linii jej wiotkiego ciała. Jego skóra rozpalala się pod jej dotykiem.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, że dziewczyna może zauważyć jego podniecenie. Zawstydzony popatrzył na nią przez kłęby pary zastanawiając się, co robić. Czy rozgniewa się lub spojrzy na niego ze wstrętem? Czy zarzuci mu nieumiejętność panowa-nia nad sobą? A może, co gorsza, wyśmiej go?

Leżała z zamkniętymi oczami. Krople wody niczym cudowne perły błyszczały na jej policzkach, nosie, ustach i rzęsach. Mokre czarne włosy opadały kosmykami na jej smukłą szyję i ramiona. Jedno pasemko znikalo pomiędzy krągłościami piersi.

177

Była piękna. Akitadzie zaschło w ustach. Chciał odwrócić wzrok, lecz nie był w stanie. Na jej górnej wardze dostrzegł

kropelkę wody, którą promienie rozświetliły wszystkimi kolorami tęczy – niczym rosa migocząca na trawie w porannym słońcu.

Obudził go jej dotyk. Otworzył oczy i zobaczył ją klęczącą po-między swoimi wyciągniętymi na całą długość nogami. Delikatnie masowała mu ramiona.

– Czujesz się już lepiej? – spytała, uśmiechając się nieśmiało.

Jej słodki oddech owiewał jego usta.

Cofnął się wystraszony niespodziewaną bliskością. – Nie musisz tego robić – powiedział ochryłym głosem, mając nadzieję, że przerwie.

– Masaż mięśni pomaga je leczyć – odparła rzeczowym tonem.

– Ktoś może tu wejść – zaprotestował.

Zaśmiała się cicho. – Nie bój się. Powiedziałam tej kobiecie, by nam nie przeszkadzano.

Akitada nie znał zbyt dobrze publicznych łaźni, lecz nigdy nie pomyślałby, że służą za miejsca schadzek. Nagle w jego głowie zaświtała myśl, iż musiała przyprowadzać tu wcześniej innych mężczyzn i poczuł bolesne ściskanie w żołądku.

Patrzyła na niego spokojnym wzrokiem, nie przerywając masowania ramion i pleców. Jej dotyk był zarazem rozkoszny i irytujący. Ból i przyjemność jednakowo karmiły pożądanie.

– Ayako – szepnęła. – Nie powinnaś tego robić.

– Nie chcesz mnie? – spytała i przysunęła się bliżej, dotykając swym ciałem jego ciała. Poczuł jej piersi, jej sutki napierające na jego skórę. Westchnął błogo i zamknął oczy. Delikatna dłoń objęła jego krocze. Jej wargi spoczęły na jego wargach.

– Bardziej niż cokolwiek w świecie – wyszeptał i objął ją ramionami.

Przez chwilę odwzajemniała uścisk, lecz potem uwolniła się z 178

jego objęć. – Chodź – powiedziała, biorąc go za rękę i wstając.

Skupieni tylko na sobie wyszli z wody, zarzucili na siebie bawełniane kimono i położyli się na matach.

Ayako nie była nowicjuską w sztuce miłości. Akitada zauwa-

żył to pomimo podniecenia, lecz był za to wdzięczny. Jego intymne doświadczenia z płcią przeciwną były nieliczne. Dwa razy, gdy spał z kobietami swojej klasy, czuł się dziwnie. Należały, by w pokoju panowała całkowita ciemność i by nie rozbięrali się z ubrań. Kobięce szaty noszone na kilku warstwach bielizny, dodatkowo przewiązane pasem mogą stać się nielada przeszkodą, zwłaszcza gdy doda się do tego męskie bufiaste spodnie. Przez cały akt owe kobiety okazywały jedynie znużenie i milczały jak grób.

Kilka razy złożył też wizytę prostytutkom. Były bardziej przystępne i rozmowne, lecz ich zainteresowanie wydało mu się mechaniczne i wymuszone.

Ayako zupełnie ich nie przypominała. Rzuciła się w jego obję-

cia jak wojownik próbujący swych sił w starciu, parując jego niezdarny pośpiech zręcznymi unikami, szukając wszystkich wrażliwych miejsc na jego ciele, pieszcząc je, póki nie uświadomiła sobie, że dawanie przyjemności jest rozkoszniejsze niż jej branie. Była jednocześnie nauczycielem i uczestnikiem tej miłosnej gry. Poświęcała się jej z tą samą pasją co walce.

Gdy w końcu uległa mu, miaucząc jak kotka i wziął ją wiedział, że ona bierze go także. Z odrzuconą głową przymrużonymi oczami, z twarzą cudownie piękną od zapamiętania wykrzyczała swój triumf.

Poplątanie sztuk walki ze sztuką miłości sprawiło, że uśmiechnął się do siebie i śmiał się wciąż, gdy wypuścili się z objęć i położyli obok siebie.

– Lubię cię, Akitada – powiedziała takim tonem, jakby sama była tym faktem zdziwiona.

– Z wzajemnością – odparł szczęśliwy.

– Wiedziałaś, że chcesz się ze mną kochać, od chwili gdy gapi-

łeś się jak dzieciak na moje piersi – wyjaśniła rzeczowym tonem. – A że i ja tego chciałam, przyprowadziłam cię tu. Wielu mężczyzn patrzyło na mnie w ten sposób. Kilku przyszło ze mną do łaźni, lecz żadnego z nich nie darzyłam sympatią.

To wyznanie, wtrącone jakby mimochodem, podziało na niego jak kubeł lodowatej wody. Podniósł się, zraniony jak nigdy do-tąd, wiedząc, że był jedynie wygodnym środkiem do zaspokojenia fizycznej potrzeby. – Wygląda na to, że nie spełniali oczekiwań – powiedział, próbując, by zabrzmiało to beztrąsko, po czym zarumienił się, zdając sobie sprawę, że jego słowa zabrzmiały jak przechwałki.

– Nie. Nie o to chodziło – odparła, wstając. – Chodźmy. Inni klienci czekają w kolejce.

Przyglądał się, jak napełnia wiadro i zmywa wszystkie ślady ich upojnych zmagania bez najmniejszego zażenowania. Jej ciało, wciąż tak samo piękne, stało mu się teraz znajome i tym bardziej cenne, niczym ulubiona rzecz, i myśl ta przeraziła go nie na żarty. Był o nią zazdrosny, choć nie miał do niej żadnego prawa. Nie mógł zaoferować jej małżeństwa, nawet jeśli gotowa była się zgodzić.

– Będziemy musieli wrócić pieszo – powiedział. – Jak twoja noga?

Stała, przyglądając się opuchniętej kostce. Wziął ją delikatnie w dłoń i poruszył stopą. Nie wyglądała na ciężko uszkodzoną. –

Możesz iść o własnych siłach? – spytał.

– Bez problemów – odpowiedziała, demonstrując to kilkoma krokami. Obejrzała się na niego przez ramię.

Pozwolił swoim oczom przeslizgnąć się z jej uśmiechniętych ust na proste ramiona, a później dalej wzdłuż złotych pleców i kształtnych pośladków, w dół do smukłych ud i łydek kończą-

180

cych się wąskimi kostkami i małymi stopami. Woda w kadzi wystygła i pomieszczenia nie spowijały już kłęby pary, lecz krople wody wciąż rosiły jej plecy, szyję i łopatki. Poczłł chęć, by spróbować ich smaku, by zakosztować jej raz jeszcze. – Jesteś najpiękniejszą kobietą jaką widziałem w życiu – wyznał.

Poczęła się pośpiesznie ubierać. – Mylisz się – odparła. – Jestem zbyt wysoka i za chuda. Wyglądam jak wychudzony młokos.

Otomi jest piękna. Każdy mężczyzna wybrałby ją zamiast mnie.

– Nie ja – odparł.

Zapadła cisza. Nagle chwyciła wiadro i napełniła je ponownie. –

Dalej! Pomogę ci.

Tym razem odmówił. Ramiona nie bolały go już tak bardzo.

Ubrawszy się, rzekł: – Odprowadzę cię do domu. – Po chwili zastanowił się, czy będzie w stanie spojrzeć w oczy jej ojcu.

– Nie. Mam jeszcze jedną sprawę do załatwienia – odrzekła beznamiętnym tonem.

Zdziwiła go jej nagła oziębłość, lecz nie zaprotestował. Wyszli razem. Głosy innych zażywających kąpeli klientów dobiegały zza cienkich ścian. Kobieta, której zapłacili, wystawiła głowę przez drzwi, pokiwała głową i uśmiechnęła się do nich szeroko.

Ayako przyśpieszyła kroku. – Co masz zamiar zrobić w sprawie mnichów? – zapytała napiętym głosem.

W jednej chwili wróciła potworna rzeczywistość.

Akitada przytrzymał zasłaniającą wejście kotarę, by mogła pod nią przejść. Wyszli na tonącą w słonecznych promieniach ulicę.

– Nie mam najmniejszego pojęcia – odparł szczerze. – Wydaje mi się, że jedyną osobą która może coś zdziałać w tej kwestii, jest gubernator. Mam nadzieję zobaczyć się z nim jak najszybciej. – Zamyślając się, przerwał. – Słowa, które zapisała twoja siostra. Ostatnie słowa o konnym transporcie. Co oznaczały?

Odwróciła twarz. – „Inne życie”. Zapisała je kilkakrotnie, lecz trudno je było odczytać, gdyż była bardzo wzburzona. Nie 181

wiem, co oznaczają.

Akitada ściągnął usta w prostą linię. – By zacząć inne życie, wpierw musimy umrzeć – odparł. – Będziesz musiała uważniej pilnować swojej siostry.

Odwróciła się do niego pośpiesznie. W jej oczach dostrzegł

trwogę.

Położył dłoń na jej ramieniu. Była niemal tak wysoka, jak on. –

Wracając do tego, co zaszło między nami... – zaczął niezdarne, licząc na to, że dostrzeże na jej twarzy jakikolwiek ślad odwzajemnianego uczucia. Zawiódł się i opuścił dłoń. – Nie zdążyłem ci podziękować za pomoc w dostaniu się do świątyni. Byłaś bardzo dzielna.

Spojrzała na niego gniewnym wzrokiem i zrobiła kilka kroków do tyłu. – Tak, wiem. Jak na

dziewczyne! – powiedziała z wyrzutem i odeszła.

* * *

Gdy Akitada poprosił o widzenie z Motosuke, usłyszał, że gubernator wyjechał wczesnym rankiem na wieś, gdzie miał zamiar kupić potrzebne do podróży konie. Wzdychając ciężko, wrócił do swoich komnat, zjadł odrobinę ryżowego kleiku i po-

łożył się spać na kilka godzin.

Zbudził go odgłos drapania i gdy otworzył oczy, zobaczył iskającego się Torę.

Wpatrując się w sługę zaspanym wzrokiem, powiedział: – Wyrzuć na śmietnik te brudne łachmany i weź kąpiel.

Chłopak uśmiechnął się szeroko. – Zdążę to jeszcze zrobić.

Obiecałeś, że pomożesz mi odszukać Hidesato.

Inspektor przeciągnął się, ziewając głośno. – Niech i tak będzie.

Lecz wpierw znajdź sobie inne ubranie.

Chwilę później, ubrawszy się w czyste, lecz nierzucające się w oczy szaty, wyszli przez bramę sądu i skręcili w prostopadłą 182

ulicę, kierując swe kroki ku centrum miasta. Było południe, słońce rozgrzało się już na tyle, że powietrze było ciepłe, niemalże wiosenne. Akitada milczał zajęty myślami o Ayako.

Gdy dotarli do rynku, Tora zatrzymał się przy małym uliczniku, by zapytać go, gdzie mogą kupić smażone ryżowe ciasteczka.

Chłopiec wyciągnął przed siebie kościstą dłoń, lecz gdy Tora położył na niej miedziaka, urwisz czmychnął w tłum. Sługa zaklął pod nosem.

– Czy twój żołądek jest ważniejszy od twego przyjaciela? – spytał zdenerwowany Akitada. Powoli zaczął żałować swej obietnicy.

– Z całym szacunkiem paniczu, szukam sprzedawcy ciastek –

^wyjaśnił chłopak. – Wciąż mam jego pieniądze. Był na pół

zagłodzony i z pewnością mu się przydadzą.

– Och – odparł zwyczajnym już głosem inspektor. – Być może pracuje tylko wieczorami – zasugerował.

Mylił się jednak. Chwilę później Tora wyczuł dobrze mu znajomy zapach smażonych ciastek i ze zmarszczonym nosem po-pędził w stronę, z której dolatywał. Akitada ruszył za nim i znalazł go rozmawiającego z młodym, wychudzonym człowiekiem ubranym w łachmany. Sprzedawca wpatrywał się z niedowierzaniem w srebrne sztabki, które oddawał mu sługa.

– Złapaliśmy rzezimieszków – wyjaśnił. – I nie będziesz musiał

im już płacić. Następnym razem zgłoś to władzom.

Młodzieniec roześmiał się gorzko. – Dzięki za radę – odparł, chowając za pazuchę srebro. – Mówisz, że złapaliście drani, a oni chodzą wolno po ulicach. Jak ci się wydaje, dla kogo pracują posterunkowi? Każdy dostaje swoją dolę – Co masz na myśli?

– spytał stanowczym tonem Akitada. Zmieszany sprzedawca spojrzął na niego przestraszonym wzrokiem i wyszeptał: – Nic takiego, panie. – Chwycił swą bambusową tyczkę, zarzucił na nią kosze i potruchtał, znikając w tłumie.

183

– Tak jak mówiłem, przekupni urzędnicy – powiedział Tora ciężkim głosem. – To jedyne wyjaśnienie tego, że ci dranie znów sana wolności. – Splunął z obrzydzeniem.

– Nie uwierzę w to – odparł inspektor. – Ikeda wydał mi się kompetentną osobą, a gubernator nie wspominał o jakichkolwiek problemach. Pewnie to tylko plotki. Czy jesteśmy blisko tej winiarni, w której spotkałeś Hidesato? Tak? To dobrze. Mo-

że twemu przyjacielowi przyszło do głowy do niej wrócić.

– To nie jest miejsce dla ciebie. Chadza tam tylko podobna do mnie hołota.

Akitada zatrzymał się w pół kroku. – Tak długo, jak będziesz na mojej służbie, zabraniam ci określać się w ten sposób!

Chłopak uśmiechnął się niechętnie. – Przepraszam, paniczu.

Tłusty właściciel Niebiańskiej Zagrody przywitał Torę jak starego znajomego, lecz inspektorowi tylko skinął głową na powitanie. Jeśli nie liczyć przysypiającego w kącie staruszka, lokal był zupełnie pusty.

– Co to za historia z tymi draniami, których kazaliśmy wsadzić do więzienia? – spytał Tora. – Ponoć znowu chodzą wolno po ulicach.

Gospodarz wywrócił tylko oczami. – Sukinkoty! Jeśli pojawią się tu kiedykolwiek, wybebeszę ich kuchennym nożem – zagrzmiał. – Trzymam go zaostrzonego pod ladą. W zasięgu ręki.

– Nie widziałem, byś rwał się do tego ostatniej nocy. Tłuscioch machnął ręką. – We dwóch dawaliście sobie świetnie radę.

Samotny gość, uginający się pod ciężarem wieku, wykrzyknął

nagle łamiącym się głosem: – Amida jest wspaniały. Amida zbawia.

Obrócili na chwilę głowy w jego stronę, po czym wrócili do rozmowy.

– Zgubiłem swego towarzysza – wyjaśnił Tora. – Wrócił tu mo-

że, gdy mnie nie było?

184

– Nie. – Widząc rozczarowanie malujące się na twarzy chłopaka, dodał szybko: – Ale jeśli się tu zjawi, na pewno mu powiem, że go szukasz.

– Dziękuję. – Tora obrócił się na pięcie, kierując się do wyjścia.

Akitada widząc przygnębioną twarz sługi wyszedł zaraz za nim i gdy byli już na zewnątrz, powiedział: – Wydaje mi się, że powinniśmy spróbować w garnizonie. Hidesato był przecież wojskowym. Może zgłosił się tu do służby.

Tora nabrał nagle nowej nadziei. – Masz rację. Mógł tak zrobić.

Wojskowy garnizon leżał przy zachodniej bramie. Otoczono go palisadą, a nad głównym wejściem zatknięto powiewające na wietrze kolorowe sztandary. Inspektor podał strażnikowi swoje imię oraz pełnioną funkcję i poprosił o widzenie z dowódcą.

Mężczyzna popatrzył na ich zwyczajne szaty z powątpiewaniem, lecz posłał rekruta z wiadomością do komendanta.

Żołnierz wrócił ze starszym mężczyzną smagłym i krzepkim, o twarzy otoczonej siwą brodą. Nosił krótkie, workowate spodnie i lekką zbroję nałożoną na koszulę. Taksował ich surowym wzrokiem.

– Porucznik Nakano – przedstawił się szorstkim głosem. Akitada raz jeszcze powtórzył swoje imię i sprawowany urząd. – Kapitan jest w swoim biurze.

Garnizon zajmował całą przecnicę i składał się z kilku podłuż-

nych i niskich budynków – przeznaczonych dla ludzi i koni –

oraz z dużego pawilonu, który służył za główną kwaterę. Na otwartym dziedzińcu musztrowano żołnierzy, którzy ćwiczyli z halabardami i długimi tarczami. Za nimi zaś dosiadający koni jeźdźcy zataczali kręgi wokół celu, napinając w pełnym galopie cięciwy łuków i wypuszczając miarowo strzały.

– Spójrz tylko na to – powiedział z podziwem Tora. – Świetni żołnierze. Ich kapitan musi znać się na swoim fachu.

do głównej sali. Minęli zajętych pracą urzędników i pomocników i doszli do drzwi, które porucznik otworzył, anonsując inspektora: – Pan Sugawara.

Akitada zatrzymał się w progu. Głowa kapitana obwiązana była zakrwawionym bandażem, a twarz miał bladą jak płótno. Yuka-nari podniósł się, by przywitać gościa, lecz zachwiał się na nogach, próbując się uklonić.

– To wszystko, poruczniku – powiedział. Stary żołnierz wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

– Co ci się przydarzyło? – spytał zatroskany Akitada.

– Nic takiego. Dziwaczny wypadek. Proszę usiądźcie, panie.

Gdy siadali, inspektor zauważył, że Yukinari trzyma lewą rękę tuż przy piersi. – Twoje obrażenia sprawiają wrażenie poważ-

nych. Zostałeś napadnięty?

Kapitan otarł spływające z czoła krople potu. – Nie, nie. Skądże.

Głupi wypadek, ot co. Ćwiczę każdego ranka, jeszcze nim wstaną moi ludzie. Gdy kończę, uderzam w duży, brązowy dzwon ustawiony na dziedzińcu. To sygnał na zbiórkę. Dzisiejszego ranka, gdy chciałem go tak jak zazwyczaj rozbijać, spadł. Na szczęście klosz tylko otarł się o moją głowę i lewe ramię. Kilka centymetrów bliżej, a nie byłoby mnie już wśród żywych. Najwidoczniej drewniana belka, na której zamocowano dzwon, przegniła i ustąpiła pod jego ciężarem.

– Rozumiem. W takim razie rad jestem, że udało ci się umknąć przed uderzeniem. Będę się streszczał. Czy możesz mi dokładnie powiedzieć, jak przeszukałeś drogę, którą powinien pokonać ostatni zaginiony konwój?

Yukinari pokiwał głową. – Pierwsze dwie kradzieże wydarzyły się, nim zostałem przydzielony do tego garnizonu, ale przy ostatnim konwoju zachowałem wszelką ostrożność, wydając rozkazy. Transport miał poruszać się lądem, wzdłuż przybrzeż-

nej drogi, aż do miejsca, w którym łączyła się z Wielkim 186

Wschodnim Traktem. Zamiast wykorzystać, tak jak to się zazwyczaj robi, tragarzy i chłopców stajennych, przydzieliłem do zadania swoich piechurów. Dodatkowo rozkazałem, by juczne konie poprzedzało dwudziestu jeźdźców, a tyły zabezpieczało kolejnych dwudziestu konnych. Wybierałem ich sam. Sprawnie posługiwali się mieczem i łukiem. – Westchnął ciężko. – Dowodził nimi porucznik Ono, doświadczony żołnierz, który słu-

żył jako pomocnik mojego poprzednika. Zgłosił się do tego zadania na ochotnika. Odważny człowiek.

Akitada zanotował w pamięci słowo „ochotnik”, lecz odparł

tylko: – Nie wątpię.

– Dwa tygodnie później wysłałem zwiadowcę, miał przepłynąć zatokę łodzią i sprawdzić, gdzie znajduje się konwój. Wrócił, informując mnie, że żołnierze nie dotarli nawet do Fujisawy.

Bezwłocznie ruszyłem w drogę sam z małym oddziałem jeźdź-

ców, podążając drogą którą powinien się kierować porucznik Ono. Wszelki ślad urywał się w prowincji Shimosa. Zupełnie jakby rozplynęli się w powietrzu. Jednego dnia zbliżali się do dużej wioski zaraz przy granicy z prowincją Musashi, następnego zniknęli z powierzchni ziemi. Nie widział ich żaden z żołnierzy strzegących dróg.

– A co na to władze prowincji Shimosa?

– Nie zamierzały współpracować.

Zdumiony Akitada uniósł brwi. – Podejrzewasz strażników czy też może władze o sprzyjanie rabusiom?

– Ani jednych, ani drugich. Poczuli się głęboko dotknięci, gdy poruszyliśmy tę kwestię w rozmowie. Najmniejsze wspomnienie o ulicznych rabusiach było odbierane jako krytyka prawa i porządku, który według nich utrzymują na najwyższym poziomie. Jestem niemal pewien, że donieśli do stolicy o moim obraz-

liwym dla nich zachowaniu. – Uśmiechnął się krzywo. – Szczerze mówiąc, cieszy mnie to. Nie mogę się już doczekać, by mnie 187

stąd odwołano – dodał.

Głos kapitana brzmiał tak, jakby pogodził się już ze swoją porażką. Akitada zastanowił się nad tym przez chwilę. Twarz oficera była straszliwie blada z powodu wypadku, chyba że były ku temu inne przyczyny. Wydał się inspektorowi bardzo nieszczęśliwym człowiekiem. Akitada odchrząknął i rzekł: – Przychodzę z jeszcze jedną niezwiązaną z poprzednią sprawą. Mój sługa, Tora, ma bliskiego przyjaciela, sierżanta Hidesato. Spotkali się w mieście dwa dni temu, lecz stracili ze sobą kontakt.

Pomyślałem, że być może, będąc żołnierzem, zgłosił się do tutejszego garnizonu. Słuchając opowieści Tory, wydawało mi się, że Hidesato nie był na służbie.

Brwi kapitana powędrowały wysoko na czoło. Nie wyraził jednak zdziwienia, słysząc, że cesarski inspektor przychodzi do niego, prosząc o pomoc dla swego sługi. Klasnął w dłonie i gdy na wezwanie odpowiedział porucznik, przekazał mu pytanie Akitady. Nakano zasalutował i wyszedł pośpiesznie.

Inspektor zastanawiał się, w jaki sposób powinien napomknąć o sprawie Tachibany, lecz Yukinari rozwiązał ten problem za niego.

Zajmując dłonie przyborami do pisania i unikając wzroku inspektora, spytał: – Czy pojawiły się

jakieś nowe informacje dotyczące śmierci pana Tachibany?

– Nie, lecz złożyłem wizytę wdowie i znalazłem ją rozbitą i po-grążoną w żałobie. Najwidoczniej wszyscy ją opuścili.

Uszy kapitana zaróżowiły się nagle. – Strasznie trudną rzeczą jest wiedzieć, co należy robić – odparł niejasno.

– Wydawało mi się, że twoja przyjaźń z państwem Tachibana czyni z ciebie właściwą osobę do zaoferowania swego wsparcia i pomocy młodej wdowie.

Oficer rzucił mu zrozpaczone spojrzenie i potarł nerwowo brwi.

– To... nie, nie zrozumiesz – zająknął się. – Ona nie oczekiwała 188
mojej pomocy.

– Co tak naprawdę łączy cię z panią Tachibana, kapitanie? –
spytał wprost inspektor.

Yukinari spurpurowiał. – Czy wolno mi spytać, skąd to zainteresowanie, panie?

Kapitan w najmniejszym stopniu nie przypominał mordercy, lecz miłość potrafiła doprowadzić mężczyznę do ostateczności.

Akitada postanowił zaskoczyć oficera jeszcze jedną rewelacją. –

Pan Tachibana został zamordowany. Widziano cię w jego posiadłości w nocy, w której dokonano morderstwa.

Yukinari zakrył twarz dłońmi i wyszeptał tylko: – Wielkie nieba.

– Czy w ten sposób przyznajecie się do morderstwa, kapitanie?

– spytał Akitada.

Mężczyzna potrząsnął przecząco głową. – Nie, nie. Oczywiście, że nie. Darzyłem go szacunkiem jak ojca.

– Więc co miałeś na myśli, wzywając niebiososa?

Twarz kapitana zaróżowiła się raz jeszcze. – Nie wiem. Czuję się odpowiedzialny. Może powinienem był mu o tym powiedzieć.

– Powiedzieć o czym?

– Ona nie jest... nie była szczęśliwa. Dlatego właśnie ja, my...

zostaliśmy kochankami. Wstydzilem się mu o tym powiedzieć.

Nie chciałem go krzywdzić... lub ją.

– To, że przebywałeś w posiadłości Tachibanów w nocy, w któ-

rej popełniono morderstwo, czyni z ciebie głównego podejrzanego, a przed chwilą przyznałeś się do tego, że miałeś motyw.

Yukinari wzdrygnął się i potrząsnął gwałtownie głową. Uniósł

sprawną dłoń, chwytając nią za bandaż. – Nie zrobiłem tego. Tej nocy byłem poza miastem i nie wróciłem przed świtem. Wtedy to właśnie usłyszałem o wypadku. Poza tym romans był krótki i skończył się z nastaniem jesieni. – Widząc powątpiewanie ma-189

lujące się na twarzy inspektora, dodał pośpiesznie: – Wierz mi, strasznie żałuję swojego postępowania. Uważałem pana Tachibanę za ojca, którego nigdy nie miałem. Był mi zawsze życzliwy – westchnął. – Nie spodziewam się, byś to zrozumiał, lecz ich małżeństwo nie było takie, jak inne małżeństwa. Różnica wieku czyniła z niej raczej adoptowaną córkę niż żonę. Prawdę rzekłszy, była... Oni nigdy... bywały chwile, w których wydawa-

ło mi się, że nam na to zezwala.

Akitada wyprostował się nagle. Tłumaczenia kapitana wydały mu się nad wyraz naganne i niestosowne. – Czy to pani Tachibana zerwała znajomość?

– Nie. To był mój pomysł. Rozzłościłem ją swą decyzją lecz miałem już wtedy inne powody, by zakończyć romans.

Inspektor wyobraził sobie przypominającą dziecko wdowę i jej załzawione oczy. – Zastanawiam się, czemu nie przyszło ci to do głowy wcześniej – rzucił ostrym tonem. – Jakie inne powody?

– Ja... Był ktoś jeszcze – wydukał kapitan. – Teraz to bez znaczenia. – Zaśmiał się cierpko. – Poeta Narihira powiedział kiedyś, że miłość jest równie krótkotrwała i kłamliwa, co poranna rosa. Miał rację. – Ponownie ukrył w dłoniach twarz.

Poetyckie porównanie rosy i miłości przypomniało Akitadzie o kroplach wody lśniących na złotej skórze Ayako. Wpatrywał się w kapitana, zastanawiając się, co powinien mu powiedzieć, gdy powrócił porucznik Nakano z wiadomością, że sierżant Hidesato zgłosił się do służby w tutejszym garnizonie poprzedniego tygodnia. Wyrażono zgodę, lecz nie zastano go pod podanym adresem. Wyrzucono go z tego mieszkania, gdyż nie płacił za czynsz i nikt nie był w stanie powiedzieć, gdzie teraz przebywa.

Yukinari skinął głową. – Dziękuję, poruczniku. Zrelacjonujcie teraz jego ekscelencji zdarzenie, które miało miejsce w wiosce Hanifu.

Nakano wyprężył się, recytując miarowym głosem: – Dwa dni temu, zaraz po zachodzie słońca, doszły nas słuchy o napaści na jeden z naszych patroli. Kapitan wyruszył od razu, jadąc na czele czterech konnych. Wrócił następnego dnia, zaraz po porannym posiłku, razem z naszymi żołnierzami. Czterech zostało rannych w potyczce z grupą zakapturzonych bandytów uzbrojonych w miecze i halabardy. Napastnicy uciekli, lecz żołnierze twierdzą, iż jeden z nich był mnichem. – Widząc zaskoczoną twarz inspektora, dodał: – Uciekając, zgubił kaptur.

– Dziękuję, poruczniku. – Akitada odwrócił się do Yukinariego.

– Czy zdarzyło się wam miewać jakieś problemy z mnichami ze świątyni Poczwórnej Mądrości?

Kapitan zapłonął gniewem. – Zdarzyło? – odparł. – Pomiędzy moimi żołnierzami a tymi łajdakami i oszustami wciąż dochodzi do starć. To tylko ostatni z całej serii incydentów, lecz tym razem mnisi byli uzbrojeni. Poprzednio dochodziło tylko do bó-

jek. Wpierw karaliśmy naszych żołnierzy surowo, nawet gdy protestowali, tłumacząc, że zostali sprowokowani. Potem sam byłem świadkiem, jak grupka mnichów napastowała tutejszego kupca. Zgłaszałem to Ikedzie niejednemu raz, ostatnio rankiem w dniu... morderstwa, lecz nic to nie dało. Według mnie prefekt jest niekompetentną osobą. – Yukinari zrobił pauzę, przełknął

ślinę, po czym dodał spokojnym głosem: – Rozkazałem swoim żołnierzom trzymać się jak najdalej od mnichów. Więcej nie jestem w stanie zrobić.

Akitada pokiwał głową. – Dziękuję za pomoc. Potwierdziłeś moje podejrzenia. Być może będziesz jednak mógł coś zrobić.

Pomówimy o tym później.

Kapitan powstał i uklonił się nisko, po czym popatrzył na inspektora nieobecny wzrokiem. – Jeśli mogę też pomóc w tej drugiej... sprawie, byłbym wdzięczny za danie mi szansy, wasza ekscelencjo.

191

Akitada znalazł Torę zabawiającego grupę żołnierzy opowie-

ściami o wojskowych wyczynach na północy kraju. Niechętnie opuszczał ich towarzystwo, a i oni nie chcieli go puścić tak szybko.

– Miałeś rację, paniczu – powiedział sługa podnieconym głosem.

– Hidesato był tutaj. Zgłosił się na służbę, a potem zniknął.

– Wiem już o tym. Jego wniosek rozpatrzono pozytywnie, lecz gdy chciano go o tym poinformować, nie znaleziono go pod adresem, który podał.

– Och. – Tora spochmurniał. – Jeden z żołnierzy powiedział, że widział go raz w mieście. W dzielnicy rozpusty. Może tam go znaleźć.

– Bardzo dobrze. Prowadź.

– Ty? – zakrzyknął zdziwiony Tora. – W dzielnicy burdeli? Nie.

Pójdę sam.

– Pójdziemy razem. – Akitada popatrzył na sługę wzrokiem, który nie tolerował żadnego sprzeciwu.

192

Rozdział 12

Opowieści Szczura

Domy publiczne znajdowały się w południowo-zachodniej czę-

ści miasta w niedużej odległości od rynku. Stały między biednymi domami i tanimi winiarniami. W wąskich i tonących w śmieciach i odchodach uliczkach gromadzili się kalecy i ślepi żebracy, szukając żałośnie każdego rozgrzanego słońcem skrawka muru. Umorusane, na pół nagie dzieci o ciałach pokrytych siniakami i ranami biegały wszędzie, wrzeszcząc wniebogłosy. Dostrzegli tylko kilku wyglądających na zdrowych młodych mężczyzn, a ci przyglądali im się bacznie, wodząc za nimi wyglodniałym wzrokiem. Co chwilę podchodził do nich jeden z nich, oferując pomoc w odszukaniu „domu miłości”, w którym znajdą „pierwszej klasy dziewczęta”, a także „trefnisiów”.

– Trefnisiów? – spytał zdziwiony Akitada.

Tora popatrzył na niego zdumionym wzrokiem. – Pięknych chłopców – odparł.

Wszędzie pytali o Hidesato i dwa razy sypnęli hojnie miedzia-kami, lecz okazywało się, że mający ich do niego doprowadzić przewodnik umyślnie kierował swe kroki do najbliższego burdelu.

W końcu poczęło się ściemniać, a powietrze stawało się coraz chłodniejsze. Gdzieś zapalono latarnie, które oznaczały pojawienie się pierwszych klientów. Wrzaskliwy śmiech i pieśni rozbrzmiewały w powietrzu za każdym razem, gdy ktoś unosił

na chwilę płachty brudnego materiału zasłaniające drzwi do winiarni bądź burdelu. Z bambusowych krat dobiegały kobiece głosy i gdy odwracali się w ich kierunku, spoglądali na podobne duchom postacie o oczach i ustach umalowanych jaskra-193

wymi kolorami. Miłość na sprzedaż dostępna była w każdym kolorze tęczy.

Myśl o kupieniu na parę godzin tak groteskowego ciała przyprawiła Akitadę o mdłości. Pomyślał o Ayako i o jej czystej i słodko pachnącej skórze, o tym, z jaką naturalnością pograżyła się w jego ramionach. Nagle ogarnęły go tęsknota i pragnienie.

Zatrzymał się na środku ulicy. – Tora – rzekł. – Myślę, że jak na dziś zrobiliśmy już i tak dużo. Może wstąpimy do Higeкуро, nim wrócimy do naszych pokoi na nocleg?

Chłopak zgodził się bez sprzeciwu.

Cicha ulica, przy której mieściła się szkoła, wydała im się innym światem. O zmierzchu sąsiedzi wylegli na dwór, by pogwa-rzyć sobie przed zaśnięciem. Ayako także stała przed drzwiami, opierając się na miotle i zaśmiewając ze starszą kobietą trzymającą w ramionach małe dziecko. Dziewczyna miała na sobie prostą szatę, a włosy spięła z tyłu i przewiązała wstążką. Serce Akitady na ten widok zabiło mocniej.

Jej twarz rozpromieniała, gdy go dostrzegła. Poprawiła włosy z wrodzonym wdziękiem, którego nie była świadoma i uśmiechnęła się nieśmiało.

Tora gwizdnął przez zęby – Proszę, proszę. Zdecydowana zmiana na lepsze – rzekł. – A jedyne, czego dziewczyna potrzebuje, by przekształcić się w prawdziwą kobietę, to łóżko, w którym znajdzie mężczyznę.

Akitada spiorunował go wściekłym wzrokiem. – Ayako ryzykowała zeszłej nocy swoim życiem – wycedził przez zaciśnięte szczęki. – Jeśli usłyszę, że znów ją obrażasz, będzie to ostatni raz, w którym przemówisz w mojej obecności. Zrozumiałeś?

Policzki chłopaka zapadły się nagle. Jego pan podszedł, by przywitać się z Ayako z nadzieją iż uda mu się odnaleźć w jej spojrzeniu to, co czuł w swoim sercu. Miał nadzieję, że już się na niego nie gniewa. Sąsiadka pożegnała się pośpiesznie i popę-

194

dziła przez ulicę.

– Jak się czujesz? – spytał łagodnym tonem.

– Dobrze. A jak twoje ramiona?

– Znacznie lepiej. Jestem... – szukał właściwych słów – głęboko wdzięczny.

Jej spojrzenie złagodniało.

– Być może – zaproponował zuchwale – moglibyśmy powtórzyć tę kurację jutrzejszego ranka?

Zarumieniła się zawstydzona. – Czemu nie? Jeśli twoje plecy wciąż będą ci się dawać we znaki.

– Zatem jutro – odparł głośniejszym tonem. – Przyszliśmy z wizytą.

– O!

Pochłaniali się spragnionymi oczami i dopiero po jakimś czasie Akitada przypomniał sobie o obecności Tory. Odwrócił się i zobaczył go przyglądającego się z marnie udawanym zainteresowaniem bramie sąsiedniego domu. Wbudowano ją w nowy, wysoki na trzy metry mur. W drewno wbito masywne, żelazne gwoździe, a całość pomyślana była tak, by odstraszać potencjal-

nego intruza.

– Zapewne to jest dom, w którym mieszka ten bogaty kupiec, o którym mi opowiadali – powiedział, zwracając się do inspektora. – Dobrze znacie tę rodzinę? – spytał Ayako.

– Wcale. To strasznie nieprzyjemny jegomość, a jego słudzy są jeszcze bardziej gburowaci niż ich pan. Nie rozmawiamy z nimi.

Nikt z naszych sąsiadów tego nie robi. A jego rodzina nigdy nie opuszcza murów domostwa. Pewnie przez to bogactwo stał się nagle tak bardzo podejrzliwy.

– Być może – odparł Akitada, marszcząc czoło.

Dziewczyna odchrząknęła i powiedziała: – Proszę, wejdźcie do środka. Nie... nie spodziewaliśmy się was o tej porze, lecz zawsze jesteście mile widzianymi gośćmi. – Odwracając się, by

otworzyć drzwi, dodała: – Obawiam się tylko, że mamy już jednego gościa. Szczur wpadł z odwiedzinami.

– Szczur tu jest? – spytał, robiąc dwa kroki do przodu Tora. –

Ten stary oszust oskubał mnie z połowy wypłaty. Naciągnął

mnie bezczelnie na wino i nowe ubrania.

Ayako popatrzyła na niego zdziwionym wzrokiem, po czym zaśmiała się nieśmiało. – To bardzo miłe z twojej strony, Tora –

powiedziała, dotykając jego ramienia. Chłopak zmrużył tylko oczy.

Przeszli przez pustą salę ćwiczeń i weszli do mieszkalnej części domostwa. Higeкуро siedział tam, gdzie zazwyczaj. Tuż przy nim Otomi pochylała się z pędzelkiem w ręku nad pojemnikami z farbą i pustą kartką papieru. Jej oczy rozbliły się żywym ogniem, gdy tylko dostrzegła Torę.

Ogień z paleniska ogrzał przyjemnie pokój, jakaś pikantna po-trawa gotowała się w garnku.

– Ho, ho – wycharczał starzec, który przycupnął przy piecu. –

Mówiłem ci, Higeкуро. Nim się obejrzysz, obydwie córki dadzą ci synów, których nigdy nie miałeś.

Ayako odwróciła się gwałtownie i pobiegła na poddasze. Nie zwracając uwagi na Szczura, Higeкуро poprosił, by inspektor spoczął obok niego. Otomi pozbierała swoje przybory.

– Przyszliście w porę na wieczorny posiłek – powiedział rado-

śnie ojciec, nalewając im wina. – Dostaliśmy od sąsiadów bardzo dobre małże, Otomi posiekała warzywa z naszego ogrodu i ugotowała przepyszną zupę. Mamy też smaczny ryż zamiast prosa.

Trafiliście zatem w sam raz na małą ucztę. – Roześmiał

się, zacierając ręce. – Choć muszę dodać, że przepadam też za prosem.

Akitada podziwiał w tym człowieku umiejętność cieszenia się z najlichszych nawet podarków zsyłanych przez los. Poczuł się nieswojo, obawiając się, że ojciec może domyślać się, co zaszło 196 między nim a Ayako.

– No i jest jeszcze z nami Szczur – zaśmiał się Czarnobrody. –

Gdy trochę sobie popije, w całej Japonii nie ma człowieka, który opowiadałby ciekawsze niż on historie. Od godziny nieprzerwanie napełniamy jego czarękę.

– Hej, Szczurze – powiedział Tora. – Czemu nigdy nie mówiłeś o swoich talentach? I gdzie podziałeś nowe ubrania, za które zapłaciłem? – Starzec, zakrztusiwszy się trunkiem, począł

okropnie kaszleć i sapać. – Bardzo lubię słuchać ciekawych opowieści – dodał chłopak, klepiąc go mocno po plecach.

Żebrak zgarbił się i zaskrzeczał: – Nie kpij z duchów, młodzień-
cze!

Akitada zaśmiał się głośno. Nie wiedzieć czemu, nagle poczuł

się szczęśliwy. – Nie musisz się obawiać, starcze. Tora traktuje duchy z należnym im szacunkiem.

– To ciekawe, że im bardziej przesądni są ludzie, z tym większą chęcią słuchają podobnych opowieści – dodał Higekuro.

– Czy Ayako powiedziała ci, co odkryliśmy w świątyni? – spytał go inspektor, zniżając głos.

– Tak – odparł zmartwionym głosem Czarnobrody. – Choć to z pewnością nie były duchy. Czy rozmawiałeś już o tym z gubernatorem?

– Jeszcze nie. Dzisiejszego ranka wyjechał z miasta.

W tej samej chwili Ayako zeszła ze strychu. Przebrała się w kasztanową jedwabną suknię przewiązaną biało-brązowym pasem i rozpuściła włosy. Choć nie były tak długie, jak u wysoko urodzonych kobiet – sięgały jej ledwie do bioder – były gęste, lśniące i kręciły się nieznacznie na końcach. Akitada wodził za nią wzrokiem, gdy krzątała się, przygotowując pałeczki i miski na ryż. Myślał o tym, jak wdzięczne i sprawne są jej ruchy, gdy dosłyszał mimochodem kilka słów z opowieści Szczura.

Odwrócił się pośpiesznie do niego. – Widziałeś duchy w posia-197

dłości Tachibanów? Kiedy? Mówże kiedy! – Jego głos stał się nagle srogie i rozkazujący.

Szczur od razu rozpoznał ten ton, ton ludzi posiadających władzę, i padł przed Akitada na kolana, bijąc pokłony. – Nie we-wnątrz, wasza miłość. Nigdy w środku. Szczur nigdy nie wchodzi tam, gdzie nie powinien. W uliczce. Wyglądałem zza sterty śmieci w uliczce.

– Na niebiosa – rzekł inspektor. – Czy żyją na tym świecie ludzie, którzy muszą żywić się zepsutym jedzeniem, którego lepsi od nich nie rzuciliby nawet psom?

Żebrak poczuł się urażony tymi słowami. – Nigdy nie jem zepsutego jedzenia – odparł. – Bogacze wszystko wyrzucają na śmietnik. Ostatniego miesiąca, na ten przykład, znalazłem całego dorsza pomiędzy liśćmi rzodkiewki i skorupami uchowca w uliczce na tyłach domu kupca handlującego ryżem.

– Wracając do Tachibanów – wtrącił bardziej uprzejmym tonem inspektor.

– Nie miałem czasu, by przyjrzeć się dokładnie – zacharczał

Szczur, po czym wyszeptał: – Jikoku-ten ugodził mnie swym mieczem.

– Jikoku-ten? Król Opiekun Wschodu?

Szczur pokiwał ochoczo głową. – We własnej osobie. To cud, że jeszcze żyję, by móc o tym opowiadać – rzekł ponuro, charcząc odrobinę dla lepszego efektu. – Przyszedł po duszę starego gubernatora.

Tora wpatrywał się w żebraka szeroko otwartymi oczami. – Żartujesz?! I nie widział cię?

Szczur podrapał się w głowę. – Jakże to? Przecież stałem przed nim tuż przy tylnej bramie. Zamiast oczu miał skrzące się iskrami węgle. Pchnął mnie swoim mieczem. O tu. Czujesz?

Wtedy zemdlałem. Gdy się obudziłem, leżałem na pół zagrzebany w świeżym śniegu zaraz pod kuchennym oknem, a służba 198

lamentowała, krzycząc, że stary pan opuścił świat żywych. Mo-
żecie mi wierzyć, od tej pory nie jestem już sobą.

– Zakończył, wyciągając przed siebie pustą czarękę.

Akitada zerwał się na równe nogi. Podbiegł do Szczura, chwycił

jego dłonie i ścisnął jak w imadle. Żebrak wypuścił czarękę, któ-

ra potoczyła się po podłodze. – Skup się teraz! – warknął. –

Kiedy to się stało?

Szczur zakrzyknął z bólu i ze strachu. Ayako złapała inspektora za ramiona. – Straszysz go – wyszeptała. Akitada rozluźnił

uścisk.

Żebrak rzucił mu pełne wyrzutu spojrzenie i potarł obolałe nadgarstki. – Sypiam w starej świątyni lisa, za domem Tachibanów.

Spokojnie tam i cicho. Tylko dwie noce temu coś mnie obudziło i wyczołgałem się na ulicę za potrzebą. Właśnie zaczął padać śnieg. Przy bramie stoi beczka na odpadki, a że poczułem się głodny, podszedłem do niej, by sprawdzić, czy nie znajdę czegoś na ząb. I nagle ze wszystkich stron pojawiły się światła. –

Szczur zadrżał, a Tora wstrzymał oddech. – A potem to zgrzyta-nie i szuranie, i syczenie. Niby ogień. Szust! Szust! Tylko nigdzie najmniejszego śladu dymu.

– Dalej. Dalej – ponaglał chłopak, słuchając z szeroko otwartymi oczami.

– Pochylałem się właśnie, by zajrzeć do środka przez deski bramy, gdy ta otworzyła się na oścież, zwalając mnie z nóg.

Wpierw zobaczyłem buty, a potem kawałek niebieskiej szaty.

Podniosłem głowę i wtedy dostrzegłem wpatrujące się we mnie płonące spojrzenie. Padłem na kolana, wzywając Budde. Uderzył mnie i to ostatnia rzecz, jaką pamiętam. Głowa wciąż boli mnie straszliwie, a doskwiera jeszcze bardziej, gdy wkładam cokolwiek do ust. – Szczur obejrzał się za siebie, spoglądając na piec i wdychając zapachy gotujących się potraw. – Choć czuję się już odrobinę lepiej.

199

Akitada wrócił na swoje miejsce. – Dziwna to opowieść o duchach – rzekł, marszcząc czoło.

Higekuro roześmiał się głośno. – Wino dobrze się spisało.

Sprawdźmy, czy będzie w stanie opowiedzieć coś jeszcze. Ayako, Otomi! Czy jedzenie już gotowe?

Zupa była wyśmienita. Ayako usiadła przy Akitadzie, nalewając mu wina i nakładając do misy co lepsze kąski. Szczur odzyskał

apetyt i gdy zjedzono wszystko, co było do zjedzenia, a dziewczęta zajęły się sprzątaniami, rozpoczął kolejną opowieść.

– Mam przyjaciela, który na własne oczy widział kiedyś pochód *oni* i przeżył, by o tym opowiedzieć – zaczął, drapiąc się po brzuchu i bekając. – Zdarzyło się to w mieście, w którym mieszka cesarz. Przyjaciel powiadał, że tamtejsze pałace mają złote dachy i że wysoko urodzone damy są tak piękne, iż widząc je, wydaje się człowiekowi, że trafił do raj. Zostałby tam bez dwóch zdań, gdyby nie

demony.

Tora zadrżał. – Pewnie był przerażony jak mysz, którą pochwycił w swe łapy kocur.

Higekuro mrugnął okiem do Akitady i wyszeptał: – A jestem pewien, że przyjaciel Szczura lubił zakosztować tego mocnego wina, które pamiętam ze swych młodzieńczych lat.

Żebrak usłyszał jego słowa i pokiwał głową. – Masz całkowitą rację. Zdarzyło się to podczas święta chryzantem i mój przyjaciel bawił się w najlepsze, lecz był trzeźwy, gdy widział to, co widział. Wydał ostatnie pieniądze i nie miał czym zapłacić za nocleg. Zaszedł do starej, pozabijanej deskami świątyni. Postawił na ziemi tobołek, ułożył się wygodnie i zapadł w sen. Nie wiedział tylko, że w starych świątyniach, takich jak ta, w której się zdrzemnął, zwykły spotykać się wszelkiej maści złe duchy.

Gdy posłyszał ludzkie głosy, śpiewy i śmiechy, pomyślał, że ktoś bawi się w pobliżu i wstał, chcąc się temu przyjrzeć.

– Szczur zrobił pauzę, wychylił czarę, po czym rozejrzał się 200

dookoła i wyszeptał: – To, co zobaczył, nie miało nic wspólnego z ludźmi – dodał i zamilkł.

Tora, słuchając z oczami pełnymi napięcia, potrząsnął niecierpliwie ramieniem żebraka. Starzec znów się rozkaszał. Otomi napełniła jego czarę. Wypił jednym haustem, otarł dłonią usta i dokończył swą opowieść.

– Ach, to przerażający widok – zaczął, unosząc odrobinę głos.

– Przed jego oczami przemykała cała banda *oni*, tak złych i wstrętnych, jak tylko moglibyście sobie wyobrazić. Była ich prawie setka. Niektórzy mieli tylko jedno oko pośrodku twarzy.

Inni rogi bądź szpiczaste uszy i pokryte długimi rudymi włosami ciała. Były pośród nich demony chude jak pałeczki i okrągłe jak kasztany. Na przodzie kroczył olbrzym ze szponami zamiast dłoni i z gorejącą ogniem twarzą. Wszystkie zebrały się przy starej studni, która stała na środku świątynnego dziedzińca.

Akitada uśmiechnął się do Ayako, a ona odpowiedziała mu tym samym. Podobała mu się ta opowieść i popatrzył na Szczura życzliwszym okiem.

– Od rozpalonych wszędzie pochodni było jasno jak w dzień –

ciągnął żebrak. – Mój przyjaciel dostrzegł, że *oni* wloką ze sobą młodą kobietę. Była piękna i wysoko urodzona, we włosach miała wpięte klejnoty. Po policzkach spływały jej łzy. Demony drwiły z niej i wyśmiewały się z jej płaczu, ciągnąc ją raz w jedną to znów w drugą stronę. Rozdarły na niej szatę i wyszarpnęły z włosów klejnoty. Kobieta upadła na ziemię... – Szczur zatrzymał się nagle i popatrzył na Ayako. – Opowiadanie ciekawych historii to bardzo wyczerpujące zajęcie. Może została jeszcze odrobina zupy dla wzmocnienia moich sił?

Dziewczyna wstała, by napełnić misę, po czym podała ją żebrakowi. Uniósł ją do ust, siorbiąc okropnie i przeżuając, spytał:

– Na czym to ja skończyłem?

– Piękna kobieta leżała naga na... – wtrącił niecierpliwy Tora.

201

– Naga? – wykrzyknął zdziwiony Szczur. – Na pewno nie powiedziałem „naga”. Po głowie krążą ci sprośne myśli, Tora. O

nie, wciąż miała na sobie bieliznę. Choć nie na długo...

– No proszę. A nie mówiłem – wymamrotał chłopak.

– Zamkniesz się wreszcie? Jeśli będziesz mi ciągle przerywał, nigdy nie skończę opowiadać tej historii. Powiedziałem nie na długo, gdyż olbrzym o płonących żywym ogniem oczach wdał

się w bójkę z resztą, sprzecząc się o klejnoty. Zaryczał jak bestia, którą rzecz jasna był, lecz pozostałe demony były dla niego za szybkie i czmychnęły w popłochu. Ryknął raz jeszcze, po czym przypomniał sobie o kobiecie okrytej tylko cienką szatą i ruszył w jej kierunku. Kobieta krzyknęła przeraźliwie, a olbrzym zdarł z niej ostatnie odzienie. Opierała mu się z całych sił. Potwór dobył nóż i ugodził ją w piersi, rzucając się na jej zwłoki...

Przestraszona Ayako wydała z siebie stłumiony okrzyk. Żebrak przerwał i rzekł świętoszkowatym głosem: – W obecności dam nie wolno mi opowiadać, co stało się później, lecz wiedźcie, że demony to straszliwe stworzenia. Dodam tylko tyle, że gdy już z nią skończył, wrzucił jej ciało do studni i odszedł. Mój przyjaciel wpierw nie mógł się ruszyć, a gdy tylko udało mu się okieł-

znać przerażenie, opuścił stolicę jeszcze tej samej nocy.

Zadowolony z opowieści Tora westchnął głęboko, lecz Ayako popatrzyła na Szczura dziwnym wzrokiem. – Wiedziałam, że wymyślisz coś sprośnego – powiedziała, splunawszy. – Nie wierzę w ani jedno słowo. Twój przyjaciel nigdy nie istniał, a całą historię wymyśliłeś sam.

Szczur zasyczał. – Widziałem cię, dziewczyno. Słuchałaś z wy-piekami na twarzy – zarechotał. – Kobiety zawsze zachowują się jak świętoszki, a gdy tylko znajdą się w towarzystwie przyjaciółek, wygadują same bezceństwa.

– Ażesz ty... – Ayako podniosła się, gdy dookoła rozległ się 202

śmiech.

Akitada chwycił jej dłoń i pociągnął do dołu. I wtedy jego wzrok padł na uśmiechniętą i wydającą się wiedzieć o wszystkim twarz Higeкуро.

Rozdział 13

Hidesato i nierządnic

Następnego ranka inspektor próbował spotkać się z gubernatorem, lecz powiedziano mu, że pan Motosuke wrócił późnym wieczorem i jeszcze śpi. Mając w pamięci wczorajszy wybuch gniewu swego pana, Tora nie rzekł ani słowa, gdy Akitada odwołał poranne ćwiczenia i udał się do łaźni. Ale nieświadom niczego Seimei nie ustępował.

– Czy coś jest nie tak z naszymi łaźniami?

– Absolutnie nie – odparł inspektor. – Lecz tam mogę... liczyć na masaże, a odkąd uszkodziłem ramiona... – zamilkł, jedząc pośpiesznie poranną porcję ryżu.

– Miałeś szczęście, że skończyło się tylko na ramionach. Twój przodkowie przewracają się pewnie w grobach na myśl o tym, że byłeś tak blisko zhańbienia ich dobrego imienia. Żeby zakraść się do klasztoru w towarzystwie nisko urodzonych? W

środku nocy jak pospolity złodziej! Wyobraź sobie skandal, jaki wybuchłby, gdyby was schwytano. To byłby definitywny koniec twojej kariery.

– Prędzej zakończyłbym tam życie – odparł Akitada pochłonięty myślami o Ayako.

– To nie jest temat do żartów – zakrzyknął Seimei. – Po tych wszystkich latach niepowodzeń i zawodów masz wreszcie szansę, by zapracować na swoje nazwisko. Masz dwadzieścia sześć lat i jesteś cesarskim inspektorem, a zachowujesz się w tak lekkomyślny sposób! Pamiętaj – ścieżka wiodąca do sukcesu jest długą drogą pełną niebezpieczeństw, – lecz zawrócić z niej jest bardzo łatwo – dokończył łamiącym się głosem.

Inspektor poczuł dręczące go wyrzuty sumienia. – Przepraszam, 204

że musiałeś się o mnie martwić, stary przyjacielu. Masz rację, to była głupia i lekkomyślna eskapada, lecz nie miałem innego wyjścia. Pomyśl o tym, jak o niebezpiecznym odcinku drogi wiodącej do sukcesu.

Twarz sługi rozjaśnił uśmiech. – Ach. Zatem rozwiązałeś zagadkę.

– Nie do końca. Powiedzmy, że jesteśmy teraz bliżej celu. –

Odepchnąwszy pustą misę, wstał i wyszedł, śpiesząc na umówione spotkanie.

Wrócił dopiero w południe. Wziął kupione od Otomi zwoje i udał się do rezydencji gubernatora. Akinobu powitał go z uśmiechem i poprowadził do biblioteki.

Zastali Motosuke eleganckiego jak zwykle. Nosił jedwabną niebieską szatę i jasnozielone spodnie. Właśnie pożywiał się, zaja-dając potrawy ułożone na wielu półmiskach i talerzach.

– Przyszedł jego ekscelencja – zaanonsował sekretarz, po czym oddalił się szybkim krokiem.

– Starszy bracie! – wykrzyknął Motosuke, wciąż zachwycony nadanym Akitadzie tytułem. Uśmiechnął się, unosząc do góry pałeczki.

– Witaj, witaj! Wybacz, że nie powstanę. Wróciłem późną nocą i dlatego dopiero teraz jem poranny posiłek. Nie uważasz, że to karygodne zachowanie? – Wskazał pałeczkami leżące obok niego poduszki. – Usiądź, proszę. Poczęstuj się rybą. A może masz ochotę na skorupiaki? Rzodkiew? Na nic? Jak sobie życzysz.

Akinobu powiedział mi, że dwa razy chciałeś się ze mną widzieć – wczorajszego wieczoru i dzisiejszego ranka. Tak mi przykro, że nie mogłem cię przyjąć. Co się stało?

– O, to długa historia. Pozwól, proszę – odparł inspektor, podchodząc do stojącego obok parawanu i wieszając na nim zwoje Otomi.

Gubernator wpatrywał się w nie przez chwilę, po czym klasnął

205

w dłonie. – Niema dziewczyna! Odnalazłeś ją zatem. Och, są bardzo, bardzo ładne. A czy ona też jest tak ładna, jak powiadają ludzie?

– W rzeczy samej, jest piękna. Ale nie to jest powodem, dla któ-

rego przyniosłem te zwoje.

– Skoro tak mówisz. Cieszy mnie, iż odkrywasz miejscowe piękno.

– Akitada zarumienił się wbrew woli, a oczy gubernatora roz-iskrzyły się na ten widok. – A! Więc to tak. Cha, cha, cha! A ja brałem cię za nudnego i wężącego tylko przy ziemi charta. Co gorsza, podejrzewałem, że większą sympatią możesz darzyć chłopców. Tak jak nasz święty mąż.

– Joto?

Usłyszeli chrząknięcie i gdy podnieśli głowy, dostrzegli stojące-go w drzwiach Akinobu. Obok niego stał przełożony klasztoru.

Mnich wszedł do pomieszczenia, jakby nic się nie stało. –

Czyżbym usłyszał swoje imię? – spytał. Ukłonił się jednocze-

śnie Motosuke i Akitadzie, zręcznie unikając tym samym kłopotliwego rozróżniania rang. Nie czekając na zaproszenie, rozsiadł

się wygodnie na miękkich poduszkach, patrząc na ustawione na stole potrawy. – Widzę, że spóźniłem się na południowy posiłek

– powiedział, uśmiechając się lekko.

– Wizyta waszej wielbności nie jest spóźniona, lecz raczej nie-spodziewana – odparł oschle Motosuke i klasnął w dłonie. Gdy do pokoju zajrzał Akinobu, polecił mu: – Święty mąż jest głodny. Każ przysłać tu kilka wegetariańskich potraw i... – zatrzymał

się, spoglądając na Joto – sok z owoców czy może herbata?

– Dziękuję za jedzenie. Wystarczy herbata, Akinobu. – Odwró-

ciwszy się do gospodarza, rzekł: – Przepraszam za ten drobny żart, gubernatorze. Jest jeszcze za wcześnie na mój posiłek, a jadam tylko raz dziennie. Poza tym przyszedłem w określonej sprawie. – Dostrzegł zawieszony na parawanie zwoje. – Są no-206

we? Od miejscowego artysty? – spytał.

– Wydaje mi się, że ją znasz – odparł Akitada, uważnie obserwując twarz mnicha. – Namalowała ją młoda głuchoniema dziewczyna.

– Ach, Otomi. – Mnich raz jeszcze zerknął na rysunki. – Biedna dziewczyna. Pomogliśmy jej, jak tylko mogliśmy, pozwalając na kopiowanie naszych zwojów, poznając ją z bogatymi gośćmi odwiedzającymi klasztor.

Wszedł sługa, niosąc herbatę. Oddalił się, zostawiwszy na palenisku duży dzbanek.

– Powiedziałaś, iż masz do mnie jakąś sprawę – spytał Motosuke, gdy sługa zniknął za progiem. Inspektor zauważył szorstkość w głosie gubernatora i zastanawiał się, czy Motosuke chciał się w ten sposób pozbyć mnicha, czy też miał inne powody, by traktować go tak nieuprzejmie.

Joto zdawał się nie zwracać na to najmniejszej uwagi. – Przyszedłem, by zaprosić ciebie – rzekł, kłaniając się gubernatorowi

– i jego ekscelencję również – dodał, ukłoniwszy się Akitadzie.

– Mamy nadzieję, że obaj zaszczylicie nas swoją obecnością na ceremonii poświęcenia naszego nowego pawilonu. Zjawienie się na niej dwóch przedstawicieli naszego boskiego cesarza doda tej skromnej uroczystości znaczenia i zapewni należny szacunek ze strony tutejszej ludności. Czy mogą liczyć na to, że wygłosicie z tej okazji kilka słów?

Motosuke odłożył na bok pałeczki i wytarł usta papierową ser-wetką którą wyciągnął z rękawa. – Możesz na mnie liczyć –

odrzekł łaskawym tonem.

Akitada zgodził się także, licząc na to, że mowa zostanie mu oszczędzona.

Ku ich zdziwieniu Joto, podawszy szczegóły dotyczące uroczystości, nie zamierzał ich opuścić. – Jest jeszcze jedna, znacznie mniej przyjemna sprawa, na którą chciałbym zwrócić twą uwa-207

gę, gubernatorze. Chodzi o przestępstwo. Błuznierczy złodzieje bez czci i wiary stali się na tyle zuchwali, iż próbowali okraść samego Buddę.

Inspektor wiedział dobrze, co zaraz nastąpi.

– Doprawdy? – spytał zdziwiony Motosuke. – Widocznie wieści o waszym bogactwie rozchodzą się szybko. Cóż też udało im się ukraść?

Joto złożył dłonie i oparł koniuszki palców o usta. – Nic, dzięki niech będą Amidzie. Uważni mnisi zaskoczyli rabusiów i pokrzyżowali ich plany. Złodzieje zbiegli, lecz obawiamy się, iż nie zrezygnują, a następnym razem możemy nie mieć tyle szczęścia, co poprzednio.

– To rzeczywiście zatrważające wieści – powiedział Akitada, potrząsając głową. – Lecz czyż nie powiedziałaś, że niczego nie skradziono? Być może mnisi zaskoczyli tylko kilku ciekawskich pielgrzymów.

Joto popatrzył na niego lodowatymi oczyma. – To niemożliwe.

Nauczyliśmy się być ostrożni przy tych, którzy tylko udają prawdziwą wiarę, kierując się złymi pobudkami. Po zmroku nie wpuszczamy na teren klasztoru żadnych pielgrzymów, a ci, któ-

rzy spędzają noc w jego murach, zamykani są w swych pokojach na klucz. Poza tym moi uczniowie dobrze się przyjrzeni trójce winowajców, gdy ci przeskakiwali w popłochu przez mur.

Ich ubrania i zachowanie świadczyły o tym, że są zawodowymi złodziejami. Tacy to włóczą się bezkarnie po naszych ulicach i traktach.

Inspektor uniósł brwi. – Okradanie klasztoru przez ulicznych rabusiów jest rzeczą mało prawdopodobną. Mówię tak z własnego doświadczenia. Istnieje jeszcze jedno wyjaśnienie, jeśli mogę je zasugerować. Zwykły rzezimieszek może skryć się pod słomianym kapeluszem i szatami pielgrzyma. Ten sam człowiek może też zgolić włosy i wdziać habit mnicha. Czy wasza wie-208

lebność ma pewność, że wszyscy mnisi mieszkający teraz w klasztorze są rzeczywiście tymi, za których się podają?

Oczy Joto zaiskrzyły jak rozgrzane węgle. – Nie mogę się zgodzić z takim pomysłem – odparł. – Rzuca cień podejrzeń na naszą społeczność i stawia pod znakiem zapytania wszystkie dobre rzeczy, które udało się nam zrobić dla tej prowincji. Rzeczywi-

ście, rozsiewano już podobne plotki w przeszłości, lecz robili to tylko moi nieprzyjaciele.

Mnich w jawny sposób dał wyraz swej wrogości. W odpowiedzi Akitada starał się nadać swojej

twarży obojętny wygląd. – Jeszcze jedna sugestia. Czy jest możliwe, by był to dowcip jakichś nierozważnych młodzików, którzy wybrali się nocą na poszukiwanie duchów? Ponoć klasztor jest nawiedzonym miejscem.

– Nie wiem, gdzie wasza ekscelencja słyszał podobne brednie.

Szkolimy się w wypędzaniu złych duchów, nie w ich przywoływaniu.

– Ach, w rzeczy samej – odparł inspektor. – Lecz mniej oświecone dusze, weźmy chociażby tutejszą ludność, mają problemy z właściwym odróżnianiem świętych od demonów. Musisz przyznać, że w świecie duchowym, tak jak i w świecie żywych, rzeczy nie zawsze okazują się takie, jakimi się wydawały. –

Ucieszył się wielce, widząc, iż Joto nie znajduje właściwych słów odpowiedzi.

Motosuke odchrząknął znacząco. – Czy zgłosiłeś to już Ikedzie?

– spytał. – To do niego powinieneś się udać. Ja niestety jestem już zajęty przygotowaniem do podróży. Gdy wszedłeś, ustalali-

śmy z panem Sugawara najwłaściwszą trasę mego powrotu do stolicy.

Mnich zacisnął szczęki i wstał. – W takim razie przepraszam za najście – rzekł, kłaniając się nisko.

Gubernator i inspektor wstali także. – Nic nie szkodzi – odparł

Motosuke, kierując się w stronę drzwi.

209

Joto przeszedł obok zwojów. Akitadzie wydało się, że zawahał

się przez moment, patrząc na rysunek smoka, lecz później przy-

śpieszył kroku i wyszedł z pokoju.

– Uff – sapnął gubernator, gdy usiedli. – Już myślałem, że nigdy nie wyjdzie. Cóż za głupia historyjka. Rabusie w świątyni. Wracając do naszej rozmowy, co chciałeś mi powiedzieć?

– Że to ja byłem jednym z tych rabusiów. Dolna szczeka gubernatora opadła z wrażenia.

Akitada opowiedział mu o nocnej eskapadzie i o tym, co odkryli. Motosuke wpatrywał się w niego rozszerzającymi się coraz bardziej oczami, jakby nie mógł uwierzyć w słowa inspektora.

Rozbawienie ustępowało powoli z jego twarzy, póki jego miejsca nie zajęło przerażenie.

– Wielkie nieba! – wykrzyknął, gdy opowieść inspektora dobiegła końca. – Twierdzisz zatem, że Joto pogrzebał kilku mnichów żywcem? Czemu miałyby to robić?

– Podejrzewam, iż nie chcieli nawrócić się na jego nauki – odparł sucho Akitada. – Czy mówi ci coś imię Gennin?

– Ależ oczywiście. Gennin był opatem klasztoru przed Joto.

Podobno zrezygnował z powodu słabego zdrowia. Sądzisz, że to jego trzymają pod ziemią?

– Obawiam się, że tak. A Gennin nie jest tam sam. Słyszeliśmy pieśni. Jak szybko będzie można wejść do klasztoru z policjantami, by uwolnić tych biedaków?

Motosuke potrząsnął głową. – Nie mam pojęcia, w jaki sposób...

na pewno nie z policją. Z arsenałem, jaki posiadają, mogą stawić czoła armii – powiedział, wykręcając ze zdenerwowania ręce.

– Ten człowiek jest zagrożeniem dla bezpieczeństwa całego kraju – odparł Akitada, wskazując na zwój Otomi. – To przez to malowidło stałem się podejrzliwy w stosunku do Joto i jego świątyni. Wszyscy żołnierze na tym zwoju uzbrojeni są w *nagi-210*

naty, mnich zaś siedzi na podwyższeniu, które zwykle zarezerwowane jest dla kapitana bądź generała.

Motosuke podniósł się i podszedł do parawanu. – To dziwne –

rzekł.

– Dlaczego ta niema dziewczyna namalowała coś takiego?

– Moim zdaniem była świadkiem obrabowania konwoju i przedstawiła tu sprawców. Jeśli się nie mylę, ci żołnierze to w rzeczywistości uzbrojeni mnisi. Przed chwilą kapitan Yukinari powiedział mi o starciu jednego z jego patroli z grupą uzbrojonych w *naginaty* mnichów.

– Akitada zamyślił się, marszcząc czoło. – Obawiam się, że Joto mógł się domyśleć, co ten obraz przedstawia.

– Jest krótkowidzem. Poza tym ten zwój nie różni się niczym od setek podobnych zwojów z wymalowanym smokiem. Czy nie znaleźliście w świątyni żadnych śladów zaginionych podatków?

– Żadnych. Muszą być gdzie indziej. Podejrzewam jednego z tutejszych kupców, lecz będę musiał poczekać, by się co do tego upewnić. Wpierw musimy uwolnić Gennina i resztę więźniów.

Motosuke westchnął i popatrzył na inspektora bezradnym wzrokiem. – Obawiam się, drogi Akitado, że nie do końca rozumiesz złożoność tego problemu. Nie możemy szturmować świątyni z policją bądź wojskiem. Nie pozwolą na to miejscowi ludzie.

Powstaną przeciwko każdemu, kto będzie chciał skrzywdzić ich dobroczyńców.

Gubernator miał całkowitą rację, Akitada pojął to dopiero teraz.

Ze złości i bezradności zakrzyknął głośno: – Zatem trzeba im pokazać, że ludzie, których hołubią, nie są świętymi, lecz po-tworami.

– Ale jak tego dokonać?

Nagle w głowie inspektora zakiełkował szalony plan, chwycił

gubernatora za ramię. – Uroczystość! Ta, na którą przed chwilą zostaliśmy zaproszeni. Rozumiesz? W klasztorze zbierze się 211

pokaźny tłum. Czyż będziemy mieli lepszą okazję do wprowadzenia w obręb świątynnych murów żołnierzy? A gdy pokaże-my ludziom dowód w postaci uwolnionego Gennina, przekonamy ich o winie Joto.

Motosuke wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczyma. –

Na świętego Buddę! Chyba nie mówisz poważnie. Drogi przyjacielu, pomyśl, jak wiele musielibyśmy zaryzykować.

Akitada puścił rękawy gubernatora. Nagle zobaczył całą sprawę z innej perspektywy. Jeśli na cesarskim dworze prominentni mnisi dowiedzą się o tym, a z pewnością się dowiedzą że wraz z gubernatorem zakłócili religijną uroczystość przy użyciu siły i, co wielce prawdopodobne, doprowadzili do rozlewu krwi, za-równo kariera Motosuke, jak i los jego córki jako przyszłej cesarskiej małżonki stanęłyby pod znakiem zapytania. Gdy poło-

żył na drugiej szali życie kilku zamkniętych w podziemiach sę-

dziwych mnichów, nie zdziwił się, że ciężar przechylił się szybko na jedną stronę.

Lecz gubernator zadziwił go swoją decyzją. Motosuke wyprostował swoje małe, grube ciało i powiedział pewnym głosem: –

To znakomity pomysł, starszy bracie. Zrobimy tak, jak powiedziałeś. Szczegóły pozostaw mnie. Jest tylko jeden problem.

Będziemy potrzebowali pomocy Yukinariego.

– Kapitan stanie za nami. Odkąd jego żołnierze mają kłopoty z mnichami, nie darzy ich sympatią.

Motosuke zmarszczył brwi. – Kiedy się o tym dowiedziałeś?

– Wczoraj. Co ciekawe, dzień przed moją wizytą Yukinariemu przydarzył się dziwny wypadek. Ciężki, brązowy dzwon spadł z podtrzymującej go belki, nieomal go zabijając. Coś takiego bardzo

łatwo upozorować, by wyglądało jak wypadek. Mnisi mogą mieć w garnizonie kogoś, kto im pomaga.

– Sądzę, że zbytnio się martwisz. Wciąż nie znamy też mordercy pana Tachibana. Wydawało ci się, że zginął, ponieważ wie-212

dział coś o kradzieżach. Czy teraz i o tę zbrodnię podejrzewasz Joto?

Akitada zawahał się i zamyślił. Od dnia morderstwa wydarzyło się tak wiele. Mieli dowody na to, że Joto i jego uzbrojeni mnisi stali za tajemniczym zniknięciem transportów, lecz to nie oznaczało wcale, że zamordowali byłego gubernatora. Tożsamość tajemniczego wieczornego gościa wciąż była nieznana. Do wszystkich poszlak i podejrzeń dochodzi jeszcze dziwaczna opowieść Szczura o Jikoku-tenie, którego przedstawiano zazwyczaj odzianego w zbroję. Żebrak widział, jak tajemniczy osob-nik wymyka się tylną bramą. Nie wierzył w manifestacje nadprzyrodzonych sił. Szczur nie spotkał inkarnacji jednego z czterech boskich generałów, lecz mordercę, który powalił go ciosem mającym zabić niewygodnego świadka.

Motosuke odchrząknął.

– Wybacz mi – rzekł inspektor. – Właśnie przypomniałem sobie o jeszcze jednym szczególe. – Wy tłumaczył gubernatorowi opowieść Szczura, po czym dodał: – Pani Tachibana może mieć kochanka.

Motosuke uniósł wysoko brwi. – Nie mogę powiedzieć, bym był

zaskoczony. Jej małżeństwo z panem Tachibana nie mogło być idealne i nie mogło trwać wiecznie. On dał jej dom, gdy zmarł

jej ojciec, a zarazem jego najlepszy i najbliższy przyjaciel. Była jeszcze dzieckiem, staruszek mógłby być jej dziadkiem. Prawdę rzekłszy, sądziłem, że zdziecinniał na starość i dlatego wpadł na pomysł małżeństwa. W dodatku jej pochodzenie nie obiecywało za wiele.

– Co masz na myśli?

– Jej matka była kurtyzaną ze stolicy. Oczarowała przyszłego męża podczas jednej z jego wizyt w cesarskim mieście, więc wykupił ją i przywiózł ze sobą jako konkubinę. Po tym jak urodziła mu dziecko, stracił zainteresowanie. Kobieta wróciła do 213

swego poprzedniego życia, zabierając ze sobą dziewczynkę i małą fortunę w złocie. Gdy zmarła, córkę odesłano do ojca, któ-

ry po początkowym szoku przyjął ją i rozpuszczał nad miarę.

Nic nie było jej warte. Podobno to jej zachcianki go zrujnowały, a ludzie powiadają że próbowała w ten sam sposób doprowadzić do ruiny swego męża. – Na twarzy Motosuke pojawił się grymas obrzydzenia. – Nigdy jej nie spotkałem. Czy jest chociaż ładna?

– O, tak! – Akitada pomyślał o tym, co czuł, gdy po raz pierwszy jego wzrok spoczął na małym

owinięty w jedwabie stwo-rzeniu i poczuł się głupio.

Gubernator obrzucił go przenikliwym spojrzeniem. – Czarująca uwodzicielka, tak jak jej matka?

– Być może – odparł inspektor, choć teraz, znając historię jej życia, był pewien, że gubernator ma rację. Był na tyle uczciwy względem siebie, że mógł się zgodzić z Motosuke, gdyż znalazł

Ayako i nie był już podatny na dziecinną piękność. Wreszcie zrozumiał, czym było jej zachowanie – jej nagłe omdlenia, łzy, drobna dłoń szukająca jego dłoni. Zręcznymi sztuczkami zdolnej uwodzicielki.

– Czy Yukinari jest jej kochankiem? – spytał gubernator.

– Był. Prawdę rzekłszy, to właśnie naszego kapitana podejrzewałem o morderstwo. Jego odmowa widzenia się z wdową wydawała mi się bardzo dziwna. Potem jedna ze służących powiedziała mi o romansie. Podobno widziała go, gdy wymykał się z posiadłości Tachibanów w nocy, w której popełniono zbrodnię.

Lecz kapitan utrzymuje, że był wtedy poza miastem i zarzeka się, że ostatniego lata zerwał wszelkie związki z panią Tachibana.

Motosuke zrobił gniewną minę. – Poznał moją córkę.

– Otóż to. Jest zrozpaczony.

– Skończony głupiec! I sądzisz, że wdowa znalazła sobie kogoś

na jego miejsce?

– Tak. Być może kolejnego oficera.

Gubernator ściągnął usta w równą linię. – Kobiety to mściwe istoty. Może to ona zabiła Tachibanę? Czy żołnierz nie użyłby raczej miecza?

– Rzeczywiście to mało prawdopodobne, by uzbrojony człowiek uśmiercił człowieka w inny sposób. Tachibana zginął od ciosu w głowę. Uderzono go glazurowaną dachówką bądź jakimś ciężkim naczyniem, w jego włosach znalazłem zielony gliniany odłamek. To wskazywałoby na nieuzbrojonego napastnika i niezaplanowane morderstwo.

– Co zamierzasz teraz zrobić? – spytał Motosuke.

Akitada westchnął. – Obiecałem pani Tachibana, że pomogę jej uporządkować sprawy majątkowe. To doskonały pretekst, by rozejrzeć się po posiadłości.

– Doskonale. Zajmę się przygotowaniem planów dotyczących świątyni i dam ci znać, gdy porozmawiam o nich z Yukinarim.

Nagle, otrzymawszy to, po co przyszedł, inspektor poczuł narastający w sercu niepokój. – Bądź ostrożny – rzekł. – Im mniej ludzi będzie o tym wiedziało, tym lepiej.

* * *

Gdy wrócił do swoich pokoi, zastał w nich Seimei przyglądają-

cego się spacerującemu niespokojnie w tę i z powrotem Torze.

– Wreszcie jesteś – powitał inspektora chłopak. – Znalazłem człowieka, który wie, gdzie Hidesato zwykł jadać i posłałem mu przez niego wiadomość. Może iść tam od razu? Robi się już późno.

Akitada uniósł do góry ramiona. – Powoli, Tora. Powoli. Wracam właśnie od gubernatora. Czeka nas bardziej nagląca praca.

– Lepiej wpierw to przeczytaj – odezwał się Seimei, podnosząc z biurka inspektora dziwny przedmiot. Wyciągnął przed siebie

nagą gałąź, do której karmazynowa jedwabną wstążką przywią-

zano kartkę papieru. – Chłopiec, który to przyniósł, wciąż czeka na odpowiedź.

Inspektor sięgnął po list i gwałtownie cofnął dłoń, jakby bał się ukąszenia jadowitego węża. Wiedział, kto był jego autorem. Na swoje nieszczęście nie mógł go zignorować. Niechętnie rozwią-

zał wstążkę, upuszczając na ziemię jedwab i gałąź. Papier był

kosztowny i skropiony perfumami. „Jakże smutna naga gałąź, targany wiatrem kwiat, gdy przyjaźń stygnie, a morderczy mróz uśmierca budzące się uczucie” – przeczytał. Nie była to poezja wysokich lotów, brakowało jej subtelności, lecz jej autorka mia-

ła powody do narzekania. Nie dotrzymał swej obietnicy, dlatego że spotkał Ayako. Przez chwilę stał, zastanawiając się w milczeniu.

– Kto to jest cudzołożnik? – spytał Tora.

– Co takiego? – przestraszył się inspektor.

Seimei, zawsze skory do bycia nauczycielem, wyjaśnił Torze znaczenie słowa, o które pytał, lecz chłopak pokręcił tylko głową. – Musisz się mylić, staruszk. Tam nie ma żadnych kobiet.

Czy ten stary wrzeszczący mnich oszalał?

Inspektor zrozumiał wreszcie, o co chodzi Torze. Chłopak rozmawiał z Seimei o wydarzeniach poprzedniej nocy, podczas gdy jego myśli krążyły po krętych ścieżkach miłości. – Nie, Tora –

odrzekł, uśmiechając się krzywo. – Stary mnich nie zwariował i mówił prawdę. Niektórzy mnisi

gustują w pięknych chłopcach.

– Sprośne świnię! – Tora potrząsnął głową po czym spytał: –

Czy teraz pójdziesz ze mną do Hidesato, paniczku?

Akitada upuścił liścik od pani Tachibana na podłogę. – Tak, Tora. Prowadź.

* * *

Karczma „Pod Ośmioma Nieśmiertelnymi” była rozpadającym 216

się, dwupiętrowym budynkiem mieszczącym się w dzielnicy uciech. Z jej górnego piętra zwisało osiem jaskrawych sztandarów, na których widniały wizerunki ośmiu mędrców. Kawałki płótna powiewały lekko na mroźnym, zimowym wietrze. Tora popatrzył na swego pana niepewnym wzrokiem.

– Wchodź – rzekł Akitada, wskazując wąskie wejście zasłonięte pasami spłowiałego, brązowego materiału. Jego rówieśnicy ze stolicy unikałoby tego miejsca jak zarażonej ospą wioski. Inspektor zastanowił się, co pomyślałby sobie Motosuke, widząc teraz swego „starszego brata”.

Karczma była przestronna i gdy weszli do środka, ich nozdrza wypełniły zapachy ostrych potraw, a uszy spuchły od wszech-obecnego zgiełku. Czterech kucharzy, rozebranych do pasa i noszących kraciaste ręczniki na głowach, uwijało się przy garnkach, podczas gdy około pięćdziesięciu klientów zajętych było jedzeniem, piciem i rozmową.

Wzrok Akitady powędrował za zapachem soczystych krewetek, które z wyuczoną zręcznością niósł młody chłopak.

– Tam jest – zakrzyknął Tora. – Hidesato!

Tuż przy parujących kotłach siedział wysoki, brodaty mężczyzna. Słyszając swe imię, powstał, lecz z wyrazu jego twarzy moż-

na było odczytać, iż wolałby być teraz gdzie indziej. Uśmiechnął się zdawkowo do Tory i uklonił się Akitadzie.

Tora objął go, uściskał i klepnął mocno w plecy. – Wszędzie cię szukamy, Hito. Czemu zniknąłeś bez słowa?

Spojrzenie Hidesato powędrowało w kierunku inspektora. –

Później, bracie – odparł.

Akitadzie spodobała się szczerą twarz sierżanta i jego wojskowe maniere, nawet gdy Hidesato nie krył się ze swoją wrogością.

Dla dobra Tory zmusił się jednak do uprzejmości i powiedział, siadając: – Jestem głodny. Zamówmy coś do jedzenia.

Sierżant odchrząknął. – Tutaj podaje się tylko jedzenie dla po-217

spółstwa – rzekł.

Inspektor puścił tę uwagę mimo uszu i zamówił trzy duże porcje krewetek i dzban wina. – Tora może ci powiedzieć, co jedliśmy w czasie naszej podróży. W porównaniu z tym te krewetki to istna uczta.

– O – wymamrotał Hidesato, zerkając co jakiś czas w stronę wejścia.

– Czekasz na kogoś? – spytał Akitada.

– Nie. To znaczy... czasami wpada tu przyjaciel.

Gdy podano im jedzenie i napitek, inspektor sięgnął po misę i począł zręcznie wyłuskiwać krewetki ze skorupy. Tora poszedł

w jego ślady i po chwili dołączył do nich Hidesato. Nie wypowiedzieli jednego słowa, póki nie opróżnili półmisków. Chłopak wytarł dłonie w swą starą szatę. Hidesato zrobił to samo, po czym popatrzył z uwagą na Akitadę.

– Doskonałe – powiedział inspektor, wzdychając z zadowolenia i wyciągnął z rękawa papierową chusteczkę, by wytrzeć dłonie.

– A teraz odrobina wina. – Napełnił czarki. Tora zagryzł wargi i popatrzył w dół na swoje zaciśnięte dłonie. – Czemu nie przeka-

żesz swemu przyjacielowi dobrych wiadomości? – zachęcił słu-gę.

Chłopak podniósł głowę. – Och, prawda. Wygląda na to, że skończą się twoje problemy z pieniędzmi, Hito. Pytali o ciebie ludzie z tutejszego garnizonu. Przyda im się jeszcze jeden do-

świadczony sierżant.

Twarz Hidesato rozchmurzyła się momentalnie. – Naprawdę?

Już straciłem nadzieję. Chyba powinienem się do nich zgłosić, gdy wyrzucono mnie z mieszkania. – Jego wzrok znów powę-

drował do wejścia.

– Pijmy zatem! – rzekł Akitada, machając do kelnera, by przyniósł więcej wina. – W końcu mamy co świętować. A tak na marginesie, jestem ci wdzięczny. Tora uczy mnie od jakiegoś 218

czasu posługiwania się w walce kijem. Powiedział, że wszystkiego nauczył się od ciebie.

Hidesato wpatrywał się w inspektora bez słowa, po czym spojrział na Torę, a ten odparł szybko: – Jest dobry, Hito. Kończą mi się już sztuczki. Założę się, że byłbyś lepszym nauczycielem.

Mężczyzna rzucił inspektorowi gniewne spojrzenie. – Nie powinieneś tego robić, Tora. Twój pan nie jest jednym z nas. Na co szlachcicowi umiejętności prostych i biednych ludzi? Walka na kije potrzebna jest tym, którzy nie mogą nosić miecza.

Zapadła krępująca cisza, którą przerwał Akitada. – Proszę, nie wiń o to Tory. Nie znajdziesz bardziej od niego lojalnego przyjaciela. Co do mnie, to nie mogę nic poradzić na to, że urodzi-

łem się tym, kim się urodziłem. Podobnie jak ty. Co więcej, są-

dzę, iż mogę się uznać za człowieka mającego więcej szczęścia od innych. Chciałem nauczyć się walki na kije, gdyż pomyśla-

łem, że kiedyś taka umiejętność może okazać się przydatna.

Poza tym uważam, iż żaden człowiek nie powinien ograniczać swoich horyzontów, lecz szkolić się w wielu sztukach.

Hidesato wpatrywał się w niego spode łba.

– Przykro mi, że nie możesz mnie zaakceptować – po chwili milczenia wyrzekł ciężkim głosem Akitada. – Tora chciał opu-

ścić służbę u mnie, gdy domyślił się, jak możesz się na nią zapa-trywać, lecz nie pozwoliłem mu na to i nakłoniłem, by wpierw z tobą porozmawiać. Wiąże go ze mną honorowa przysięga, którą zawarliśmy, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Wspominam o tym, gdyż sądzę, iż powinieneś wiedzieć, że wciąż zasługuje na twoją przyjaźń. Ale teraz jest wolny, może zadecydować sam. Nie zamierzam stawać pomiędzy wami. – Wyciągnął z sakiewki kilka miedziaków, rzucił je na stół i wstał. – To był

długi dzień, jestem zmęczony. Weź te pieniądze Tora i zapłać rachunek.

– Ja też jestem zmęczony – odparł sługa, odsuwając od siebie 219

monety i podnosząc się szybko. – Chodźmy stąd. Powodzenia, Hidesato.

Inspektor zatrzymał się w pół kroku. Nie miał zamiaru wymuszać na słudze dokonywania wyboru. Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, odezwał się Hidesato. – Usiądź, mały bracie. I ty też, panie, jeśli nie masz nic przeciwko. Trudno mi uwierzyć, że jesteś zadowolony ze służby tego chłopca, ale zaufam twoim słowom. – Sięgnął po dzban i napełnił czarki. – Teraz, gdy znów mam dostać zajęcie, z chęcią odwdziczę się za twoją gościnność, panie.

Akitada i Tora usiedli zbici z tropu. Hidesato uśmiechnął się i pokiwał głową. – Marnie wychodzą mi przemówienia – powiedział, zwracając się do inspektora. – Lecz osąd Tory w zupełno-

ści mi wystarczy. Nie trzymam ze szlachtą lecz w twoim przypadku mogę zrobić wyjątek, jeśli nie przeszkadza ci towarzystwo nieokrzesanego żołdaka. – Uniósł w górę czarkę i wypił do Akitady.

Nie było to wiele, lecz inspektor był wdzięczny nawet za ten skromny gest. Podnosząc swoją czarkę, powiedział: – Jestem szczęśliwy, iż mogłem cię poznać.

Przełamawszy w końcu lody, opowiedzieli Hidesato o swoich wyczynach i po kilku pytaniach i odpowiedziach dotyczących mnichów, Higeкуро i jego córek przyjaciel Tory zaoferował im swą pomoc, jeśli pozwolą na to jego wojskowe obowiązki. Przyjemna atmosfera została nagle przerwana, gdy kelnerka szepnęła coś na ucho sierżantowi. Żołnierz powstał pośpiesznie i popatrzył w stronę wejścia.

– Przepraszam – wymamrotał. – Przyjaciel, o którym mówiłem, czeka na zewnątrz.

Akitada poczuł nagłą ochotę na spędzenie wieczoru w towarzystwie. – Zaproś go zatem do środka. Niech do nas dołączy –

zapropował.

220

Twarz Hidesato spłonęła rumieńcem. – Ona odmówi – odparł.

– A więc to dama. Lecz ja nalegam – nie ustępował inspektor.

Rozejrzawszy się po pomieszczeniu, dodał: – Widzę, że jadają tu kobiety.

– Jak sobie życzysz, panie – rzekł sztywno żołnierz.

Wrócił po chwili, prowadząc ze sobą młodą kobietę, która na-rzuciła na ramiona pikowaną kurtkę zakrywającą częściowo kolorową, choć zniszczoną szatę. Jej twarz pokrywał mocny makijaż, jaki zwykły nakładać na siebie kobiety lekkich obyczajów.

– Oto Jaśmina – przedstawił dziewczynę z widocznym zakłopotaniem Hidesato.

Skinęła nieśmiało głową.

– Chodź – zwrócił się do niej żołnierz. – Usiądź. Musisz być przemarznięta i głodna. – Pomógł jej zdjąć kurtkę, a Tora za-mówił więcej jedzenia i wina.

W samej szacie Jaśmina wydała się Akitadzie okropnie chuda.

Domyślił się, że prawdopodobnie jest bardzo młoda, zaś jej twarz pod warstwami bladego pudru musiała być urodziwa, choć teraz wydała mu się jedynie chora i godna współczucia.

Wiatr potargał jej włosy, palce miała brudne, a paznokcie ob-gryzione. Jednak Hidesato krzątał się wokół niej z uczuciem i oddaniem, jakich taka kobieta mogłaby się spodziewać jedynie po synu bądź

kochanku. Inspektor wymienił zaciekawione spojrzenia ze sługą.

– Ojej! – westchnęła dziewczyna chrapliwym głosem, oglądając się przez ramię. – Życie kobiety jest po tysiąckroć trudniejsze niż żywot mężczyzny. Oto siedzisz ze swymi kompanami, grzejesz się i napełniasz żołądek, gdy ja zarabiam na chleb, odmra-

żając sobie na mrocznych ulicach stopy. W taką pogodę ledwie czasem trafi się jakiś klient. Na dworze wałęsają się tylko biedacy, a ci chcą za darmo. – Nie zważając zupełnie na ich miny, 221

kontynuowała: – Nie chcieli mnie wpuścić do środka i pewnie by nie wpuścili, gdybyś po mnie nie wyszedł. O, jedzenie! –

Sięgnęła łąpczywie po ustawioną przed nią misę pełną krewetek i poczęła je pochłaniać tak szybko, że niektóre znikwały w jej ustach na pół tylko wyluskane ze skorupy. Hidesato obserwował

ją zadurzonymi oczami, uśmiechając się czule. Podsunął jej czarkę, którą przed chwilą napełnił winem. Skinęła głową w podziękowaniu, przestając mówić tylko po to, by wziąć kolejny kęs, napić się trunku bądź wyciągnąć spomiędzy zębów prze-szkadzającą skorupę. – Mmm, dobre... To była strasznie kiepska noc... tylko jeden klient, w dodatku stara kutwa... cieśla ze slumsów. Nalej mi jeszcze, Hito kochanie, dobrze? Drań dał mi dziesięć miedziaków... możecie w to uwierzyć? Anie wzięliśmy nawet pokoju! Dałam mu w jakiejś uliczce, na stojąco! Dziesięć miedziaków! Roku zdążył mi już wcześniej wszystko zabrać.

Nagle poczuła się zmęczona. W zamyśleniu potarła lewy policzek utłuszczonymi palcami, ścierając tym samym warstwę pudru i odsłaniając ukryty pod nią siniak.

– Ten bękart znowu podniósł na ciebie rękę – powiedział

schrypniętym głosem Hidesato. – Mówiłem ci nieraz, byś pozwoliła dać mu nauczkę. Posłuchaj Jaśmino, dostałem pracę. W

tutejszym garnizonie. Znow będę sierżantem. Płaca jest dobra.

Będiesz mogła porzucić dawne życie i uciec jak najdalej od tego brutala. Zamieszkać ze mną. Zaopiekuję się tobą.

Dziewczyna potrząsnęła głową. – Nie mogę, Hito. Wiesz dobrze, czemu. I nie wolno ci go tknąć. Obiecasz mi to? Jeśli naprawdę jesteś moim przyjacielem? – Popatrzyła na niego żalonym wzrokiem.

Hidesato zacisnął swe potężne dłonie z bezradnej bolesti. Po chwili podsunął Jaśminie kolejną czarkę. – Pij zatem i jedz.

Nadal wyglądasz na zmarzniętą. Mam trochę pieniędzy, a będę ich miał więcej. Nie musisz się martwić, dobrze? – Sięgnął do 222

rękawa i wyciągnął z niego garść miedziaków, które wcisnął jej w dłonie.

Widząc to, Tora popatrzył gniewnie na przyjaciela. Akitada uznał, że najwyższa pora opuścić karczmę. Sierżant uśmiechnął

się do nich zdawkowo, po czym skupił całą swoją uwagę na dziewczynie.

Inspektor, zostawiwszy wystarczająco dużo monet, by pokryły rachunek za całe zamówione jedzenie i wino, dołączył do Tory czekającego na niego na ulicy. – Znasz tę dziewczynę? – spytał.

Chłopak zaklął soczyście. – Myślałem, że się jej pozbył. Jaśmi-na pochodzi z tego samego miasta co Hidesato, jest córką kuzyna czy coś takiego. Opiekował się nią przez lata. Głupia kobieta nie chce niczego od porządnych mężczyzn. No i gdzie ją to zaprowadziło? Mogę się założyć, że wyrzucili go z kwatery, bo oddał jej wszystkie pieniądze, by znów nie pobił jej kolejny chłoptaş. Hidesato wciąż zamartwia się jej losem.

Przewrotność relacji między ludźmi zdziwiła i boleśnie dotknęła Akitadę. Kobiety siały do woli zamęt w sercach mężczyzn, któ-

rzy ośmielili się pokochać. Krzepki sierżant kocha się w pro-stej nierządniczy, która opowiada mu o swoich klientach i gru-biańskim kochanku. Yukinari dwa razy uległ kobietom i teraz jest wrakiem człowieka, gdyż miał to nieszczęście, że zakochał

się w córce Motosuke. Pani Tachibana, tak jak wcześniej jej matka, manipuluje mężczyznami, by porzucać ich zrujnowanych bądź martwych. Piękne, kolorowe motyle niosły zgubę i zniszczenie. Czemu mężczyźni dawali się opętać pragnieniom i po-

żądadają kobiet, nie zważając na podszepty zdrowego rozsądku ani na konwenanse?

Pan i sługa wracali do łóżek w milczeniu.

223

Rozdział 14

Zielony odłamek, błękitny kwiat

Akitada w towarzystwie Seimei dotarł do tylnej bramy posiadło-

ści Tachibanów przed południem następnego dnia. Wizyty składane w łaźni nie tylko zabierały teraz inspektorowi czas poświę-

cony wcześniej na ćwiczenia z Torą, lecz odciągały go również od pracy. Czując się zmęczony i zarazem winny, był rozdraż-

niony i w porywczym nastroju. Wyrzekł ledwie kilka słów do Junjiro, który wpuścił ich do środka.

Chłopiec truchtał przy Akitadzie, przypatrując mu się z zadartą w oczekiwaniu głową. Gdy dotarli do schodów pracowni, inspektor spojrział w dół i powiedział szorstko: – Nie będziemy cię

potrzebowali, lecz nie wspominaj swej pani o naszej obecności.

– Rzucił nerwowe spojrzenie na główny pawilon pogrążony w ciszy za drzewami ogrodu. Śnieg stopniał i pozostała go ledwie odrobina pod krzakami zasadzonymi przy północnej ścianie domostwa. Nie miał ochoty składać wizyty zimowemu motylo-wi.

– Mnisi już sobie poszli – powiedział Junjiro.

– To dobrze – odparł oschle inspektor, stawiając stopę na pierwszym stopniu.

– Czy przynieść wam herbaty? A może palenisko?

– Nie, dziękuję. Nie będą potrzebne. Nie zabawimy długo.

Chłopiec odwrócił się na pięcie, a Akitada usiadł na werandzie, by zdjąć obuwie. Seimei poszedł w jego ślady. Junjiro zatrzymał

się i zapytał, oglądając się przez ramię: – Czy zaaresztowałeś kapitana?

– Kapitana? – spytał Akitada i dopiero po chwili przypomniał

sobie, co powiedziała matka chłopca. – Nie – odparł. – Kapitana 224

Yukinariego nie było w mieście, gdy popełniono morderstwo.

Żrenice Junjiro rozszerzyły się gwałtownie. – Ale któż inny mógł to zrobić?

– Twoja matka musiała się pomylić.

Chłopiec odparł gniewnym tonem: – Moja matka nigdy się nie myli. Zaraz wrócę – rzucił i popędził przez ogród.

Westchnąwszy, Akitada wstał. – Chodź, Seimei. Miejmy to już z głowy.

Pochylali się nad dokumentami, sortując je i czytając, gdy pojawił się Junjiro. Spoglądał na nich upartym wzrokiem. – Moja matka powiedziała, że na pewno widziała w oknie hełm kapitana. Nosił go czasem, gdy składał wizyty. Ma czerwone sznurki i długie srebrne paski. Powiedziała, że zapamiętała czerwień heł-

mu, gdyż odcinała się wyraźnie na tle niebieskiej szaty.

Zdziwiony słowami chłopca Akitada odłożył na bok zapiski dotyczące miejscowej produkcji jedwabiu. – Niebieska szata? –

spytał. – Czemu kapitan założyłby do hełmu niebieską szatę?

Powinien raczej wdziąć mundur bądź zbroję. – Sięgnął dłonią zboląłego karku, by pomasować

sztynne mięśnie, próbując skupić na chłopcu zaczerwienione od niewyspania oczy.

Junjiro otworzył ze zdziwienia usta. – Masz rację – odparł, po czym uśmiechnął się szeroko. – Cieszę się, że to nie był on. –

Odwrócił się i wybiegł z pracowni.

Inspektor potrząsnął głową skrzywił się z bólu i wrócił do pracy.

Skończyli akurat na czas, by zdążyć wrócić na południowy posi-

łek, który Akitada ledwie tknął. Dołączył do nich Tora i gdy skończyli jeść, inspektor powiedział: – Nie znaleźliśmy niczego pośród dokumentów Tachibany. Albo był ostrożny i nie spisał

nigdzie swych podejrzeń, albo morderca zabrał ze sobą obciążające go zapiski.

Tora pokiwał głową i odwrócił się do Seimei, by porozmawiać z nim o ćwiczeniach pisania, które zalecił mu stary sługa.

225

– Uważajcie obaj – warknął gniewnie Akitada, wiedząc, że to polecenie powinien zastosować nie tylko do swoich towarzyszy, lecz także i do siebie. Miał zawroty głowy i nudności, których źródła należało się dopatrywać we wczorajszej wizycie w karczmie. – Zastanówmy się przez chwilę nad morderstwem –

polecił. – Łańcuch zdarzeń rozpoczyna się, gdy pan Tachibana szepcze mi do ucha zaproszenie. Musimy założyć, iż chciał podzielić się ze mną jakimś sekretem, który był niebezpieczny, i że nie mógł powierzyć go żadnemu z obecnych na kolacji gości.

Wyeliminowaliśmy z grona podejrzanych Motosuke i Yukinariego. Zostają tylko Joto i Ikeda.

– Myślę, że obaj maczali w tym łąpska – odparł Tora, po czym beknął potężnie i wyciągnął się na podłodze, opierając głowę na ramionach. – Łysy sypia z chłopcami i grzebie starych mnichów żywcem. Ikeda zaś to skorumpowany urzędnik. Dla mnie to wystarczy.

– W tym, co mówisz, nie ma krzty sensu – rzekł Seimei. – Jakże obaj mogą być winni tej samej zbrodni? – Nalał do czarki Akitady herbatę.

– Zostało nam trochę wina? – zapytał Tora, obracając się i wspierając na łokciu.

– Pijesz za dużo. To od wina wygadujesz takie głupstwa. I usiądź jak należy, gdy przebywasz w obecności pana.

Tora usiadł niedbale w kucki. – A co jest głupiego i niedorzecznego w twierdzeniu, że mnich i prefekt działają razem?

Akitada przysłuchiwał się, masując skronie. Do bólu żołądka dołączył ból głowy. Nie wiedział, czy ma za to winić wczorajszą noc, czy też dzisiejszy poranek spędzony z Ayako na miłosnych zapasach. Odsuwając kłębiące się w jego głowie myśli, powiedział: – Tora ma w pewnym sensie rację. Ta dwójka byłaby doskonałymi sojusznikami. Joto zapewniłby odpowiednią siłę potrzebną do zrabowania podatków. Ikeda zaś udostępniłby mu 226

ułatwiający kradzież informacji.

– Widzisz, staruszkule?

– Nawet ślepemu żółwiowi zdarza się czasem znaleźć na plaży kawałek wyrzuconego na brzeg drzewa – odburknął kwaśno Seimei.

– Lecz nie pomaga nam to w znalezieniu mordercy pana Tachibany – wtrącił Akitada. – Nie daje też wystarczającego dowodu, by obu aresztować.

– Może ktoś specjalnie posłużył się hełmem kapitana, by zrzucić na niego podejrzenie – zaproponował Seimei. – Doskonale zakryłby mnisią łysinę.

Inspektor pomyślał o zwoju Otomi i pokiwał głową. – Być może

– odparł. – Pani Tachibana umówiła się z kochankiem i zaskoczył ich zdradzany mąż. Tyle że Joto nie pasuje zupełnie do takiej roli. – Począł grzebać w pudełku na przybory do pisania, szukając zielonego odłamka, który znalazł we włosach denata.

Jego palce natknęły się na inny mały przedmiot. Mały niebieski kwiat – ozdobę kupioną od ulicznego sprzedawcy.

Jakże dawno to było. Zastanowił się, co sprawiło, że nie wyrzucił tego bezużytecznego przedmiotu. I nagle znów to poczuł, dziwnie nieprzyjemne przecucie, że kwiat jest w jakiś sposób ważny. Podniósł go do oczu. Mógł stwierdzić jedynie, iż przedstawia powój wykonany z emalii i złota. Założył, iż musiał być częścią ozdoby jakiegoś religijnego posągu. Jeśli miał rację, czy wiązałoby go to w jakiś sposób z Joto i transportem świątynnych przedmiotów?

– Seimei? – zagadnął. – Przypominasz to sobie?

Stary sługa wyteńczył wzrok. – Dałeś draniowi za dużo pieniędzy za jego bibeloty.

Akitada odłożył kwiat do pudełka. – Chcę, byś udał się wraz z Torą na rynek. Chyba wpadłeś w oko kelnerce w tamtejszej gospodzie, zwłaszcza gdy podarowaliśmy jej resztę towarów tego 227

sprzedawcy. Spytaj ją, czy wie, gdzie on mieszka. Zapewne za-gląda do nich często. Odszukaj go i dowiedz się, skąd miał ten kwiatek.

– Paniczu – zaprotestował przestraszony Seimei. – Wolałbym tego nie robić. Czy Tora nie może iść sam?

– Przykro mi, stary przyjacielu. Tylko ty możesz go rozpoznać.

Tora popędził wtedy za Otomi i dwoma mnichami. – Widząc ogarniające sługę przerażenie, dodał: – Nie prosiłbym cię, gdyby to nie było ważne.

Wziął w ręce mały, zielony odłamek. Schowawszy go za pasem, wstał. – Robi się późno. Zamierzam złożyć wdowie wizytę i tym razem nie wyjdę od niej, póki nie odnajdę narzędzia zbrodni.

Tachibanę zatłuczono na śmierć gdzieś we własnym domu.

Wielce prawdopodobne, że miało to miejsce w pokojach jego żony i że ona dobrze o tym wie.

– Nie nadmienił, że to ją podejrzewa. Nie dodał również, jak bardzo lęka się tej wizyty.

Przemierzał właśnie sądowy dziedziniec, gdy przypomniał sobie o Ikedzie i stanął w pół kroku. Musiał być rzeczywiście nieobecny myślami, skoro zapomniał, że prefekt, który był jednym z głównych podejrzanych o kradzież podatków, nie może dowiedzieć się o jego zainteresowaniu sprawą morderstwa przynajmniej do świątynnej ceremonii. Akitada nie mógł liczyć na pomoc tutejszej policji, gdyby zaszła taka potrzeba. Kusiło go, by przełożyć planowaną wizytę, lecz ostatecznie zdecydował, iż nie będzie jej dłużej odraczał. Skierował swe kroki w stronę rezydencji gubernatora, ale najpierw powiedział o tym Akinobu.

W jasnym, zimowym słońcu posiadłość Tachibanów wyglądała na przytulną i pogrążoną w ciszy. Gapie rozeszli się do domów, 228

a Junjiro bez zwłoki otworzył bramę i wpuścił go do środka. Za chłopcem na zwirowym dziedzińcu stało pudło i wypchany kosz. Matka chłopca wraz z drugą kobietą, uginając się pod du-

żymi tobołkami ubrań przywiązanych do pleców, wyszły z głównego pawilonu i minęły Akitadę, kłaniając się nisko.

– Co się tu dzieje? – spytał chłopca, oglądając się przez ramię za kobietami.

– Wyjeżdżamy. Sato już wyjechał. Przybyła po niego jego sio-strzenica. To pani posłała po nią. Rządzi tu teraz stara i to ona kazała się nam wynosić.

– Przykro mi – odparł szczerze inspektor. Nie mógł nic zrobić, by im pomóc. – Nie martw się. Każdy pan z chęcią zatrudni parę tak wybornych sług, jak ty i twoja matka.

Chłopak wyprostował się dumnie. – Damy sobie radę, paniczu.

Mam głowę na karku. Może moglibyśmy służyć tobie?

W jednej chwili Akitada poczuł ogarniające go zmęczenie. Zaprzagnął skończyć wizytę tak szybko, jak było to możliwe. –

Obawiam się, że nie – odpowiedział. – Ale możesz mnie teraz zaprowadzić do swojej pani.

Musiał czekać, nim pozwolono mu wejść do pokoi wdowy. Gdy wreszcie go wpuszczono, w pustym pomieszczeniu zastał tylko potężną niańkę. Kobieta, traktując go tym razem z należyty szacunkiem, zaprowadziła go do znanego mu już niskiego parawanu, kładąc obok niego poduszkę. – Nie spodziewaliśmy się wizyty waszej mości – powiedziała, kłaniając się w pas po raz trzeci bądź czwarty. – Pani zaraz przyjdzie. – Po czym wyszła drugimi drzwiami, zapewne by pomóc przy toalecie pani Tachibana.

Gdy tylko zniknęła za progiem, Akitada wstał, by przeszukać pokój. Wyglądał tak samo, jak go zapamiętał z ostatniej wizyty.

Pod stopami leżał gruby, wzorzysty dywan. Zwoje z wymalowanymi na nich żurawiami wisiały pomiędzy dwoma stojakami.

229

Na jednym stała wysoka, chińska waza, na drugim sztuczne drzewko o liściach z jadeitu i kwitnących kwiatach ze złota.

Wyteżając pamięć, nie mógł sobie przypomnieć, by stało w tym miejscu przedtem. Podeszedł bliżej, by się mu przyjrzeć. Była to śliczna błyskotka, lecz pamiętał wyraźnie, że w dniu pogrzebu na stojaku nic nie stało. Zapamiętał to, gdyż brak symetrii dokuczał mu wtedy dotkliwie. Dwa identyczne stojaki wymagały, by stały na nich dwie identyczne wazy.

Nagle wszystko ułożyło się w jedną pasującą do siebie całość.

Waza była zielona.

Podeszedł do naczynia i wyjął zza pasa odłamek. Kolor i szkliwo były identyczne. Jednej z waz użyto jako narzędzia mordy.

Uniósł ją chwytając za wąską szyjkę. Była ciężka i można było się nią posłużyć jak pałką. Czy to nie Junjiro narzekał, iż służbę wini się za rozbijanie naczyń, choć ta wcale nie jest temu winna? Bez trudu powinien się dowiedzieć, czy kogoś nie oskarżo-no o zniszczenie zielonej wazy rankiem po dokonaniu morderstwa. Odkładając ją na miejsce, przykucnął, by przeszukać dokładnie chiński dywan. Od razu znalazł to, czego szukał. Przy krańcu dywanu dostrzegł chropowate i zmierzwiłe miejsce.

Było jeszcze wilgotne. Rozdzielił palcami grube włosy. Między nimi zobaczył brązową plamkę. Dotknął ją opuszkami palców i powąchał. Krew. Rany głowy krwawią obficie, a w pracowni znalazł ledwie kilka kropel. Pan Tachibana zginął tu, w tym pokoju. Wreszcie miał dowód.

Słyszając zbliżające się zza drzwi odgłosy, Akitada rzucił się po-

śpiesznie na poduszkę, usadowił się na niej i wyprostował akurat wtedy, gdy do pomieszczenia wkroczyła wdowa.

Miała na sobie ciemnoszarą, jedwabną suknię, odpowiednią do żałoby, lecz na nią zarzuciła różową

chińską kurtkę ozdobioną wzorami motyli. Przypomniały mu moment ich pierwszego spotkania, gdy porównał ją do biednego, bezradnego owada uwię-

230

zionego w zimowym ogrodzie. Wbrew rozsądkowi począł żałować tej malutkiej, niemal dziecięcej piękności, która zbliżała się do niego, zmrúżywszy oczy. Za nią wiły się jej przepiękne, długie włosy. Życie z wiekowym mężem, który poświęcał cały swój czas na dogłádanie ogrodu i badania w pracowni, musiało być trudne dla rozpuszczonej, młodej dziewczyny, która nigdy nie zasmakowała przyjemności, jakie niesie ze sobą miłość.

Ukłonił się.

Wiele zmieniło się w jego życiu, odkąd widział japo raz ostatni.

Ayako nauczyła go, iż kobiety mogą być namiętne i że potrafią pożądać mężczyzny. Nie dziwił się, że biedny motylek uległ

pokusom. Jej uroda była uosobieniem kobiecej młodości i sła-bości. Wielu mężczyzn skusiłoby takie połączenie. Uległ mu Yukinari, uległ także Akitada. Poczúł ulgę, gdy zdał sobie sprawę, iż ta mała, wyperfumowana istota, siadająca właśnie za niskim parawanem, nie pociąga go już zupełnie.

Niańka nalála inspektorowi wina, po czym zostawiła ich samych. Choć wiedział, iż trunek tylko pogorszy ból głowy, wypił

go łapczywie. Słodki alkohol złagodził trochę zbolále gardło.

Bał się, iż może się rozchorować w tak niewłaściwym momencie.

– Jestem dozgonnie wdzięczna za twą dobroć – wypowiedziała zza parawanu. – Musisz wybaczyć mi liścik. Napisałam go w chwili niewyobrażalnej wprost samotności i potwornego żalu.

– Nie musisz przeproszać, pani. Był uroczy. Żałuję, że ważniejsze rzeczy uniemożliwiały mi wypełnienie wcześniej danej obietnicy.

– Chciałam tylko w samotności opłakiwać śmierć męża, lecz nie mogę tego robić, gdy podejrzliwi ludzie nie przestają pytać, w jaki sposób zginął.

A więc dotarły do jej uszu pierwsze plotki. Zapewne przekazała je służba. To tłumaczyłoby ich zwolnienie. Nie miał zamiaru 231

traktować jej ulgowo. Mając na uwadze to, iż pani Tachibana wie o tajemniczych okolicznościach śmierci męża, nie zamierzał

traktować poważnie jej pozornej żałoby. W pokoju było za go-rąco, na twarzy inspektora wykwitły kropelki potu. Ganiąc się w myślach za brak papierowej chusteczki, zdecydował, iż nie mo-

że dłużej przeciągać tej sprawy.

– Twój mąż został zamordowany, pani – rzekł szorstko. Własny głos wydał mu się dziwnie stłumiony. Poczul, jak strużki potu spływają mu po skroniach.

Zza parawanu dobiegł cichy jęk, potem kolejny, a po nich głę-

bokie westchnienie. – Och, bałam się, że tak mogło się stać. A ja zostałam zupełnie sama na tym okropnym, złym świecie. –

Szybkim ruchem odsunęła na bok część parawanu i popatrzyła na Akitadę dużymi, wezbranymi od łez oczami, wyciągając ku niemu błagalnie ramiona. – Jesteś mą jedyną nadzieją, mój panie – załkała. – Obawiam się, iż nie mogę liczyć na niczyją opiekę. Nie ma już w domu sług mego męża, zostały w nim tylko dwie słabe kobiety. A co jeśli morderca powróci? Proszę, zabierz mnie jak najdalej stąd.

Zirytowany tym przedstawieniem inspektor wpatrywał się w nią cierpliwie, póki jej dolna warga nie poczęła drżeć. Przygryzła ją dwoma małutkimi ząbkami. Przypominała mu małą mysz. Może kiedyś z rozkoszą oddałby się tej zabawie, lecz teraz głowa pę-

kała mu z bólu i jedyne, czego pragnął, to kolejnego łyka wina.

– Może mógłbym ci pomóc, gdybym wiedział, kogo się obawiasz – odparł.

– Przecież ci powiedziałam. Lękam się potwora, który zabił me-go ukochanego męża – powiedziała, szlochając. Dotknęła jego dłoni, lecz Akitada cofnął je natychmiast. Pozwoliła, by jej dłonie opadły bezwolnie na jego kolano. – Czemu jesteś tak... ozię-

bły? Wcześniej byłeś dla mnie miłszy. Gdy nie odpowiedział, dodała: – Ten ogromny dom jest pusty. Na pewno nie jest ci za 232

wygodnie w pokojach sądu. Gdybyś zamieszkał tutaj, poczułabym się bezpieczniej. – Ścisnęła delikatnie jego kolano. – Słu-

żyłabym ci z całego serca. Od pierwszej chwili, gdy cię zobaczyłam, wiedziałam..

Gdyby czuł się lepiej, może zaśmiałby się, słysząc jej słowa, lecz teraz poczuł tylko wzbierający w nim wstręt i odsunął

gwałtownie kolano, oswobadzając je z uścisku.

– Czemu mnie nie lubisz? – krzyknęła. – Mówiono mi, że jestem piękna. – Zrobiła krótką pauzę, po czym dodała: – Wiem, jak zadowolić mężczyznę. Mego zmarłego pana nie interesowa-

ły łóżkowe zabawy, lecz ty jesteś młody. Od kiedy cię spotka-

łam, wiedziałam, że moją karmą jest ci służyć lub umrzeć. –

Przeciółgawszy się do Akitady, objęła kurczowo jego kolana, kładąc na nich swą głowę. Jej zachowanie było tak bardzo pod-niecające, iż inspektor zerwał się pośpiesznie na równe nogi, robiąc kilka kroków do tyłu. Wstała. Nie odrywając wzroku od jego twarzy, poluzowała związany na biodrach pas, pozwalając, by suknia i kurtka zsunęły się z ramion, odsłaniając nagie ciało.

– Nie opuszczaj mnie, moja miłości – wyszeptała.

Inspektor odwrócił twarz i rzekł: – Zakryj się. – Miała ciało dwunastolatki, do tego goliła włosy łonowe. Zebrało mu się na mdłości. Zastanawiając się, kim mógłby być jej kochanek, powiedział: – Przynosisz wstyd sobie i pamięci twego męża. Co do mordercy, sama wiesz najlepiej, czy powinnaś się go obawiać, czy nie. Twojego męża zabił w tym pokoju twój kochanek na twoich oczach. – Gdy tylko wymówił pierwsze słowo, wiedział, że popełnia błąd, lecz miał zamiar doprowadzić wszystko do końca.

– Chyba oszalałeś – wykrzyknęła, chwytając suknie i zakrywając krągłe nagości.

Akitada wyjął zza pasa porcelanowy odłamek. – To zaplątało się we włosach ofiary. Ten fragment jest identyczny ze stojącą w 233

tym pomieszczeniu zieloną wazą. Druga posłużyła twemu ko-chankowi za narzędzie zbrodni. Pękła od uderzenia, a zniszcze-niem jej obarczyłaś później nieuważną służbę. Wcześniej wraz z mordercą przenieśliście zwłoki do pracowni, by upozorować wypadek. Lecz taka rana nie mogła powstać przypadkowo. Poza tym sandały pana Tachibany były suche, choć tego wieczoru padał śnieg. Ktoś jednak przemierzył ścieżkę prowadzącą do pracowni i ten ktoś lub jego pomocnik zamiótł później śnieg, by zatrzeć ślady.

– Nie! – łkała. – Nie, to nieprawda. Przysięgam na Amidę, że jestem niewinna. Byłam wierna mężowi. Czemu mnie dręczysz?

Czując zawroty głowy, otarł rękawem pot roszący czoło. Musiał

przestraszyć ją na tyle, by przyznała się do winy. – Służba wiedziała o twoich kochankach. Zeznają to w sądzie. Karą za cudzołóstwo i morderstwo męża jest śmierć przez chłostę. Radzę ci powiedzieć prawdę teraz, nim posterunkowi zedrą z ciebie ubranie i bambusowymi trzcinkami zmuszą do mówienia.

Spodziewał się, że zacznie krzyczeć lub zemdleję, lecz przytknęła tylko rękaw sukni do ust. Jej oczy migotały tajemniczo.

Nagle padła przed nim na twarz.

– Ta niegodna istota przyznaje się do winy – powiedziała. –

Zdradziłam swego męża, lecz go nie zabiłam. Wiem, że muszę ponieść karę za niewierność, lecz jestem młoda i nim zrozumia-

łam, co robię, było już za późno. Och, proszę. Miej łaskę.

Jej dłonie sunęły po podłodze w kierunku stóp Akitady. Inspektor odstąpił na bok. – Powiedz mi, co się wydarzyło – zażądał, patrząc na nią z góry.

– Zwiodły mnie gładkie słowa – wyszeptała, szlochając. – Gdy zdałam sobie sprawę, co zrobiłam, chciałam zakończyć romans, lecz zmusił mnie, bym wciąż mu się oddawała, grożąc, iż powie o wszystkim memu mężowi. On nigdy nie miał w zwyczaju odwiedzać moich pokoi po zmierzchu, dlatego kochanek przycho-234

dził, kiedy miał na to ochotę. Kazał mi otwierać tylną bramę, gdy wszyscy domownicy spali w swych łóżkach.

Po plecach i szyi inspektora spływały strużki potu, bielizna i kołnierz przykleiły mu się do wilgotnej skóry. – Co wydarzyło się tu w dniu morderstwa? – wychrypiał.

– Mąż wrócił późno z przyjęcia u gubernatora i nie wiedząc czemu, wszedł do moich komnat. Nakrył nas i zagroził, że powie o tym wszystkim. Mój kochanek chwycił wazę i rozbił mu głowę. – Zakryła twarz. – To było straszne. Zmusił mnie, bym zatarła ślady.

– Zatem jesteś równie winna co on.

– Nie jestem – załkała. – Nie jestem. To on zadał cios – zakrzyknęła, po czym, roniąc obficie łzy, poczęła uderzać dłońmi o podłogę.

– Przestań! – krzyknął Akitada, lecz słowa ugrzęzły w bolącym gardle.

Ku jego zdziwieniu wdowa wstała, podniosła pas i otarła twarz rękawem sukni. – Mój panie – powiedziała cicho. – Twoja mą-

drość i wspaniałomyślność nie pozwolą ci zaprzeczyć, iż naiwna dziewczyna z prowincji łatwo paść może ofiarą słodkich słów przystojnego żołnierza. Mój mąż pochwalał naszą przyjaźń. To prawda, że pokochałam okrutnego potwora, lecz dowiedziałam się o tym za późno. Szlachetny panie, nie możesz żądać, by głu-piutka dziewczyna miała zapłacić za zbrodnię, której nie popeł-

niła?

– Jeśli chcesz rzucić podejrzenie bądź oskarżyć kapitana Yukinariego, twoje kłamstwa dowodzą tylko twojej winy. Był poza miastem w nocy, gdy popełniono morderstwo. Chronisz prawdziwego zabójcę. Przyznaj się. Kłamstwami niczego nie osią-

gniesz. Jediną szansą na miłościwy wyrok sądu jest wydanie swego kochanka. To już koniec.

Jej piękną twarz wykrzywił grymas wściekłości. Poderwała się 235

gwałtownie na równe nogi i rzuciła się na niego, drapiąc mu twarz paznokciami. Odepchnął ją patrząc z niedowierzaniem, jak drze na sobie szaty i wściekle rozdrapuje skórę na szyi i piersiach, póki nie pociekła krew.

A potem wykrzyknęła głośno, wołając o pomoc.

Drzwi otworzyły się nagle i do środka zajrzała głowa niańki.

Wystarczyło jedno spojrzenie na jej panią, by i ona zaczęła krzyczeć. Hałas wibrował boleśnie w czaszce inspektora. Bezradny usiadł na podłodze i zakrył uszy dłońmi.

Wdowa przestała wrzeszczeć i skarciła służącą gniewnym głosem: – Głupia. Dom jest pusty. Biegnij w te pędy do prefektury.

Przyprowadź posterunkowych. Ten człowiek nastawał na moją cześć. Szybko!

Niańka wybiegła pośpiesznie i w pokoju znów zapanowała błoga cisza. Akitada opuścił dłonie. Nagle olśniło go, iż służąca też mogła być zamieszana w zabójstwo. A teraz pędziła do prefektury po Ikedę. Zbyt późno, by przemyśleć sytuację. Wydarzenia muszą potoczyć się swoim torem.

– Pożałujesz tego! – syknęła. – Zobaczymy, komu uwierzą. Jesteś tu obcy, jeden z tych zdeprawowanych do cna szlachciców ze stolicy, o których docierają na prowincję najgorsze plotki. Ja zaś jestem wdową po byłym gubernatorze. Pożałujesz po dwa-kroć, że ze mną zadarłeś.

Inspektor wyteżył słuch. Po chwili usłyszał spodziewany odgłos ciężkich butów idących po drewnianych deskach. Pani Tachibana umknęła w kąt pomieszczenia i odsłoniła nagie, pokrwawione piersi. Gdy otworzyły się drzwi, załkała cicho.

Do środka weszli żołnierze ubrani w mundury gubernatorskiej straży, gapiąc się na wdowę wybałuszonymi oczami.

– Aresztujcie tego człowieka – nakazała drżącym głosem kobieta, wskazując inspektora. – Zgwałcił mnie. Przyszedł, udając współczucie, a napadł na mnie, gdy zobaczył, że nie ma w domu 236

nikogo, kto mógłby stanąć w mojej obronie. Ach, dzięki niech będą niebiosom, że jest jeszcze sprawiedliwość dla biednej wdowy.

– Porucznik Kenko, jak mi się wydaje? – odparł Akitada, skinąwszy głową dowodzącemu oficerowi, który odwrócił wzrok od piersi kobiety i wyprostował się pośpiesznie. – Widzę, że sekretarz Akinobu wyjaśnił sytuację. Zareagowaliście bardzo szybko. Chcę, by aresztowano panią Tachibana pod zarzutem zamordowania własnego męża.

– Jakże to? – wykrzyknęła wdowa. – Nie masz tu żadnej władzy. A ci ludzie nie są z prefektury. Pewnie ich przekupiłeś.

Nigdzie nie pójde, póki nie zjawią się tu posterunkowi.

Porucznik popatrzył niepewnie na inspektora. Po chwili drzwi otworzyły się ponownie i do środka wbiegła niańka, a za nią Ikeda i kilku noszących czerwone płaszcze policjantów.

– Tu jest – krzyknęła potężna kobieta, wskazując Akitadę.

Sam Ikeda! Nie mogło być gorzej. Jedyne, co mógł zrobić, to rozegrać wszystko ostrożnie i z najwyższą uwagą licząc na to, że przeciwnik uczyni błędny ruch. Łatwiej było jednak pomy-

śleć o tym, niż zrobić – głowa pękała mu niemiłosiernie, nie pozwalając skupić się na czymkolwiek.

Prefekt zauważył wpieryw obecność żołnierzy, dopiero potem dostrzegł inspektora. – Wasza ekscelencjo? – powiedział, udając zmieszanie. – Co tu się stało? Właśnie byłem w drodze do dzielnicy uciech, gdzie popełniono morderstwo, gdy podbiegła do mnie ta kobieta, krzycząc, iż skalano cześć jej pani. Widzę, że musiało zajść jakieś nieporozumienie.

– Przybywasz w samą porę, prefekcie – odparł Akitada, modląc się w myślach, by jego głos nie zdradził zdenerwowania. – Tutaj także popełniono zbrodnię. Oskarżam panią Tachibana i jej służkę o zamordowanie pana Tachibany.

– Miłościwy panie! – zakrzyknęła niańka, próbując przepchnąć 237

się pomiędzy żołnierzami do Ikedy. Dwóch krzepkich mężczyzn złapało ją w pasie i uniosło do góry. Uśmiechali się szeroko, gdy wymachiwała bezradnie w powietrzu nogami, klnąc przy tym siarczyście.

Przytrzymując jedną ręką rozdartą suknię, wdowa przeszła przez pokój i uderzyła służącą mocno w policzek. – Bądź cicho! –

syknęła.

– Niańka natychmiast zamilkła. Kobieta odwróciła się do porucznika i drżącym z wściekłości głosem powiedziała: – Pan Sugawara zarzucił was łgarstwami, licząc na to, iż w ten sposób uniknie kary za zgwałcenie bezbronnej kobiety. Moja służąca była świadkiem tej zbrodni. Puśćcie ją wolno w tej chwili!

Akitada poczuł, iż kontrola nad sytuacją wymyka mu się z rąk.

Do potwornego bólu głowy i gardła dołączyły teraz nudności. Z

wyraźnym wysiłkiem odwrócił się do Ikedy. – Obawiam się, że dowody popełnienia morderstwa są niepodważalne. Narzędziem zbrodni była waza, podobna do tej tu. Pan Tachibana upadł w tym miejscu, brudząc własną krwią dywan. Plama jest wciąż widoczna. Pani Tachibana, jej służka i tajemniczy gość – mąż-

czynna – przenieśli ciało do pracowni, by tam upozorować przypadkową śmierć. Jedno z nich zatarło ślady na ścieżce. Jedna ze służących oraz inny mężczyzna widzieli, jak morderca wymyka się chyłkiem z posiadłości przez tylną bramę.

Przełykając nerwowo ślinę, prefekt rozejrzał się po pokoju. Nie odezwał się słowem, ważąc wypowiedziane słowa. – Kim jest ten domniemany współsprawca? – spytał w końcu.

– Pani Tachibana odmówiła podania jego nazwiska. Chciała zrzucić winę na kapitana Yukinariego,

lecz przypadkowo wiedziałem, iż w nocy, gdy zamordowano byłego gubernatora, nie było go w mieście.

Ikeda wpatrywał się w inspektora przez chwilę, po czym odchrząknął głośno. – Straszne – rzekł. – Morderstwo. Któż mógł

238

pomyśleć? Nie rozumiem, jak mogłem to przeoczyć...

Żołądek Akitady podszedł mu do gardła. Musiał się stąd wydostać, wyjść na świeże powietrze. Popatrzył na prefekta. – Ta zbrodnia jest haniebna. Narusza święte podstawy, na jakich wzniesiono nasz naród.

– Wiedział, że były to nadęte słowa, lecz nie dbał o to teraz. –

Szacunek i powinności względem męża i pana zostały sprofanowane przez te dwie kobiety. A może nie zgadzasz się ze mną prefekcie Ikeda?

– Och, nie. Wasza ekscelencja ma całkowitą rację! – wysapał

mężczyzna jednym tchem, spoglądając zdawkowo na wdowę i jej służącą. Pani Tachibana nie odrywała od prefekta wzroku.

Ikeda odchrząknął raz jeszcze. – W rzeczy samej to niewyobra-

zalna i potworna zbrodnia, gdy żona podnosi rękę na własnego męża, a służąca pomaga w morderstwie swojego pana. Za takie przestępstwa należy się najsurowsza kara. – Skinął na posterunkowych. – Aresztujcie te kobiety!

Niańka poczęła protestować, wyrzucając z siebie potoki słów.

– Zakneblujcie ją! – warknął prefekt. Z pomocą żołnierzy policjanci spełnili rozkaz. Pani Tachibana łkała cicho, lecz nie stawiała żadnego oporu.

Wreszcie upragniony koniec.

Akitada powstał z wysiłkiem. Pozdrowił jeszcze skinieniem głowy porucznika i prefekta, zanim wyszedł pośpiesznie z pokoju. Mroźne powietrze uderzyło w jego spoconą twarz jak fala lodowatej wody. Przez moment stał, chwiejąc się na nogach, oddychając ciężko i łykając łapczywie powietrze. Mdłości wró-

ciły ze zdwojoną siłą. Potykając się, wbiegł do ogrodu, by zwymiotować.

Nie wiedział, jak udało mu się dotrzeć do swoich pokoi, lecz gdy do nich wszedł, były ciemne i puste. Jakby przez mgłę przypomniał sobie, iż Seimei i Tora powinni wciąż wypełniać 239

powierzone im zadanie. Położył się na podłodze, tam gdzie stał i zamknął oczy.

Obudził się nagle, nie wiedząc, jak długo spał. Ciało płonęło od potwornej gorączki. Zrzucając z siebie szaty, prócz cienkiej bielizny, która przykleiła się do wilgotnej skóry, doczołgał się do biurka, gdzie stała resztką zimnej, zaparzonej przez Seimei herbaty. Wypił łapczywie, by po chwili znów upaść bezwładnie na podłogę. Zapadł w sen.

Gdy zbudził się po raz drugi, drżał na całym ciele ze straszliwego zimna. Spróbował zawołać starego sługę, lecz nie mógł wydobyć z siebie jednego słowa, a zęby szczękały, uderzając o siebie tak mocno, iż zrezygnował. W pokoju panowały całkowite ciemności. Wstał, próbując dosięgnąć kufra, w którym trzymano pościel, lecz nie mógł powstrzymać drżenia rąk i nóg.

Zawroty głowy sprawiły, że usiadł gwałtownie, wymiotując wypitą przed chwilą herbatę. Choć gardło piekło go wciąż tak, jakby połknął rozgrzane węgle, a w jego głowie dudniło jak od uderzeń ogromnego bębna, mdłości ustąpiły. Nakrywając się ubraniami, położył się na plecach.

Śnił przedziwne sny i koszmary. Pani Tachibana unosiła się nad nim, a zamiast rąk miała orle szpony, które wbijały się i roz-szarpywały jego gardło, gdy jej motyle skrzydła delikatnie i kojąco muskały jego rozpalone skronie. Ayako pojawiła się nagle, po czym zniknęła pośród kłębow pary. Przywoływała go gestem, lecz on bezowocnie szukał jej po omacku. W pewnej chwili zielony odłamek, który trzymał w dłoni, przemienił się w liść i wyfrunął z jego uścisku porwany podmuchem wiatru, by dołączyć do niebieskiego kwiatu. *Asagao* – pomyślał – powój.

Tańczył w powietrzu na tle księżyca, a kropelki rosy na jego płatkach stały się krwią.

240

Rozdział 15

Zasłona

Tęga kelnerka od razu rozpoznała Seimei. Jej dziobata twarz rozpląnęła się w szerokim uśmiechu, ukazując krzywe, żółte zęby. – Pan Seimei! – zakrzyknęła, stawiając pomiędzy dwoma klientami butelkę wina tak szybko, iż rozlała niemal całą jej zawartość. – Pan Seimei! – Podbiegła do nich spieszenie.

Stary sługa schował się za szerokimi plecami Tory, dysząc przerażony. – Nie możemy tu zostać, Tora. Nie możemy – syknął.

Ktoś wewnątrz gospody wybuchnął gromkim śmiechem.

– Wejdźcie, wejdźcie – zapraszała głośno kobieta, sięgając za Torę i wyciągając zza niego staruszką. – Na dworze jest zimno, a ja mam dla was dobre miejsca, zaraz przy ognisku. Co zjecie?

Może znakomitą rybę *kisu* uduszoną w winie i sosie sojowym?

Posolone grzyby i marynowane bakłażany? Mamy też gotowane słodkie ziemniaki, które mogłabym

utłuc z odrobiną miodu, jeśli lubicie słodkości.

– Nie, nie – wydyszał Seimei, próbując wyrwać rękaw szaty z dłoni natrętej kobiety. – Bardzo nam się śpieszy. Prawda, To-ra? Bardzo, bardzo. Weszliśmy tylko po to, by zadać ci pytanie.

Uśmiechnęła się ponownie. – Nie ma o co pytać. – Nie puszczając staruszka, filuternie trąciła jego kościstą pierś krótkim palcem wskazującym. – Będę wolna za godzinę. Na twarzy sługi pojawiła się skonsternowana mina. Rozczarowana taką reakcją kobieta wydeła czerwone wargi. – Wejdźcie chociaż i usiądźcie

– poprosiła. – Żeby dać odpocząć nogom. Nie jesteś już młodzi-kiem. – Patrząc na uśmiechającego się Torę, dodała: – Powinieneś lepiej opiekować się swoim wujem. Mężczyźni w jego wieku nie jest łatwo, jeśli nie ma żony, która zadbałaby o jego 241

wygody.

Seimei rzucił jej rozgniewane spojrzenie. – Wcale nie jestem zmęczony – warknął. – To niegrzeczne nazywać kogoś starym.

Chichocząc, poklepała go po policzkach. – Och, zostało jeszcze w tobie sporo życia – rzekła. – Dokładnie takich mężczyzn lubię.

Staruszek znów czmychnął za plecy Tory, wzbudzając tym samym kolejną falę śmiechu. – Ty z nią porozmawiaj, Tora – powiedział błagalnym tonem.

Chłopak przestał się uśmiechać i zrobił groźną minę. – Słuchaj uważnie, kobieto! – ryknął. – Jesteśmy tu z oficjalną sprawą.

Ukloniła się przed nim pośpiesznie. – Proszę, pytaj.

– Gdy nam posługiwałaś, pojawił się w gospodzie pewien uliczny sprzedawca. Poobijano go trochę i rozrzucano po ulicy wszystkie rzeczy. Pamiętasz?

Jej oczy wezbrały nagle łzami. Wychyliła się na bok, próbując zajrzeć za plecy Tory. – Czy pamiętam? Och, to było takie miłe z twojej strony, panie Seimei, że podarowałeś mi towary tego domokrażcy. Widzisz? – Uniosła dłoń klepiąc się po włosach. –

Ten piękny grzebyk dostałam od ciebie. Wpinam go we włosy codziennie i myślę o tobie.

Ktoś klasnął w dłonie, wykrzykując przy tym sprośną uwagę.

Seimei chrząknął i przywarł do potężnych pleców Tory.

– Nieważne – rzekł chłopak. – Gdzie znajdziemy tego sprzedawcę?

– Powiem wam, gdy pan Semei obieca znów tu przyjść – odpar-

ła przebiegle kobieta.

Tora dał łokciem kuksańca staruszkowi, który wychrypiął: –

Obiecuję, obiecuję. Tak szybko, jak to będzie możliwe.

– Nie widziałam Jisai, odkąd twój pan zapłacił za jego towary, ale mogę spytać o niego przyjaciela.

Przyjacielem tym okazał się Szczur, który popijał sobie z wolna 242

czarkę wina.

– Już się upijasz? – powitał go Tora.

– Rozgrzewam tylko ciało przed mrozem – zaświszczał żebrak, wpatrując się w Seimei. – Kim jest ten staruch?

– Zaczekam na zewnątrz – rzekł sługa i odwrócił się pośpiesznie, by wyjść.

Tora chwycił go za rękaw. – Pójdziemy wszyscy. Szczur zaprowadzi nas do Jisai.

– Jisai? – zainteresował się żebrak. – Co też przeszkrobał?

– Chcemy tylko zadać mu kilka pytań – odparł chłopak. –

Idziesz, czy nie?

– Ile to jest dla was warte?

– Zapłacimy twój rachunek, jeśli się uwiniesz.

Szczur poderwał się na równe nogi, chwycił za kulę i pokuśtykał na zewnątrz.

Krzywozęba kelnerka uśmiechnęła się szeroko. – Zamówił trzy butelki najlepszego wina i talerz marynowanych śliwek – poinformowała Torę.

– Twój chłopak ma pieniądze – szepnął jej do ucha Tora, wskazując ukradkiem na Seimei. – Lecz będziesz musiała być dla niego miła. Nie znosi się z nimi rozstawać. – A na głos wyrzekł:

– Zapłać jej Seimei. Obietnica to obietnica, a naszemu panu śpieszy się okrutnie.

Łypiąc podejrzliwie na kobietę, staruszek wyciągnął zza pasa kilka monet. – Ten człowiek to chodząca lekcja o tym, że picie prowadzi prosto do ubóstwa – powiedział. – Ile jesteśmy winni?

– Czterdzieści pięć miedziaków.

– Czterdzieści pięć... – Stary sługa, pobladłszy na twarzy, przycisnął pieniądze do piersi.

Wychyliła się do przodu, by poklepać go filuternie po policzku.

– Ale dla ciebie, drogi – wyszeptła, mrugając zalotnie oczami –

mam specjalną cenę. – Seimei wpatrywał się w jej żółte zęby, 243

jak tonący rozbitek wpatruje się w szczęki rekina. – Niech bę-

dzie dziesięć miedziaków, skarbie – rzekła pieszczotliwym tonem. – A resztę wydamy razem.

Dookoła nich rozległy się krzyki.

Seimei odliczył dziesięć monet, podał drżącymi dłońmi kobiecie i wybiegł z gospody.

– Nie zapomnij o danym słowie! – zawołała w ślad za nim.

– Tylko dziesięć miedziaków za tyle wina! – rzekł Tora, gdy wyszedł na ulicę, klepiąc starego sługę po plecach. – Będziesz mi musiał zdradzić swe sekrety w obchodzeniu się z kobietami, staruszk.

Seimei spiorunował go wzrokiem, po czym wyładował całą swą wściekłość na pogwizdującym radośnie Szczurze. – Rusz się!

Nawet merdający ogonem pies może porządnie oberwać – rzekł.

Żebrak, podparłszy się kulą, kuśtykając i narzekając na mróz, długą drogę i swoje słabe zdrowie, poprowadził ich przez brudne uliczki, zrujnowane cmentarzysko i dziedzińce kilku czyn-szowych kamienic, na których powiewało oszronione pranie, a kobiety wylewały pomyje. W końcu zrezygnował ze sztucznej nogi, zostawiając ją wraz z kulą w wydrążonym pniu drzewa.

Seimei, choć zde gustowany, zachował milczenie.

Przemarznięci na kość i rozdrażnieni marszem dotarli w końcu do niezabudowanego terenu leżącego przy południowej palisa-dzie miasta. Pomiędzy drzewami stały sklecone przez bezdom-nych namioty i chatki kryte trawą. Czarny dym z ognisk unosił

się w powietrze. Kobiety i dzieci w łachmanach pilnowały swych kolacji, podczas gdy ich mężczyźni przycupnęli w ciepłe ognia, popijając wino i grając w kości.

Wymieniając radosne powitania, Szczur pochylił się, przechodząc pod sznurkiem rozciągniętym pomiędzy dwoma drzewami, na którym zawieszono oszronione szmaty. Kopnąwszy warczą-

cego kundla, zatrzymał się przed pożałowania godną lepianką.

Wejście zakrywała brudna jak ziemia mata, zaś dokoła wały się przeróżne przybory kucharskie. Odrzucając bezceremonial-nie matę, zanurkował do środka, a w ślad za nim ruszył Tora.

Seimei, marszcząc nos z powodu okropnego smrodu, jaki dobył

się z wnętrza, pozostał na zewnątrz. Do jego uszu dobiegły strzępki gorączkowej rozmowy.

Starego sługę otoczyła niebawem sfera umorusanych dzieci zawodzących żałością: – Daj nam miedziaka. Tylko miedziaka na miskę zupy, panie. – Przepychali się, chwytając palcami poły jego szaty, wskazując sobie jego czarną czapkę, dotykając rę-

kawów i wkładając wścibskie dłonie za jasny pas. Uderzając ich po rękach, krzyknął donośnie: – Pośpiesz się, Tora!

Zamiast odpowiedzi z wnętrza chatki wychynęła silna dłoń chłopaka, wciągając go gwałtownie do środka. Seimei zakrztusił

się, oślepiiony nagłymi ciemnościami. Poczul się tak, jakby po-

łknął go jakiś wielki, okropnie śmierdzący potwór. Gdy jego oczy trochę się przyzwyczały, dostrzegł ludzką postać kulącą się na deskach zbitych ze sobą i przykrytych dziurawymi, dawno już wyblakłymi do szarości kocami. Siedzący na nich człowiek był tej samej co one barwy – szara skóra, rzadkie szare włosy, które wydawał) się niczym pajęczyna oplatająca łysą głowę, warstwy ubrań o najprzeróżniejszych odcieniach szaro-

ści. Głęboko osadzone czarne oczy wpatrywały się w sługę z tępą ciekawością.

Myśląc, iż znalazł się w niepożądanym miejscu, począł się co-fać, gdy Tora przesunął się odrobinę i Seimei zauważył, że postać, którą obserwował, była starą kobietą i że sprzedawca Jisai siedzi przy niej po turecku. Miał na sobie te same łachmany, jakie zapamiętał stary sługa, wciąż umazane tym samym błotem.

Pomiędzy nimi było zniszczone palenisko, które dawało więcej gryzącego dymu niż ciepła.

Przytknąwszy do nosa i ust rękaw szaty, zwrócił się do Tory. –

245

To on. Spytaj go i wynośmy się stąd czym prędzej.

– Gdzie twoje maniery, staruszku? – zaszotał Szczur, sadowiąc się na gołej podłodze tuż przy sprzedawcy. – Dopiero co weszliśmy. Usiądź i spróbuj być bardziej towarzyski.

Seimei popatrzył na Torę błagalnym wzrokiem, lecz chłopak go zignorował i usiadł także. Po chwili, unosząc ostrożnie poły niebieskiej szaty ponad biodra, stary sługa opuścił się na podłogę.

Ku jego ogromnemu zdziwieniu i zirytowaniu dwójka obdartych nędzarzy poczęła rozmawiać o pogodzie i o tym, co im się ostatnimi czasy przytrafiło. Potem rozmawiano o złym stanie zdrowia żony sprzedawcy, a starego sługę poproszono o radę w sprawie medykamentów, co poprawiło nieco jego nastrój. Zmierzył puls kobiety i zbadał oczy. Zachwalano skuteczność herbat, maści i gipsu,

nadmieniając przy tym i o ludowych lekach –

skórze żaby, zwęglonym mięsie kreta i startych na proszek kara-luchach.

Drżący i słaby głos pacjentki, skrzeczący jęk sprzedawcy, głę-

boki głos Tory i świszczący komentarz Szczura mieszały się w przyjemnej rozmowie, która niespiesznie zmierzała ku końcowi, a należy nadmienić, że Tora nie zdążył jeszcze wyjawić celu ich wizyty.

Gdy zapas rad Seimei został wyczerpany, tak jak wyczerpuje się po jakimś czasie litania narzekań starej kobiety, zapadła cisza. –

To dobrze znów odwiedzić starego przyjaciela, Jisai – powiedział, wyprostowawszy się, Tora. – Nasz pan przysłał nas, by-

śmy się upewnili, czy ci dranie przy gospodzie nie poturbowali cię zbyt dotkliwie.

Nie mógł gorzej dobrać słów. W odpowiedzi sprzedawca i jego żona poczęli recytować jedno przez drugie całą listę zdrowot-nych problemów, z jakimi borykać się musi Jisai, a których na-bawił się rzekomo podczas rzeczzonego zajścia. Bolały go plecy, 246

jedno żebro miał obite, nie mógł w pełni zgiąć kolana, zaś skronie pękały mu od straszliwych migren, które kończyły się zazwyczaj zawrotami głowy. Jednym słowem, był ledwie żywy, nie mógł pracować, nie sypiał dobrze, ciągle doskwierał mu ból.

Nigdzie nie znajdzie już pracy. Stos rachunków za lekarskie usługi i mikstury rósł, a dwójka schorowanych i żalących się pacjentów od wielu dni nie miała nic w ustach.

Seimei prychnął i podniósł pokrywkę garnka stojącego na skrzypiącym, bambusowym stojaku. – Zupa fasolowa? – spytał, marszcząc nos.

– Przyniósł ją życzliwy sąsiad – odparł sprzedawca. – Co za szkoda! Była za zimna dla mojej chorej żony, a ja jestem za sła-by, by rozpalić ognisko, na którym mógłbym ją podgrzać. –

Westchnąwszy ciężko, dodał: – Gdybym miał odrobinę drewna.

Seimei prychnął ponownie.

– Może moglibyśmy pomóc – rzekł Tora. Wyciągnął do starego sługi dłoń, oczekując miedzianych monet. – Nasz pan jest bardzo hojnym człowiekiem. Na pewno chciałby, byśmy zostawili coś w prezencie.

Mamrocząc coś pod nosem, Seimei kładł na wielkiej dłoni Tory po jednej monecie, póki chłopak nie cofnął ręki, po czym poło-

żył miedziaki przed kobietą. Uśmiechnęła się do nich bezzębnymi ustami i powiedziała: – Wielkim

człowiekiem jest twój pan. Zaprawdę wielkim. To błogosławieństwo służyć tak świętej osobie.

– A ty jesteś mądrą kobietą, cioteczko – odparł Tora, wstając. –

No, na nas już czas. – Sługa otworzył usta, chcąc zaprotestować gwałtownie, gdy chłopak dodał niby od niechcienia: – A przy okazji, pośród rzeczy, które sprzedałeś memu panu, był mały, niebieski kwiatek. Pamiętasz go?

Sprzedawca pokiwał twierdząco głową. – Bardzo ładny – wychrypiął w odpowiedzi. – Czyste złoto. Wart całą masę mie-247

dziaków.

Tora puścił tę uwagę mimo uszu. – Pamiętasz, skąd go wzięłeś?

Bezdomny zmrużył nagle oczy. – No, nie wiem. Chyba go gdzieś znalazłem. A dlaczego tak się nim interesujecie?

– Bez powodu. Nasz pan i tak zamierzał go wyrzucić, więc da-

łem go w prezencie mojej dziewczynie, a teraz prosi mnie o więcej błyskotek.

– A gotów jesteś wydać prawdziwe pieniądze? Powiedzmy sztabkę srebra? – spytał tajemniczo sprzedawca.

– Tak dużo? Chyba żartujesz? Szkoda. Moja dziewczyna będzie zawiedziona – odparł spokojnym tonem Tora i zgarbił się, chcąc podnieść pieniądze, które położył wcześniej przed żoną Jisai. –

Spieszno nam. Mój pan się ucieszy, gdy powiemy mu, iż wydo-brzałeś i że interesy idą jak powinny.

– Czeka, czekaj! – wykrzyknął mężczyzna, podrywając się z zadziwiającą sprawnością. – Właśnie sobie przypomniałem.

Dostałem go od jednej z dziwek. Potrzebowała pieniędzy, by kupić swemu gachowi coś do picia. Nie wiem, skąd go wzięła.

Nie zadaję pytań.

– Jak jej na imię i gdzie mieszka? – zapytał chłopak, przerzucając z ręki do ręki monety.

– Jaśmina. Mieszka gdzieś w pobliżu rynku.

– To dziwka Blizny – burknął niespodziewanie Szczur. – Znam ją. Tora popatrzył zdziwiony na żebraka, po czym rzucił miedziaki sprzedawcy. – Masz, stary draniu – warknął. – Lepiej zużytkuj je mądrze i znajdź sobie zajęcie, bo ani się obejrzą, a zostanie z was tylko skóra i kości.

Gdy wyszli, chłopak chwycił Szczura za kościste ramiona. – O

co ci chodziło, gdy wymieniałeś Jaśminę i tego drania?

Żebrak spróbował się wykręcić i zaskomlał: – I takie to dostaję podziękowania? Pomogłem wam zdobyć to, czego szukaliście, a ty w nagrodę chcesz przetrzepać mi skórę?

248

– Przepraszam – odparł Tora, puszczając go wolno.

– Jestem zziębnięty – rzekł drżącym głosem Szczur. – I spragniony.

– Nie dostaniesz więcej wina – ostrzegł go Seimei.

Tora wziął starego sługę pod ramię i odszedł z nim kilka kroków. – Posłuchaj – powiedział. – Ten człowiek potrzebuje wina, by normalnie funkcjonować. Ty masz swoją pracę, swą nienaganną szatę i kapelusz, swoje medykamenty i swego pana oraz mnie, by zamęczać nas bez końca. On nie ma nic. Żyje tylko dla wina. Nie każdy ma tyle szczęścia, co my.

Zmrużywszy oczy, Seimei odparł: – Ależ wino go niszczy. W

końcu go zabije. Popatrz tylko na to żalosne stworzenie. I on mnie śmie nazywać staruchem!

– Bardzo łatwo się umiera – westchnął Tora. – To życie jest trudne. Wino pozwala mu choć trochę zapomnieć o zmartwie-niach.

Sługa rzucił okiem na Szczura. – Ile masz lat? – zawołał. Żebrak podniósł głowę. – Pięćdziesiąt dwa. A ty?

– Niedługo skończę sześćdziesiąt – odrzekł dumnie Seimei, prostując się i patrząc ze współczuciem na Szczura. – Widzę, że życie cię nie rozpieszczało, biedaku. Chodźmy w jakieś ciepłe miejsce, gdzie będziesz mógł odpocząć chwilę, nim ruszymy dalej.

Szczur znał wszystkie winiarnie w mieście i zaprowadził ich tam, gdzie mogli ogrzać plecy przy rozpalonych piecach, zaś brzuchy napełnić ciepłym winem.

– W porządku – powiedział w końcu Tora. – Zaczynaj mówić!

Szczur, pociągnąwszy długi łyk, rzekł: – Z tego co wiem, ten Blizna pojawił się w mieście kilka tygodni temu i od razu zabrał

się za dziewczyny zarobkujące na ulicy. Potem przerzucił się na ściąganie haraczu od sprzedawców. Podobno ma z tego niezły pieniądź, lecz nie może go przy sobie zatrzymać, bo za bardzo

lubi hazard. Jaśmina, głupia dziewczka, jest w nim zadurzona po uszy. – Potrząsnął głową i wziął kolejny łyk. – Jest tak brzydki, że wystraszyłby ducha. W dodatku ciągle ją tłucze.

Tora pokiwał tylko głową. – Wpadłem już kiedyś na niego. Miał

przy sobie dwóch zbirów – wielki, dzieciinnieły idiota i mała, niska gnida.

– Yushi i Jubei. Lepiej pilnuj swoich pleców. Lubią noże, a nie mają w zwyczaju pytać „Czy mogę?”.

Seimei nie spodobała się ich rozmowa. – Kim jest ta Jaśmina? –

spytał podenerwowany.

– Przyjaciółka przyjaciela – odparł chłopak. – Lepiej pójdźmy do niej i spytajmy ją o kwiatek. Wypiłeś dziś wystarczająco du-

żo wina, Szczurze. Chodźmy.

Gdy wyszli, na zewnątrz zapadał zmierzch. Ostry wiatr dał i gwizdał, pędząc przez wąskie uliczki, wzbijając do góry śmiecie, odpadki i zeschnięte liście. Szli za Szczurem przez ciemne alejki, w których leżeli pijacy i wagabundzi. Stopniowo poświata unosząca się nad dachami stawała się coraz jaśniejsza.

– Rynek – powiedział Tora.

Seimei zadrżał, bardziej z lęku niżli zimna, gdyż nosił pod niebieską szatą pikowaną koszulę. Nie nawykł do oglądania takiego brudu i mizerii, na jaką napatrzył się tego dnia i bał się spotkania z Blizną i jego opryszkami. Rynek wydawał się zawsze leżeć w centrum ich wszystkich kłopotów. Od niego rozpoczęli swą niefortunną wizytę i od tego momentu ciągle do niego wracali. Za każdym kolejnym razem prowadziło to do coraz większych nieprzyjemności. Jakby błądzili w labiryncie, z którego nie było ucieczki.

Nagle posłyszał tupot biegnących stóp i przywarł do ściany, wstrzymując oddech. Byli to tylko mali chłopcy. Minęli ich, wrzeszcząc głośno.

Tora zmarszczył czoło. – Coś musiało się stać. Przed nami –

250

dodał.

– Posłali po prefekta.

– Pewnie morderstwo – zakrzyknął Szczur, podskakując żywo w powietrze. – Nie wzywa się prefekta do ulicznej bójki bądź

blahego wypadku. Chodźmy zobaczyć! – Zniknął pośpiesznie za następnym rogiem, a Tora popędził za nim.

Seimei, ganiąc obydwu w myślach, podążył ich śladem, wolniejszym jednak tempem. Ten dzień i tak nie należał do udanych, a nie miał najmniejszego zamiaru pogarszać go z własnej inicjatywy. Gdy dotarł do narożnika budynku, dostrzegł gromadzący się w końcu uliczki tłum gapiów. Latarnie

podrygiwały na wietrze, rzucając wszędzie roztańczone cienie. Ludzie tłoczyli się w wąskim przejściu pomiędzy dwoma starymi domami, któ-

rych zniszczone ściany pozbawione były okien. Zgniła strzecha oświetlona luną unoszącą się nad rynkiem pokryła się ciemnymi cętkami. Tora wraz ze Szczurem przepychali się przez trajko-czący tłum, po czym zniknęli pośród gapiów.

Panika chwyciła serce Seimei. Porzucili go pośród ulicznic, złodziei i morderców, w miejscu, w którym ludzie nie kłopotali się wzywaniem policji, póki nie było już za późno. Gdzieś tu krążył

zabójca, prawdopodobnie bardzo blisko, a on nie miał pojęcia, jak wrócić do budynków sądu.

Przerażony podszedł ostrożnie do tłumu. Niedbająca o siebie młoda kobieta, trzymająca w ramionach wrzeszczącego bachora, rozmawiała z jakąś staruchą. – I dobrze tak dziwce – rzekła bez-dusznym głosem.

– Pewnie jeden z jej klientów. Sprośne wywłoki. Kobiety takie jak ona uganiają się za każdym mężczyzną, jakiego zobaczą Nawet za zboczeńcami.

– Podobno rozplątał jej szyję od ucha do ucha – odparła starucha. Seimei wzdrygnął się na całym ciele. Morderstwo. Nie miał

jednak innego wyjścia, musiał odszukać Torę. Odchrząknął

251

nerwowo.

Młodsza kobieta odwróciła się i dostrzegłszy niebieską szatę oraz czarną czapkę, wykrzyknęła: – Prefekt! To prefekt! Przepuście prefekta! – tłum rozstąpił się i Seimei przeszedł po-

śpiesznie pomiędzy gapiami, próbując wyglądać tak bardzo urzędowo, jak tylko umiał. Przeszedł przez ciemny korytarz i wszedł na oświetlony pochodniami dziedziniec.

Wokół panowała cisza. Zza drzwi na pierwszym i drugim pię-

trze dolatywało światło migoczących latami. Ludzie wychylali się przez belki werandy bądź siedzieli na skrzypiących schodach. Spoglądali na niego ciekawskimi oczyma, lecz szybko tracili zainteresowanie. Na dziedzińcu wały się śmiecie, na całej jego szerokości rozwieszono schnące pranie. Powietrze było zadymione od ognisk, na których gotowano wieczorną strawę.

Na środku dziedzińca stała grupka ludzi wpatrująca się w drzwi na drugim piętrze. Ktoś zawiesił obok nich latarnię. Oświetlała zasłonę, na której wymalowany był czerwony wzór.

W pobliżu nie było Tory, lecz stary sługa odszukał wzrokiem opierającego się o słup Szczura. – Co się stało? – spytał. – Gdzie jest Tora?

Żebrak odpowiedział mu dziwnie ponurym głosem. – Wszedł na górę, by rzucić okiem – zaświszczał, wskazując głową czerwoną zasłonę. – Wygląda na to, że biedna dziewczyna w końcu doczekała się najgorszego.

Gruba kobieta ubrana w czarną jedwabną suknię siedziała na schodach, próbując łapać oddech, gdy łzy płynęły jej po policzkach. Po bokach przytrzymały ją dwie przyjaciółki, wachlując twarz i pocieszając na zmianę dobrym słowem.

– Czy tę kobietę też napadnięto? – spytał Seimei.

– Nie. To właścicielka domu. Wścibska baba. Wróciła do domu i zauważyła czerwoną zasłonę, więc weszła na górę, by się jej 252

przyjrzeć. Ech! Toż się musiała zdziwić, ropucha!

– Zobaczyła martwą kobietę?

– Tak. Dowiedziała się też, czemu zasłona jest cała czerwona.

Sługa podniósł wzrok i z trudem przełknął ślinę. Kawałek materiału targany podmuchami lodowatego wiatru pozostawił na gipsowej ścianie jaskrawoczerwone plamy.

Tora zszedł po schodach, echo jego ciężkich butów dudniło głucho, rozchodząc się po całym dziedzińcu. Podeszedł do właścicielki domu, by z nią porozmawiać.

Seimei miał już serdecznie dość tego upiornego zadania, a Tora zamierzał najwidoczniej wplątać ich jeszcze w odrażającą zbrodnię. Przeszedłszy przez dziedziniec, chwycił chłopaka za ramię i nim potrząsnął.

– Chodź już, Tora – powiedział ostrym tonem. – Nie mamy czasu, by marnować go na ohydne morderstwo, które absolutnie nas nie dotyczy. Oddalmy się stąd w tej chwili!

Tora popatrzył na niego pustym wzrokiem. – Zaraz – odparł, odwracając się do kobiety. – Powiadasz, że na następnej dużej ulicy, tak? Tyle że jedną przecznicę dalej?

– Tora! – Seimei tupnął nogą i podniósł głos. – Zapominasz, kim jesteś. Nie mamy powodów, by zadawać się z tymi ludźmi.

Bez dwóch zdań, do takich historii dochodzi tu codziennie.

Cuchnące rzeczy przyciągają do siebie muchy, jak powiadają.

Skończmy przydzielone nam zadanie i wracajmy do sądu, gdzie czeka na nas nasz pan. Zmęczyło mnie to bieganie po slumsach.

Chłopak odwrócił się gwałtownie. Złapawszy starego sługę za ramiona, podniósł go do góry. Seimei wybałuszył oczy ze zdziwienia, widząc wściekłość rysującą się na twarzy Tory. – Ty stary głupcze –

syknał chłopak. – Ty bezużyteczny gryzpiórku i sługo bezużytecznego gryzpiórka! Nie obchodzi mnie, że jesteś zmęczony albo że jesteś za dobry na to, by przebywać dłużej wśród zwykłego ludu. Ta martwa dziewczyna na górze to Ja-253

śmina, przyjaciółka Hidesato i to jego zamkną za morderstwo, jak tylko porozmawiają z właścicielką. Muszę go ostrzec. Dotar-

ło to teraz do ciebie?

Staruszek skinął kilkakrotnie głową a Tora opuścił go na ziemię.

– Zmykaj do twojego ukochanego sądu. Mam to gdzieś. – Przeszedł nad siedzącym sługą kierując się w stronę ulicy.

Seimei rozejrzał się do dookoła, zewsząd wpatrywały się w niego wrogie spojrzenia. Szczur odwrócił się plecami, zamierzając najwyraźniej zostać. – Poczekaj, idę z tobą – wykrzyknął za Torą po czym wstał pośpiesznie i pobiegł za chłopakiem.

Musiał truchtać, by dotrzymać mu kroku. Po kilku chwilach milczenia spytał nieśmiało: – Co przytrafiło się dziewczynie?

Nie zwalniając, Tora odrzekł ochryłym głosem: – Pocięta!

Ktoś poderznął jej gardło aż po sam kręgosłup. A reszta... – Popatrzył na Seimei, po czym dodał: – Drań pokiereszował całe ciało. Zakneblował jej usta koszulą by nie krzyczała, gdy się z nią zabawiał. Wszędzie pełno było krwi. Kałuże krwi. Rozwle-czonej po ścianach i zasłonie! Wykrwawiała się na śmierć, gdy w końcu poderznął jej gardło.

– Straszne! – westchnął Seimei. – Lecz czemu mówią że zrobił

to twój przyjaciel?

– Ponieważ właścicielka widziała go z Jaśmina Pokłócili się.

Kobieta pamięta, że gdy wychodził od niej, krzyczał wniebogło-sy: „Więc lepiej, żebyś umarła!”.

– Ludzie mówią takie rzeczy, choć wcale nie mają ich na myśli.

– Powiedz to policjantom i prefektowi – warknął Tora. – Urzędnicy nie marnują swego cennego czasu na martwe dziwki i prostych żołnierzy. – Dotarli do cichej uliczki i chłopak zatrzymał

się nagle przed kolejną kamienicą. – To chyba tutaj. Kobieta powiedziała, że Hidesato zapłacił za czynsz Jaśminy, ponieważ zamierzała z nim tu zamieszkać.

Gdy weszli, zastali sierżanta zamiatającego podłogę pustego 254

pokoju. Przy drzwiach kilka zrolowanych mat stało opartych o ścianę tuż przy jego ubraniach, zbroi i

mieczu. Nowe posłanie leżało w kącie pomieszczenia.

– Tora! – wykrzyknął zaskoczony żołnierz, rzucając na podłogę miotłę, by móc uścisnąć przyjaciela. Ukłonił się Seimei i uśmiechnął.

– Wejdźcie. Jak znalazłeś mnie tak szybko? – Rozwinął maty i rozłożył, by mogli na nich usiąść. – Przepraszam, że nie mogę wam niczego zaoferować. Szykuję to miejsce dla Jaśminy! –

Uśmiechnął się radośnie.

– Wiesz co, Tora? Teraz, gdy dostałem lepszy żołd, w końcu posłuchała moich rad. Niedługo będę żonatym mężczyzną.

Chłopak rozejrzał się po pustym pokoju i przygryzł dolną wargę.

– Właścicielka kamienicy powiedziała, że pokłóciliście się niedawno. Czy naprawdę powiedziałeś Jaśminie, że lepiej byłoby dla niej, gdyby nie żyła?

– A więc ten stary babsztyl znów węszył, gdzie nie trzeba. Tora, wiesz, jakie są kobiety. Jaśmina nie należy do tych, które łatwo przekonać. Pewnie trochę mnie poniosło. Ale wszystko dobrze się skończyło.

Tora spuścił głowę i wbił wzrok w podłogę. – Jaśmina tu nie przyjdzie, Hidesato.

Z twarzy przyjaciela zniknął uśmiech. – Twoje żarty nie są za-bawne. Bo to są żarty... prawda?

Chłopak potrząsnął głową, nie podnosząc wzroku. Sierżant popatrzył na Seimei, który począł przesuwać się w stronę drzwi.

– Co się stało?

– Przykro mi, Hito – odrzekł Tora. – Przykro, że muszę ci o tym powiedzieć.

Twarz Hidesato pobladła w mgnieniu oka. – Ten drań znów ją skrzywdził.

255

– Ona nie żyje, Hito.

– Nie żyje? Jaśmina nie żyje? Niemożliwe. Widziałem ją ledwie kilka godzin temu.

– Ktoś pociął ją nożem i uciekł – rzekł Tora. – Właścicielka myśli, że to byłeś ty.

Hidesato zerwał się na równe nogi. – Pociął? Muszę tam iść.

Natychmiast. Może jest tylko ranna.

Tora chwycił go za ramię. – Nie. Widziałem na własne oczy.

Patrząc wściekle na przyjaciela, Hidesato wyrwał się z uścisku i ruszył w kierunku drzwi. Tora chwycił go w pasie i obaj przekoziółkowali po podłodze. – Ona nie żyje, Hidesato! – krzyknął chłopak. – Nie możesz tam iść. Już posłano po prefekta, a on zamknie cię bez zadawania pytań!

Mężczyzna skulił się i zaszlochał cicho, waląc zaciśniętymi pięściami w drewniane belki.

Patrzyli na niego w milczeniu. Wreszcie Tora położył dłoń na ramieniu przyjaciela. – Nie możesz tu zostać. Stara jędza zna ten adres. Zabiorę cię do Higeкуро. Zostaniesz u niego kilka dni, póki nie uda nam się dowiedzieć, kto to zrobił. Pamiętasz tego okaleczonego zapaśnika, o którym ci mówiłem?

Hidesato usiadł wyprostowany. Twarz miał mokrą od łez.

– Weź się w garść.

Żołnierz potrząsnął głową. – Po co? Pozwól im mnie aresztować. Wszystko, do czego się dotykam, kończy się źle. Napytasz tylko sobie i swemu towarzyszowi kłopotów.

– Zamknij się i wstawaj! – warknął Tora. Hidesato podniósł się i stanął niepewnie na nogach, rozglądając się po pokoju pustym wzrokiem. Chłopak zaklął głośno, kopnął wieko dużego kosza, znalazł w nim obszerną chustę i począł rzucać na nią ubrania przyjaciela. Zawiązał ją, gdy uznał, że zabrał wystarczającą ilość, i podał tobolek Hidesato. – Wyjdź na ulicę, Seimei i sprawdź, czy droga jest wolna.

256

Stary sługa popędził przez drzwi. Na zewnątrz było już ciemno, a ulice opustoszały. Krzyknął z dołu, iż wszystko w porządku.

Tora zatrzymał się po drodze, by kupić na rynku dwie tanie papierowe latarnie. Idąc pomiędzy murami prywatnych posiadło-

ści i kamienic, mieli wrażenie, jakby zanurzali się w pogrążone w ciemnościach nieznane korytarze. Nikt nie miał ochoty na rozmowę.

Gdy dotarli do szkoły, Hidesato zatrzymał się nagle. – Zabiję tego drania, nawet jeśli miałyby to być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu!

– Nie, bracie! – odparł szybko Tora. – Bądź cierpliwy. Mój pan i ja dowiemy się, kto to zrobił. Czemu chcesz płacić swoim życiem za życie mordercy?

Po chwili milczenia sierżant pokiwał głową i pozwolił, by wprowadzili go do środka.

Ku uldze Seimei, który uważał dom Higeкуро za najdziwniej-szy, jaki widział w życiu, i z pewnością najbardziej odpowiedni do ukrycia takiego zbiega jak Hidesato, nie zostali dłużej. Teraz pragnął

jedynie znaleźć się znów w bezpiecznych murach sądu.

Lecz gdy dotarli do bram sądu, Tora wyminął je, nie zwalniając kroku. – Gdzie idziesz? Jesteśmy w domu – zakrzyknął Seimei.

– Idę porozmawiać z prefektem.

– Z prefektem? Nie teraz, Tora. Martwię się o pana. A może...

pójdiesz beze mnie?

Chłopak był niewzruszony. – Nie – odparł. – Idziesz ze mną.

Dzięki twoim szatom i czapce ominiemy strażę i wścibskich urzędników.

– Prefekt z pewnością nie zdążył jeszcze wrócić z miejsca zbrodni. – Tora nie odpowiedział, a Seimei nie pozostało nic innego, jak dać za wygraną. Wyszeptał tylko: – Teraz widzisz, jak ważny jest właściwy strój.

Lecz posterunkowi i urzędnicy prefektury byli zbyt zajęci, by 257

przejąć się wyglądem Seimei. Odsyłali ich w szorstkich słowach od jednego biurka do drugiego. Wreszcie podszedł do nich chudy i zmęczony młodzieniec. – Co za noc! – powiedział. – Najpierw krwawy maniak w dzielnicy uciech, a potem ta sprawa w posiadłości Tachibanów. Obawiam się, że prefekt nieprędko tu wróci. W czym mogę pomóc?

Tora opowiedział skrupulatnie, w jakich okolicznościach spotkał Bliznę i jego zbirów, wspomniał o opowieści Szczura, o biciu Jaśminy przez oprycha. Oczy młodego urzędnika zwięzały się z każdym kolejnym słowem. – To brzmi jak bardzo ważna wiadomość – odparł. – Miałeś rację, przychodząc tu od razu.

Jeśli usiądziesz tam, dopilnuję, by prefekt dowiedział się o wszystkim, gdy tylko wróci.

Usiedli na wskazanej ławce. Siedzieli w milczeniu, czekając.

Siedzieli. Siedzieli, póki nie zmorzył ich sen. Minęło dużo czasu, nim ten sam młody urzędnik potrząsnął ramieniem Seimei. –

Prefekt udał się na spoczynek – powiedział przeproszającym tonem. – Będzie chciał się w wami widzieć, lecz pomyślałem sobie, iż lepiej będzie, gdy udacie się do domów, by przespać się choć trochę. Przyjdźcie raz jeszcze rankiem.

Tora wstał, chwiejąc się na nogach. – Na tysiące demonów... –

wyrzekł wściekle. Młody urzędnik cofnął się, a dwóch drzemających policjantów zbudziło się nagle, chwytając za swoje łańcuchy.

– Nie, Tora! – krzyknął Seimei. – Pamiętaj, co powiedziałeś Hidesato. Nasz pan zajmie się tą sprawą.

Klnąc pod nosem leniwych i przekupnych gryziórków, chłopak podporządkował się słowom starego sługi.

Gdy wrócili, zastali pokoje pogrążone w ciemnościach. Seimei odkopnął pod ścianę buty i cichutko otworzył drzwi, przysłaniając latarnię dłonią. Tora wciąż mocował się ze swymi butami, gdy usłyszał krzyk.

258

– Pan! Szybko, Tora! Coś złego stało się naszemu panu.

259

Rozdział 16

Przebudzenie

Akitada trzy dni leżał nieprzytomny. Przez ten czas czuwali na zmianę przy jego łożu Seimei, Tora i Motosuke. Służący i lekarze przychodzili i odchodzili. Ich prognozy były raz fatalne, raz pełne nadziei, lecz nie zniechęcały trzech mężczyzn do opieki nad chorym, którą przerywali tylko na posiłki i najpilniejsze sprawy.

Zdarzyło się, że gdy Akitada odzyskał wreszcie pełną świadomość, był w pokoju sam. Promienie słoneczne sączyły się przez drewniane kraty, rysując na jego piersi i pościeli szerokie prostokąty. W powietrzu unosił się ledwie zauważalny zapach kadzidła, a kłębki kurzu wirowały w promieniach słońca.

Poczuł się lekki, niemalże jakby unosił się w powietrzu. Czując ciepło słońca i rozgrzanej pościeli, westchnął. Wybudził się ze snu, jednego z wielu, lecz w tym spacerował z Ayako wpierw po górskich łąkach, potem przez podziemia świątyni. Trzymali się za ręce, a ona uśmiechała się do niego radośnie.

Słońce! Pewnie już południe, pomyślał. A ja przegapiłem poranne spotkanie w łaźni.

Poderwał się zbyt gwałtownie i nagle cały pokój zakryły ciemności. Padając z jękiem na poduszki, przypomniał sobie o swej wczorajszej chorobie. Najwidoczniej nie był jeszcze na tyle zdrow, by odwiedzić Ayako. Będzie musiał posłać do niej Torę z wyjaśniającym wszystko listem.

Leżąc na łożku i rozglądając się po pokoju, rozmyślał, gdzie też podzieli się obaj słudzy. Pomieszczenie zostało wysprzątane, gdyż przypomniał sobie, iż wymiotował, nim zapadł w sen. Być może Tora poszedł już w odwiedziny do Higeкуро i powiedział

260

mu o wszystkim.

Pewnie się o niego martwiła. Myśl o tym ucieszyła jego serce i uśmiechnął się, zastanawiając się, czy to, co czuje, jest prawdziwym, poważnym uczuciem. Ich miłosne igraszki stawały się z każdą kolejną wizytą w łaźni bardziej namiętne i zmysłowe.

Przeraził się na myśl, iż będzie się musiał rozstać z Ayako.

Przez lekkomyślną chwilę wyobraził sobie, iż osiada tutaj jako sędzia na przykład i zakłada z dziewczyną rodzinę.

Wiedział jednak, iż ma obowiązki wobec matki i sióstr i że nie może wybrać tak szczęśliwego wygnania, a byłoby to wygnanie, gdyż zarówno Ayako, jak i ich dzieciom nigdy nie zezwolono by wjechać do stolicy. Zamknął oczy, wspominając ich ostatnie spotkanie. Pochyliła się nad nim, oboje byli nadzy, a skórę wilgotną mieli od pary i namiętności. Patrzyła na niego rozmarzonymi, na pół przymrużonymi oczami, gdy schyliła się, by poca-

lować go w policzek. Całowała całą twarz, pocałunkami lekkimi niczym dotyk delikatnego kwiatu. Całowała jego zamknięte powieki, nos, wargi. Czubkiem języka przesuwiała po strużkach potu, które skapywały z jego skroni, czoła, uszu. Gdy dotarła do ust, drażniła się z nim, póki ich nie otworzył, a wtedy pocałowa-

ła go zmysłowo, wsuwając język pomiędzy otwarte wargi. Żadna kobieta nie kochała dotąd Akitady.

Drzwi otworzyły się z cichym świstem i do środka wszedł na palcach Seimei, niosąc czajnik z herbatą.

– Gdzie są wszyscy? – spytał inspektor słabym i ochrypłym głosem.

Sługaomalże nie wypuścił naczynia z rąk. Jego twarz rozjaśnił

w jednej chwili szeroki uśmiech. – Przebudziłeś się! – krzyknął.

– Tak bardzo się martwiliśmy. Ach, pewnie jesteś głodny. Pozwól mi tylko zaparzyć tę herbatę, a pobiegnę i przygotuję ci pożywny ryżowy kleik. Gubernator z pewnością się ucieszy, Tora także. Chłopak martwił się cały czas o ciebie i swego przy-

jaciela, Hidesato, który popadł w nieliczne kłopoty. A gubernator ciągle załamywał ręce z niepewności. To bardzo poczciwy mąż, wbrew temu, co sobie o nim pomyślałeś...

– Seimei, uspokój się. Proszę!

Sługa postawił czajnik na palenisku. Tuż obok stała dziwnie zdobiona kadzielnica – zapewne źródło delikatnego zapachu unoszącego się w pomieszczeniu. Była to brązowa kula ozdobiona rysunkami kół, kwiatów i pojedynczych płatków.

– Skąd się to wzięło? – spytał Akitada.

Sługa podążył wzrokiem za spojrzeniem pana. – Kadzielnica?

Gubernator przyniósł ją z własnej biblioteki, gdy zobaczył, iż nie masz żadnej. Powietrze było nieświeże z powodu twojej choroby.

– To miło z jego strony. A teraz opowiedz mi o Torze i Hidesato? Sługa usiadł na podłodze. – Ech! To był najgorszy dzień w całym moim życiu – odparł z emfazą. – Wpierw ta baba w wystającymi zębami. Ta z gospody, zawstydzila mnie przy wszystkich gościach. Potem znaleźliśmy obdartego sprzedawcę, jak nam kazales. Żyje wraz z żoną w chacie pełnej śmieci i odpadków. A potem jeszcze to morderstwo. Och, to było straszne!

Musieliśmy pędzić, by ostrzec Hidesato i ukryć go w domu Higeкуро. A gdyby tego nie było dość, musieliśmy godzinami czekać w prefekturze. Gdy w końcu dotarliśmy do sądu, znaleź-

liśmy ciebie leżącego bez czucia na podłodze.

– Powoli, Seimei, powoli. Po kolei. Miało miejsce kolejne morderstwo? – przerażony Akitada wysłuchał w milczeniu barwnej opowieści o śmierci Jaśminy i o pozostałych przygodach, jakie przytrafiły się jego sługom tego dnia. Zmarszczył czoło. – Nie rozumiem. I wszystko to wydarzyło się wczoraj?

– Wczoraj? O nie. Cztery dni temu. Nie odzyskiwałeś przytomności przez cztery dni.

Inspektor potarł dłonią włosy. – Aż cztery dni? – Zaniepokojony 262

pomyślał o Ayako. Jakże musiała się martwić! Poczuł, jak wzbiera w nim czułość i wdzięczność. – Cieszę się, że zaprowadziliście tam Hidesato. Ochroni ich przed mnichami. – Zawahał

się, a po chwili uśmiechnął. – Miejmy nadzieję, że nie podpadnie Torze. Otomi jest bardzo piękną dziewczyną.

– Och, Hidesato nie zależy na Otomi – odrzekł Seimei i po-

śpiesznie zamknął usta, krzątając się przy czajniku i czarkach do herbaty.

Podnosząc się w radosnym nastroju, jego pan wziął do ręki gorące naczynie i popijał powoli, rozmyślając o biednej Jaśminie.

– Wracając do tego morderstwa – powiedział, obracając w dłoniach czarkę. – Czy naprawdę było tam tyle krwi?

– Sam widziałem zasłonę. Była tak duża jak tamte drzwi. I cała przesiąknięta krwią. Tora powiedział, że morderca musiał ją zdjąć i unurzać w kałuży posoki. Potem zawiesił ją nad wej-

ściem. Dałbyś wiarę?!

Akitada pokiwał głową. – Tak, to bardzo dziwne. A gdzie się podziewa Tora?

– Poszedł zobaczyć, jak się miewa Hidesato. Niedługo powinien wrócić. Przynieść ci teraz trochę kleiku?

Inspektor skinął twierdząco i sługa pośpieszył do drzwi. Czując lekkie zawroty głowy, Akitada, opadłszy na łóżko, wpatrywał

się w sufit. Zastanawiał się, czy mały, niebieski kwiatek jest w jakiś sposób związany z morderstwem Jaśminy, lecz nie mógł

wpaść na to, jak połączyć tanią prostytutkę z Kazusy z tak delikatnym fragmentem biżuterii.

Czując pragnienie, wstał i podszedł, chwiejąc się, do czajnika, by napełnić czarkę. Był straszliwie słaby i przystanął na chwilę przy biurku, by złapać oddech. Kadzielnica nie miała żadnej podstawki ani stojaka. Gdy dotknął ją palcem, potoczyła się po blacie, lecz blaszka na kadzidło pozostawała cały czas w horyzontalnej pozycji. Cóż za mistrzowski kunszt! Pociągając łyki z 263

czarki, bawił się, tocząc kulę. Wzory wydały się mu dziwnie znajome. Usiadłszy, wziął kadzielnice w obie dłonie, obracając ją na wszystkie strony. Brązowe koła, kwiaty i liście. Dziurki w naczyniu zrobione wzdłuż linii wzoru pozwalały, by dym wydostawał się na zewnątrz. Gdy zajrzał w otwory, jego oczom ukazał się kolejny wzór – ten, który widzieli w świątyni – ryba wyskakująca z wody w stronę wyrzuconej piłki. Serce poczęło mu walić jak młotem.

– Niebiosa! Dlaczego wyszedłeś z łóżka? – wykrzyknął Motosuke, wbiegając do pokoju. – Szybko, szybko! Połóż się, nim zobaczy cię Seimei.

Inspektor zachichotał, odłożył kulę i wrócił do łóżka, nakrywając się kołdrami. – Cieszę się, że cię widzę – odparł.

Gubernator podwinął poły szaty i ukląkł tuż przy nim. Jego okrągła twarz zmarszczyła się od współczucia. – Niebiosom niech będą dzięki, że czujesz się lepiej. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo się o ciebie martwiliśmy – rzekł, po czym objął ramionami Akitadę.

Poruszony tym gestem inspektor z radością odwzajemnił uścisk.

– Dziękuję za twą opiekę, bracie – rzekł. – Mam nadzieję, że twoje przygotowania do świątynnej uroczystości przebiegają należycie?

– W rzeczy samej – odpowiedział Motosuke, zacierając dłonie.

– Ale jak weźmiesz w niej udział po tym wszystkim. – Wpatrywał się z niepokojem w zmęczoną twarz przyjaciela. – Sądziś, że będziesz miał wystarczająco dużo sił, by pojutrze udać się do świątyni?

– Już pojutrze?

– Zapomniałeś zupełnie o dacie? Gdy leżałeś tu przez ostatnie trzy dni, Akinobu, Yukinari i ja wyciskaliśmy z siebie siódme poty, by dopiąć wszystko na ostatni guzik – powiedział, uśmiechając się radośnie.

264

– Jeśli mogę być nieskromny, muszę powiedzieć, że nielichy ze mnie organizator. Nie mogę się doczekać, gdy opowiem ci o wszystkich szczegółach.

– Zupełnie o tym zapomniałem. Przykro mi bardzo.

– Nic dziwnego. Przez większość czasu majaczyłeś przez sen.

Czuwaliśmy przy tobie na zmianę, ocierając ci skronie.

– Jestem dozgonnie wdzięczny.

Oblicze gubernatora stało się nagle pochmurne i poważne. –

Czy Seimei powiedział ci już, że wdowę po panu Tachibana i jej niańkę znaleziono martwe?

– Co takiego?

– Obie w celi popełniły samobójstwo.

– Nie uwierzę – zakrzyknął Akitada. – To musiał być Ikeda, musiał je zabić... i to wszystko z mojej winy.

– Mylisz się. Ikedy nie ma w mieście, a z tego, co udało mi się dowiedzieć, można wywnioskować, że wyjechał przed ich śmiercią.

W głowie inspektora zawirowało. Zrozumiał, jak wielki błąd popełnił, pozwalając prefektowi zabrać obie kobiety do więzienia. Fakt, iż nie czuł się tej nocy dobrze, nie był wystarczającym usprawiedliwieniem dla takiego zaniedbania. Obraz motyla uwięzionego w śniegu znów przebiegł mu przez myśli. Okazał

się proroczy. – Czy znasz szczegóły? – spytał, wykrzywiając usta.

– Tak, gdyż posłałem Akinobu, by dowiedział się wszystkiego.

Było to dwie noce temu. Najwidoczniej Ikeda wyjechał noc wcześniej, zaraz po tym, jak kazałeś je aresztować. Na jego biurku była notka, w której skreślił parę słów, tłumacząc, iż we-zwano go w jakiejś sprawie poza miasto. Do tej pory nie wrócił

i musiałem zastąpić go Akinobu, który chwilowo przejął

wszystkie jego obowiązki. Wracając do sprawy, pani Tachibana zażądała rozmowy z Ikedą a gdy główny urzędnik poinformo-265

wał ją że prefekta nie ma w mieście, wpadła w szal i posłała po Joto.

– Oczywiście – jęknął Akitada, zaciskając pięści. – Ależ byłem głupcem.

Motosuke popatrzył na niego pytającym wzrokiem, a gdy inspektor nie wyjaśniał, wznowił opowieść. – No więc, główny urzędnik założył, iż wdowa szuka duchowego pocieszenia i oparcia, zważywszy na ciężące na niej zarzuty, i zezwolił na wizytę. Joto nie pojawił się jednak osobiście, lecz tego samego wieczoru wysłał swą prawą rękę – Kukai – z dwoma innymi mnichami. Według strażników modlili się razem z wdową po czym wyszli. Kobieta w ciszy przygotowała się do snu. Rankiem strażnik więzienia znalazł ją zwisającą z krokwi. Zdjęła z siebie jedną z jedwabnych szat, okręciła i użyła jak sznura. Gdy sprawdzili celę niańki, zobaczyli, iż ta zrobiła to samo, korzystając ze swego pasa.

– Zabili je – rzekł inspektor. – Obie kobiety wiedziały za wiele.

Motosuke potrząsnął głową. – Nie sądzę. Lecz cokolwiek się stało, oszczędziło nam to wielu nieprzyjemności.

Choć zabrzmiało to bezdusznie, Akitada wiedział, iż kobieta, która popełniła cudzołóstwo, a potem zamordowała męża, nie mogła liczyć na łaskę. Morderczynie karano dla przykładu publicznymi torturami, których nie miały prawa przeżyć. Tak jak słudzy, którzy odważyli się podnieść rękę na swych panów. Tak właśnie należało postąpić. Lecz ta sprawa dotyczyła pani Tachibana. Widok dziecka odzieranego z ubrań i chłostanego po gołej skórze, by wydobyć szybkie przyznanie się do winy, mógłby zatrwożyć nawet najbardziej okrutny i bezlitosny tłum. Z punktu widzenia Motosuke wdowa i jej służka stanowiły problem. Ich śmierć uczyniła zadość sprawiedliwości. W dodatku prawdopodobnie same wymierzyły sobie stosowną karę. Jednakże Akitada nie mógł podzielać ulgi gubernatora.

266

– To moja wina – powiedział. – Powinienem był się domyśleć, że to Ikeda jest jej kochankiem, gdy bezustannie nalegała, by po niego posłać.

– Ikeda? Jesteś pewien? – Motosuke wyglądał na zbitego z tropu.

– Wszystko do siebie pasuje. Gdy oskarżyłem ją o morderstwo męża, prefekt mnie zaskoczył, biorąc moją stronę mimo to, że wdowa oskarżyła mnie o gwałt. Kazał aresztować obie kobiety, a te potulnie pozwoliły odprowadzić się do więzienia. Pani Tachibana nie pozwoliłaby na to, gdyby nie spodziewała się rychłego uwolnienia. – Patrząc na gubernatora, dodał: – Teraz wszystko wskazuje na to, iż oboje – wdowa i Ikeda – byli po-mocnikami Joto. To dlatego posłała po mnicha, gdy dowiedziała się, że prefekt uciekł z miasta. Powinienem posłuchać Tory.

Jakby na żądanie, chłopak przekroczył próg pokoju. Nie zważając zupełnie na obecność gubernatora, rozsiadł się wygodnie na podłodze, jednak przypominając sobie poniewczasie o dobrych manierach, pokłonił się Motosuke, mówiąc: – To dobrze widzieć cię zdrowym, panie. – Zaś odwracając się do Akitady, powiedział: – Dzięki niech będą bogom, wreszcie czujesz się lepiej! Czy Seimei opowiedział ci o Jaśminie?

– Tak, lecz nie musisz się kłopotać tym morderstwem – odrzekł

inspektor. – Wiem, kto zabił dziewczynę Hidesato.

– To jasne jak słońce. Ten drań Blizna. Od początku tłukł biedną dziewczynę na kwaśne jabłko, a tym razem wpadł na inny pomysł.

Akitada potrząsnął przecząco głową. Widząc wyraz twarzy chłopaka, powiedział: – No dalej, Tora. Na pewno sam na to wpadniesz. Pomyśl o krwi! O kałużach krwi. Przecież to ty opowiedziałeś nam o niedorozwiniętym osiłku wymachującym nożem.

Oczy Tory rozszerzyły się nagle. – Yushi! – wydyszał.

267

– Yushi. Choć Blizna maczał w tym pewnie swoje brudne paluchy. – Inspektor odwrócił się do gubernatora. – Wygląda na to, że grupa trzech mężczyzn – jeden oszpecony na twarzy, którego ludzie

zwą Blizna, drugi olbrzym o imieniu Yushi i trzeci...

– Jubei – pomógł Tora.

– ... i Jubei – trudniła się zbieraniem od drobnych kupców i prostytutek haraczu za ochronę. Tora kazał ich aresztować, a Ikeda następnego dnia puścił wolno. Wydaje mi się, że powinni-

śmy o tym powiedzieć Akinobu. Może tym razem uda się zamknąć całą trójkę na dobre.

Gubernator podniósł się, potrząsając głową. – Zewsząd tylko okropne wieści. To straszne – rzekł. – Opowiedzcie mi o tym innym razem. Lepiej pójdę porozmawiać z Akinobu. Tobie przyda się jeszcze odpoczynek, starszy bracie. Wrócę później, by omó-

wić sprawę uroczystości.

Gdy Motosuke wyszedł, inspektor przewrócił się na bok i podparł łokciem. Uśmiechnął się do Tory. – Wyrazy uznania. Wygląda na to, iż miałaś rację, podejrzewając, że Ikeda i Joto to wspólnicy.

Chłopak próbował przyjąć skromny wyraz twarzy, lecz nie potrafił.

– A jak radzą sobie Hidesato z Higekuro i dziewczynami? Tora zmarkotniał i pośpiesznie odwrócił wzrok. – Dobrze.

– Powiedziałaś im o mojej chorobie?

– Tak. Życzą ci szybkiego powrotu do zdrowia i wszystkiego najlepszego.

Zdziwiony taką obojętnością inspektor spróbował raz jeszcze.

– A ^o powiedziała Ayako?

Chłopak trącił dłonią kadzielnicę, a ta potoczyła się po biurku.

– O, to samo – odrzekł, marszcząc brwi. – Mają pełne ręce roboty, gdy w domu jest gość.

Akitada sądził, iż wie, czemu sługa jest w tak ponurym nastroju.

268

– Otomi jest piękną kobietą – powiedział delikatnie. – To naturalne, iż Hidesato też to zauważył.

Tora odwrócił się gwałtownie i wlepił wzrok w swego pana. –

Otomi? Hidesato nie obchodzi Otomi. To za Ayako się uganiania.

Niech przeklną go niebiosy!

– Ayako? – roześmiał się inspektor, zmrużywszy oczy. – Bogowie – powiedział. – Zupełnie

zapomniałem. Oboje mistrzowsko walczą kijami. Nie dziw, iż znaleźli wiele tematów do rozmowy.

Uspokój się, Tora. Cieszę się, że zaprowadziliście tam Hidesato.

Otomi może być teraz w prawdziwym niebezpieczeństwie, skoro Joto widział namalowany przez nią zwój. Jestem przekonany, że nasłał swoich ludzi, by uśmiercili panią Tachibana i jej służ-

kę. Nic nie stanie mu na drodze, jeśli zechce to samo zrobić z Otomi. Może pomyślał dwa razy, jeśli zobaczą w domu drugiego mężczyznę.

Tora zerwał się na równe nogi. – Hidesato nie ma w domu. Razem z Ayako poszli rankiem do łaźni. – Gdy tylko wykrztusił to z siebie, spurpurowiał na twarzy. – To znaczy on tam poszedł.

Gdzie udała się Ayako, nie wiem. – Wziął głęboki oddech. –

Jeśli nie będę ci potrzebny – dodał – wolałbym sprawdzić, czy u Higeкуро wszystko w porządku.

– Odwrócił się i wybiegł za próg.

Pokój wydał się Akitadzie ciemny, jakby ogromna deszczowa chmura przysłoniła nagle słońce. Usiadł, opierając się plecami o ścianę. Przez długi czas siedział tak przygarbiony, zaciskając dłonie. Co wtedy powiedział Seimei? „Bardziej niebezpieczny od pazurów tygrysa jest jedwab kobiecej bielizny”. Wtedy ostrzegął go przed panią Tachibana. Ayako nie była dziewczyną strojącą się w jedwabie. Nie była rozpieszczoną i wyperfumowaną uwodzicielką. Była czysta i naturalna jak samo życie. Lecz to ona go zdradziła.

Gdy nadszedł ból, poczuł się tak, jakby pchnięcie miecza rozry-

wało jego wnętrzności. Krzyknął i skulił się w agonii na podłodze, bujając się w przód i w tył.

– Paniczu? Paniczu? Co ci jest?

Przerażony głos sługi przebijał się przez zasłonę bólu i żalu.

Akitada, otworzywszy oczy, zmusił się do rozluźnienia ciała i rozwarcia zaciśniętych pięści. – Nic – wycharczał. – Skurcz. To pusty żołądek daje o sobie znać.

Ulga odmalowała się na zmartwionym obliczu Seimei. – To wszystko? Przyniosłem kleik. Wrzuciłem do niego trochę ziół.

Dlatego tyle mi się zeszło. – Wcisnął misę w dłonie inspektora i patrzył, jak ten je. Posiłek smakował jak żółć. – Nie wyglądasz najlepiej – dodał tonem pełnym zwątpienia.

Pan zmusił się, by przełknąć kleik i od razu poczuł się lepiej.

Położył się i przymknął powieki. – Jestem zmęczony, Seimei –

rzekł apatycznie.

– Tak, tak. Potrzeba ci jeszcze snu. Później przyniosę ci więcej jedzenia, może pożywny bulion z ryby i kluseczki. – Sługa pozbiierał wszystkie naczynia i bezszelestnie wyszedł z pokoju.

Ból wrócił. Nie tak przejmujący i ostry jak wcześniej. Czuł, jak przenika z brzucha prosto do głowy – gęsty, czarny tusz wsiąka-jący w chłonną gąbkę. Wraz z bólem przyszło poczucie ogromnej straty – jakby jego samego porwała i uniosła czarna fala powodzi.

Tak wiele się wydarzyło. Nie był już tym samym człowiekiem, który z entuzjazmem przyjął zadanie, chcąc służyć swemu cesarzowi i w końcu spełnić oczekiwania, jakie pokładała w nim matka. Nagle zrozumiał, iż był nierozważnym i głupim marzy-cielem, iż nic nie poszło po jego myśli, iż nie był tym, kim być chciał.

Poczuł wzbierający w nim gniew, lecz nie na Ayako ani na krę-

pego sierżanta. Czy którykolwiek zdrowy i rozumny mężczyzna odrzuciłby taki podarunek losu? I czemu Ayako, bez względu na 270

motywy nią kierujące – współczucie, ciekawość czy podobień-

stwo – nie miałyby oddać się Hidesato tak ochoczo, jak oddała się jemu? Zapewne wzbudził w niej ciekawość i współczucie.

Zapewne uważała go za żalostnego słabeusza, tak jak kiedyś Tora. A może zabrała go do łaźni, by przekonać się, jak kochają się szlachetnie urodzeni ze stolicy.

Ayako żyła według własnych zasad i nigdy niczego mu nie obiecywała. To on w swojej arogancji sądził, iż dziewczyna musi czuć do niego to samo, co on czuł do niej. Co wciąż czuł.

Ayako nie należała do nikogo, nie należała nawet do Hidesato.

Ta myśl sprawiła, iż poczuł się lepiej. Lecz po chwili przyszło mu do głowy, że sierżantowi może być na rękę taki związek. Co się stanie, jeśli gruboskórny żołnierz zabawi się z dziewczyną, a potem opuści ją bez zastanowienia, traktując beztrosko to, co beztrosko otrzymał w darze? Przed oczami stanął mu obraz dwójki kochanków rozciągniętych na słomianej macie i owładnął nim desperacki szal.

Nagle usłyszał kogoś za ścianą – Wstałeś już, drogi Akitada? –

spytał Motosuke, zaglądając przez uchylone drzwi.

– Tak – odparł inspektor, siadając i pocierając dłońmi oczy. –

Wejdz, proszę.

– Przeprowadziłem ze sobą Akinobu i Yukinariego. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko?

– Nie, nie, skądże. Wejdźcie i usiądźcie.

Trzej mężczyźni weszli powoli. Yukinari i Akinobu uklonili się nisko, rzucając mu pośpieszne i niepewne spojrzenia. Na głowie kapitana nie było już bandażu, lecz na purpurowym od sińca czole, tuż pod linią włosów widniał duży strup.

– Chyba zostało jeszcze trochę herbaty – powiedział inspektor. –

A może wolelibyście odrobinę wina?

Goście odmówili, sadowiąc się na matach. Zapytali Akitadę o zdrowie, po czym czekali cierpliwie w milczeniu.

271

– Gubernator powiedział mi, że zastępujesz teraz Ikedę – zwró-

cił się do Akinobu inspektor, próbując przepędzić sprzed oczu obraz dwójki kochanków. – Trudno będzie ci pogodzić oba obowiązki, zwłaszcza gdy sprawa z podatkami jest tak zagna-twana i czasochłonna.

Sekretarz uklonił się nisko. – Miałem szczęście, iż znalazłem w prefekturze kilku bystrych ludzi, na których mogę polegać –

odrzekł swym oschłym głosem. – Gdy przywrócono porządek, reszta potoczyła się zwykłą koleją rzeczy. Mam nadzieję, że uda mi się oddać obowiązki związane z prefekturą w ręce głównego urzędnika. Właśnie przed chwilą przekazałem mu wszystkie informacje o przestępcach wskazanych przez waszą ekscelencję.

Specjalny zespół posterunkowych, którym nieobcy jest tutejszy światek przestępczy, szuka podejrzanej trójki i mam nadzieję, że do wieczora będę mógł zameldować o ich pochwyce.

– Dziękuję za okazaną pomoc – powiedział inspektor, a odwracając się do pozostałych, dodał: – Wygląda na to, iż aresztowanie Joto i jego popleczników podczas świątynnej uroczystości będzie trudniejsze, niż się spodziewałem. Za wszelką cenę musimy uniknąć rozlewu krwi. Podejrzany udowodnił już nieraz, że potrafi działać szybko i zdecydowanie i że dla niego ludzkie życie nic nie jest warte. W murach zaroi się od tutejszych i pielgrzymów, a mnisi umieją walczyć i mają do dyspozycji cały arsenał. W klasztorze ukryto zapewne jeszcze inną broń, prócz tej, którą udało nam się znaleźć. Naszym jedynym sprzymie-rzeńcem będzie zaskoczenie.

– Jaką broń znaleźliście i ile jej było? – zapytał kapitan.

– Wiem tylko o *naginatach*, lecz w stolicy często słyszałem plotki o transportach broni przewożonych na wschód. Podczas mojej podróży widziałem listy towarów przekraczających posterunek w Hakone wschodnim traktem biegnącym w kierunku Kazusy. Na każdej widniała dziwnie duża liczba przedmiotów 272

kultu. Obawiam się, iż mogła to być broń zmierzająca do świą-

tyni Poczwórnej Mądrości. Człowiek taki jak Joto pozbawiony jest wyrzutów sumienia, bez mrugnienia okiem sprowokowałby rzeź bądź zamieszki w całej prowincji, byleby tylko utrzymać wywalczoną pozycję.

Akitada przyjrzał się trójce siedzących przed nim mężczyznom i zastanowił się, jak każdy z nich zniesie napięcie nadchodzących dni. Yukinari siedział, zaciskając pięści i mamrocząc coś pod nosem. Inspektor uważał, iż kapitanowi nie brakuje odwagi. W

dotatku zrobi wszystko, może nawet odda własne życie, by zmyć plamę na honorze, jaką był romans z panią Tachibana.

Motosuke, zazwyczaj radosny i pełny nadziei, teraz siedział

pochmurny, nie odzywając się słowem. Inspektor był pewien, że gubernator jest jego przyjacielem i tak jak on oddał się całemu przedsięwzięciu. Choć mógł stracić więcej niż pozostali, mógł

też nieporównywalnie więcej zyskać – ogromny prestiż po zdławieniu raczkującej rebelii.

– Obwiniam się za to – powiedział Motosuke, gdy spotkały się ich spojrzenia – że ten spisek urósł do takich rozmiarów tuż pod moim nosem, a ja nie zwróciłem na niego uwagi.

– Nie mogłeś o nim wiedzieć, gubernatorze – wtrącił pośpiesznie Akinobu. – Buddyjskie klasztory są chronione przed zwy-czajnymi kontrolami, jakie przeprowadza się w każdym innym miejscu. Poza tym Ikeda zacierał wszelkie ślady przewinień mnichów Joto.

Oddanie i lojalność Akinobu były równie imponujące, co jego osobisty honor. Był gotów poświęcić majątek swojej rodziny, by zadośćuczynić choć części strat, których sam nie był winien.

Gdyby inspektor wciąż podejrzewał Motosuke, Akinobu musiałby być jego współnikiem, lecz tę ewentualność dawno przekreślił jako niemożliwą.

– Wiedziałem! – zakrzyknął kapitan. – Ikeda był w to wplątany 273

od samego początku. Dlatego ignorował moje skargi.

– Właśnie – zgodził się inspektor, wzdychając ciężko. – Mam nadzieję, że znajdziemy go żywego.

Akinobu, odchrząknawszy, powiedział przeproszającym tonem:

– Jestem bez dwóch zdań człowiekiem nader ograniczonym.

Czy mogę zatem spytać, co sprawiło, że wasza ekscelencja się domyślił, iż Joto i Ikeda spiskują razem?

Było to rozsądne pytanie, zwłaszcza że padło z ust człowieka, który zwykł był notować nawet

najmniej ważne szczegóły w dokumentach, którymi zajmował się całe swoje życie. Lecz Akitada nie był w nastroju do rozmowy, z wysiłkiem oderwał się od trapiących go myśli. – Zacząłem swoje dochodzenie, stawiając zwyczajne pytanie. Gdy ktoś bogaci się nagle na skutek ogromnej kradzieży, ślady tego rabunku można dostrzec w okolicznej gospodarce. Chyba że przestępca pochodził z innej prowincji. W

Kazusie natrafiłem na wiele takich śladów. Gospodarka prowincji polepszyła się w ostatnim czasie znacząco. Kupcom wiedzie się nie najgorzej, a przynajmniej jeden wzbogacił się niespodziewanie szybko. Wszędzie wznoszono nowe budynki, zwłaszcza w trzech miejscach – w świątyni Poczwórnej Mądrości, rezydencji gubernatora i garnizonie.

– Do wzmocnienia garnizonu i rozbudowy rezydencji wykorzystałem własne fundusze – odparł, broniąc się przed zarzutami Motosuke. – A założyłem, iż nauki Joto przyciągają wielu pielgrzymów i tym samym sowite donacje.

– Widziałem twoje rachunki – powiedział z uśmiechem na ustach Akitada. – Lecz świątynia bogaciła się zbyt szybko. Jej sława nie dotarła jeszcze do stolicy, a w tutejszych szkatułach nie było tyle złota, by mogło ono pokryć jej gwałtowną rozbudowę. Razem z Seimei przyjrzelśmy się kronikom w twoich archiwach oraz w bibliotece pana Tachibany. Joto rozpoczął

przebudowę świątyni zaraz po tym, jak zaginał pierwszy konwój 274

z podatkami.

– Sam powinienem zauważyć tę zależność – rzekł Yukinari. –

Lecz gdy tu przybyłem, wszyscy wydali się zachwyceni pobliską obecnością świątyni.

– No właśnie – odparł inspektor, kiwając głową. – Czemu dopatrywać się i badać coś, co przynosi same korzyści? Obawiam się, iż ludziom nie spodoba się to, co zamierzamy zrobić. Lecz szczęście innych nie może być budowane na zbrodni, przemocy i korupcji, jakie toczą to miasto. Wszędzie, gdzie udaliśmy się z Torą napotykalismy ludzi niezadowolonych z tutejszych władz.

Powiedziano nam, iż nie warto wzywać policjantów, gdyż mianowani urzędnicy są przekupni. Wtedy po raz pierwszy moje podejrzenie padło na Ikedę. Z tego, co udało mi się zauważyć, wnoszę, że to nie niekompetencja ani zaniedbywanie obowiązków przez prefekta doprowadziły do takiego stanu. Jedynym sensownym wytłumaczeniem pozostawała chciwość. To mój sługa pierwszy wpadł na pomysł, iż Joto i Ikeda mogą być współnikami. Instynktownie czuł do obu mężczyzn niechęć. Jak się później okazało, miał całkowitą rację. Joto miał bowiem ludzi i środki potrzebne do kradzieży, zaś Ikeda, miejscowy prefekt, dostarczał mu wszelkich informacji dotyczących transportu podatków – trasę konwoju, siłę wojskowej eskorty.

Motosuke i Akinobu wymienili szybkie spojrzenia. – To niemożliwe – odezwał się gubernator. – Ikeda nigdy nie uczestniczył w planowaniu szczegółów konwoju. Nie mógł nic wiedzieć o takich rzeczach.

– Czy jesteś tego absolutnie pewien – zapytał zaskoczony inspektor.

Motosuke pokiwał twierdząco głową. – Razem z Akinobu spotykaliśmy się zawsze w mojej bibliotece. Towarzyszył nam też dowódca garnizonu. Tylko we trójkę wiedzieliśmy dokładnie o wszystkim. Tylko we trzech sprawdzaliśmy zebrane towary w

sądowym magazynie i tylko my liczyliśmy złote i srebrne sztabki, po czym zapakowawszy je do skrzyń, pieczętowaliśmy ich wieka.

Wzrok inspektora powędrował ku kadzielnicy. – Czy przez przypadek – zapytał – nie pakowaliście tych skrzyń przy tej wy-szukanej ozdobie?

Akinobu wydał z siebie stłumiony okrzyk zdziwienia. – Tak, ale skąd o tym wiesz, ekscelencjo? Ostatnim razem przydarzył się nam mały wypadek. Kadzielnica potoczyła się po jednej ze skrzyń i nim zdążyliśmy to zauważyć, przepaliła skórzane obicie.

Akitada uśmiechnął się radośnie, słysząc te słowa. – W klasz-tornym magazynie znaleźliśmy skrzynię z wypalonym na niej dziwnym wzorem.

– Skrzynia była w świątyni? – zakrzyknął Motosuke. – Ależ to dowodzi, iż mnisi mają złoto. Może znajdziemy tam i inne zrabowane dobra.

– Większość ryżu zapewne już sprzedano – odparł inspektor. –

Lecz mam dziwne przeczucie, iż większość bel jedwabiu wciąż jest w mieście, przechowywane są u pewnego kupca, który wzbogacił się w ciągu nocy, otoczył swój dom wysokim murem i regularnie odwiedza świątynię. – Akitada spojrzał na Akinobu.

– W dniu uroczystości byłoby wskazane, byś wysłał do tego domu swych ludzi. Niech go porządnie przeszukają Sekretarz ukłonił się nisko.

Słońce przesunęło się po niebie. Jego promienie oświetlały teraz czajnik i palenisko, kropla wody na końcu dziobka lśniła kolorami tęczy. Przez chwilę do serca Akitady powrócił smutek. W

ten sam sposób kropelki wody błyszczały na jej złotej skórze, gdy przyglądał się jej przez kłęby pary. Jak naszyjniki z drogo-cennych klejnotów zawieszonych na smukłej szyi.

– Jak w takim razie Joto dowiedział się o naszych planach? –

276

spytał gubernator.

Inspektor zmusił umysł do wytężonej pracy. – Jeśli Ikeda nie posiadał tych informacji – odrzekł, wolno cedząc słowa – być może przeoczyliśmy jeszcze jednego współnika. Czy którykolwiek z was rozmawiał o transportach z innymi ludźmi?

Yukinari i Akinobu potrząsnęli przecząco głowami. – Gdy wy-syłałem zbrojną eskortę, dawałem porucznikowi zapieczętowane rozkazy. Miał je przeczytać dopiero po przekroczeniu granicy prowincji – odpowiedział kapitan.

Akitada odwrócił się do gubernatora, który spłonął żywym rumieńcem.

– Prosiłem o radę pana Tachibanę przed wysłaniem pierwszego konwoju – odrzekł gubernator. – Wielce się przejął tą sprawą zwłaszcza po jego zniknięciu. Nie mogę sobie jednak wyobrazić, by pan Tachibana zniżył się do czegoś takiego.

– On nie, ale jego małżonka to zupełnie inna historia. – Nagle morderstwo byłego gubernatora nabrało sensu. Pomysł, iż Tachibana zginął, gdyż był zazdrosnym mężem, nigdy nie wydawał się Akitadzie zadowalającym wyjaśnieniem zbrodni. –

Obawiam się, że ta wiedza kosztowała go życie. Feralnej nocy wszedł do pokoi żony, by poinformować ją, iż zamierza ze mną porozmawiać na temat zaginionych konwojów. Chciał jej powiedzieć, iż podejrzewa ją o przekazanie tych informacji zło-dziejowi. Zastał ją z Ikedą. Możecie sobie wyobrazić, co nastą-

piło później, prefekt zabił pana Tachibanę.

– W ten sposób dopasowaliśmy do siebie wszystkie elementy układanki – dodał Yukinari.

– W rzeczy samej – odparł zmęczonym głosem inspektor.

Przez następną godzinę dyskutowali na temat ostatecznych szczegółów swego planu. Seimei wszedł raz do pokoju, by zmartwionym wzrokiem przyjrzeć się swemu panu. Zaparzył

wszystkim herbatę i wyszedł bezszelestnie.

277

Prawie skończyli, gdy Motosuke przerwał rozmowę, mówiąc: –

Wystarczy na dziś. Wyglądasz okropnie, starszy bracie. Nie powinniśmy cię tak kłopotać, gdy wciąż nie czujesz się w pełni sił.

– Niepotrzebnie się martwisz – odrzekł Akitada, lecz poczuł

dziwną obojętność zarówno co do stanu swego zdrowia, jak i wyszukanego planu pochwylenia Joto.

Gubernator podniósł się, a pozostała dwójka wraz z nim. Przyglądali się Akitadzie z obawą gdy drzwi się rozwarły i do środka wbiegł zdyszany Tora.

Rozglądał się dookoła dzikimi oczami, ręce i ubranie zbroczone były krwią. – Zamordowali Higeкуро – wydyszał. – A teraz szukają jego córek. Musimy posłać po żołnierzy. Szybko, nim obie zginą.

– Kto zabił? – zapytał inspektor, odrzucając na bok przykrywa-jące go kołdry.

– Ci przekłęci mnisi. Widzieli ich sąsiedzi. Jakaś bezmyślna starucha wskazała im drogę. Teraz szukają Otomi i Ayako. –

Chłopak chwycił rękaw szaty kapitana. – Zbierz swoich żołnierzy. Szybko. Muszą przeczesać całe miasto.

– Nie, Tora – rzekł Akitada. – Żadnych żołnierzy ani policjantów. Musimy zrobić to sami. – Podniósł się z łóżka. – Podaj mi ubranie i buty.

278

Rozdział 17

Świątynia miłosiernej bogini

Słońce już zachodziło, gdy zeskoczyli z koni przed szkołą Higeкуро. Po drugiej stronie ulicy zebrał się tłumek przerażonych sąsiadów. Akitada drżał na całym ciele ze zdenerwowania, zmę-

czenia i zimna. Przeszedł ulicę i warknął na gapiów: – Kto z was widział wychodzące z domu dziewczyny?

Niska, starsza kobieta wyszła przed szereg nieśmiało. To ona rozmawiała z Ayako, gdy ostatni raz ją widział. Na jej policzkach dostrzegł ślady zaschniętych łez.

Inspektor skinął staruszce głową i powiedział: – Mów szybko, co wiesz. Są w wielkim niebezpieczeństwie.

– Dwie godziny temu – odparła. – Mnisi ze świątyni zdążyli wybić godzinę koguta. Szukałam swego syna, który spóźnił się na kolację, gdy zobaczyłam Ayako i Otomi idące w tamtym kierunku. – Wskazała kolejne skrzyżowanie. – Przy rogu skręci-

ły na południe.

– Czy wiesz, dokąd się udały?

– Nie, ale Otomi miała przy sobie przybory do rysowania.

– Czy w pobliżu są jakieś świątynie?

– Tylko świątynia Słonecznego Lotosu jest wciąż otwarta. Od-kąd przybył mistrz Joto, wszyscy chodzą do świątyni w górach.

Inne zamknięto, nawet wielką świątynię bogini Kannon.

– Słyszałem, że za dziewczynami podążyli jacyś ludzie. Widzia-

łaś ich może?

Staruszka potrząsnęła z przejęciem głową. – Ja nie. A nawet gdybym widziała, to z pewnością nie nasłałabym ich na Otomi.

To ta głupia kobieta to zrobiła. – Wyciągnęła z tłumu bladą na twarzy i trzęsącą się ze strachu młodą dziewczynę. – No dalej, 279

pochwal się, co zrobiłaś. Dziewczyna zaczęła płakać.

– Ilu ich było? – warknął Akitada.

– Nie pamiętam – odparła drżącym głosem dziewczyna.

– Powiedziałaś wcześniej, że dziesięciu, głupia – rzekła staruszka, szarpiąc młodą za ramiona.

– Wcześniej widziałam dziesięciu, ale tylko pięciu podeszło się spytać – załkała. – Tak mi przykro. Wyszli ze szkoły i pomyśla-

łam, że to normalne, iż pytają o Otomi. Myślałam, że są uczniami Higekuro.

Inspektor przyglądał się dziewczynie w milczeniu, po czym od-wrócił się na pięcie i wrócił na drugą stronę ulicy. – Chodź –

powiedział do Tory, który czekał przy koniach. – Może znajdziemy coś w środku, co pozwoli się domyśleć, dokąd poszły.

Ciężkie drzwi otworzyły się, ukazując grobowe ciemności. Poczuł wpierw zapach – ciepły, słodki i metaliczny. Potem usłyszał odgłos kapiących kropel. Na dworze ściemniało się już, lecz resztki słonecznych promieni oświetliły kilka kształtów leżą-

cych nieruchomo na macie do ćwiczeń.

Krew. To był zapach świeżej krwi – litrów świeżej krwi. Inspektor wszedł do sali, a zaraz za nim Tora.

Przypominając sobie stojące za zewnątrz kobiety, polecił słudze:

– Zamknij drzwi i skrześ ogień. – Nie mógł stwierdzić, czy wzbierające w nim mdłości spowodował odór, czyjego choroba.

Pośpiesznie zatkał dłońmi usta.

Tora zrobił, co mu nakazał i potykając się w ciemnościach, poszedł szukać światła. – Higekuro leży pod filarem.

Nagle strach chwycił inspektora za serce. Ile tu było ciał? A jeśli kobieta się pomyliła? Jeśli Ayako

nie wyszła z domu, lecz zginęła tu, broniąc swego ojca i siostry? Zrobił krok po omacku, poślizgnął się i upadł ciężko na bok.

– Paniczu? – Usłyszał uderzające o hubkę krzesiwo. Płomień zamigotał na chwilę, po czym zaraz zgasł. Przejęty głos Tory 280

dobiegał z prawej strony. – Czy nic ci się nie stało? Na podłodze wszędzie pełno krwi.

– Wszystko w porządku – odrzekł, klękając, inspektor. Głowa chwiała mu się na boki, z zimna i osłabienia wstrząsały nim dreszcze.

– Na litość boską zrób coś wreszcie z tym światłem. – Wytarł

ręce o spodnie i wstał.

Chłopak nie przestawał szukać. Zaklął raz, gdy po omacku zrzucił coś, co z hałasem uderzyło o podłogę. Płomień zamigotał

ponownie i w końcu zaświeciła się jedna z zawieszonych na ścianie lamp oliwnych. Tora ruszył, by zapalić kolejną.

Akitada odwrócił się powoli i rozejrzał po pomieszczeniu. Gdy światło rozwiewało ciemności, zobaczył scenę, która przywiodła mu na myśl pobojuwisko po okrutnej i krwawej bitwie. Kałuże gęstej, ciemnoczerwonej i migoczącej krwi rozlane były po całej podłodze. Krew wsiąkała w maty i brudziła ściany. Naliczył

sześć ciał, w tym zwłoki Higeкуро. Wszyscy byli mężczyznami.

Kaleki zapaśnik leżał oparty o centralny filar. W jednej dłoni wciąż ścisnął krótki miecz ubrudzony posoką, w drugiej zaś duży łuk. Jego martwe oczy spoglądały na sufit bądź na broń, która spadła na jego czerep, zostawiając dwie śmiertelne rany –

jedną sięgającą od czubka głowy po nasadę nosa, drugą biegną-

cą do lewej skroni – i odsłaniając fragmenty mózgu. Krew wciąż się z nich sączyła, brudząc czarną brodę, ramię i skapując powoli, kroplą za kroplą do pustego kołczanu.

Akitada opanował mdłości i podszedł do trupa, by dotknąć jego bladego policzka. Był zimny. Dotknął też krwi, która była gęsta i klejąca. – To musiało się wydarzyć na chwilę przed twoim przybyciem – zwrócił się do sługi.

– Higeкуро był jeszcze wtedy ciepły – odrzekł Tora. – Szukałem gorączkowo dziewcząt, a potem pobiegłem w te pędy do sądu. –

Rozejrzał się po pomieszczeniu. – Zabrał ze sobą pięciu drani.

– Tak. Kobieta mówiła o dziesięciu, a potem o pięciu mężczyźnami. Zapewne widziała, jak wchodzi do szkoły. Higekuro zabił pięciu, lecz pozostali ruszyli szukać Otomi i Ayako.

Przeszedł pomiędzy martwymi zabójcami. Ich twarze nie były mu znane. Młodzi, umięśnieni, schludnie ubrani w czarne ba-wełniane stroje. Na głowach mieli zawiązane chusty, tak jak mają to w zwyczaju robić średnio zamożni sprzedawcy bądź

robotnicy. Schylił się, by podnieść chustę. Jego oczom ukazała się dokładnie ogolona czaszka. – Mnisi – powiedział zupełnie niezaskoczony.

Zapłacili wysoką cenę. Każdy z nich miał wbite z ciała dwie bądź trzy strzały. Trup leżący najbliżej Higekuro zginął w mę-

czarniach od pchnięcia mieczem, który przeszył jego wewnątrz-
ści.

Gdy weszli do prywatnych pokoi, zobaczyli otwarte skrzynie i kufry, ich zawartość wałała się porozrzucana na podłodze.

Wszystkie parawany zostały zniszczone, wszystkie zasłony porwane. Na dziedzińcu tlił się jeszcze ogień, jaki rozpalono w małej beczce do zbierania deszczówki. Tora rozrucił popiół i wyciągnął zwęglony kołek z kawałkiem papieru i jedwabiu.

– Spalili jej obrazy – rzekł inspektor. – Chodź, niczego już tu nie znajdziemy. Tracimy tylko czas.

Gdy kierowali się ku wyjściu, Tora chwycił jeden z ciężkich kijów ustawionych pod ścianą. Na dworze nie zastali już żadnego sąsiada, lecz ktoś szedł ulicą pogwizdując wesoło. Chłopak zaklął cicho.

Akitada, martwiąc się o nieuzbrojoną Ayako, mającą stawić czoło pięciu napastnikom, wskoczył na konia i obracał się w siodle, gdy rozpoznał gwizdzącego.

Hidesato.

W jednej chwili zeskoczył na ziemię. W drugiej złapał żołnierza za poły jego szaty i cisnął nim o mur rezydencji bogatego kupca.

282

Chwyciwszy za kołnierz, począł uderzać jego głową o ścianę, przy każdym uderzeniu wyrzucając z siebie wściekłe słowa. –

Ty bezwartościowy psie! Gdzie się włóczyłeś, gdy byłeś potrzebny? Czy w ten sposób odpłacasz za okazaną ci dobroć? –

zakrzuszył się na myśl, iż wspomniana dobroć obejmowała również korzystanie z ciała Ayako. –

Jakże podłym zwierzęciem trzeba być, by jej to zrobić? – ryknął i nagle zakreśliło mu się w głowie.

Sługa złapał pana za szatę i odciągnął go do tyłu. Inspektor oparł się o mur, gorączkowo chwytając powietrze w płuca, pró-

bując opanować trzęsące się dłonie.

– Co mu się stało? – wychrypiał Hidesato, trzymając się za głowę. – Postradał zmysły?

– Gdy ty zażywałeś przyjemności w łaźni, wrócili ci przekłeci mnisi – odparł gorzko Tora. – Zabili Higeuro i ruszyli w pościg za jego córkami. Dzięki tobie pewnie już są martwe.

Ręce żołnierza opadły bezwładnie wzdłuż ciała. Wpatrywał się niedowierzająco w Torę i Akitadę, gdy dostrzegł krew na ubraniu inspektora i pobiegł, ile miał sił w nogach, do szkoły. Otworzywszy gwałtownie drzwi, zniknął w środku.

Akitada oderwał się od muru i wrócił do swego konia. Z trudem wgramolił się na siodło, spiął boki konia i pogalopował ulicą.

Tora zrobił to samo, puszczając mimo uszu krzyki biegnącego za nim Hidesato.

Rozglądali się za pagodami górującymi nad niską zabudową i sosnowymi zagajnikami. Pierwszą świątynię odnaleźli bez trudu. Na zniszczonym szyldzie zawieszonym nad jej bramą widniał napis skreślony farbą niegdyś jaskrawoczerwoną która teraz spłowieła, stając się niemal brązowa: „Świątynia Słonecznego Lotosu”. Wiekowy mnich zmiatał ze schodów suche liście.

– Hej, ty tam. Widziałeś tu może dwie młode kobiety? – krzyknął Akitada, nie schodząc z wierzchowca.

283

Starzec zmrużył słabe oczy i uklonił się nisko. – Witajcie – rzekł

łamiącym się głosem, odkładając na bok miotłę. – Czyjego mi-

łość chciałby może zakupić trochę kadzidła, by spalić je przed posągiem Buddy?

Dostrzegając jego niedołężność, inspektor podjechał bliżej i powtórzył pytanie.

Radosny uśmiech rozjaśnił twarz mnicha. – Masz na myśli Otomi i jej siostrę, prawda? Wstąpiły na chwilę. Gdy wyszły, pytało o nie jeszcze pięciu młodych mężczyzn. – Raz jeszcze się uśmiechnął. – Jest bardzo pięknym dziewczęciem.

– I co im powiedziałaś?

– Że wszyscy jesteśmy zdrowi i że dziękujemy za ich troskę.

Akitada zazgrzytał szczękającymi zębami. Popatrzył na Torę, a ten ryknął: – Co powiedziałeś mężczyznom?

– Och, czemu nie spytaliście od razu? Powiedziałem im, gdzie udały się dziewczęta, rzecz jasna.

Inspektor jęknął. – Gdzie? – krzyknął, wykręcając wodze w za-ciśniętych pięściach.

– Nie wyglądacie najlepiej, panie – odparł staruszek, spoglądając zmartwionymi oczami na szlachcica. – Proszę, zaszczyć na-szą skromną świątynię, by odpocząć chwilę. Jeśli takie będzie twoje życzenie, Kasin, nasz zielarz, zaparzy ci herbatkę z ziół, które od razu ci pomogą.

Inspektor wziął głęboki oddech i powiedział, choć z trudem, spokojnym tonem: – Dziękuję. Może innym razem. Bardzo nam się śpieszy. Ci ludzie, którym powiedziałeś o Otomi i Ayako, chcą je skrzywdzić. Gdzie poszły dziewczęta?

– Skrzywdzić? O, Buddo! Mam nadzieję, że się mylicie, panie.

Otomi powiedziała, że chce namalować Kannon. Posłałem pytających o nią mężczyzn do starej świątyni w południowo-wschodniej części miasta. Mają tam cudowne rysunki litościwej bogini siedzącej na tronie z dużych kwiatów lotosu. Świątynia 284

jest zamknięta, lecz znam boczne wejście... – Staruszek nie zdą-

żył dokończyć, bo Akitada i Tora pogalopowali wąską uliczką we wskazanym kierunku.

Pędzili, nie szcędząc koni, obok pogrążonych w ciszy domów, z których okien i drzwi wyglądały ciekawskie pary oczu. Słońce zachodziło szybko. Niebo mieniące się kolorami tęczy przesłoniły chmury niczym czarne zasłony.

– Zaraz będzie zupełnie ciemno – wykrzyknął Tora. – A nie wzięliśmy ze sobą żadnej latarni.

– Cisza! – Akitada ściągnął wodze konia. Przed nimi wyrosły nagle jak spod ziemi pochyłe i strome dachy świątyni otoczone wysokimi drzewami. Trzypiętrowa pagoda stała pogrążona w ciemności niczym wartownik przy czarnych ścianach głównej sali. Kryty dachówką mur oddzielał od reszty miasta świątynne budynki i rozległy ogród pełen krzewów i drzew.

Inspektor zszedł z konia i przywiązał go do bezlistnej wierzby.

Drżąc z zimna, nasłuchiwał cierpliwie, póki nie stanął za nim Tora.

– Widziałeś kogoś? – wyszeptał sługa.

– Cśśś! – uciszył go, kiwając przecząco głową.

Wiatr szeleścił suchymi liśćmi, nagie gałęzie drzew uderzały o siebie nieprzerwanie. Gdzieś w oddali zahukała sowa.

Inspektor zrobił krok do przodu. – Chyba słyszałem głosy –

rzekł. – Chodź. Musimy znaleźć wejście. Frontowe drzwi zabito pewnie deskami. Bądź cicho.

Chłopak chwycił mocniej kij i zacisnął na nim pięści. – Już się nie mogę doczekać, aż ci rzeźnicy wpadną w moje ręce.

Przebiegli ulicę, dopadając muru, szli wzdłuż niego, kryjąc się w cieniu, szukając jakiejś wyrwy. Gdy z drugiej strony dobiegł

ich uszu dziwny, syczący dźwięk, zamarli w bezruchu. Zapadła grobowa cisza. Już mieli ruszyć dalej, gdy usłyszeli ciskane pod nosem przekleństwa i odgłos łamanych gałęzi. Męski głos wy-285

krzyknął z oddali coś, co przypominało rozkaz i znów zapadła cisza.

– Są tu – rzekł Tora.

Akitada potwierdził skinieniem głowy. – Wygląda na to, że przeczesują teren. Może nie zjawiliśmy się za późno.

Wznowili badanie muru. Niestety, był w zadziwiająco dobrym stanie, nie miał nawet najmniejszych dziur, po których można by się było wspiąć, a inspektor nie zamierzał zaproponować słudze swych pomocnych ramion. Osłabiony nie utrzymałby nawet dziecka, nie mówiąc już o potężnie zbudowanym męż-

czyźnie.

– Spróbujmy głównym wejściem – powiedział w końcu. Nagle ciszę przeszył krzyk kobiety.

– Mają je – rzekł wystraszone głosem Tora, wpatrując się z przerażeniem w wysoką ścianę.

– To Ayako. – Akitada popędził w kierunku zadaszonej stró-

żówki. Oba wrota bogato zdobionej bramy stały otworem.

Wbiegli do środka.

Dziedziniec był pusty, cichy i złowieszczy. Po prawej stronie dachy pagody rozpościerały swe mroczne skrzydła, po lewej kulił się mały relikwiarz, a na wprost nich wyrastał w górę potężny kształt głównego pawilonu, którego dach widzieli, galopując ulicą. Jego drzwi były otwarte niczym pochłaniająca wszystko na swej drodze paszcza śmierci.

– Krzyk dobiegł z drugiego końca sali. Tędy dostaniemy się tam najszybciej – powiedział inspektor.

Wbiegli na schody. Ktoś zerwał urzędową pieczęć, którą zamknięto masywne odrzwia. Pusty przedsionek oświetlały zawieszona przed wejściem latarnie. Na prawo znajdowało się biuro świątynnego kustosza, mnicha zbierającego datki od wiernych i sprzedającego im trociczki. Przed

sobą dostrzegli przepastne wnętrze świątynnej sali. Zatrzymali się, nasłuchując, lecz wokół

286

panowała cisza.

– Chodź. Są pewnie w ogrodzie na tyłach świątyni – polecił

Akitada.

– Bez światła nie będziemy niczego widzieli – wymamrotał pod nosem chłopak. – Założę się, że znalazłbym coś w pokoju kustosza.

– Nie. Nie mamy na to czasu. Poza tym światło latarni od razu by nas wydało.

Przebrnęli przez czarną jak noc salę, poruszali się, wysuwając przed siebie jedną nogę i pomagając sobie wyciągniętymi do przodu rękoma. Akitada próbował sobie przypomnieć kształt pawilonu w nadziei, iż dotrze w ten sposób do tylnej ściany budynku. Coś upadło, uderzając hałaśliwie o posadzkę.

– Co się stało? – spytał.

– Zaczepiłem o coś nogą i upuściłem kij.

Usłyszał, jak Tora schyla się i po omacku przeszukuje podłogę.

– Zostaw – powiedział ruszając, dalej. Chłopak zrobił, jak mu kazano, i szybko dołączył do swego pana. Gdy ręce inspektora dotknęły w końcu tylnej ściany, Tora zaklął. Rozległ się tępy odgłos, a po nim znów zaległa cisza.

– Cóż znowu?

Nie usłyszał odpowiedzi, jedynie zbliżający się dźwięk, czegoś pełznącego po posadzce. Nim zdążył pomyśleć, zrobił krok do przodu. Coś bądź ktoś chwyciło go za kolana, ścisnęło jak imadło i pociągnęło do tyłu. Upadł na plecy, w ostatnim momencie przypominając sobie, by przekręcić się na bok, w ten sposób chroniąc przed uderzeniem głowę. Stracił oddech.

W jednej chwili napastnik wskoczył na niego, próbując przy-gwoździć i unieruchomić ramiona, szukając po omacku gardła.

W ten sposób atakowali zapaśnicy. Osłabiony i chory Akitada miał małe szanse w starciu ze zdrowym przeciwnikiem, lecz wtedy z pomocą przyszło mu doświadczenie zebrane podczas 287

młodzieńczych lekcji zapasów. Zareagował instynktownie wła-

ściwą w takiej sytuacji obroną. Lecz napastnik, choć chudszy, nie miał zamiaru się poddać. Był od inspektora znacznie szybszy. Tarzali się w uścisku po płytach posadzki, walcząc desperacko o życie.

Na szczęście dla Akitady przeciwnik także zmagał się z ciemno-

ściami. Nie zawsze znajdował właściwe miejsce do chwytu i dawał tym samym czas, by wykręcić się z jego uścisku. W koń-

cu inspektor chwycił szamoczącą się postać tak mocno, iż mając swobodne nogi, kopnął ją z całych sił. Ku jego zdziwieniu trafił.

Ciało potoczyło się po podłodze i uderzyło głucho o kolumnę.

Znowu zaległa cisza. Ukląkł i zawołał Torę. Bez odpowiedzi.

Znalazł go leżącego i oddychającego ciężko. Uderzył chłopaka w twarz, by go ocucić. Tora warknęła, podniósł się i niemal natychmiast rzucił na inspektora, ciskając nim o filar. – Au! To ja.

– Co... ? – wycharczał sługa. – Och, wybacz. Ktoś chwycił mnie za stopę. – I wtedy wpadł w szal. – Gdzie są ci dranie? – zakrzyknął.

– Wyrwę im ręce i wykopię stąd aż po piekielne czeluście.

Gdy pocierał obite ramiona, pomimo zagrożenia Akitadze zebrało się na śmiech. – Uspokój się. Był tylko jeden. Próbował ze mną tej samej sztuczki, jednak poszczęściło mi się i powaliłem go mocnym kopnięciem. Pozostaje zatem czterech na zewnątrz.

Będziemy musieli go do czegoś przywiązać i zakneblować usta.

Daj mi swój pas.

Jednak, gdy doczłapali się do miejsca, w którym powinno leżeć nieprzytomne ciało, nie znaleźli tam niczego. Szukali przez chwilę po omacku, po czym Akitada położył ręce na ramieniu sługi. Nasłuchiwali cierpliwie. Ledwie dosłyszalny dźwięk oddalał się od nich w stronę wejścia. Inspektor dostrzegł cień i skoczył. Zaciskając oba ramiona wokół ciała napastnika, przewrócił go, lądując na jego plecach.

288

Z ust leżącego pod nim ciała wydobył się krzyk. Kobięcy krzyk!

Inspektor przerzucił napastnika na bok i dopiero wtedy go rozpoznał. Ayako!

Otworzył usta, by wymówić jej imię, drżąc z ulgi, iż znalazł ją całą i zdrową. Chciał wziąć ją w ramiona. Nachylał się właśnie, gdy jakiś ciężki przedmiot wylądował na jego skroni. Ciemność rozjaśniły tysiące barwnych świateł, które zniknęły w jednej chwili.

* * *

Tora usłyszał krzyk Ayako i upadek Akitady. On też pośpieszył

za uciekającą postacią i wpadł z całą siłą na ukrytą w ciemno-

ściach osobę. Klnąc jak szewc, wziął potężny zamach, by jednym uderzeniem znokautować nowego przeciwnika, gdy jego uszu dobiegł głos Hidesato.

– Tora? To ty?

Chłopak opuścił zaciśniętą pięść. – Hidesato! Co tu robisz?

– Pobieglem za wami pieszo. I bardzo dobrze. Jeden z tych drani złapał chyba Ayako. Ayako? Gdzie jesteś? Przeklęte ciemno-

ści. Człowiek nie widzi, co robi.

Tora sięgnął po krzesiwo. Przez krótką chwilę zobaczył oświetlonego płomykiem żołnierza trzymającego ciężki, bambusowy kij i Ayako pochylającą się na podłodze nad leżącym nieruchomo ciałem Akitady. Potem znów wszystko pochłonęły ciemno-

ści.

– Głupcze – syknęła Ayako. – Uderzyłeś Akitadę i pewnie położyłeś go na miejscu trupem.

Tora odszedł w stronę wejścia, by wrócić po chwili, niosąc starą latarnię, która rzucała migoczące światło. – Mocno dostał? –

spytał.

– Wciąż oddycha – odrzekła, pokazując zakrwawioną dłoń.

– Gdzie Otomi?

289

– Ukryłam ją. Tora, tu wszędzie jest krew.

Chłopak przyklęknął obok swego pana i zaczął drzeć na sobie ubranie, by strzępkami zabandażować ranę. – Nie powinien był

tu przychodzić – wyszeptał, wpatrując się w bladą twarz Akitady spoczywającą na kolanach Ayako.

– Nie miałem pojęcia – wymamrotał żałośnie Hidesato.

– Jesteś głupim, jęczącym idiotą, który niczego nie potrafi zrobić dobrze – rzekła pogardliwie dziewczyna.

Sierżant opadł na posadzkę i schował twarz w dłoniach. Zigno-rowali go. Dookoła nich potężne

kolumny wystrzeliwały w gó-

rę, niktą w przepastnych ciemnościach. Ogromne malowidło przedstawiające boginię miłosierdzia wydawało się unosić w powietrzu, a czerwone, różowe i jasnobrażowe kolory jej szat drżały i zmieniały się w migoczącym świetle lampy, podczas gdy złoto jej biżuterii i aureoli płonęło w mroku żywym ogniem.

– Zostaniesz przy nim, póki się nie ocknie – nakazał Tora dziewczynie, skończywszy bandażować głowę rannego. – Ja i Hidesato wyjdziemy na zewnątrz i dopadniemy te łajzy, nim znajdą Otomi.

Spodziewał się sprzeciwu, a w zamian uzyskał tylko potakujące skinienie.

Hidesato podniósł głowę i popatrzył na dziewczynę błagalnym wzrokiem. – Przepraszam, Ayako – rzekł ochryplym głosem, przecierając oczy. – Nie chciałem tego. Było ciemno. Wiem, że jestem mniej niż bezużyteczny. Niemal mnie zabił, gdyż to, co się stało, wydarzyło się z mojej winy. Przrzekam, że ci to wynagrodzę. Nawet jeśli będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobię. –

Odwrócił się i ruszył do wyjścia.

Tora podniósł z posadzki bambusowy kij i podążył za nim. Ayako oświetlona okręgiem stłumionego światła rzucanego przez lampy patrzyła za nimi, marszcząc czoło, po czym pochyliła się nad Akitada, tuląc jego twarz w swoich dłoniach.

290

Na zewnątrz ciemności nie były tak całkowite jak w świątynnej sali. Z najbardziej odległego krańca ogrodu dobiegł ich hałas i czyjeś przekleństwa.

– Dzięki niech będą bogom. Jeszcze jej nie znaleźli – odetchnął

Tora, opierając kij na ogrodzeniu. – Za dużo tu drzew, by mógł

mi się przydać. Trzeba będzie sobie poradzić gołymi rękoma.

Hidesato też odłożył swój bambusowy drąg.

Ich zwierzyna czyniła tak wielki hałas, łamiąc krzewy, iż nie musieli się nawet skradać. Mnisi rozproszyli się, by w ten sposób szybciej przeszukać ogromny ogród. Bez wysiłku zaskoczyli dwóch z nich. Tora ogłuszył jednego ciosem trzymanej w dłoniach dachówki, a Hidesato, wyciągnąwszy zza pazuchy długi, cienki łańcuch, zarzucił go wokół szyi drugiego i pociągnął

gwałtownie, łamiąc z donośnym chrzęstem kark. Mnich osunął

się na ziemię, nie wydawszy najcichszego dźwięku.

– Twój pan nie będzie już mógł wziąć tego na spytki. A co z twoim?

Tora pokiwał głową. – Chyba zbyt mocno go uderzyłem.

Oba trupy miały ogolone czaszki i oba dzierżyły w dłoniach krótkie miecze. Schylili się po nie i je podnieśli.

Kolejną ofiarę znaleźli łatwo, gdyż klął na głos, próbując wy-swobodzić się z plątaniny kłującego pnącza. Zakrzyknął głośno, gdy nagle pojawił się przed nim Tora z obnażonym mieczem.

Wpatrywał się w niego ze śmiertelnym przerażeniem.

Gdzieś w pobliżu usłyszeli pytający głos. – Daishi? Co się sta-
ło? Znalazłeś ją?

Tora przystawił ostrze do gardła mnicha i odkrzyknął: – Nie!

Chyba skręciłem kostkę? Kto jest z tobą?

– Hotan. A gdzie reszta?

291

– Już do ciebie idę – odparł chłopak, szczerząc zęby w wisiel-czym uśmiechu. Uderzył mnicha, zwalając go nieprzytomnego z nóg.

– Jeszcze dwóch? – powiedział stojący obok niego Hidesato. –

To powinno być łatwe.

Tora kiwnął głową. – Krzyknąłem, że idziemy.

Pobiegli zarośniętą ścieżką niemal wpadając na dwóch krzepkich mężczyzn ubranych w takie same ciemne szaty i noszących na głowach takie same chusty jak pozostali. Lecz ci dobyli oręż i zaatakowali pierwsi.

Tora nigdy nie walczył mieczem. Przetrwiał pierwszy atak tylko dlatego, że skacząc jak małpa, ciął ostrzem na oślep we wszystkich kierunkach. Hidesato znał podstawy posługiwania się tą bronią lecz w starciu z doświadczonym przeciwnikiem nie miał

najmniejszych szans. Odrzucił ostrze i chwycił za łańcuch.

Rozwinął go, zamachnął się i oplótł nim miecz mnicha i jego ramię. Pociągnął, rozbijając napastnika jednym ruchem. Tora poradził sobie ze swoim, kopiąc go mocno w krocze. Gdy męż-

czynna z krzykiem upuścił broń, chwytając się za obolałe miejsce, Tora skoczył na niego, bez pardonu rzucając o ziemię.

Związali ich i wrócili do zaplątanego w krzewy trzeciego mnicha, lecz gdy dotarli na miejsce, nie zostało po nim śladu. Prze-szukali pośpiesznie okolicę, znajdując tylko otwartą na oścież bramę. Ulica, którą za nią ujrzeli, była pusta.

– Skaranie boskie! Drań pogał pewnie ostrzec Joto – jęknął z żalem Tora.

Zaciągnęli pozostałych mnichów do świątyni.

– Hej, Ayako. Już bezpiecznie, możesz wyjść.

Dziewczyna pojawiła się na werandzie i spojrzała uważnie na zarośla.

– Gdzie Otomi? Przecież nas nie usłyszysz.

Ayako nie odpowiedziała. Zeszła po schodach wpatrzona w Hi-292

desato. – Jesteś ranny.

Sierżant pochylił głowę. Duża, ciemna plama brudziła jego pierś na całej szerokości. – To nic takiego – odparł.

– Och, Hidesato. Usiądź i daj mi się tym zająć.

Spod schodów werandy dobiegł nagle szelest. Tora chwycił za rękojeść miecza, lecz jego oczom ukazała się Otomi z twarzą umorusaną ziemią i ubraniem pokrytym zeschniętymi liśćmi, pajęczyną i gałązkami. Twarz chłopaka rozjaśnił szeroki uśmiech.

Upuścił broń i uniósł dziewczynę w ramionach.

Ayako znalazła tymczasem świeżą ranę na ramieniu Hidesato i rozwiązała swój pas, by posłużył za bandaż.

– Proszę, wybacz mi – błagał, nie przestając się jękać.

Rysy jej twarzy złagodniały. – Niczego nie muszę ci wybaczać.

Przepraszam, że to ciebie obarczyłam winą – odpowiedziała, wstając. – Było za ciemno, byś mógł go rozpoznać. Ja też po-pełniłam ten sam błąd.

Popatrzył na nią badawczym wzrokiem. – Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty i prędzej zginąłbym, niż... – Nie skończył, gdyż załamał mu się głos.

Ayako uśmiechnęła się i chwyciła jego dłoń. – Wiem – szepnęła cicho.

* * *

Akitada, zataczając się, wyszedł na werandę dokładnie w tej samej chwili. Widząc czułą scenę,

zaciśnął szczęki. – Tora! –

warknął.

Sługa podskoczył do góry, stając na baczność. Wszyscy popatrzyli na inspektora, który stał niepewnie, opierając się o balustradę. Twarz miał bladą jak bandaż, który zakrywał jego czarną czuprynę.

– Widzę, że świetnie sobie radzicie beze mnie. Czy poinformowaliście młode kobiety... o tym, co zaszło?

293

Tora i Hidesato wymienili pełne boleści spojrzenia. Inspektor schodził powoli ze schodów, przytrzymując się ogrodzenia.

Uklonił się Ayako niemal urzędowo i powiedział sztywno: –

Obawiam się zatem, iż na mnie spada odpowiedzialność. Z żalem muszę panie powiadomić, że ich ojciec zginął dzisiejszego popołudnia.

Ayako zamarła w bezruchu. Czekwała, wbijając oczy w usta inspektora.

– Został zamordowany przez ludzi, którzy zaatakowali panią i pani siostrę – kontynuował, nie zmieniając tonu. – Walczył

dzielnie do końca, zabijając pięciu napastników, nim uległ cio-som miecza. Ogromnie mi przykro, iż muszę być posłańcem tak strasznych wieści.

Ayako wyprostowała swoje smukłe ciało. – Jestem wielce zobowiązana, wasza ekscelencjo – odrzekła. – Moja siostra i ja do końca życia będziemy twoimi dłużniczkami, gdyż przybyłeś nam z pomocą. – Ukloniła się nisko, po czym odwróciła się i podeszła do Hidesato.

Serce Akitady przeszył potworny ból. Poczował, jak do oczu na-pływają mu łzy. Zmuszając się do niewiarygodnego wysiłku, wspiął się po schodach i wszedł do świątyni.

Lampa wciąż świeciła przed obrazem bogini. Przybory Otomi leżały w pobliżu. Zatrzymał się, obejmując filar niczym tonący rozbitek. Popatrzył na zagadkową twarz. Rysy na malowidle rozmywały się, póki wydało mu się, że bogini miłosierdzia ma twarz Ayako. Lśniące oczy spoglądały na niego oziębłe, a miękkie usta układały się w szyderczy uśmiech.

Odwrócił się i wyszedł niepewnym krokiem ze świątynnej sali, by zniknąć w mroku nocy.

294

Rozdział 18

Uroczystość

Palankin gubernatora był wygodny i elegancki, lecz na stromej, górskiej drodze począł się niebezpiecznie przechylać. Podróżowanie takim środkiem lokomocji było dla Akitady zupełnie nowym doświadczeniem i stwierdził z żalem, iż o wiele bardziej odpowiada mu koński grzbiet. Podniósł bambusową zasłonę, by wyrzeć na zewnątrz.

Wjechali właśnie w gęsty, sosnowy las porastający górskie zbocze. Promienie słońca rozjaśniające drogę i poszycie lasu klóciły się z jego ponurym nastrojem. Zobaczył, jak jeden z członków eskorty przejeżdża obok okna. Towarzyszyła im osobista straż gubernatora wystrojona w wypolerowane zbroje, szykowne czerwone sztandary i galowe konie przystrojone czerwonymi, jedwabnymi kitami. Mimowolnie inspektor dotknął swej starej ceremonialnej szaty, licząc na to, iż nie okaże się zbyt biedna przy przepychu Motosuke. Gubernator siedział naprzeciw w szeleszczącym od nowości, zielonym stroju przystrojonym brokatem opadającym na luźne ciemnoczerwone, jedwabne spodnie.

On też wychylił głowę za okno. – Jesteśmy prawie na miejscu –

powiedział. – Widzę czubek dachu pagody. Na niebiosa. Czy kiedykolwiek widziałeś naraz tylu ludzi?

Im bardziej zbliżali się do celu podróży, tym więcej widzów, chcących zobaczyć uroczystość, tłoczyło się na drodze. Rozstą-

pili się, przepuszczając świtę gubernatora, po czym zaraz złali się w jedną masę czekającą przy głównej bramie. Akitada popatrzył na Motosuke, a ten odwzajemnił spojrzenie. Tylu ludzi.

Ogromna odpowiedzialność, jaka teraz na nich spoczywała, spa-295

ralizowała ich całkowicie. Choć spędzili wiele godzin, planując dzisiejszy dzień, ich praca mogła w jednej chwili pójść na marne.

Inspektor był pewien, że wydarzy się coś nie po ich myśli. Do tej pory wszystko, za co się zabierał, przynosiło tylko zmartwienie i żal. Wszędzie, gdzie stąpał, prowadził za sobą śmierć. Od strasznego odkrycia zwłok Higeкуро myśl ta ani na chwilę go nie opuszczała. Krew Czarnobrodego wypalała swoje piętno na jego obecnym życiu. Jedynym wyjątkiem było wspomnienie o Ayako, lecz to odpychał od siebie stanowczo, jak mógł najdalej.

Jakby czytając w jego myślach, Motosuke powiedział: – Nigdy nie zapomnę widoku takiej ilości krwi tam, w szkole zapaśni-czej. Ten Higeкуро musiał być zadziwiającym człowiekiem.

Akitada pokiwał głową.

– To łaska niebios, iż jego młode córki wyszły z tego bez szwanku. Niema jest bardzo zdolną artystką.

Inspektor pokiwał ponownie. Czy Ayako będzie bezpieczna przy takim mężczyźnie jak Hidesato? Czy sierżant zajmie miejsce jej ojca i poprowadzi szkołę... tak jak zajął miejsce Akitady w jej

ramionach? – Całe szczęście leżałem nieprzytomny na świątynnej posadzce, gdy Tora i Hidesato zajęli się ludźmi Joto.

Mnich, który zbiegł, mógłby mnie rozpoznać, a to z pewnością pokrzyżowałoby nasze plany.

Gubernator uśmiechnął się i potarł swe pulchne dłonie. – Tak, to dobry znak. Bogini miłosierdzia jest po naszej stronie.

Jakże się mylisz przyjacielu, pomyślał inspektor, przypominając sobie wzgardliwy uśmiech Kannon.

– Skąd ta ponura mina, starszy bracie? – spytał Motosuke. – Czy wciąż doskwiera ci ból głowy?

– Nie. – Co dziwne, powiedział prawdę. Był zdrow jak ryba, pomimo przebytej gorączki i ciosu Hidesato. Nie mógł jednak stwierdzić tego samego o swoim nastroju. – Zazdroszczę ci do-296

bręgo humoru – odparł gorzko. – Gdy znajdziemy się w świątyni, będziemy łatwym celem. Wiesz chyba o tym.

– Nie obawiaj się. Wszystko pójdzie po naszej myśli. Strzec nas będą moi ludzie i żołnierze Yukinariego. Ci przydzieleni do wewnętrznego dziedzińca i wielkiej sali Buddy są absolutnie lojalni.

Akitada zamilkł zawstydzony tym, iż gubernator mógł wziąć jego słowa za oznakę tchórzostwa.

– Pomyśl tylko – dodał Motosuke. – W tej samej chwili Akinobu i jego policjanci wchodzą do posesji i magazynów kupca jedwabiu. Nim skończy się ten dzień, będziemy mieli więźniów, dowody i zrabowane łupy. – Zatarł ręce i zachichotał jak dziecko. – Jakże się zdziwią w stolicy, gdy zobaczą trzy transporty podatków, które uznali już za stracone.

– Nie dostaną ich w całości – wymamrotał ze skwaszoną miną inspektor. Usłyszeli nawołujące bicie dzwonu. Poczuli gwał-

towne szarpnięcie i palankin skrzył nagle w prawo. Ich oczom ukazały się wielkie odrzwia świątyni Poczwórnej Mądrości, jej niebieskie dachówki lśniły w promieniach słońca. Po obu stronach prowadzących do nich schodów stali mnisi ubrani w szafranowe szaty.

– Ciekawe, czy jest tu gdzieś Ikeda? – spytał Motosuke.

– Ciekawe, czy w ogóle przebywa jeszcze wśród żywych. Stanowi dla Joto zagrożenie. – Akitada sięgnął po małe, srebrne lusterko, które wisiało na jednym z haków, i sprawdził swój urzędowy kapelusz, czarny toczek wykrochmalonego jedwabiu zwieńczony z tyłu pętelką. Zmarszczył z niezadowolenia czoło, widząc swą ponurą twarz i podał lusterko gubernatorowi. Palankin zatrzymał się w końcu i spoczął na pewnym gruncie. – Czy mamy wysiąść? – zapytał inspektor.

Motosuke odsunął jeszcze bardziej bambusową zasłonę. – Nie.

To tylko jakieś oficjalne formalności powitalne. Och, i oto ru-297

szamy dalej. – Palankin zakolysał się dźwigany do góry i obaj chwycili swe nakrycia głów. Gubernator wychylił się na ze-wnątrz. – Widzę, że Yukinari postawił żołnierzy przy bramie.

Mądry człowiek. Podejrzewam, że ta cała sprawa z panią Tachibana musiała być dla niego ciężkim ciosem.

– Omalże nie kazałem go aresztować, gdy jej służka i pewien żebrak zeznali, iż morderca Tachibany nosił na głowie hełm.

– Och – westchnął Motosuke. – Miałem ci powiedzieć, ale twoja choroba i Joto sprawiły, iż całkowicie wywietrzało mi to z gło-wy. Młody głupiec przyznał się, iż jego pani wpadła w tak wielki szal na wieść, że zamierza zakończyć romans, iż uciekł w te pędy z jej domu, zostawiając hełm.

Palankin przechylił się do tyłu, niosący go służący poczęli wspinać się po schodach.

– Tak, to wyjaśniałoby kilka rzeczy. – Akitada chwycił jedwabną pętlę, by nakrycie głowy nie spadło mu na plecy. – Podejrzewam, iż Ikeda użył go dla niepoznaki. Wydało mi się to moż-

liwe, gdy powiedziano mi, iż wymykający się chyłkiem z posesji mężczyzna nosił niebieską szatę. Żaden oficer nie założyłby na głowę hełmu, nie ubrawszy się wpierw w zbroję. – Palankin opadł do dołu, gdy służący przeszli przez bramę i zaczęli schodzić po stopniach po jej drugiej stronie. Gdy wrócili do pozio-mu, inspektor puścił wreszcie kapelusz i rzekł: – Powinienem wcześniej pomyśleć o Ikedzie. Miał przecież na sobie niebieską szatę, gdy przyszedł do ciebie w gości.

Ich uszu doleciał dziwny dźwięk, niczym bzyczenie ogromnego ula. Akitada podniósł zasłonę. Podążali teraz środkiem dużego dziedzińca wypełnionego ludźmi. Po jednej stronie mnisi wymachiwali w powietrzu kadzielnicami i zawodzili cicho. Za ni-mi tłoczyli się tubylcy, jazgocząc i próbując dojrzeć wystawność i bogactwo przybywających na uroczystość dygnitarzy.

Niosąca ich służba, świadoma skupionych na niej i na palanki-298

nie oczach, truchtała zwawo, póki nie doszła do stopni wielkiej sali, pod którymi postawiła swój ciężar tak gwałtownie, iż szczęki dwóch gości uderzyły o siebie z hałasem.

Wyjście na zewnątrz najeżone było trudnościami. Najpierw wy-

łonił się Motosuke, po nim zaś Akitada, przytrzymując przy ciele obszerne szaty i nakrochmalone, jedwabne spodnie. Schylili głowy tak nisko, jak mogli, by nie uszkodzić cennych kapeluszy.

Kolejnym problemem było wejście po szerokich schodach bez potykania się o własne nogi skrępowane metrami materiału.

Całe szczęście kaczy chód, jakim musieli się ratować, uważany był powszechnie za elegancki. Nim zdążyli dojść do werandy, inspektor ociekał potem. Jego niska ranga nie przyzwyczaiła go i nie zaznajomiła z podobnymi wydarzeniami. Motosuke zaś pomimo wieku i tuszy radził sobie nad wyraz sprawnie.

Komitetowi powitalnemu przewodził kapłan w średnim wieku, o bladej twarzy i zapadniętych oczach. Gubernator zwrócił się do niego, wymawiając imię Kukai. A więc tak wyglądał człowiek wysłany, by dać pani Tachibana duchowe pocieszenie.

Czując niemal fizyczny wstręt, Akitada odwrócił się, by popatrzyć na rozciągający się poniżej dziedziniec.

Goście, mnisi i żołnierze kłębili się wszędzie, jak okiem się-

gnąć. Na wprost nowej sali wzniesiono dwa podia, powozy niosące bogate i wpływowe rodziny stały wzdłuż krużganków. Parawany oddzielały wysoko urodzone kobiety i ich służki od wścibskich oczu nieznanym. Wszędzie widać było mundury i broje. Żołnierze Yukinariego, nie zwracając na siebie uwagi, stali pod krużgankami, przy bramach, przechadzali się powoli przed główną salą.

Uspokojony tym widokiem inspektor dołączył do Motosuke, by razem obejrzeć nowo powstały budynek.

Sala była przestronna i piękna, lecz inspektor słuchał ledwie 299

jednym uchem tego, co miał do opowiedzenia Kukai. Zatrzymali się przed dużą pozłacaną figurą Buddy, wykonaną z brązu, by oddać jej wymagany hołd. Grupa starszych mnichów śpiewała cicho, przypominając mu o uwięzionych w lochach więźniach.

Nagle przeszedł przed nimi długi korowód urodziwych chłop-ców, żaden nie miał więcej niż dziesięć bądź jedenaście lat. No-sili wyśmienite, jedwabne stroje w najróżniejszych kolorach, trzymając w dłoniach złote dzwoneczki. Za każdym razem, gdy ich czysty dźwięk rozbrzmiewał w ogromnym wnętrzu, chłopcy śmiali się i chichotali radośnie. Ich niewinność wydała się w tym miejscu niestosowna i nierealna. Młodzieńcy zniknęli za srebrnymi kłębami kadzidła spowijającymi posąg wielkiego Buddy. Ruszył za nimi, nie wiedząc czemu.

– Nasi najmłodszy nowicjusze. – Głos diakona wyrwał Akitadę z zadumy. – Rodziny zostawiły ich pod naszą opieką.

Inspektorowi przypominały się słowa starego mnicha oskarżają-

ce Joto i poczuł mdłości. Klasztorne życie zabraniało stosunków z kobietami, a mnisi znani byli z tego, iż czasem darzyli swych braci gorącym uczuciem. Lecz dzieci? A co stało się z jego przyjacielem Tasaku, który przez całe swoje młodzieńcze życie kochał towarzystwo kobiet? Jakże teraz znosił całkowitą z nimi rozłąkę?

Gdy wyszli z sali, Kukai poprowadził ich do jednego z podiów, tłumacząc, iż drugie, oddalone o około piętnastu metrów, przeznaczone jest dla czytającego, przełożonego klasztoru, świątynnej administracji i tancerzy.

Na platformie rozłożono grube maty i jedwabne poduszki. Obite brokatem markizy osłaniały przed promieniami zimowego słoń-

ca. Akitadzie przydzielono honorowe miejsce, zaś Motosuke usiadł po jego lewicy. Poduszka leżąca obok gubernatora prze-znaczona była dla nieobecnego Ikedy Yukinari zasiadł po prawej ręce inspektora. Pozostali urzędnicy, kilku sędziów i wyż-

300

szych rangą sekretarzy prowincjonalnej administracji, z Seimei na czele, zajęło miejsca za ich plecami.

Akitada przywitał kapitana skinieniem głowy. Yukinari prezentował się wyśmienicie. Odpowiedzialność, jaka spoczywała teraz na jego barkach, dodała jego twarzy kolorów, zaś postawie i ruchom potrzebnej pewności.

Siedząca pod nimi orkiestra, złożona z fletów, bębenków i cytr, poczęła grać i przystrojeni w kostiumy tancerze wybiegli na centralne podium, by odtańczyć przepisowe kroki świętych tań-

ców. Inspektor wpatrywał się we wciąż puste miejsce, na któ-

rym powinien zasiąść Joto.

Po dłuższej chwili muzyka umilkła, a tancerze przestali tańczyć.

Zapadła wyczekująca cisza. Nagle odezwały się srebrne dźwięki malutkich dzwonek, które ściągnęły wzrok widzów na drzwi nowego budynku, przy których zbierały się dzieci. Skrzydła otworzyły się powoli, ukazując Joto. Tłum wykrzyczał powitalne wiwaty.

Mnich stał przez kilka minut w milczeniu, słuchając okrzyków wiernych, po czym wszedł na szczyt schodów. Tam przystanął, czekając aż gwar ucichnie, następnie uniósł złożone dłonie do ust oraz czoła, pozdrawiając i błogosławiąc, by na koniec zejść po stromych stopniach. Jego szata wykonana była z jedwabiu ufarbowanego w dwa odcienie purpury, które wydawały się migotać i zmieniać barwę przy każdym ruchu. Złote hafty i perły zdobiły jego stułę.

Dwa długie rzędy mnichów wyłoniły się z wnętrza sali. Każdy z nich trzymał w ręce kij, z którego czubka zwisały kolorowe, jedwabne wstążki. Joto, do którego dołączył Kukai wraz z resztą klasztornych urzędników, ruszył przodem, a za jego plecami poczęli ustawiać się pozostali mnisi, nowicjusze i akolici, wszyscy ubrani w najlepsze szaty i przystrojeni kolorowymi stułami.

Zawodząc „Amida! Amida!”, potężny korowód ciał przetaczał

301

się wokół wielkiego dziedzińca, wylewając się przez główną bramę, by rozpocząć rytualne poświęcenie świątyni, obchodząc dookoła jej mury.

Motosuke, przysunąwszy się do Akitady, rzekł: – Czy widziałeś kiedykolwiek podobne widowisko? Sądzę, iż przez tę bramę przemaszerowały właśnie poszukiwane trzy konwoje ze złotem i jedwabiami.

– Z pewnością coś jeszcze zostało – odparł inspektor, dodając ponuro: – Człowiek taki, jak Joto, ma zapewne inne plany w zanadrzu niż tylko zwykłe poświęcenie klasztornego budynku. –

Odwróciwszy się do Yukinariego, powiedział: – Teraz jest najlepszy moment na oswobodzenie więźniów. Nie widziałem w pobliżu Tory.

– Zabrał kilku moich najlepszych żołnierzy do magazynów –

wyszeptał kapitan. – Jeśli uda im się znaleźć wejście do podziemnych tuneli, będą mieli pod dostatkiem czasu, nim mnisi odkryją ich obecność. Tora da znać, jeśli im się powiedzie.

Jak dotąd plan przebiegał po ich myśli, bez najmniejszych zakłóceń. Zza klasztornych murów dochodziły ich dźwięki dzwonek i śpiewy wiernych. Akitada pomyślał, iż rytualne obejście świątyni może zająć co najmniej pół godziny, zważywszy na rozmiar całego terenu. Pomimo to nie przestawał się denerwować.

By nie niepokoić tłumu oczekiwaniem, tancerze i muzycy wznowili swoje przedstawienie. Niektórzy nowicjusze częstowali oficjeli sokami owocowymi. Chłopiec obsługujący Akitadę nie mógł mieć więcej niż sześć lat. Miał urodziwą twarz, taką, jaką mają zazwyczaj dzieci w jego wieku. Gdy udało mu się napełnić puchar bez rozlania kropli, zachichotał radośnie i obdarzył inspektora szczerbatym uśmiechem.

W końcu czoło procesji pojawiło się ponownie pomiędzy skrzydłami głównej bramy. Długi wąż utworzony przez mnichów wił

302

się w kierunku drugiego podium. Joto wraz z pozostałymi duchownymi zasiedli na poduszkach, a Kukai wspiął się na miejsce przeznaczone dla czytającego i począł recytować sutrę.

Reszta mnichów usiadła tam, gdzie było wolne miejsce, dołą-

czając z czasem swe głosy do chóralnych odpowiedzi na słowa Kukai.

Potem nastąpiła gratulacyjna mowa oficjalnych przedstawicieli cesarza. Zarówno Akitada, jak i Motosuke wyrazili swe serdeczne życzenia. Ich podarunki w formie bel jedwabiu, szat, skrzyń do przechowywania sutr, modlitewnych paciorków, stały starannie zapakowane i udekorowane u stóp zajmowanego przez nich podium. Jako cesarski emisariusz inspektor pierwszy powinien pogratulować Joto. Miał jednak zupełnie inne zamiary.

Wszystko zależało w tej chwili od Tory i wcześniejszego oswobodzenia więźniów. Gdzież mógł się ten chłopak podziewać?

Żołądek Akitady kłuł go nieprzyjemnie, gdy robak strachu począł toczyć jego wnętrzości. Nie mogąc zapanować nad obawami, odwrócił się i skinął na Seimei. Tak jak ustalili, sługa powstał w milczeniu, by skierować się w stronę kuchennego podwórza i latryn.

Seimei kroczył zwawo, jak człowiek zmierzający do wygodki, w kuchniach było niewielu ludzi i żadnego mnicha. Próbując zapamiętać rozłożenie budynków i pomieszczeń, odwrócił się w kierunku bramy wbudowanej w północną ścianę.

Następny dziedziniec był zupełnie opuszczony. Rozejrzał się ostrożnie i stwierdził, że budynek stojący przed nim musi być magazynem, w którym ukryto halabardy. To tam Tora i żołnierze szukać mieli wejścia do podziemnych cel. W pobliżu nie było jednak żywej duszy. Gdy podszedł do ściany magazynu, dosłyszał dobiegający z wnętrza hałas. Tora, pomyślał, wzdy-303

chając z ulgą i otworzył drzwi na oścież. Przed oczami mignął

mu jakiś cień.

– Kto tam? – wyszeptał nerwowo, niepewny, któż może się skrywać w głębokich ciemnościach.

Nie usłyszał odpowiedzi.

Nagle zdał sobie sprawę, iż powierzone mu zadanie może okazać się niebezpieczne. Jakiś brutalny mnich bądź ich cała zgraja ukrywa się być może za balami i beczkami, czyhajac tylko, by rzucić się i zabić bezbronnego starca. Przez chwilę zastanawiał

się, czy nie zatrzasnąć drzwi i nie zamknąć ich na klucz, bez względu na konsekwencje, lecz wtedy przypomniał sobie polecenie Akitady. Miał sprawdzić, co poszło niezgodnie z planem i donieść o tym jak najszybciej swemu panu.

Ostrożnie przekroczył próg. Przyjrzał się długiemu rzędowni beczek i koszy i dostrzegł, że niektóre z paczek skrywających *naginaty* leżały rozwiązane na podłodze.

Skradając się na drżących nogach, doszedł do beczek i uniósł

głowę, by spojrzeć ponad nimi. Za ostatnią zobaczył skulonego mężczyznę ubranego w niebieską szatę, podobną do tej, jaką sam nosił. Tora też dziś się tak ubrał, lecz to nie mógł być on.

Tora nie ukrywałby się tu... chyba że znów były mu w głowie głupie zabawy.

Seimei podkraść się jeszcze bliżej. Zbierając całą odwagę, skoczył do przodu, chwytając klęczącego za kołnierz i mówiąc rozkazującym tonem: – A co ty tu robisz? Nie słyszałeś... – Przerwał zdumiony. – Proszę o wybaczenie – wyszeptał, puszczając szatę mężczyzny.

Prefekt Ikeda blady na twarzy podniósł się z klęczek. Zmierzył

chudą zgarbioną postać Seimei i jego siwą głowę spokojnym wzrokiem.

– A, to ty – odparł, przesuając się nieznacznie w kierunku drzwi.

– Właśnie wychodziłem. Wygląda na to, że Joto składa tu całą kontrabandę. Wasz człowiek, Tora, był tu przed chwilą z kilkoma żołnierzami. Upewniałem się tylko, czy niczego nie przeoczyli.

Staruszek popatrzył na prefekta spod przymrużonych powiek i zastąpił mu drogę. – Nie wierzę ci. Ukrywasz się tu, gdyż jesteś ścigany za zabójstwo pana Tachibany.

Ikeda zatrzymał się i uśmiechnął. – Och, ta sprawa. Wszystko zostało już wyjaśnione. Jestem niewinny.

– Nieprawda – zakrzyknął Seimei. – Nie powinieneś brać mnie za głupca. Tak się składa, iż wiem, że ogłoszono cię zbiegiem uciekającym przed sprawiedliwym sądem. – Gdy tylko wypowiedział te słowa, zrozumiał z ciężkim sercem, iż jego obowiązkiem jest teraz podniesienie alarmu, by w ten sposób umożliwić pochwylenie Ikedy. Lecz to byłoby ostatnią rzeczą, jaką życzy-

łby sobie w tejże chwili jego pan. Prostując się i przyjmując dumną pozę, spojrział gniewnie na uciekiniera i rzekł:

– Jesteś aresztowany.

Niespodziewanie Ikeda nie odpowiedział. Stał tylko bez ruchu, uśmiechając się i czekając najwyraźniej na rozwój wypadków.

Seimei nie wiedział, co począć. – Lepiej poszukam czegoś, czym mógłbym cię zwięzać – wymamrotał, rozglądając się dookoła. Jego wzrok padł na zwój liny leżący przy jednej z beczek, lecz gdy się schylił, by go podnieść, Ikeda puścił się biegiem w stronę wyjścia.

Przeliczył się na szczęście. Seimei rzucił się do przodu, zderzając boleśnie z prefektem. Obaj upadli na plecy, łapiąc nerwowo powietrze.

– O, nie. Nie ma mowy! – zaświszcział sługa, masując lewe ramię. – Nie wydostaniesz się stąd tak łatwo.

– Zejdź mi z drogi, starcze – warknął Ikeda, także pocierając zbolące ramię.

Seimei rozpaczliwie potrzebował pomocy. Jeśli prefekt ucieknie, ostrzeże bez wątpienia Joto. Co przydarzyło się Torze i żoł-

nierzom? Postanowił grać na czas. – Myślałem, że będziesz chciał się wytłumaczyć ze swoich czynów – napomniał Ikedę.

– Jesteś głupcem. Musiałem zabić Tachibanę. Zamierzał nas wszystkich zrujnować. – Taksując sługę Akitady wzrokiem od stóp do głów, zaśmiał się nieprzyjemnie. – Stary wiek nie musi być gwarantem mądrości i wiedzy. Wygląda na to, że i ciebie będę musiał zabić. – Zdejmując wieko z jednej z

beczek, zanurzył w niej ramię. Z wnętrza wysypała się fasola, tocząc się na wszystkie strony po podłodze.

Najwidoczniej niczego tam nie ma, pomyślał Seimei, przetykając ślinę i przesuwając się w kierunku drzwi. Spoglądał na Ikedę baczным wzrokiem. Prefekt zasapał z zadowoleniem, wyciągając z beczki miecz, jego nowiutkie ostrze świeciło złowieszczo w przytłumionym świetle lamp. Odwrócił się i ruszył ku Seimei.

Staruszek rozejrzał się na wszystkie strony przerażonymi oczami i dostrzegł *naginatę* leżącą tuż przy swoich stopach. Chwyciwszy ją zachwiał się pod unoszonym ciężarem. Nie miał zielonego pojęcia, jak powinien posłużyć się tym długim kijem zakończonym śmiertelnościm ostrzem, lecz domyślił się, iż broń służyła do dźgania i cięcia wroga z bezpiecznej odległości.

Miecz, który dzierżył Ikeda, był krótki, co dawało Seimei przewagę. Na nieszczęście *naginata* była za ciężka. Gdy wpatrywał

się w nadchodzącego prefekta, długi kij przechylił się i zachybił w dłoniach.

Ikeda zaśmiał się wzgardliwie. – I co też zamierzasz z tym zrobić, starcze?

Seimei zacisnął mocniej pięści na drzewcu halabardy. Próbował

przypomnieć sobie kroki, których uczył się jego pan podczas codziennych treningów z Torą. Skoro nie umie atakować, może uda mu się przynajmniej zakręcić *naginata* młynka.

306

Zrobił kilka drobnych kroków w bok, lecz poślizgnąwszy się na rozrzuconych ziarnach fasoli, upadł ciężko na pośladki. Ikeda zaśmiał się donośnie. Czerwony ze złości Seimei podniósł się z podłogi. Zbierając w sobie wszystkie siły, wychylił halabardę do tyłu, biorąc potężny zamach. Nagły ruch i waga broni sprawiły, że zakręcił się niczym bączek. Zachwiał się, zatrzymał, gdyż kręciło mu się w głowie, i spojrzał na prefekta.

Ikeda, który przyglądał się temu popisowi z szeroko otwartymi oczami, ryknął, zataczając się ze śmiechu.

Tego było dla staruszka za wiele. Podnosząc ostrze halabardy, rzucił się do ataku.

Zbieg w jednej chwili przestał się śmiać i uskoczył pośpiesznie w bok. Uniósł miecz, lecz w tym samym momencie ktoś wszedł

w drzwi magazynu, zasłaniając źródło światła. Prefekt odwrócił

głowę.

Seimei poprawił niezręcznie uchwyt i zaatakował ponownie.

Trafił w głowę Ikedy drewnianym trzonkiem kija zamiast ostrym końcem, lecz to wystarczyło, by zwalić prefekta z nóg.

Upadł na ziemię, leżąc bezbronny jak worek zboża, w nosa ciekła mu strużka krwi.

– Święty Buddo! – zakrzyknął czyjś głos. – Czy mnie oczy mylą czy też to ty, Seimei?

Sługa wypuścił halabardę ze zdrewniałych palców. – Tora – wyszeptał. – Gdzieżeś się podziewał? Musiałem.. musiałem go uderzyć. Zamierzał mnie zabić. – Czując się nagle straszliwie słabo, przysiadł na jednej z beczek. – Pan przysłał mnie tu, bym sprawdził, czy wszystko idzie zgodnie planem. Nie znalazłem ciebie, lecz jego. – Popatrzył na bezradne ciało i zadrżał.

– Na wielkiego Amidę – odparł chłopak. – To była najwspaniał-sza rzecz, jaką w życiu widziałem. Kto by pomyślał, że masz w sobie tyle ikry? Pozwól, że ci pogratuluję – Schylił się, chwytając słabego Seimei i obejmując go w niedźwiedzim uścisku, 307

uniósł w powietrze.

– Puśćże mnie – rzekł staruszek, kopiąc Torę w piszczele. –

Zwiąż go zaraz, nim przyjdzie do siebie.

Stawiając Seimei na podłodze, chłopak powiedział: – Możesz przekazać panu, że uwolniliśmy więźniów. – Podeszedł do Ikedy i kopnął go w żebra. Gdy nie doczekał się żadnej reakcji, pochylił się nad ciałem i zbadał puls. – Wygląda na to, że zabiłeś morderczego szczura. Władałeś tą *naginatą* niczym urodzony żołnierz. Czemu nigdy nie powiedziałeś, że umiesz walczyć?

Seimei zbladł jak papier. – Nie żyje? – jego wzrok powędrował

ku twarzy nieboszczyka i poczuł, jak wnętrzności podchodzą mu do gardła. – Muszę wracać – wyszeptał i puścił się pędem do drzwi. Na zewnątrz przykucnął na chybotających nogach i wymiotował.

Tora podążył za nim, uśmiechając się szeroko. W dłoni trzymał

miecz Ikedy. – Nie wierzę własnym oczom. Ukryli broń w beczkach z fasolą i dlatego ją przeoczyliśmy.

Ramiona starego sługi zadrżały. – Zamknijmy magazyn i wynośmy się stąd – wymamrotał, ocierając usta rękawem.

Chłopak zatrzasnął i zaryglował drzwi. – Idź lepiej przodem –

powiedział z poważną miną. – Ja pomogę naszym zająć się tymi biedakami.

Seimei popatrzył na drugi koniec dziedzińca i zobaczył sześciu żołnierzy Yukinariego niosących bądź

podtrzymujących kilka brudnych i obdartych ludzkich postaci. – Och, jakże to żałosne –

zakrzyknął, zapominając w jednej chwili, jak blisko był śmierci.

– Oczywiście. Pomóż im bezzwłocznie.

Odszedł, stąpając niepewnie, roztrzęsiony tym, że właśnie odebrał komuś życie.

* * *

Akitada zebrał poły szaty i wstał. Chłodne zimowe powietrze 308

owionęło jego spoconą twarz. Na podium zajmowanym przez duchownych Joto tłumaczył coś wzburzonemu mnichowi.

Człowiek ten przypominał wyglądem zwykłego osiłka, miał

zdeformowane ucho i to jego, teraz inspektor rozpoznał twarz, widzieli na rynku pierwszego dnia, gdy przyjechali do Kisarazu.

Joto popatrzył na inspektora, a oszpecony mężczyzna zrobił to samo. Wzrok draba, pełen triumfu i wzdargy, zabolął Akitadę niczym potężny cios.

Ruch przy bramie oznaczał, iż żołnierze Yukinariego próbują zablokować wszystkie wyjścia. Gubernatorska straż przysunęła się bliżej podium dla gości. Nadszedł czas. Musi działać zgodnie z planem albo zaprzepaści jedyną szansę.

Jeden z gwardzistów, dzierżący w dłoniach cesarski proporzec, przemaszerował i stanął dokładnie pod miejscem, na którym siedział inspektor. Joto przyglądał się żołnierzom wyraźnie zdziwiony ich zachowaniem. Tłum począł szeptać, a inspektora sparaliżowało niezdecydowanie.

I wtedy spomiędzy widzów wyłonił się Seimei. Staruszek podniósł głowę i skinął nią wymownie. Inspektor wciąż wstrzymywał oddech. Po chwili podniósł się Yukinari i opuścił podium.

Zaczęło się.

Stopniowo nad całym dziedzińcem zapadała cisza. Akitada wy-ciągnął z rękawa cesarski dekret i unióś go wysoko ponad głowę tak by każdy zobaczył złotą pieczęć i purpurowe tasiemki.

Ktoś począł bić w bęben.

– Przygotujcie swe uszy na boskie słowa! – zakrzyknął trzymający sztandar gwardzista.

Wszyscy zebrani na dziedzińcu padli na kolana i pokłonili się, wyciągając na ziemi.

Akitada przeczytał cesarskie instrukcje, które dawały mu prawo prowadzenia śledztwa i ferowania wyroków, pewnym, miarowym głosem. Zwinąwszy pismo, rzekł: – Możecie powstać. Do-309

chodzenie, które mi nakazano przeprowadzić, dobiegło końca.

Złoczyńcy, którzy odpowiedzialni są za uprowadzenie trzech konwojów z podatkami i brutalne zamordowanie chroniących ich ludzi, sami znani.

Pełne podniecenia szepty przetoczyły się przez dziedziniec.

Akitada spojrzął na drugie podium i ugięły się pod nim kolana.

Kukai wciąż na nim stał, lecz Joto zniknął. Opanowując obawy, rzekł: – Winni ukrywają się w tej świątyni. – Po przytoczeniu zarzutów obciążających opata i jego popleczników zamilkł i czekał w ciszy.

Wierni słuchali jego słów w zdumieniu, lecz gdy tylko skończył

przemawiać, tłum ogarnęła panika. Niektórzy mnisi próbowali pośpiesznie opuścić klasztorne mury, lecz tych zatrzymywali żołnierze. Tu i ówdzie doszło do niewielkich przepychanek.

– Cisza! – zagrzmiął gwardzista. Nikt nie posłuchał.

Motosuke stanął przy Akitadzie, twarz miał napiętą i poważną.

Inspektor dostrzegł Yukinariego i trzymającego się blisko niego Torę. Kapitan uniósł ramię i na ten znak dwa rzędy żołnierzy ruszyły do przodu. Tłum zakołysał się do tyłu, cichnąc w jednej chwili, gdy dostrzegł małą grupkę uwolnionych mnichów.

Dwóch kolejnych żołnierzy pojawiło się nagle, niosąc na no-szach starego Gennina.

Więźniowie byli brudni od stóp do głów, ich skórę pokrywało mnóstwo ran, chwiali się ze zmęczenia, zasłaniając oczy przed promieniami słońca. Gdy dotarli do podium, na którym stał inspektor, a żołnierze postawili na ziemi nosze z półprzytomnym przełożonym klasztoru, tłum zamarł w milczeniu.

– Oto widzicie, jak Joto postępował ze świętymi mężami tej świątyni – rzekł Akitada. – Jako reprezentant jego cesarskiej mości z waszym poparciem i z poparciem waszego gubernatora dopilnuję, by sprawiedliwość powróciła do tej prowincji i zawi-tała w mury tego klasztoru. Joto, jego zastępca Kukai i wszyscy 310

ich wspólnicy zostają niniejszym aresztowani.

Przez tłum przetoczył się cichy jęk. Wielu straciło bez wieści bliskich, którzy towarzyszyli konwojom jako zbrojna eskorta.

Nagle w powietrze wzbił się potworny krzyk. Wszystkie oczy zwróciły się w kierunku drugiego podium. Kukai stał tam z wy-ciągniętymi do góry ramionami. – Nie wierzcie nieprzyjaciołom Buddy. Przyszli tu zniszczyć prawdziwą wiarę, by znów uczynić was biednymi. To spisek. Spisek, którego celem jest pozbycie się naszego świętego dobroczyńcy. – Obrócił się szybko i wskazał

oskarżycielsko palcem Akitadę i Motosuke. – To oni są zbrodniarzami! Tam stoi człowiek, który napełnił waszymi ciężko zarobionymi pieniędzmi swoje kufry i skrzynie, by kupić córce wstęp do cesarskiego pałacu. Tam stoi urzędnik przysłany ze stolicy, by ukryć i zatuszować zbrodnie wysoko urodzonych i dać im oficjalne rozgrzeszenie. Posłużyli się nawet chorymi i stetryczalnymi mnichami. Czy pozwolicie, by tak straszliwe rzeczy działy się w waszej świątyni, czy też staniecie w obronie swojej wiary?

Tłum zafalował. Gdzieś krzyknęła kobieta. Żołnierze ruszyli do przodu, a morze ludzkich ciał zawrzało jak gotująca się woda.

Przerażony inspektor spróbował zakrzyknąć, lecz głos odmówił

mu posłuszeństwa. Widząc to, krzyknął gubernator: – W imieniu cesarza, oczyśćcie dziedziniec! – Chorąży stojący pod podium zawtórował donośnym głosem: – Oczyścić dziedziniec!

Wtedy Motosuke wrzasnął jeszcze głośniejsze: – Wróćcie do swych domów, by w ciszy opłakiwać śmierć swoich synów i ojców, swoich braci i mężów, których podstępnie i podle zamordowano na rozkaz Joto. Pozwólcie władzom przywrócić w tej prowincji sprawiedliwość i porządek!

Przez chwilę wszystko wisiało na włosku. Nagle jedna z kobiet poczęła płakać i zawodzić. Inne poszły w jej ślady. Tłum podzielił się na małe grupki. Ludzie stojący na obrzeżach zmierzali

w stronę głównej bramy. Ci, którzy chcieli iść do przodu, natrafili na mur ciał. Żołnierze rozproszyli większe grupy i otoczyli wszystkich mnichów.

Schowawszy w rękawie cesarski dekret, Akitada odwrócił się i usiadł na poduszkach, nie mogąc opanować drżenia dłoni i kolan. Motosuke przyglądał się dziedzińcowi dłużej, po czym do-

łączył do przyjaciela. Obaj siedzieli w milczeniu. Yukinari stał

pośród tłumu, wydając rozkazy swoim ludziom. Straż przy-boczna gubernatora eskortowała do bramy kobiety i dzieci. W

miarę jak pustoszał dziedziniec, żołnierze poczęli zapędzać mnichów w jeden z jego narożników. Kapitan aresztował wła-

śnie Kukai i resztę klasztornych oficjeli. Joto przepadł jak kamień w wodę.

Na podium wdrapał się Seimei. Inspektor podniósł się, widząc starego sługę i spytał: – Seimei, nic ci nie jest? Jesteś chory?

Staruszek wytarł spoconą twarz drżącą dłonią. – Nie, paniczu.

Ja... ja... znalazłem Ikedę... Musiałem go zabić. W przeciwnym razie ostrzegłby mnichów.

Gubernator wstrzymał oddech. – Zabiłeś Ikedę? W pojedynkę?

– Nie mogłem postąpić inaczej, panie. Trafiłem go w głowę halabardą – odpowiedział Seimei, wzdrygając się na myśl o tym, co przeżył. – Nigdy jeszcze nie zabiłem człowieka. To było tak straszliwie łatwe. Niech bogowie mi wybaczą.

Akitada objął sługę przyjacielskim ramieniem. – Zrobiłeś tylko to, co musiało zostać zrobione. Jesteśmy ci wdzięczni. Ikeda był

mordercą i zdrajcą. Gdybyś go nie powstrzymał, dzisiejszego dnia zginęłoby wielu niewinnych ludzi. Dzięki tobie pokrzyżowaliśmy plany niebezpiecznych spiskowców.

– W rzeczy samej – wtrącił Motosuke, klepiąc Seimei po plecach. – Cóż za odwaga! W mieście nie będzie się teraz mówiło o niczym innym. Wspomnę o tobie w swoim raporcie, który złożę cesarzowi.

312

Sługa zamrugał kilka razy oczami, nie dowierzając usłyszonym słowom. – Dziękuję, panie – wyszeptał. – Dziękuję. To nie było nic wielkiego.

313

Rozdział 19

Paciorki

Mała grupka urzędników podążała za Akitada i Motosuke, gdy dokonywali inspekcji świątynnych dziedzińców i krużganków.

Weszli do magazynu i zajrzeli w dół tunelu prowadzącego do podziemnego więzienia. Gdziekolwiek by nie spojrzeli i do któ-

regokolwiek by pomieszczenia nie weszli, wszędzie napotykali salutujących im żołnierzy Yukinariego.

Kapitan wraz z Torą czekał na nich przed komnatami opata.

Akitada zatrzymał się, pozwalając się wyprzedzić pozostałym, po czym spytał: – Czy znaleziono Joto?

– Jeszcze nie – odparł oficer, przygryzając dolną wargę. – Nigdy sobie tego nie wybaczę, ekscelencjo. Nie doszłoby do tego, gdybym nie spuszczał go z oczu nawet na moment. Uwagę strażników pilnujących podium odwróciła grupka napierających na nich ludzi. Podczas szamotaniny, jaka się wywiązała, nikt nie obserwował schodów.

– Nieważne! Nie mógł daleko uciec. Masz może jakieś inne wieści?

– Słyszałeś o Ikedzie? – spytał Tora i gdy jego pan pokiwał

głową uśmiechnął się szeroko. – I co powiesz o starym Seimei?

Nie mrugnął nawet okiem, gdy walnął drania prosto w czerep –

zaśmiał się głośno. – Złapaliśmy też oszpeconego mnicha, tego z brakującym uchem. Skradał się na tyłach klasztoru. To on uciekł przez mur świątyni Kannon, co czyni go jednym z morderców Higeкуро. Wszystko toczy się jednym, ogromnym ko-

łem. Może on będzie wiedział, gdzie szukać Joto.

– Rozmawiali ze sobą, gdy zaczęła się ceremonia – odparł inspektor, marszcząc czoło. – A co ze starym przełożonym klasz-314

toru i uwolnionymi mnichami?

Wesoły nastrój Tory zniknął w mgnieniu oka. – Biedacy.

Chciałbym, by ten diabeł Joto dostał się w moje ręce. Sana pół

żywi. Niektórzy od lat nie widzieli słońca. Musieliśmy ich prowadzić jak ślepców. Niektórzy w ogóle nie mogli iść o własnych siłach. Ci zaś, co przeżyli, byli szczęśliwcami. Podziemne cele pełne były grobów, które ci biedacy wykopali własnymi rękami. Stary Gennin jest w złym stanie, nie ma

sił, by mówić.

Reszta czuje się tylko odrobinę lepiej. Trzech może opowiedzieć, co im się przydarzyło.

Dołączył do nich gubernator. – Straszne! – wyszeptał. – I pomy-

śleć, iż nikt o tym nie wiedział.

Akitada westchnął głośno. – Porozmawiamy z nimi kiedy indziej. Co zrobiono z dziećmi?

– Z pięknymi chłopcami Joto? – Tora przewrócił oczami ze wstrętem i wyciągnął głowę, wskazując stojący przed nimi budynek. – Pewnie bawią się teraz w osobistych pokojach opata.

– Ich rodziny muszą umierać z niepokoju – powiedział Motosuke. Inspektor potrząsnął głową. – Trochę za późno. Powinni się dwa razy zastanowić, nim oddali ich pod opiekę mnichów. –

Widząc zaskoczenie na twarzy gubernatora, poprawił się po-

śpiesznie: – Wiem, iż to powszechna praktyka, lecz wydaje mi się, że w tym wieku... odrobina więcej czasu spędzonego z kochającą rodziną... – Urwał w połowie zdania. Jego dzieciństwo trudno nazwać spędzonym w radosnym i kochającym domu. W

dotatku wyjawianie swego przesądnego stosunku do buddyzmu byłoby nierozważne.

Gubernator ujął Akitadę pod ramię i odprowadził kilka kroków na bok. – Wiem, starszy bracie, że twój sługa jest bardzo pomocny, lecz ma wielce osobliwe maniery. Jestem pewien, iż każdy przebywający w jego towarzystwie musi się czuć zażenowany. Nie klęka, nie kłania się nawet tak, jak powinien. Nie 315

wie, jak należy się zwracać do lepszych od siebie ani jak zachować należyłą kolejność przy powitaniu. Czy nie powinienes go tego nauczyć?

– Wątpię, bym mógł zmienić Torę. Poza tym cały ten protokół

zabiera tylko cenny czas.

W tej samej chwili jeden z żołnierzy podbiegł do Yukinariego.

Po krótkiej wymianie zdań kapitan odwrócił się do Akitady i Motosuke.

– Wybaczcie, że wam przerywam, lecz mamy problem z oddaniem chłopców rodzicom.

– Co masz na myśli? – spytał gubernator.

– Ktoś ich zamknął, a nie mamy klucza. Rodzice robią się coraz bardziej nerwowi. Grożą że wyważą drzwi.

– Zamknął? – inspektor poczuł w żołądku dziwne mrowienie. –

Kiedy ostatni raz sprawdzano, co robią dzieci?

– Nie wiem, ekscelencjo. Kazałem jednemu ze swoich ludzi zabrać chłopców w bezpieczne miejsce, gdy tylko zaczęliśmy wyłapywać mnichów.

Tora stanął przy nich, słuchając uważnie. Pan wymienił ze sługą porozumiewawcze spojrzenia. – Na niebiosą, obym się mylił –

wyszeptał, czując nadciągające mdłości. – Tora, za mną.

Pobiegli wzdłuż zadaszonych krużganków w stronę prywatnych pokoi opata. Przed jednymi drzwiami ustawiła się grupka krzyczących ludzi, uderzali z całych sił i drapali paznokciami ciężkie drewniane skrzydła.

Gdy dostrzegli Akitadę i Torę, odsunęli się, wpatrując się w nich przerażonymi oczami.

– Zaraz otworzymy zamek i wasze dzieci padną wam w ramiona

– zwrócił się do rodziców inspektor. – Tylko proszę, poczekajcie przed bramami.

– Nigdzie się stąd nie ruszam – wybuchnął młody mężczyzna, mierząc ich wściekłym wzrokiem. – Chcę z powrotem mojego 316

syna. Potem zabiję każdego łysielca, który ośmielił się go tknąć.

Część kobiet zaczęła płakać.

Akitada westchnął. – Niech i tak będzie. Zostańcie tu, lecz bądźcie cicho. Tora? Otworzysz ten zamek?

Sługa pokiwał głową, wyciągając zza pazuchy swe narzędzia.

– Omal nie zostawiłem tego w domu – powiedział, zabierając się do pracy. – Nie przystawało przecież do takiej uroczystości.

– Zamek szczęknął, drzwi stanęły otworem.

Ich oczom ukazała się przedziwna scena. Joto, wciąż noszący purpurową bogato zdobioną stulę, siedział na podwyższeniu na krześle przeznaczonym dla opata. Wokół jego nóg tłoczyli się chłopcy, którzy spoglądali na nich wielkimi, wystraszonymi oczami. Na kolanach mnicha siedział najmłodszy z nich, ten, który podczas ceremonii nalewał Akitadzie sok. Modlitewne paciorki, naszyjnik, na który nawleczono kamyki różowego kwarcu, Joto okręcił wokół szyi dziecka.

Nim ktokolwiek zdążył wypowiedzieć słowo, rozgniewany ojciec przepchnął inspektora i jego sługę, zmierzając w kierunku mnicha oraz krzycząc: – Ty diable, zaraz ci pokażę... – i Akitada, i Tora

skoczyli jednocześnie, by go powstrzymać. Przy drzwiach tłoczyli się teraz pozostali rodzice, wchodząc powoli do pomieszczenia. Inspektor pożałował, iż pozwolił im zostać.

– Bardzo mądrze. Bardzo. – Dobiegł ich obmierzły głos fałszywego mnicha. – Widzę, że zrozumieliście sytuację. – Dłonie Joto poruszyły się za główką chłopczyka i różowe paciorki zacisnęły się na szyi dziecka. Maluch krzyknął przerażony. – Zabiję go, jeśli ktokolwiek się do mnie zbliży.

Za plecami Akitady i Tory rozległy się westchnienia i okrzyki.

Wyrywający się z ich uścisku ojciec krzyknął: – Tosuke, do mnie.

Po drugiej stronie pokoju jeden z chłopców podniósł się powoli, po czym podbiegł do rodzica. Chwytał nogę ojca i wybuchnął

317

płaczem. – Chcę do domu – załkał.

W tej samej chwili pozostałe dzieci, wszystkie oprócz chłopca siedzącego na kolanach Joto, podbiegły do swych rodziców. W

rozgardiaszu, który zapanował, mnich podniósł się z krzesła, przyciskając do piersi opierającego się zakładnika, i wycofał się kilka kroków do tyłu.

Inspektor puścił ojca, który podniósł z ziemi syna i trzymając go w ramionach, wybiegł z pokoju.

Joto stracił swoją pewność siebie. Jego twarz zarumieniła się odrobinę, a ręka zaciskała na karku chłopca. – Zabiję go –

krzyknął głośno.

– Wyprowadź stąd wszystkich! – rozkazał Akitada słudze. –

Zamknij drzwi i nie wpuszczaj nikogo!

Tora pośpieszył bezzwłocznie, zbierając chłopców i ich rodziców i pchając ich przed sobą do wyjścia. Po chwili w opustosza-

łym pokoju zapanowała cisza. Pozostali tylko Joto, inspektor i malutki chłopczyk. Mnich wrócił do swego krzesła i ponownie na nim zasiadł.

– Puść go – odezwał się Akitada. Twarz dziecka stała się niepokojąco czerwona. Joto zaciskał paciorki tak mocno, iż wcinały się, raniąc miękką skórę. – Nie jest winny twemu kłopotliwemu położeniu.

Oczy mnicha zwęziły się nagle. – A co potem? Aresztujesz mnie?

– Tak, będziesz musiał odpowiedzieć za swoje czyny.

– Nie mam najmniejszego zamiaru cię słuchać. – Joto zdjął dłoń z gardła chłopca. Dziecko łapczywie nabrało w płuca powietrza, zakrzusilo się, po czym zaczęło kwilić. Nagle krzyknęło tak przeraźliwie, że Akitadzie włosy stanęły dęba.

– Zamknij się, mała bestio! – warknął Joto, uderzając dziecko w twarz. Chłopiec jęknął i zamilkł, z przerażenia wybałuszając oczy. Palce mnicha zostawiły na delikatnej, zroszonej łzami 318

twarzy białe ślady.

– Jesteś gorszy od zwierzęcia – krzyknął inspektor, zaciskając pięści.

– Powiedzmy, iż położyłem na szali swoje życie przeciwko jego życiu – odrzekł chłodnym tonem Joto, przerzucając sobie w ramionach chłopca i ponownie chwytając za sznur paciorków. –

I stwierdziłem, iż moja wartość przeważa nad jego. Cóż też mo-

że zaoferować ludzkości ten siedmioletni malec? Za kilka lat utraci nawet urodę, która teraz czyni go atrakcyjnym. – Wykrę-

cił twarz dziecka do siebie. – Skóra stanie się chropowata, a te miękkie policzki stracą swą pulchność. Czerwone usta nie odwzajemnią już uczucia, a uroczy głos stanie się szorstki i podobny setkom innych. Chłopak będzie bezużyteczny. Ja, z drugiej strony, wciąż mam do wypełnienia zadanie. Nie odcisnąłem jeszcze swego piętna na tym narodzie. Gdyby nie twoja pochopna i niewczesna ingerencja, zmierzałbym teraz prosto po wielką władzę jako duchowy doradca i opiekun wszystkich mieszkań-

ców tego kraju.

– Jego cesarska mość nie uznaje mnichów, którzy noszą broń, kradną z jego skarbcza i zabijają jego poddanych.

– Jak powiedziałem, gdyby nie ty, nie znajdowałbym się w obecnym położeniu. Lecz musiałeś wmieszać się w moje sprawy. Poświęciliśmy ledwie życie kilku tragarzy i żołnierzy, nic nieznacząca to strata w obliczu przedsięwzięcia tej wielkości.

Ale musiałeś się zjawić i Tachibana zaczął stwarzać problemy. –

Głos Joto milkł powoli, po czym rozbrzmiał na nowo. – Lecz nie wszystko stracone. Wszędzie mam przyjaciół. Opuszczę na jakiś czas Kazusę i po kilku latach podróży i medytacji, kto wie?

Może znów tu wrócę.

– Nie bądź śmieszny. Nie będziesz mógł stąd odejść.

Mnich uśmiechnął się złowieszczo. – Bardzo lubisz dzieci, czyż się mylę? Weźmy tego brzdąca na

tu pomiędzy chłopcami, powiedział mi, że uśmiechnąłeś się do niego podczas ceremonii. Wydawał się być z tego nic nieznaczącego faktu dumny. Czy mówię nieprawdę, Tatsuo? Lubisz tego pana, prawda?

Dziecko z trudem przełknęło ślinę, jego wielkie oczy pełne były łez. – Proszę, niech pan mnie stąd zabierze – wyszeptał. – Będę grzecznym chłopcem. Obiecuję.

– Puść go natychmiast! – rozkazał Akitada ostrym tonem. –

Zrobię dla ciebie, co będę mógł.

Joto zaśmiał się cicho. – Nie, nie, nie. Uwolnisz mnie. I dasz mi eskortę do granic prowincji.

– Tego nie mogę zrobić.

– Zatem dziecko umrze. – Paciorki zacisnęły się ponownie na miękkiej szyi, usta chłopca rozwarły się, łapiąc desperacko powietrze.

– Nie! – krzyknął inspektor, robiąc krok do przodu i zatrzymując się w miejscu. Nie zdążyłby dobiec do Joto na czas.

Mnich poluzował uścisk. Chłopiec wziął łapczywy wdech, palcami próbując złapać duszące go paciorki. Opat zaśmiał się cicho. – Czemu przedłużasz jego agonię? – zapytał.

Akitada myślał pośpiesznie, lecz nie potrafił dostrzec żadnego wyjścia z sytuacji. – Dobrze – odparł, poddając się zrezygnowany. – Zgadzam się. A teraz puść go wolno.

– Nie tak szybko. Masz mnie za głupca? Nie wypuszczę go, póki nie będę bezpieczny.

– Puść dziecko. Źle się czuje. Ja będę twoim zakładnikiem. Joto pokiwał przecząco głową.

Z rozpaczą rysującą się na twarzy inspektor się odwrócił, gotów poczynić odpowiednie przygotowania, próbując nie myśleć o raporcie, który będzie musiał złożyć przełożonym w stolicy, skupiając się za to na możliwościach późniejszego uwolnienia chłopca. Nim zdążył otworzyć drzwi, te gwałtownie rozwarły 320

się na oścież. Na progu stanęła młoda kobieta o twarzy bladej z przerażenia, lecz oczach płonących gniewem. Gdy spojrzała przez ramię Akitady i dostrzegła chłopca, krzyknęła: – Tatsuo!

– Mamo – załkał chłopczyk.

Potem wszystko potoczyło się w błyskawicznym tempie. Kobieta minęła inspektora w pełnym biegu. Joto podniósł się gwał-

townie z krzesła, wywracając je do tyłu i krzycząc: – Trzymaj się z dala! – Akitada wyciągnął

ramiona, próbując powstrzymać kobietę, chwycił rękaw jej sukni, ciągnąc tak mocno, iż rozerwał tkaninę. Mnich cofnął się pod ścianę. – Zostań na miejscu albo bachor zginie – warknął do matki.

Lecz ona nie słyszała już niczego. Gdy tylko jej dłonie dotknęły ciała dziecka, Joto szarpnął za sznurek. Rozległ się trzask i ró-

żowe paciorki uderzyły o maty z dźwiękiem, z jakim grad uderza o słomianą strzechę. Dziecko osunęło się w ramiona matki.

Kobieta stanęła w miejscu, kołysząc syna i szepcząc mu do ucha.

Przez chwilę Akitada czuł jedynie ulgę, ogromną wdzięczność za to, iż los oszczędził chłopca, przerywając naszyjnik. Potem dostrzegł opadającą bezwładnie do tyłu głowę dziecka, oczy wywrócone do góry. Zaślepiiony szalem i smutkiem doskoczył

do Joto i chwycił go za gardło.

Mnich zakrztusił się i wtedy spotkały się ich spojrzenia. Wydawało się, iż trwa to całą wieczność. Inspektor wiedział, że nie może zabić przestępcy i widział w oczach Joto, iż on też jest tego świadom. – Czemu? – załkał, szarpiąc wściekle. – Czemu?

Puściłbym cię wolno. – Opat nie odpowiedział, wpatrywał się tylko w twarz inspektora. Z okrzykiem pełnym pogardy Akitada cisnął mnichem o ziemię i odwrócił się do niego plecami.

Matka wciąż kołysała dziecko w ramionach, śpiewając mu do ucha piosenkę i tuląc małe ciało do piersi. Lecz jej czoło zmarszczyła trwoga. – Tatsuo? – rzekła błagalnym tonem. – Nie 321

idź teraz spać, mój mały wróbelku. Powiedz coś swojej mamie.

Na niebiosa, pomyślał Akitada, cóż uczyniłem? Pobiegł do drzwi, by zawołać pomoc.

Na zewnątrz czekała mała grupka ludzi. Pozostali rodzice odeszli ze swymi dziećmi, lecz Tora, Motosuke i inni urzędnicy czekali wciąż niecierpliwie przy drzwiach. Radość i ulga, jakie poczuli, zniknęły szybko, gdy dostrzegli ponurą twarz inspektora.

– Zabił tego chłopca – wyjaśnił ostrym tonem inspektor.

Tora zareagował pierwszy. Wyjął z rąk jednego z żołnierzy miecz i podszedł do Joto, krzycząc przez ramię. – Będziemy potrzebowali łańcucha!

Matka krzyknęła nagle, tylko raz, lecz był to krzyk, jakiego Akitada nie zapomni do końca życia. Kładąc delikatnie martwe dziecko na podłodze, przeszła chwiejnym krokiem pokój, zmierzając w kierunku Tory i Joto. W połowie drogi zatrzymała się, zachwiała i poczęła osuwać na ziemię. Tora skoczył, by ją złapać.

Nie był wystarczająco szybki. Schylając się pod jego ramieniem, wyrwała mu miecz i uniosła go

oburącz nad głową. Joto wrzasnął przeraźliwie, próbując osłonić rękoma twarz. Matka Tatsuo zadała cios. Ostrze odcięło przedramię mnicha, lecz ze-

śliznęło się tylko po czaszce. Na wszystkie strony chlusnęła krew. Mnich nie przestawał krzyczeć. Za drugim razem zanurzyła miecz głęboko w piersi mordercy jej dziecka. Oczy opata rozwarły się szeroko, wydobyl z gardła bulgoczący dźwięk. Je-go ciałem, odzianym w purpurowy jedwab i przyozdobionym perłami, wstrząsnęły drgawki. Krew wypłynęła ustami, a oczy zasły mgłą.

Nim Tora zdążył ją powstrzymać, kobieta wyciągnęła broń z piersi mnicha, uniosła ją i raz jeszcze ugodziła zwłoki.

* * *

322

Gdy Tora odszukał go w końcu, inspektor stał przed wielkim posągiem Buddy w ledwie oświetlonej świątyni, przyglądając się gładkim rysom twarzy i rozważając jej nieobecny wyraz.

– Paniczu?

Akitada nie odpowiedział.

Sługa westchnął i przestąpił z zakłopotaniem z nogi na nogę. –

Jest tu porucznik Nakano. Chce się z tobą widzieć.

– Powiedz mu, by sobie poszedł.

– Nakano rozpoznał jednego z mnichów.

– Tora, zostaw mnie w spokoju!

Chłopak zawahał się, po czym wyrzucił z siebie pośpiesznie: –

Człowiek, którego rozpoznał, jest byłym oficerem służącym w garnizonie.

Porucznikiem o imieniu Ono. To on dowodził eskortą dwóch pierwszych konwojów. Po pierwszej kradzieży twierdził, iż ledwie uszedł z życiem, gdy zaatakowali ich rabusie. Za drugim razem nie wrócił i uznano, że zginął. A teraz znajdujemy go pośród trupy Joto.

Akitada odwrócił się do sługi. Spojrzenie Tory pełne było niepokoju. – Powiedz o tym gubernatorowi – odparł inspektor bezbarwnym głosem. Lecz na Buddę, na dusze swoich przodków, daj mi święty spokój!

Powrócił do swoich rozmyślań. Po chwili usłyszał oddalające się kroki Tory. Cisza zapadła w półmrocznej sali.

Usta Buddy były miękkie, pełne i kształtne niczym usta dziecka.

Lecz nie zdołał ich bezżębny uśmiech małego chłopca! Oczy posągu spoglądały w dół, lecz jego spojrzenie było straszliwie odległe. Migoczące światło rzucane przez oliwne lampy i świece sprawiało, iż wyglądał tak, jakby oddychał.

– Amido? – wyszeptał. – Czemu dziecko? Czemu niszczy się ziarno, nim rozkwitnie roślina i nim zdąży wydać owoce?

323

Nie usłyszał odpowiedzi. Niektórzy ludzie wierzą, iż Budda jest wszędzie, we wszystkich stworzeniach, nawet w człowieku. Inni spędzają całe dni wzywając jego imienia, by wymóc w ten sposób jego manifestacje lub by zapewnić sobie miejsce w raju.

Chłopczyk codziennie wznosił modły. Czy trafił do nieba? Czy był tam Joto, który czynił podobnie? I czym było to miejsce, to piekło, w którym ludzie zmagali się z losem i kochali, raniąc się wzajemnie, modląc się do obojętnych bogów i prosząc ich o znośniejsze życie?

Nagle ćma, która pojawiła się znikąd, wleciała w płomień świecy stojącej przed obrazem i z cichym sykem zniknęła, zostawiając po sobie zwęglone skrzydła i smużkę dymu.

Młoda kobieta stanie przed sądem za zabójstwo Joto. Być może pogrążona w żałobie już o to nie dbała. Jej mąż przyszedł, by zobaczyć ciało syna. Stał w milczeniu, a łzy spływały mu po policzkach. Objął ramieniem żonę, wpatrując się w jej twarz oczami przepełnionymi miłością i rozpaczą. Szepcząc jej do ucha czułe słowa, błagał, by pomyślała o reszcie dzieci, o swych starych rodzicach, o nim.

Lecz żona milczała nieubłaganie nawet wtedy, gdy zabierali ją żołnierze.

Kobiety potrafią być zawziętymi istotami, żyjącymi tylko według własnych zasad niezrozumiałych dla ich mężczyzn, którzy postępują zgodnie z prostymi prawami, własną ambicją, obowiązkami, traktując swą władzę nad innymi za należącą im się od urodzenia. Co zatem czynić, jeśli to kobiety i dzieci muszą ponosić konsekwencje ich porażek i błędów?

Oderwał wzrok od spalonej ćmy i podniósł go raz jeszcze na złote oblicze. Wszystkie wyobrażenia Buddy były płci męskiej.

Miały duże uszy, co oznaczało, iż wysłuchują wszystkich modłów, i zaokrąglone wzniesienie na czubku głowy, które znamionowało wszechwiedzę. Może Amida potrafi przeczytać jego

myśli?

Nagły podmuch powietrza zakołysał płomieniem świecy i rzucił

cień na złote oblicze. Przez moment wydawało się, iż przymknięte oczy wpatrują się uważnie w twarz inspektora, a głowa pochyla się do przodu.

– Paniczu? – Tora wszedł na palcach do świątyni. – Palankin już czeka. Czas wracać.

Akitada westchnął ciężko i odwrócił się od posągu. – Masz rację. Muszę wracać. Biedna kobieta. Powiemy im, że Joto rzucił

się na mnie i że chwyciła za twój miecz, by mnie ratować.

Tora otworzył z niedowierzaniem usta i pokiwał głową.

* * *

W palankinie zmierzającym powrotną drogą do miasta twarz Motosuke stawała się coraz mniej stroskana. Wpatrując się nerwowo w nieruchome i blade oblicze Akitady powiedział: –

Wiem, jak się musisz czuć. Biedne dziecko. Takich rzeczy nie można przewidzieć. Musisz jednak dostrzec dobro, które uczyniliśmy tego dnia. Musisz pomyśleć o przyszłości. Przeprowadziłeś całe dochodzenie w mistrzowski sposób. Sam powiem o tym jego cesarskiej mości. Jestem pewien, że zajdziesz daleko, służąc naszemu wspaniałemu narodowi.

Inspektor uniósł zasłonę. Wjeżdżali do miasta. Ludzie stali wzdłuż drogi, kłaniając się z szacunkiem, gdy wymijał ich palankin. Jaką cenę trzeba płacić za posiadaną władzę?

Gubernator jeszcze raz spojrział na przyjaciela zaniepokojonym wzrokiem i dokończył: – Patrząc na koniec na wszystko, muszę przyznać, iż mieliśmy wielkie szczęście. Występne kobiety powiesiły się w więzieniu, Ikeda zginął z ręki Seimei, a ta biedna istota uśmierciła Joto. Niebiosa raczą wiedzieć, ile kłopotów przysporzyliby nam jeszcze ci mordercy, gdyby wciąż żyli.

Akitada nie odpowiedział. Sięgnął dłonią za pas i dotknął ma-

łych, wypolerowanych kulek. Różowy kwarc. Modlitewne paciorki.

326

Rozdział 20

Przesłuchanie

Następnego dnia spotkali się w rezydencji gubernatora na wstępne, nieformalne przesłuchanie.

Akitada i Motosuke siedzieli na podwyższeniu, zaś po obu ich stronach zasiedli różni urzędnicy – prowincjonalny komisarz policji, starszy magistrat, burmistrz, przedstawiciel tutejszych gildii kupieckich. Seimei i dwóch niższych rangą urzędników siedziało niżej, za dwoma niskimi biurkami, na których leżały przygotowane narzędzia do pisania i czyste kartki papieru. Wła-

śnie zamierzano przesłuchać świadków w sprawie przeciwko buntowniczym mnichom.

Inspektor przez całą noc nie zmrużył oka. Wątpił, czy kiedykolwiek uda mu się odzyskać spokój

ducha. Wyczerpany, z przekrwionymi oczami, zabrał się do tego, co musiał dokoń-

czyć. Przeczytał na głos zarzuty przedstawione Joto i jego po-plecznikom i poprosił starszego magistrata o rozpoczęcie roz-prawy wszystkich oskarżonych.

Urzędnik, wysoki mężczyzna o czarnej, gęstej brodzie, wzdrygnął się, słysząc słowa inspektora. – Wasza ekscelencja musi być świadom tego, że Joto ma w Kazusie wielu oddanych przyjaciół. Wiem także, że buddyjskie duchowieństwo jest w stolicy otaczane czcią i szacunkiem. Kilkoro książąt cesarskiej krwi jest nawet opatami. Któż może zapewnić, iż my wszyscy nie zosta-niemy wezwani do stolicy, by odpowiedzieć za to, co teraz zamierzamy zrobić?

– Joto nie żyje – odparł Akitada. – A jeśli poczekacie cierpliwie, usłyszycie dowody świadczące przeciwko niemu i jego pomoc-nikom.

327

Ich zbrodnie są tak ogromne, iż nikt w stolicy nie będzie śmiał

ich zatuszować, nawet buddyjski kler.

Starszy magistrat odchrząknął nerwowo. – Mam nadzieję, że wasza ekscelencja nie poczuje się urażony moimi słowami, lecz więzienie przepełnione jest skazanymi, a ja mam teraz na wo-kandzie dwie sprawy o morderstwo. Może powinniśmy posłać do stolicy po kolejnego magistrata i potrzebny personel?

Inspektor spróbował współczuć temu człowiekowi. Właśnie przedstawiono mu do rozpatrzenia sprawę wielce skomplikowaną i politycznie niebezpieczną. Obawiał się reperkusji, a także dodatkowej i zapewne ciężkiej pracy. Nie mógł jednakże pomóc sędziemu ani ukoić jego obaw. – Nie ma na to czasu – odrzekł.

– Urzędnicy gubernatora pomogą tobie i pozostałym sędziom.

Większość potrzebnych dokumentów już skompletowano, zaś świadkowie są do twojej dyspozycji. Zarzuty w każdym oskar-

żeniu są niemal identyczne.

Urzędnik pokłonił się bez słowa.

Do pomieszczenia weszło trzech mnichów, wzbudzając litości-we pomruki. Dwóch wyglądało na poważnie chorych. Starzy, o kaprawych oczach, chwiejąc się na wychudzonych nogach, przeszli przez pokój, zasłaniając się dłońmi przed światłem świec. Choć umyli i ogolili głowy oraz twarze, założyli czyste szaty, spoglądali na siedzących na podwyższeniu urzędników zmieszonym wzrokiem. Akitada rozpoznał trzeciego z nich – był

to starszy mnich, którego widzieli podczas swej potajemnej eskapady do świątyni. Wyglądał lepiej od pozostałej dwójki, lecz wciąż nosił na sobie ślady i siniaki po otrzymanych razach.

Motosuke pociągnął nosem i przetarł oczy rękawem.

– Usiądźcie, proszę, i nie śpieszcie się – zwrócił się do nich inspektor. – Rozumiemy, iż przyszliście, by przedstawić dowody winy mnicha zwanego Joto.

– Ten nic nieznaczący mnich nazywa się Shinsei – przedstawił

328

się rozpoznany mężczyzna. – Jesteśmy wielce wdzięczni jego ekscelencji za uwolnienie nas z grobu, byśmy mogli oskarżyć potwora, który chciał pogrzebać nas żywcem. Służyłem jako diakon, gdy opatem świątyni był wielebny Gennin. Joto był

wtedy jednym z nowo przybyłych mnichów. Przebywałem poza świątynią gdy został opatem, lecz mój przyjaciel Tosai przesłał

mi ostrzeżenie. Wróciłem, podając się za kucharza. Sądziłem, iż w ten sposób będę mógł poruszać się po klasztorze bez przeszkód i że będę bardziej pomocny dla wielebnego Gennina i pozostałych starszych mnichów uwięzionych w podziemiach. –

Starzec westchnął głęboko. – Niestety, jedyne, co mogłem zrobić, to przemycać im resztki jedzenia i odrobinę lekarstw. Byli zbyt uważnie pilnowani. Jego wielebność zachorował. Moja tożsamość była oczywiście znana reszcie braci, lecz pozostali oni lojalni i nie wyjawili jej, udając jednocześnie, że słuchają poleceń Joto. Potem pewnej nocy w złości powiedziałem jedno słowo za dużo i sam znalazłem się w podziemnej celi.

– Ale w jaki sposób Joto mógł wynieść się na urząd opata? –

spytał gubernator.

Starzec popatrzył na niego smutnym wzrokiem. – Pozwoliliśmy mu na to, wasza ekscelencjo. Gdy przybył do klasztoru, wydało nam się, iż jego maniery, jego talenty, a przede wszystkim wiedza znacznie przewyższają nasze. Nasz przeor – Kukai – był

pod największym wrażeniem. Za jego namową Gennin pozwolił, by Joto nauczał. Gdy tłumy ludzi ścigały do świątyni, by wysłuchać jego słów, byliśmy tak radzi, iż zachęciliśmy opata, by mianował Joto pomocnikiem wyższego kapłana. Zaraz potem wyjechałem z klasztoru.

– Mam nadzieję, że jego wielebność Gennin wydobrzeje i wyja-

śni, w jaki sposób Joto doszedł do pełnej władzy – odrzekł Akitada. – A teraz, czy możesz nam opowiedzieć o jakiejś zbrodni popełnionej przez tego człowieka i jego popleczników?

329

– Zbrodni? – zakrzyknął Shinsei. – Złamali wszelkie nakazy Buddy, wypaczyli jego nauki, sprowadzili na manowce wiernych szukających prawdziwej nauki, a dzieci oddane im w opiekę jako

akolici uwiedli, by zaspokajały ich wstrętne żądze. Ale wy chcecie usłyszeć o świeckich przewinach. Możecie ich zatem oskarżyć o kradzież, gdyż zrabowali skarby należące do świątyni. Możecie oskarżyć ich o porwanie i napaść, gdyż uprowadzili i uwięzili opata i wiernych mu braci. Możecie oskarżyć ich o morderstwo, gdyż dziewięciu mnichów zamknię-

tych w podziemnych celach zmarło z braku pożywienia i lekarstw. A jeden z nas, Kukai, dołączył do nich, by zakosztować w tych bezceństwach.

Urzednicy siedzący przed inspektorem zaczęli gorączkowo rozmawiać i zadawać pytania.

Po chwili Akitada uniósł dłoń, prosząc o ciszę. – Panowie, to co usłyszeliście do tej pory, to dowody najohydniejszych ze zbrodni. Zbrodni, które zasługują na najsurowszy wymiar kary. Lecz zaraz usłyszycie, iż na tym nie kończą się zarzuty ciężące nad mnichem Joto.

– Właśnie. Przejdźmy do kradzieży cesarskiego złota – dodał

Motosuke.

Lecz Shinsei i jego kompani nic o tym nie wiedzieli i inspektor puścił ich wolno.

Gdy drzwi otworzyły się ponownie, stanął w nich Tora, niosąc skrzynię pokrytą skórą.

– Ach, tak – powiedział gubernator. – Oto jedna z naszych skrzyń, a oto i znak. – Wskazał na wypaloną figurę i wyjaśnił, w jaki sposób tam się znalazła.

– Powiedz wszystkim, gdzie ją znalazłeś, Tora – rzekł Akitada.

– W jednym ze świątynnych magazynów. W tym samym, w którym trzymali zapasy broni. Beczki z fasolą pełne były mieczy, a pod ścianami stały rzędy halabard. Istna zbrojownia.

330

Akitada zdawał sobie sprawę z tego, iż w obu magazynach, któ-

re sprawdzali, nie powinno być beczek z fasolą, gdyż tylko jeden przeznaczony był do przechowywania jedzenia. Przeoczenie mieczów było dla niego upokorzeniem, lecz zdarzało mu się popełniać gorsze niż ten błąd.

Urzednicy podawali sobie z rąk do rąk skrzynię, przyglądając się jej uważnie i mrucząc pod nosem.

– Co stało się ze złotem? – zapytał starszy magistrat. – I w jaki sposób znalazło się u mnichów?

– Prawdopodobnie wydano je na świątynne budynki – odpowiedział inspektor. – Mnisi zaatakowali konwoje z podatkami.

Mamy świadka ostatniego z tych napadów. Seimei?

Sługa rozwinął zwój Otomi i powiesił go na wystającym gwoź-

dziu. Potem podszedł do drzwi i wpuścił do środka Ayako i jej siostrę. Ubrane w swoje najlepsze stroje uklęknęły przed podwyż-

szeniem.

Widok smukłej figury Ayako, jej bladej twarzy i czarujących oczu był dla Akitady omal nie do zniesienia. Zacisnąwszy pię-

ści, zwrócił się do urzędników: – Oto córki Higeкуро, znanego wszystkim w tym mieście nauczyciela sztuk walki. Młodsza nazywa się Otomi. Jest artystką, która namalowała ten wiszący przed wami zwój. Na nieszczęście jest też głuchoniema. Jej siostra, Ayako, będzie tłumaczyła naszą rozmowę.

Obie siostry zeznały, iż scena przedstawiona na malowidle jest tą samą jaką na własne oczy widziała Otomi, gdy pojechała do świątyni w prowincji Shinano. Gdy Ayako tłumaczyła znaki siostry, opowiadając o napadzie na konwój i o masakrze eskorty, urzędnicy przyglądali się jej z rosnącym niedowierzaniem.

– Ależ to oznacza, że rodziny ofiar domagać się będą sprawiedliwości – powiedział starszy magistrat po cichej wymianie zdań z najbliższym sąsiadem.

– I doczekają jej, sędzio – odparł zmęczonym głosem inspektor.

331

– To będzie bowiem pańskim obowiązkiem.

– Wasza ekscelencja mnie nie zrozumiał. Mówiłem o niepoko-
jach, jakie mogą wybuchnąć. O zamieszkach. Atakach na cywil-
ne władze, które będą musiały strzec więźniów.

– Twoje obawy są nieuzasadnione – warknął w odpowiedzi Akitada. – Zawierz wojsku. Kapitan Yukinari dowiódł chyba swoich umiejętności.

Magistrat zamilkł, czerwieniąc się na twarzy.

Inspektor wiedział, iż nie powinien zareagować w ten sposób.

Stracił panowanie nad sobą a to, co czuł do Ayako, nie pozwala-

ło mu się skupić. Gdy dotarli w zeznaniach do morderstwa Higeкуро i pościgu za jego córkami, wiedział, że pytania, które zadaje, są sztywne, szorstkie i pozbawione uczuć, lecz zadawał

je mimo to, by dobrać do końca. Dziewczyna odpowiadała spokojnym głosem, lecz przez cały czas unikała jego wzroku.

Najtrudniejsze miało dopiero nadejść. Musiał dowieść, iż obie kobiety są wiarygodnymi świadkami.

Otomi z pewnością nie spodoba się to, o co poprosi.

– Chciałbym, abyście ty i siostra zidentyfikowały teraz kogoś.

– Oczywiście – odparła Ayako.

Jakże silny miała charakter. Odkąd weszła do pomieszczenia, zachowywała się w sposób, jakiego nikt nie spodziewałby się po nisko urodzonym mężczyźnie, nie mówiąc już o kobiecie.

– W nocy, której napadnięto ciebie i twoją siostrę, jednemu z napastników udało się zbiec. Jest teraz w naszym areszcie i niedługo zostanie tu przyprowadzony.

Żrenice Ayako rozszerzyły się nagle. – Jeśli to jemu brakuje części ucha, Otomi rozpozna go jako człowieka, który dowodził

napadem na konwój. – Podeszła do zwoju i wskazała na postać siedzącego mnicha. – Jeśli przyjrzycie się uważniej, dostrzeżecie na obrazie okaleczone ucho.

Ułatwiła mu zadanie. – Miałem nadzieję, że go rozpozna, lecz

obawiam się, czy spotkanie z nim nie będzie dla twojej siostry zbyt bolesnym doświadczeniem – powiedział pełnym wdzięczności głosem.

– Moja siostra spełni swój obowiązek – odrzekła sztywnym tonem Ayako.

Dwóch żołnierzy weszło do środka, ciągnąc za sobą wysokiego mężczyznę ubranego w zakrwawione mnische szaty i cisnęło go na posadzkę tuż przed podwyższeniem. Mężczyzna podniósł się powoli, podpierając się na muskularnych ramionach i ukląkł.

– Odwróć się – rozkazał Akitada.

Gdy więzień wypełnił polecenie, z ust Otomi wydobył się zduszony szloch. Drżącym palcem wskazała wprawdzie mężczyznę, a potem zwój. Po czym upadła nieprzytomna na podłogę.

Chwyciwszy ją w ramiona, Ayako powiedziała: – Otomi rozpoznała tego człowieka. To ten sam, który widnieje na zwoju. Ten sam, który dowodził atakiem na konwój z podatkami. – Pochyli-

ła się nad siostrą, próbując ją ocucić.

Więzień skoczył na równe nogi. – Nie słyszałem, by z jej ust padło choć jedno słowo – krzyknął.

– Na kolana – syknął Akitada. – Podaj nazwisko.

– Daishi – odparł mężczyzna ochrypniętym głosem. – Choć nic ci po nim. Nie macie prawa więzić uczniów świętego Joto.

Jeden z żołnierzy złapał mnicha za kark i przyparł go do ziemi.

Drugi sięgnął po bat, spoglądając na inspektora proszącym wzrokiem.

– Ani ty, ani Joto nie jesteście prawowitymi członkami tej świątyni. Podaj swoje prawdziwe nazwisko.

Więzień podniósł głowę i popatrzył hardo na Akitadę. – Daishi.

Żołnierz rozwinął bat i uniósł go w górę.

– Niech i tak będzie – rzekł pośpiesznie inspektor. – Nie ma to teraz żadnego znaczenia. Ty i twoi kompani zostaliście oskarżeni o zdradę i morderstwo. W najbliższym czasie każdy z was 333

zostanie poddany przesłuchaniu, które będzie trwało poty, póki któryś z was nie przyzna się do wszystkich zarzutów. Sądzę, iż wiesz, w jaki sposób się to odbywa.

– Nic mi nie możecie zrobić. – Słowa były aroganckie i bezczelne, lecz na twarzy mnicha pojawiły się kropelki potu.

– Być może będziesz w stanie przetrzymać chłostę bez przyznania się do czegokolwiek, lecz bądź pewny, że twoi kompani szybko zrzucą całą winę na ciebie. Ich zeznania potwierdzą zebrane dowody, jak chociażby to malowidło wykonane przez młodą kobietę, która była naocznym świadkiem waszego ataku na konwój z cesarskim złotem. Dobrze mu się przyjrzyj. Postaci siedzącej na platformie na pokładzie okrętu brakuje kawałka ucha.

Mężczyzna odwrócił się gwałtownie i zobaczył wiszący na ścianie zwój. Dłoń powędrowała mu do prawego ucha. Dolna część małżowiny była oderwana bądź odcięta, zostawiając szkaradną bliznę. Wyglądał na wstrząśniętego słowami inspektora. – To wszystko wierutne i ukartowane wcześniej kłamstwo. Jej tam wcale nie było. To tylko rysunek smoka, nic więcej. O tej porze roku nie było żadnego sztormu – poprawił się pośpiesznie.

Motosuke parsknął. – Słyszeliście go? Zachowuje się jak kot, który wpiera swą niewinność, choć z pyska wystaje mu rybi ogon.

– Dodatkowo, prócz zarzutu dowodzenia atakiem na konwój, zostajesz oskarżony, wraz z dziewięcioma innymi mnichami, o napad i zamordowanie Higeкуро oraz o próbę zabicia jego córek

– dodał Akitada.

– Pamiętasz mnie, draniu!?! – zakrzyknął Tora. – Spotkaliśmy się w świątynnym ogrodzie. Tej nocy złapaliśmy dwójkę twoich braciszków.

– Prawda. Ten mężczyzna był tam. Też go rozpoznaję – powiedziała Ayako ostrym tonem.

334

– Czy potrzebujesz kolejnego dowodu, by w końcu stwierdzić, że jesteś zgubiony? – zapytał

inspektor.

Przez chwilę oczy fałszywego mnicha niczym ślepią osaczonego zwierza przeszukiwały pomieszczenie. Gdy jego wzrok padł na Otomi, wyszarpnął łańcuchy z rąk zaskoczonych strażników i rzucił się do przodu.

Ayako wciąż trzymała w ramionach łkającą siostrę, gdy oszalały z wściekłości mężczyzna, warcząc, klnąc, zaatakował, wywijając nad głową łańcuchem.

Tora chwycił małe biurko stojące przed Seimei i cisnął je przez całe pomieszczenie. Upadło dokładnie pomiędzy nogami mnicha, wywracając go na posadzkę. Nim zdążył się podnieść, doskoczyła do niego dwójka żołnierzy.

Seimei przeklął po raz pierwszy w swoim życiu. Gdy Akitada spojrział na sługę niedowierzającymi oczami, ten wpatrywał się w rozrzucone papiery wściekłym wzrokiem. W sztywnej dłoni wciąż ścisnął pędzelek. Krople rozlanego tuszu poplamiały nową szatę i czubek nosa staruszka. Po chwili milczenia uniósł głowę i popatrzył na inspektora. – Och. Czy jest tu gdzieś może drugie biurko? To znaczy, jeśli to niecodzienne przesłuchanie ma być...

kontynuowane, panie? – powiedział, po czym zabrał się do wycierania nosa kawałkiem papieru.

– To nie będzie konieczne. Właśnie skończyliśmy. – Zabierzcie go stąd – rozkazał dwóm żołnierzom, którzy podnieśli z klęczek potężnego mnicha.

Ayako pomogła siostrze wstać. Ukłoniwszy się przed podwyż-

szeniem, powiedziała: – Jeśli nie będziemy więcej potrzebne, oddalimy się teraz. Moja siostra nie czuje się najlepiej.

Akitada nie wiedział, co odpowiedzieć, lecz wyręczył go Motosuke. – Oddałyście wielkie zasługi tej prowincji i całemu krajo-wi. Obie. Nie zapomnimy, co jesteście nam winni.

Ayako pochyliła nieznacznie głowę. – Dziękuję, wasza eksce-335

lencjo, lecz to zupełnie zbyteczne. Nasza rodzina od zawsze wypełniała swój obowiązek wobec ojczyzny. – Nie spoglądając w ogóle na Akitadę, odwróciła się i podtrzymując siostrę, wyszła z pokoju.

Inspektor siedział w milczeniu pogrążony w bólu.

Gubernator odchrząknął, po czym spytał: – Czy jest jeszcze coś do zrobienia?

– Nie. To już wszystko.

Płatki śniegu

Ciężkie chmury wisiały nisko nad budynkami sądu. Kilka podmuchów wiatru niosących śnieżne płatki drażniło wykrzywające pyski gliniane smoki, strzegące falistych okapów rezydencji gubernatora, by w końcu dopaść Akitady. Inspektor schodził z drogi nieprzerwanej procesji wozów, na które tragarze ładowali dobra Motosuke szykującego się do podróży do stolicy.

Wyszedł za bramę i skręcił w lewo, udając się do prefektury.

Chowając przed wilgotnymi płatkami twarz za kołnierzem, zastanawiał się nad tym, jak bardzo ta wielka przygoda była różna od tego, czego się spodziewał. Ledwie kilka tygodni temu z niecierpliwością wyczekiwał wyjazdu do Kazusy, nie mogąc się doczekać poznania nowych ludzi, poszerzenia wiedzy i wspomożenia swojej kariery. Wszystkie te rzeczy się zdarzyły, lecz ceną za nie było ludzkie życie. Powierzone mu zadanie zamiast satysfakcji i przyjemności przyniosło mu tylko rozpacz i ból.

Utracił bowiem bezcenną rzecz – wiarę w samego siebie. Jedyne, co mu pozostało, to poczucie obowiązku, które zaszczepili w nim rodzice i nauczyciele. Obowiązku w stosunku do cesarza i swojej rodziny, powinności, która osobiste pragnienia i potrzeby czyniła mało ważne i która była wystarczającym powodem, by podążać dalej tą samą ścieżką. Choć perspektywy takiej drogi wydawały się teraz ponure.

Obowiązek zmusił go do wyjścia na dwór w ostatnim dniu spędzonym w mieście.

Budynki prefektury, gdzie najpierw się udał, były znacznie mniejsze od kompleksu mieszczącego administrację prowincji. Za niskim murem stał główny pawilon dla urzędników, więzienie oraz koszary dla posterunkowych. Zastał Aki-337

nobu pochylonego nad biurkiem zarzuconym stertą dokumentów. Nowy prefekt powitał inspektora zmęczonym uśmiechem.

– Przykro mi, że nie mogę poczęstować waszej ekscelencji herbatą – przeprosił. – Wątpię, by na taki luksus pozwolił nasz skromny budżet. Lecz może w zamian zaoferuję czarbkę wina?

– Dziękuję, ale odmówię. Wypiłem już dziś filiżankę wybornej herbaty, którą poczęstował mnie gubernator. Poza tym nie jestem wcale człowiekiem nawykłym do zbytków. Moje zadanie wraz z towarzyszącymi mu zaszczytami dobiegło właśnie końca, a twoje dopiero się zaczyna. Szczerze gratuluję nominacji na prefekta.

Akinobu wykrzywił twarz. – Prawdę mówiąc, jestem tylko urzędnikiem trzymającym nad wszystkim pieczę. Moja praca i obowiązki nie różnią się znacznie od tego, co robiłem, będąc na służbie u gubernatora.

– Kiwnął głową wskazując piętrzące się na biurku stosy dokumentów.

– Jestem pewien, że to tylko przejściowy kryzys – odrzekł Akitada, po czym westchnął. – Mam

wrażenie, że przywiozłem ze sobą do tej prowincji jedynie kłopoty.

– Przeciwnie, wasza ekscelencjo. To nasze kłopoty odszukały ciebie. Jestem wielce wdzięczny za twoją pomoc. Mam zamiar złożyć ci oficjalną wizytę jutro rano, przed twoim wyjazdem.

– Proszę, zwracaj się do mnie po imieniu. A specjalna wizyta nie będzie potrzebna. Musisz wiedzieć, że ja także jestem wdzięczny za twoją pomoc. Wielce cenię sobie twoje zdolności i wiedzę. – Dwóch mężczyzn uśmiechnęło się do siebie i pokłoniło. – Ale jest jeszcze jeden powód moich dzisiejszych odwiedzin. Chcę porozmawiać z jednym z twoich więźniów, człowiekiem zwanym Blizną.

Akinobu uniósł brwi w zdziwieniu. – Czy jest w jakiś sposób powiązany z napadami na konwoje?

338

– Nie. To zupełnie inna sprawa. Trzymacie go, gdyż jest oskar-

żony o zamordowanie prostytutki – Jaśminy. Podejrzewam go o zabójstwo dwóch innych kobiet.

– Tu? w Kazusie? Przecież ten człowiek przybył do miasta ledwie piątego dnia tego miesiąca.

– Nie. Chodzi mi o morderstwa dwóch młodych kobiet, jednej w stolicy, drugiej w Fujisawie.

– Ależ... – Akinobu zawahał się przez moment, a potem spytał:

– Wybacz mi, lecz czemu dopiero teraz dzielisz się tą informacją?

– Nie byłem pewien, aż do dzisiejszego ranka. Choć właściwiej będzie powiedzieć, iż nie zdawałem sobie sprawy z tego, co już wiem. Wciąż domyślałem się tylko wielu szczegółów. Muszę porozmawiać z tym mężczyzną by potwierdzić podejrzenia.

– Obawiam się, iż nie wiesz, o co prosisz. Ten człowiek do tej pory z uporem zaprzecza wszystkim oskarżeniom. Winę za morderstwo kobiety zrzucił na swego niedorozwiniętego kompana.

Akitada pokiwał głową. – Prawda. Omal nie dałem się na to nabrać. Ale biorąc pod uwagę morderstwo prostytutki w Fujisawie i motyw morderstwa Jaśminy, jestem pewien, iż to on ją zamordował. W dniu, w którym zginęła, powiedziała mu, że od niego odchodzi. Że odchodzi do innego mężczyzny. Poderżnął

jej gardło, a zwłoki dał do zabawy choremu osiłkowi, który gu-stuje w krwi i nożach. Choć niedorozwinięty i niebezpieczny, to nie on zabił dziewczynę.

– Też tak podejrzewałem – odrzekł Akinobu. – A te pozostałe morderstwa, o które podejrzewasz Bliznę?

– Sądzę, że w czasie trwania Święta Chryzantem zabił w Heian Kyo młodą szlachciankę, chcąc skraść jej klejnoty. – Inspektor wyciągnął zza pasa ozdobę przedstawiającą niebieski kwiat i położył

ją przed nowym prefektem na biurku. – Oto ich część.

339

Jaśmina sprzedała to cacko miejscowemu domokrażcy, który później odsprzedał je mnie, w dniu, w którym przyjechałem do miasta.

– Nadzwyczajne! – Akinobu pochylił się do przodu, by wziąć w dłonie drobny przedmiot. Przyglądał mu się przez moment, po czym spojrzał na Akitadę. – Zawsze wydawało mi się, że takie klejnoty noszą tylko kobiety należące do cesarskiego dworu. –

Inspektor nie odpowiedział, lecz wyciągnął przed siebie otwartą dłoń. Prefekt zwrócił ozdobę i sięgnął po jakiś dokument. –

Mężczyzna opuścił Heian Kyo dziesiątego dnia miesiąca, w którym zmieniają się liście i przez kolejne dwa miesiące zmierzał na wschód, wzdłuż traktu Tokaido – przeczytał.

Akitada pokiwał głową. – Daty się zgadzają. Musiał bezzwłocznie opuścić stolicę po zamordowaniu kobiety. Na początku bie-

żącego miesiąca przebywał w Fujisawie. Tamtejsza ofiara również była prostytutką której poderżnięto gardło. Przejeżdżaliśmy wtedy przez Fujisawę i mojego sługę, Torę, wzięto omyłkowo za mordercę, gdyż był posiniaczony i ranny.

– Ach, byli więc jacyś świadkowie?

– Tak. W obu przypadkach. W Fujisawie mordercę widziały inne kobiety pracujące w burdelu. W stolicy widział go włóczę-

ga. W obu miejscach świadkowie opisali przestępcę jako szka-radnie oszpeconego mężczyznę.

– Musisz mieć zatem rację – odrzekł Akinobu, wstając. – Wiedz tylko tyle, iż Blizna nie przyznał się do żadnego zarzutu, choć przesłuchiowano go nieraz.

Akitada wiedział, co ma na myśli prefekt. Próbowano wydobyć z oskarżonego zeznania, batożąc go jednocześnie bambusowymi witkami. Była to nader bolesna i okrutna forma tortur. Rzadko nie przynosiła rezultatów.

Przeszli przez dziedziniec, na którym hulał zimowy, wilgotny wiatr i weszli do małego więzienia. Dach budynku przykryła już 340

warstewka świeżego śniegu, tu i ówdzie na rozrzuconym żwirze zamarzały małe kałuże.

W przedsionku siedział zmarznięty strażnik ogrzewający dłonie nad niewielkim paleniskiem. Na jedno słowo Akinobu podniósł

się pośpiesznie i sięgnął po pęk kluczy, wybrał jeden i otworzył

nim ciężkie drzwi. Za nimi Akitada zobaczył wąski korytarz ledwie oświetlony migoczącymi lampami olejnymi zawieszonymi na ścianach. Na prawo i lewo znajdowały się cele, z przodu zaś stało coś, co przypominało inspektorowi rozpalony piec.

Gdy podeszli bliżej, dostrzegł, iż był to tylko mały pokój, na którego środku wykopano dół i otoczono go kamieniami. Na jego dnie rozpalono ognisko, a czarny dym unosił się do góry i wylatywał przez dziurę w krytym strzechą dachu, rozwiewając się na tle stalowoszarego nieba. Krokwie szczeniały od sadzy, brudne ściany plamiły ślady krwi, w pokoju było duszno od go-rąca i dymu. Sceneria przywiodła Akitadzie na myśl krwawe obrazy przedstawiające piekło, które wisiały w buddyjskich świątyniach, przypominając grzesznikom o tym, co ich czeka w przyszłym życiu.

Za dwoma zakratowanymi drzwiami ukazały się twarze. Jedna przypominała księżyc w pełni, druga drapieżny dziób sępa.

Strażnik wyjął kolejny klucz i otworzył trzecią celę. – Wstawaj, łajzo! – krzyknął. – Masz gości.

Postać, która wyłoniła się z ciemności, grzechocząc łańcuchami skuwającymi nadgarstki i kostki, pasowała do tego miejsca jak ulał. Takie twarze przyprawiały wrażliwe osoby o nocne koszmary. Akitada, którego do takiego widoku przygotował opis Tory, cofnął się. Więzień dostrzegł to i uśmiechnął się złośliwie.

W migoczącym świetle rzucanym przez płomień oblicze męż-

czyzny nie przypominało już ludzkiego. Bładoróżowe szerokie blizny i szramy w groteskowy sposób zniekształcały rysy twarzy. Przekrwione oczy tliły się jakąś tajemniczą, głęboko skry-

waną mocą, usta zaś, opuchnięte i purpurowe od uderzeń, rozciągały się w szerokim uśmiechu, ukazując rząd żółtych zębów przypominających kły drapieżnika. Od wysokiej, barczystej postaci zionęło arogancją, wzgardą i butą. Istny diabeł w ludzkiej skórze.

Akitada odwzajemnił spojrzenie, nie wypowiadając słowa, utwierdzając się w przekonaniu, że morderca Jaśminy pasował

do opisu demonicznej postaci odmalowanej w opowieści Szczura. Morderstwo, które widział znajomy włóczęgi, naprawdę się zdarzyło prawie trzy miesiące temu daleko stąd, w stolicy.

Dziwnym zrzędzeniem losu wszystkie trzy morderstwa zostały w końcu ze sobą połączone dzięki niewyobrażalnemu zbiegowi okoliczności.

Pomimo ciepła bijącego od ogniska, inspektor zadrżał. Pięść zacisnęła się wokół trzymanej w rękawie ozdoby. Któż mógł

pomyśleć, że duchy zabitych kobiet w tak przedziwny sposób znajdą swoją zemstę? Niebieski kwiat przywędrował wraz z mordercą, podobną drogę przebył świadek, a Jaśmina, ostatnia ofiara, pozbyła się go, dzięki czemu trafił w ręce jedynej osoby, która mogła pojąć jego znaczenie. Nie wpadł jednak na rozwią-

zanie od razu, jakby nie dostrzegał podtykanych mu pod nos znaków. Śnił o powoju zbrukany świeżą krwią. Otrzymał z domu list informujący o śmierci cesarskiej faworyty pani Asagao, a imię to oznacza powój. I jeszcze jedna wiadomość – jego przystojny przyjaciel Tasaku w niewyjaśnionych okoliczno-

ściach wyrzekł się świata i wstąpił do klasztoru. Plotki o jego sercowych podbojach wśród dam dworu elektryzowały zawsze całe miasto. Może dowie się prawdy, gdy wróci do domu, a może nigdy nie będzie wiedział, co naprawdę się wydarzyło.

Akinobu dotknął rękawa Akitady. – Jego ekscelencja dobrze się czuje?

Inspektor pokiwał głową. Z wysiłkiem spytał więźnia: – Jak się 342

nazywasz i gdzie cię urodzono?

Mężczyzna pokłonił się nisko. – Zwą mnie Roku, to zdrobnienie od Heroku. Z rodziny Sano, do usług waszej miłości – odrzekł

zadziwiająco kulturalnym tonem. – Proszę, wybaczyć mój wygląd.

Te głupie, prowincjonalne psy, które mają czelność zwać siebie urzędnikami, pomyliły mnie z jakimś mordercą. Może jego ekscelencja wyjaśni to nieporozumienie?

Tupet tego człowieka był niewyobrażalny. Ciężka na nim długa lista zarzutów, przyznanie się do nich zamierzano wydobyć kolejnymi torturami, a on wciąż zachowywał się tak, jakby nic się nie stało. Akitada postanowił przystać na grę nieznanego. –

Twoja mowa świadczy, iż wychowano cię w stolicy, w dodatku dobrze wykształcono. W jaki sposób człowiek taki jak ty skończył w tak opłakanym stanie w tak niepasującym do niego miejscu?

Mężczyzna rzucił mu przenikliwe, kalkulujące spojrzenie. –

Ach, gentleman od razu rozpozna drugiego gentelmana. Tak jak powiedziałaś, panie, wychowałem się w stolicy. Uczęszczałem do buddyjskiej akademii mieszczącej się przy Rashomon. Rodzice chcieli, bym został uczonym i nauczycielem, lecz mój duch był bardziej ambitny. Chwyciłem miecz, pobierając nauki w kilku szkołach fechtunku. Gdy moje imię poczyniło cokolwiek znaczyć, wpadłem w tarapaty. Moje umiejętności przysporzyły mi wrogów. Gdy jeden z moich przeciwników wyzwał

mnie na pojedynek, starcie zakończyło się... nieprzyjemnie. –

Uniół dłoń do oszpeconej blizną twarzy i uśmiechnął się krzywo. – Zabiłem go, choć to on pierwszy mnie zranił. Jego przyjaciele oskarżyli mnie o morderstwo. Musiałem szukać szczęścia poza stolicą i w ten oto sposób trafiłem tutaj. Niestety, gdy tylko dotarłem do Kazusy, oskarżono mnie o zamordowanie tutejszej dziwki. Obciążyli mnie zeznania jakiegoś szaleńca, lecz władze, nie dając mi wiary, chciały torturami wymusić moje przy-343

znanie się do winy. – Blizna popatrzył ostentacyjnie na Akinobu, który odwzajemnił mu spojrzenie. Gdy inspektor się nie odezwał, mężczyzna odwrócił się na pięcie. Biała koszula, jaką nosił, naznaczona była na plecach plamami ciemnej, zaschniętej krwi. Uniósł ją by pokazać opuchnięte i ropiejące rany po ude-rzeniach witek. Potem pochylił się i podwinął nogawki spodni.

Skóra na obu łydkach odarta była do żywego mięsa.

Akitada poczuł się niedobrze. Aż dziw, iż ten człowiek wciąż stał o własnych siłach. Napomniał się, by nie pobłażać męż-

czyźnie, którego oskarżono o tak potworne zbrodnie. – Skoro wracam niebawem do stolicy, zabiorę cię ze sobą. Tamtejsze władze szybko uporają się ze wszystkimi zarzutami.

Oskarżony odwrócił się pośpiesznie. – Nie. Nie kłopotcie się, panie. Okryłoby to moją rodzinę hańbą. Proszę tylko, byś napomknął o mnie dobre słowo, gdy dotrzesz do stolicy.

– Nonsens. Tu nic nie mogę zrobić, a tak niedługo będziesz wolny. Klan Sano nie jest na tyle ważny, by mógł okryć się hańbą. – Akitada machnął dłonią z lekceważeniem i odwrócił

się, szykując do wyjścia.

Za jego plecami oszepecony mężczyzna kłął głośno, póki bat strażnika nie sprawił, że jęknął z bólu i zamilkł.

Akinobu ruszył za inspektorem. – Wasza ekscelencja nie mówił

chyba poważnie – zaprotestował, gdy wyszli na zewnątrz. – Ten człowiek kłamie.

– Wiem o tym i mówiłem poważnie – odrzekł inspektor, chwytając w płuca świeże powietrze i łapiąc na język płatki śniegu. –

Wyślę przodem kuriera z raportem.

– A jego zbrodnie popełnione tutaj? A morderstwo w Fujisawie?

To niebezpieczny człowiek.

– Będziemy podróżowali z silną eskortą. – Twarz Akitady była posępna i zmęczona. – Morderstwo, za które będzie musiał odpowiedzieć w stolicy, doprowadzi do szybkiego procesu i na-344

tychmiastowej egzekucji. To więcej, niż uda się wam tu osią-

gnąć bez jego przyznania się do winy.

* * *

Ostatnia wizyta Akitady była jednocześnie najtrudniejsza.

Zwolnił kroku, gdy skręcił w ulicę, przy której stała szkoła Higeкуро. Płatki śniegu pieściły jego policzki. Nie kłopotał się wyciąganiem dłoni z rękawów, by zetrzeć je z twarzy. Mijając bramę bogatego kupca, dostrzegł, iż zniszczyły ją topory policjantów. Zamek wyważono, zaś wejście odgradzały wstęgi no-szące pieczęć tutejszej administracji. Ileż tragedii widziała ta mała ulica przez ostatnie dni! Uniósł głowę, spoglądając w zachmurzone niebo. Śnieg tłumiał wszystkie dźwięki i rozmywał

kształty. Spokojna cisza powróciła do sąsiedztwa, lecz dla niego był to spokój wyzuty z radości.

Drzwi szkoły stały otworem. Gdy podszedł bliżej, w progu pojawił się Hidesato trzymający w dłoniach miotłę i szufelkę.

Wrzucił śmieci do rynsztoka i odwracając się, dostrzegł inspektora. Zadowolona mina w mgnieniu oka ustąpiła miejsca zatro-skanemu grymasowi.

– Przyszedłem, by się pożegnać.

Ulga rysująca się na twarzy sierżanta dotknęła boleśnie. Hidesato rozejrzał się i uklonił, odłożywszy szczotkę i śmietniczkę na bok. – Mam nadzieję, że powrotna podróż jego ekscelencji bę-

dzie bezpieczna.

– Dziękuję. Widzę, że pomagasz, jak możesz.

Policzki sierżanta zapłonęły czerwienią. – Dziewczyny potrzebowały pomocy. Tora jest w środku – dodał po chwili.

Nie zdziwiły go słowa Hidesato. Spodziewał się, że Tora zostanie z Otomi. Przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie. Zapewne wyśmiałyby każdego, kto by mu wtedy powiedział, iż będzie darzył byłego żołnierza i chłopskiego syna tak ciepłym uczu-345

ciem.

Sierżant nie mógł przestać się wiercić. – Jestem bardzo wdzięczny za twoją pomoc, panie. Rozumiem, iż to twoje zeznania oczyściły mnie z zarzutów o morderstwo.

– Nie musisz dziękować. Prędzej czy później i tak by cię uznano za niewinnego.

Mężczyzna potrząsnął głową. – Gdyby nie ty i Tora, nie spotkałbym Ayako i nie byłibyśmy teraz razem. Nie jestem już młody i nie spodziewałem się, że znajdę jeszcze dom i rodzinę, a co dopiero taką kobietę jak ona. Nigdy nie zapomnę, co dla mnie uczyniliście.

Skrywając ból i wściekłość, Akitada odwrócił się plecami do żołnierza i wszedł do sali ćwiczeń.

Drzwi prowadzące na wewnętrzny dziedziniec też były otwarte.

Za nimi oparte o płot stały ośnieżone paczki związanych ze sobą mat i zniszczonych zasłon. W szarym

świetle poranka dostrzegł

Torę siedzącego przy palenisku i czyszczącego łuk Higeкуро.

Być może przyda się niedługo Hidesato. Z kuchni dolatywał

zapach smacznych potraw.

Chłopak powitał inspektora szerokim uśmiechem. Kolejny szczęśliwy mężczyzna! – To miejsce znów wygląda ładnie –

powiedział.

Akitada rozejrzał się dookoła i pokiwał głową. Zauważył, iż pozbyto się zakrwawionych mat, a deski posadzki i kolumny wyszorowano i wypolerowano. Wszystkie bronie były ułożone pod ścianą w należyтым porządku. – Dobrze się spisaliście –

odrzekł bez entuzjazmu i ruszył w kierunku kuchni.

Spodziewał się zastać Ayako przy piecu, lecz w kuchni była tylko Otomi. Klęczała pochylona nad jedwabnym zwojem roz-

łożonym na podłodze nieświadoma obecności inspektora, zajęta malowaniem wizerunku bogini miłosierdzia. Spojrzenie inspektora powędrowało ku podwyższeniu przy oknie. Było puste, jeśli 346

nie liczyć pary na pół wplecionych słomianych sandałów.

Nagła fala żalu za Higeкуро zalała mu serce. Nie mógł pogodzić się ze śmiercią takiego człowieka, gdy wielu mniej godnych ludzi wciąż żyło. Odejście Czarnobrodego było równie niespodziewane, jak śmierć dziecka. Na szczęście nauczyciel nie zginął na darmo. Pragnął bardziej niż czegokolwiek na świecie, by jego córki znalazły sobie mężów, i tak też się stało. Życie toczyć się będzie dalej. Tora, Hidesato i Ayako zajmą się szkołą Otomi dalej będzie malowała, a obie pary spłodzą i wychowają tu swoje dzieci. Ich szczęście niedługo zatrze w domu ślady przelanej krwi.

Odwrócił się i zapytał chłopaka: – Gdzie jest Ayako?

– Nie mam pojęcia. – Tora próbował zbyć swego pana, lecz gdy dostrzegł jego minę, zawołał niskim głosem: – Hidesato!

Głowa sierżanta natychmiast pojawiła się w drzwiach, tak jakby czekał za nimi niecierpliwie, aż Akitada wyjdzie.

– Gdzie poszła Ayako?

Mężczyzna spojrzał na twarz inspektora. Zawahał się, po czym odrzekł: – Do świątyni Kannon... jak każdego dnia... odkąd zginął jej ojciec.

– Dziękuję. Czy zobaczę cię jeszcze dziś wieczorem? – zapytał

Torę.

– Oczywiście. Prawie tu skończyłem. Powiedz Ayako, że kolacja gotowa.

Droga do świątyni wydawała się dłuższa, gdy trzeba ją było pokonać pieszo, lecz Akitadzie wcale się nie spieszyło. Jakże inne były dziś te ulice. Ludzie spacerowali obuci w słomiane sandały i ubrani w zimowe kurtki. Z dziedzińców i ogrodów dobiegały stłumione śmiechy dzieci sprawiające, że czuł się gorzej. Dym z gotowanych potraw wzbijał się w powietrze, ula-tując z kominów, mieszając się z białą mgiełką padających płat-ków. Odgłos kroków milkł na świeżym śniegu i wydało mu się, 347

że kroczy po chmurach.

Poczucie nierzeczywistości jeszcze się spotęgowało, gdy dotarł

wreszcie do opuszczonej świątyni. Dookoła panowała głucha cisza. Budynek wyglądał jak niebiański pałac zamieszkały przez bajkową księżniczkę. Przypominał sobie, jak złowrogie wydawały mu się tamtej nocy ciemne dachy pagód górujące nad czarnymi konarami drzew. Teraz srebrny koc śnieżnego puchu przykrył dachówki i opatulił okapy tak, iż zdało się, że wzbijają się w powietrze niczym skrzydła ptaków. Za magicznym pała-cem białe i czarne gałęzie drzew, milczących strażników świą-

tyni, plątały się, przywodząc na myśl filigranową ozdobę. Zatrzymał się. Przyszło mu na myśl, iż żaden śmiertelnik nie może wkroczyć do tego niezemskiego królestwa bez zatracenia się na wieki.

Ciężyły na nim jednak obowiązki. Przeszedłszy pośpiesznie ulicę, minął czerwone kolumny bramy i wszedł na dziedziniec.

Na ośnieżonej ścieżce dostrzegł ślady stóp prowadzące do świą-

tyni i w górę schodów. Podążył za nimi, próbując ich nie zatrzeć swymi wielkimi stopami.

Nie było jej w środku, choć u stóp malowidła przedstawiającego boginię wciąż paliły się świece, a cienka, wirująca w powietrzu smużka kadzidlanego dymu unosiła się z kadzielnicy. Przeszedł

przez główną salę i wyszedł na tylną werandę.

Ayako stała oparta o jeden z filarów ubrana w skromną ciemną pikowaną szatę. Wpatrywała się w cichy, zaśnieżony ogród. –

Wiedziała, że w końcu przyjdiesz – powiedziała, nie odwracając głowy.

– Byłem bardzo zajęty – nie był świadom wypowiedzianych przez siebie słów. Tak bardzo skupiał całą swą uwagę na zapamiętywaniu rysów jej twarzy, kształtu zgrabnej szyi, sposobu, w jaki prostowała dumnie ramiona. Patrząc na smukłe biodra, raz jeszcze rozbierał ją wzrokiem, przypominając sobie złotą barwę 348

skóry, delikatność jej dotyku, zapach ciała.

Odwróciła się. – Czekałam tu cały dzień. – Jej spojrzenie czule wędrowało po jego twarzy.

– Wszystko się zmieniło.

Pokiwała głową. – Wciąż gniewasz się na mnie. I na Hidesato –

rzekła niespodziewanie.

– Tak. Wiem, że nie mam prawa.

Znów stanęła do niego plecami. – Myślisz, że zaprowadziłam go do łaźni i kochałam się z nim tam, gdzie kiedyś leżeliśmy razem.

Wstydził się płonącej w nim zazdrości, lecz nie mógł skłamać.

– Tak – odparł cicho.

– Mylisz się – westchnęła. – Może, wiedząc to, poczujesz się lepiej. Nie wiem. To bez różnicy, gdyż pochodzimy z różnych światów. Choć mój ojciec coś kiedyś znaczył, to nasza rodzina dawno utraciła swoją rangę – już nie szlachetnie urodzeni, choć wciąż nie pospółstwo. Ojciec pogodził się z tym i nauczył nas, że to, co ważne, zależy od wartości, które rzadko można znaleźć w twoim świecie. Wierzył w honor, lecz według jego kryteriów nawet Szczur miał swój honor. Może nawet więcej honoru niż wysoki urzędnik ze stolicy.

Wściekłość ogarnęła nagle Akitadę. – Jak śmiesz oskarżać mnie o brak honoru? – warknął. – Ty, która oddałaś się zwykłemu sierżantowi, który wszedł do twego domu prosto z ulicy, szukając bezpiecznej kryjówki. Jak możesz myśleć, że nie porzuci cię, gdy poczuje taką potrzebę? Dla człowieka takiego jak on masz wartość tylko dlatego, że dajesz mu dach nad głową, jedzenie w misce i ciepłe łóżko w nocy.

Wzdrygnęła się, słysząc słowa wypowiedziane w gniewie. Odwróciwszy się, powiedziała smutno: – Wybacz mi. Nie chciałam cię urazić.

– W jej głosie usłyszał wzbierające łzy. Owinęła się szczelniej 349

szatą jakby próbowała chronić się przed jego pogardą. – Słysza-

łam o dziecku i żałuję, że nie mogę ci pomóc.

– Ayako – rzekł błagalnie z nagłą skruchą w głosie. – Jeszcze nie jest za późno. Jedź ze mną. – Zamilkł na chwilę i dodał: –

Bądź moją żoną.

– Mylisz się, jest o wiele za późno. Było za późno, gdy po raz pierwszy się spotkaliśmy. Dobrze o

tym wiedziałam, lecz nie mogłam się powstrzymać i za to proszę cię o przebaczenie. Nie mogłabym być twoją żoną nie zmuszając cię do tego, byś żył

tak, jak żyjemy my. Dlatego właśnie muszę wybrać Hidesato.

– Nie!

– Tak. – Stała prosto. Jej postać odcinała się wyraźnie od białego światła za jej plecami. Czarne włosy otaczały wąską bladą twarz i tajemnicze oczy. Ciało miała napięte, ramiona wyprostowane, dłonie zacisnęła wokół czerwonej balustrady tak mocno, iż widział wystające spod skóry kości. Lecz głos jej był spokojny i pewny. – Hidesato to dobry człowiek. Ma więcej honoru, niż ci się wydaje, gdyż nigdy mnie nie dotknął. Zostanę jego żoną gdy tylko stąd wyjedziesz, gdyż tego życzyłby sobie mój ojciec, a ja muszę sobie życzyć tego samego. Razem zapewnimy Otomi normalny dom, a sobie normalne życie.

Akitada stał pogrążony w milczeniu, wpatrując się niemo w jej twarz. Płatki śniegu padały na jej ciemne włosy i topniejąc, rosi-

ły ją kropelkami wody. Pokiwał głową pokonany przez jej stanowczość, jej poczucie obowiązku.

– Musisz już iść – wyszeptała. – Błagam, Akitada! Idź, szybko!

Wyciągnął dłoń, by otrzeć z jej policzków łzy. Odwrócił się i wyszedł.

* * *

Przez pozostałe godziny swego ostatniego dnia w mieście Akitada przechadzał się jego ulicami. Idąc od świątyni miłosiernej 350

bogini dotarł do Pola Bezdomych, po czym skręcił na północ w stronę garnizonu. Stojąc w oddali, przyglądał się, jak Yukinari musztruje swych piechurów. Kapitan będzie ich eskortował jutrzejszego ranka, więc inspektor odszedł, nie zamieniając z nim słowa.

Zaszedł do mieszkalnej dzielnicy bogatych, skręcając w uliczkę biegnącą na tyłach posiadłości Tachibanów. Odrzwia tylnej bramy stały otworem, targane podmuchami wiatru. Zatrzymał

się, by spojrzeć na ogród. Pracownia wydawała się spać opatulona śnieżnym kocem. Gdy mijał małe sadzawki, ryby, wciąż oczekujące karmiącej ręki pana, tłoczyły się przy powierzchni wody. Lecz tylko płatki śniegu opadały na ich pyszczki, topniejąc w mgnieniu oka. Jeden za drugim srebrne i złote kształty zanurzały się z powrotem w czarną głębinę. Wychodząc, odwrócił się raz jeszcze. Ślady jego stóp szpeciły nieskazitelnie białe ścieżki, których być może nikt już nie zamiecie. Zatrzasnął

za sobą bramę.

W nadciągającym powoli zmierzchu ruszył w stronę kolorowych świateł i zgiełku rynku, nie zważając na to, iż stopy zdrę-

twiały mu z zimna. Szedł ulicą uciech pełną upudrowanych twarzy i śmiejących się oczu, kuszących palców wyciągniętych z ciepłych rękawów. Zbywał wszystkie zachęty milczeniem. Słyszał dźwięki cytr i lutni, piskliwe głosiki kobiet i donośne śmiechy ich klientów. Kroczył teraz najbiedniejszymi ulicami miasta, gdzie śpieszące się pary kryły się w zaułkach bądź obejmowały się ukradkiem, opierając o drzwi zamkniętych sklepów.

Czuł się jak duch przemierzający świat żywych.

Było już ciemno, gdy w końcu wrócił do sądu – przemoczony, zziębnięty i zbyt zmęczony, by cokolwiek czuć.

Tora i Seimei pakowali skrzynie. Herbata gotowała się na wolnym ogniu, a na biurku stała taca zastawiona jedzeniem. Przypomniawszy sobie, iż od śniadania nic nie jadł.

351

– Długo czekaliście? – spytał Torę.

– Nie musisz się martwić. Seimei opowiadał mi o twojej matce i siostrach.

Akitada wykrzywił twarz w grymasie. W stolicy czekało na niego życie, od którego starał się uciec. Owdowiała matka rządziła nim i jego siostrami twardą ręką i cierpkim językiem.

– Wyglądasz na zmęczonego – rzekł życzliwie Seimei. – Składanie pożegnalnych wizyt zawsze źle wpływa na samopoczucie.

Zostawiliśmy dla ciebie jedzenie, gdybyś nie został zaproszony na żadną kolację.

– Później, Seimei. Wpierw muszę rozmówić się z Torą. – Popatrzył na chłopaka smutnym wzrokiem. Jakże wyładniał przez ostatnie tygodnie. Nagle zauważył, iż Tora ma na sobie starą niebieską szatę.

– Myślałem, że ją sprzedałeś – powiedział, wskazując na zniszczone ubranie.

– Postanowiłem ją odzyskać. Odpowiada mi i kolor, i krój. Nie mówiąc już o dobrym wrażeniu, jakie sprawia. – Puścił oko do Seimei, a ten zachichotał.

– Rozumiem – odrzekł ciężko Akitada. – Poradzisz sobie bez względu na to, w co się będziesz ubierał, Tora. Będzie mi cię brakowało.

– Odwrócił się, by ukryć to, co czuł. Otwierając pudło z dokumentami, wyszeptał. – Oto twoja zapłata. Dodałem trochę za twoje rady i pomoc przy rozwiązywaniu sprawy. I jeszcze prezent, by pomóc ci zacząć nowe życie. – Wyciągnął przed siebie pakunek.

Chłopak wpatrywał się w niego, nie mając najwidoczniej zamiaru go wziąć. – Już mnie nie potrzebujesz? – spytał bezbarwnym głosem.

– Powiedziałem ci kiedyś, że możesz odejść, kiedy tylko bę-

dziesz miał na to ochotę. Teraz, gdy moja praca dobiegła końca, 352

a ty masz własne plany, nie będę cię zatrzymywał ani chwili dłużej.

– Jakie plany? – spytał rozdrażnionym tonem Tora. – Wciąż boczysz się za to, co powiedziałem o urzędnikach. A ja myśla-

łem, że dałeś mi drugą szansę. – Wyrwał paczkę z dłoni Akitady, rozerwał ją i popatrzył na zawartość. – Bardzo hojnie – rzekł

z szyderczym uśmiechem, po czym cisnął złotą sztabkę i srebrne monety pod stopy inspektora.

– Uważaj na siebie, staruszkule – zawołał do Seimei i wymaszerował sztywnym krokiem z pokoju.

Inspektor wpatrywał się w jego plecy, nie mogąc wyrzucić z siebie słowa. – Co.. ?

– Miał nadzieję, że zabierzesz go ze sobą do stolicy – powiedział stary sługa, opadając zrezygnowany na poduszki. – Tylko o tym mówił cały dzień. Pytał o stolicę, o twoją rodzinę, o to, w jakim domu mieszkanie, czym by się zajmował. Bał się, że mo-

żesz go zwolnić, lecz powiedziałem mu, że nigdy tego nie zrobisz, że będziesz chciał zostawić go przy sobie za wszelką cenę.

Źle zrobiłem, dając mu nadzieję. – Wytarł mokre oczy rękawem. – Zналиśmy go tak krótko. To prawda, co mówią: „Każde spotkanie jest początkiem rozstania”. Będzie mi brakowało tego chłopca.

Akitada potrząsnął głową. Czyżby coś przeoczył? Nabierając nadziei, wybiegł za Torą.

Dogonił go tuż za bramami sądu. Sługa stał w padającym śniegu, wpatrując się w tablicę z ogłoszeniami.

– Tora. Nie wiedziałem, że chcesz z nami jechać.

Chłopak nawet się nie odwrócił. – Nie musisz się mną przejmować. Znajdę sobie inną pracę. To niespokojne czasy. Może wrócę do armii.

– Nie masz zamiaru poślubić Otomi?

Tora odwrócił się gwałtownie, wytrzeszczając ze zdziwienia 353

oczy. – Ja? Ślub?

I tak oto wygląda miłość! Ulga zalała serce Akitady. Strata Otomi była jego zyskiem. – W takim razie może rozważysz po-wrót na moją służbę. Obawiam się, że praca nie będzie ani interesująca, ani dobrze płatna, ale w stolicy aż roi się od pięknych dziewcząt.

Rozdział 22

Powój

W pozbawionym ozdób biurze Urzędu Cenzorów dwóch męż-

czyn w średnim wieku siedziało naprzeciw siebie przy biurku, na którym schludnie ułożono stosy dokumentów. Biurko należa-

ło do Minamoto Yutaki, budzącego postrach dyrektora urzędu, osobistości tak potężnej i wpływowej, iż odpowiadała bezpo-

średnio jedynie przed kanclerzem. Był wysokim, wymizerowanym mężczyzną o rzadkich włosach przyprószonych siwizną ostrym nosie i cienkich, zawsze wykrzywionych ku dołowi wargach. Siedział sztywno wyprostowany, schowawszy dłonie w rękawach ciemnozielonej szaty i spod przymkniętych powiek przyglądał się siedzącemu po drugiej stronie człowiekowi.

Soga Ietada, obecny minister sprawiedliwości, miał na sobie podobny strój, choć o jaśniejszym odcieniu zieleni. Wyglądem jednak różnił się od Minamoto zupełnie, a nawet rzecz by można, iż był jego przeciwieństwem. Otyły, o gęstych włosach, krzaczystych brwiach, bujnym wąsie i włoskach na wierzchu dłoni.

W tej chwili zajęty był wachlarzem i filiżanką herbaty.

– Na dworze nie brakuje takich, co przewidywali inne rozwią-

zanie tej sprawy – rzekł Soga, odstawiając puste naczynie. Wy-mawiane przez nos słowa brzmiały jak skarga.

Dyrektor jeszcze bardziej wykrzywił kąciaki ust. – Fujiwarów musiał pobłogosławić sam Budda. Motosuke wyszedł bez szwanku z niemałej opresji. W dodatku jako człowiek, który zdemaskował niebezpieczny spisek.

Minister wachlował się, nie kryjąc wzburzenia. – Powinniśmy zatrzymać Moto... – przerwał w pół słowa, zamierając z otwartymi ustami.

355

Chudy mężczyzna otworzył szeroko oczy i uniósł do góry dłonie.

– Masz mętlik w głowie, Soga. Z wielką ulgą i niemałą przyjemnością przyjęliśmy rzecz jasna wieści o powrocie Fujiwary Motosuke z Kazusy i jego mianowaniu na wielkiego radcę cesarskiego w Wielkiej Radzie Stanu. Równie wspaniała jest wiadomość, iż jego córka wejdzie do cesarskiego domu.

Minister znów odzyskał głos. – Jeśli da cesarzowi potomka, Motosuke może zostać następnym kanclerzem..

– Całkiem możliwe. – Dyrektor ściągnął wargi w cienką linię i uśmiechnął się gorzko. – A twój urzędnik, Sugawara, dostąpi wtedy zaszczytu zostania ministrem sprawiedliwości.

Soga pobladł na twarzy. – Takiego rozwoju wypadków nikt nie mógł przewidzieć. Sugawara był nikim, a teraz każdy mówi tylko o jego wspaniałej przyszłości. Najgorsze jest to, iż uważa się, że popieramy Fujiwarów, gdyż to ja ci go rekomendowałem.

Dyrektor uśmiechnął się nieprzyjemnie. – Jeśli liczyłeś na inne zakończenie tej sprawy, powinieneś być wybrać kogoś innego.

Jakże mogłeś nie zauważyć umiejętności tego młodego człowieka? Przyjrzałem się jego pochodzeniu i przeczytałem sporządzane przez niego raporty. Skończył na uniwersytecie za-równo chiński, jak i prawo z najlepszymi ocenami, a to nie lada wyczyn, który powinien był mu zapewnić dobrze rokującą na przyszłość posadę w administracji. Zamiast tego skończył w twoich zakurzonych archiwach. Jego raporty są bardziej niż kompetentne i ukazują inteligencję niespotykaną pośród twoich urzędników. Takiego człowieka powinno się uważnie obserwować.

– I dokładnie tak było – jęknął minister. – Lecz ten chłopak za-czął wtrącać się w śledztwa, robiąc kłopoty i pracując na swoje nazwisko. W końcu, w geście desperacji, poleciłem go do tego zadania. Wasza ekscelencja sam mi powiedział, że ktokolwiek się go podejmie, będzie musiał zawieść. Porażka oznaczałaby 356

dla Sugawary koniec kariery i przeniesienie na jakieś podrzędne, prowincjonalne stanowisko.

Dyrektor pochylił się do przodu, taksując ministra lodowatym spojrzeniem. – Nie waż się na mnie zrzucać winy! Sam źle oceniłeś sytuację. Nie mam nic wspólnego z twoją prywatną zemstą, choć żałuję, iż obdarzyłem cię zaufaniem.

Minister zbladł jeszcze bardziej. – Ja.... ja... Nie miałem zamiaru...

– Dość – uciął gwałtownie Minamoto. – Sprawa jest zamknięta.

Gdy tylko gość uklonił się i wyszedł, dyrektor klasnął w dłonie, przywołując pomocnika. – Prześlijcie do mnie Sugawarę – rozkazał.

Akitada potknął się o próg, stracił równowagę i unosząc ręce, by przytrzymać urzędową czapkę, padł niezdarnie na kolana. Czekał przeszło godzinę, obserwując przybycie jego przełożonego, ministra, który minął go, nie kiwnąwszy nawet głową. Przed chwilą Soga wyłonił się z biura dyrektora, ocierając spoconą twarz i spoglądając na swego podwładnego tak wściekłym wzrokiem, iż inspektor wpatrywał się w znikające plecy ministra z przerażeniem.

Teraz klęczał przed jednym z najpotężniejszych ludzi w całym rządzie, człowiekiem, który podobno nie miał ani przyjaciół, ani wrogów, gdyż każdy się go obawiał. Akitada zadrżał na myśl o tym, co go czeka.

– Podejdz – rozkazał cienki głos, lodowaty jak posadzka, na której klęczał inspektor.

Przysunął się do biurka i spojrzawszy ukradkiem do góry. Widok nie dodał mu otuchy. Zimne oczy przyglądały mu się spod przymkniętych powiek i poczuł się jak mysz, której przypatruje się cierpliwy wąż.

– Ty jesteś osobą którą wysłano do Kazusy jako inspektora w celu zbadania dokumentów ustępującego gubernatora?

357

– Tak, wasza ekscelencjo.

– Przeczytałem twój raport. Jeżeli chodzi o sprawę podatków, opisuje on niewiarygodnie niedbałe i dowolne metody prowadzenia śledztwa, pochopność działania, która graniczyła z szaleństwem i przerażający brak dbałości o najbardziej fundamentalne zasady zachowania. Wywiązałeś się z powierzonego ci zadania jedynie dzięki niewiarygodnemu szczęściu i sprzyjają-

cym okolicznościom. Co masz mi do powiedzenia?

– Pokornie żałuję za swoje nierozważne postępowanie i będę się usilnie starał wyciągnąć ze swych błędów naukę.

Zapadła chwila milczenia. Gdy podniósł wzrok, zobaczył, iż dyrektor wpatruje się w odległy punkt, tak jakby Akitada nie był

już godny jego uwagi. – Jeśli sugerujesz, iż spodziewasz się w przyszłości otrzymać podobne zadanie lub odpowiedzialne stanowisko, jesteś jeszcze mniej inteligentny, niż się spodziewałem

– przemówił w końcu Minamoto beznamiętnym głosem. – Nie stać nas na to, by zatrudniać partaczy.

Inspektor z przerażenia zamarł w bezruchu.

– Jednak piszesz w przejrzysty sposób i zdaje się, że dobrze sobie radzisz z rewizją prowincjonalnych dokumentów. Takie umiejętności przydadzą się w administracji. Inni wydają się bardziej zachwyceni twoimi wyczynami w Kazusie niż ja. Tylko dlatego rekomenduję twoje przeniesienie do Ministerstwa Ceremonii. Oznacza to promocję o połowę stopnia i podwyżkę płacy. Według mnie nie zasługujesz ani na jedno, ani na drugie.

Serce Akitady przestało bić. Ministerstwo Ceremonii? Do jego powinności należałoby sporządzanie rejestrów wszystkich urzędników, spisywanie ich rang, piastowanych stanowisk i urzędów, nominacji, promocji i degradacji. Podczas pałacowych ceremonii byłby odpowiedzialny za ich przebieg, rozrywki, go-

ści i protokół. Stanowisko zapewniało status i dochód, lecz nie rzucało wyzwania ani nie dawało widoków na dalszą karierę.

358

Patrząc dyrektorowi prosto w oczy, powiedział: – Z całym szacunkiem muszę odmówić, wasza ekscelencjo. Pobierałem nauki w prawie, nie w ceremonii. Liczyłem na kolejne zadanie odpowiednie dla moich kompetencji. Jeśli nie jest to możliwe, wołał-

bym wrócić na swoje poprzednie stanowisko w Ministerstwie Sprawiedliwości. – Wypowiadając pierwsze słowo, wiedział, że popełnia niesłychane wykroczenie, naruszając dworską etykietę.

Zmieszany padł przed dyrektorem na twarz.

Przez chwilę jedynymi dźwiękami, jakie słyszał, były oddech dyrektora i uderzenia jego paznokci o blat biurka. Oba niosły z sobą tłumiony gniew.

Gdy dyrektor przemówił, jego głos najeżony był drwiną niby sopłami lodu. – A więc odmawiasz awansu? Chyba nie jesteś świadom, jaką popełniasz obrazę – rzekł z przesadnym spokojem. – Pozwól, że wytknę tylko kilka z twych błędnych ocen sytuacji. Zostałeś posłany, by zbadać pewne braki, a zatem z prostym zadaniem, do którego potrzebna była jedynie znajomość rachunkowości. Zamiast tego podjąłeś decyzję o posłużeniu się wojskowymi i cywilnymi siłami przy demaskowaniu pewnych nieprawidłowości w tamtejszej świątyni. W efekcie zostawiłeś po sobie stos trupów i stertę nikomu niepotrzebnych papierzysk. Spójrz na mnie! – zagrzemiał nagle. Akitada drgnął i podniósł głowę. Dyrektor wskazywał na piętrzące się dokumenty. – To tylko mała próbka tego, co przyniosła twoja wizyta w Kazusie. Tu leżą raporty z czterech różnych ministerstw, które udało ci się wmieszać w to dochodzenie. Tam teczki dotyczące skonfiskowanych w świątyni dóbr wraz z petycjami od buddyjskiego kleru zarówno ze stolicy, jak i z Kazusy. Ten stos to prywatna korespondencja od wysoko postawionej szlachty i wpływowych urzędników żądających bądź zdelegalizowania buddyzmu, bądź wygnania cię jako wroga prawdziwej wiary.

Lodowate spojrzenie wwiercało się niemiłosiernie w inspektora.

359

– Wyraźnie przekroczyłeś swoje uprawnienia. Co masz do powiedzenia w swojej obronie?

Akitada z trudem przełknął ślinę. Był świadom popełnionych błędów i omyłek, wiedział o ciężącej na nim odpowiedzialności za śmierć zarówno niewinnych, jak i winnych zarzucanych im zbrodni. Wszystko czynił jednak z dobrych chęci i dlatego odrzekł: – Obawiam się, wasza ekscelencjo, że wzięłem działania mnicha Joto za zagrożące rządowi. Przy podejmowaniu wynikłych z tego przeświadczenia decyzji zawsze kierowałem się urzędową przysięgą, którą złożyłem, gdy zostałem sługą jego cesarskiej mości. Inne zachowanie byłoby tylko zaniedbaniem obowiązków.

– Śmiesz się jeszcze bronić? – Dyrektor pochylił się nad biurkiem, uśmiechając się szyderczo. – Brakowało ci zarówno dojrzałości, jak i doświadczenia, by podjąć podobną decyzję. Iście absurdalny pomysł! Żaden zwyczajny, prowincjonalny mnich nie mógłby stanowić zagrożenia dla naszego rządu. Właściwym ruchem byłoby przedłożenie zarzutów tamtejszemu sądowi.

Zamiast tak postąpić, zwlekałeś, zapewne by zapewnić sobie uznanie i oklaski, dając zbrodniarzowi wystarczająco dużo czasu na zabicie kolejnych ofiar.

Słowa te niosły ze sobą smutną prawdę. Higeкуро żyłby, gdyby Akitada zareagował szybciej. Młody chłopczyk bawiłby się no-worocznymi prezentami, gdyby inspektor nie naraził na niebezpieczeństwo jego i innych akolitów. Odpowiedzialność za ich śmierć ciążyła mu na sumieniu. Raz jeszcze padł przed dyrektorem na kolana.

– Wspomniałem wcześniej, że powiodło ci się tylko dzięki szczęściu – kontynuował dyrektor. – Być może powinienem ci przypomnieć, że malowidło niewidomej dziewczyny trafiło w twoje ręce tylko przez przypadek. Szczęśliwie udało ci się rozwikłać sprawę morderstwa pana Tachibany tylko dlatego, że 360

morderca był nieostrożny i nie zatarł wszystkich śladów. A aresztowanie popleczników Joto było możliwe tylko dlatego, że zorganizowano święto, które umożliwiło ci przemycenie w świątynne mury całego garnizonu żołnierzy. W tak sprzyjają-

cych okolicznościach i kompletny idiota odniósłby sukces. Mi-mo to pokierowałeś akcją tak nieudolnie, że przestępca zabił

dziecko i rzucił się na ciebie. Wraz ze śmiercią zbuntowanego mnicha, którego, by chronić twe życie, zabiła matka uśmierco-nego chłopca, straciliśmy cenne zeznania głównego podejrzanego.

Akitada uderzył czołem o rozłożone na podłodze maty. Dostrzegając słuszność ostrej krytyki, wstydził się tego, że w powrotnej drodze rozmyślał o czekającej go nagrodzie. Gorączkowo szukał

odpowiednich słów, by wyrazić swą skruchę.

– Skoro nalegasz, możesz wrócić do swych poprzednich obowiązków w Ministerstwie Sprawiedliwości. Rzecz jasna, urząd przez ciebie sprawowany nie usprawiedliwi nadania wyższej rangi. Możesz odejść.

Młody szlachcic wstał i kłaniając się głęboko, począł wycofy-wać się tyłem w kierunku drzwi. Gdy dotknął piętami progu, odchrząknął. Potężny człowiek podniósł głowę znad dokumentów, które czytał.

– Niech jego ekscelencja wybaczy moją bezczelną ciekawość, lecz trapi mnie myśl, jak skończyła się cała sprawa – rzekł drżą-

cym głosem.

– To nie powinno cię już interesować, lecz mogę ci chyba powiedzieć, że zdecydowaliśmy się wykluczyć z duchownego stanu zbuntowanych mnichów i skazać ich na ciężkie roboty przy północnej granicy. Jeśli nie będą sprawiali kłopotów, będą mogli zaciągnąć się do przygranicznego wojska. Władzę nad swią-

tynią przejął poprzedni opat. Mianowano też nowego prefekta. –

Zauważając niepokój rysujący się na twarzy inspektora, dyrek-361

tor dodał niechętnie: – Najwyższe pochwały, jakimi obdarzył

dwójkę ze swoich sług były gubernator Fujiwara, zaowocowały tym, iż obaj awansowali. Jego sekretarz, Akinobu, zostanie za-stępcą nowego gubernatora, którym mianowano pozostającego w stolicy brata jego cesarskiej mości. Drugi awans dotyczy do-wódcy garnizonu, Yukinariego, którego przeniesiono do cesarskiej straży. To chyba wszystko, co chciałeś wiedzieć.

Byłego już inspektora ucieszył los Akinobu i Yukinariego, lecz myśli zaprzętała mu inna sprawa. – Przywiozłem ze sobą do stolicy więźnia, wasza ekscelencjo. Jest oskarżony o inne przestępstwo, o zniknięcie pani...

– Cisza! – zakrzyknął Minamoto, zrywając się zza biurka. Wymierzył drżący palec w Akitadę. – Masz zapomnieć o wszystkim albo zgnijesz na wygnaniu, od którego nie będzie odwołania. Masz nie zadawać pytań, nie wspominać o żadnej części swego dochodzenia ani nie kontaktować się z osobami nawet luźno powiązanymi ze śledztwem. Nigdy. Zrozumiałeś?

– Tak. Wybacz mi.

– Możesz odejść.

Akitada umknął z tonących w półmroku pokoi i korytarzy na wysypany żwirem dziedziniec. Tam zaczerpnął w płuca zimne-go powietrza, by po chwili przez zadaszoną bramę wyjść po-

śpiesznie na ruchliwą ulicę. Po jego prawej ręce stały pawilony pałacu Ośmiu Ministerstw, z którego wewnątrz cesarz kierował

administracją, a ta jego poddanymi.

Za nimi znajdowały się budynki pałacu Dworskich Świąt, a za tymi, pomiędzy wieloma mniejszymi pawilonami, stało Ministerstwo Sprawiedliwości. Jego obowiązkiem było udanie się tam bezzwłocznie, by zameldować o swoim powrocie, lecz peł-

na wzgardy twarz Sogi wciąż nawiedzała jego myśli. Odwrócił

się na pięcie i poszedł w stronę wielkiej bramy i leżącego za nią miasta.

362

Warstwa śniegu zaścielała dachy i ulice. Zdobiące budynki de-koracje przygotowane z gałęzi i konarów sosny oznaczały zbli-

żanie się nowego roku. Ludzie śpieszyli zadowoleni i podnieceni, stąpając w drewnianych sandałach. Jutro cesarz ogłosi nowe nominacje i promocje. Zwyczajowo szczęśliwi beneficjenci cesarskiej szczodrości, by uczcić życzliwy uśmiech losu, zaproszą następnie wszystkich, którym się nie poszczęściło. Akitady spo-dziewano się w posiadłości Kosehiry, gdzie wielkie przyjęcie wydać miał jego kuzyn Motosuke, który zamieszkał tam do czasu, gdy odpowiednie pawilony gotowe będą na przyjęcie nowego kanclerza.

Skręcając w kierunku domu, zastanawiał się, jak przekazać nowiny matce. Znów będzie na niego zła, gniewając się, że za-wiódł. Ledwie starczało im na utrzymanie, a wrócił z kolejną gębą, którą trzeba będzie wykarmić. Stosunek pani Sugawara do Tory był co najmniej niejasny. Po wyrażeniu swego niezadowolenia w rozmowie z synem na osobności, przyjęła chłopaka na swoją osobistą służbę.

Myśl o Torze rozweseliła trochę Akitadę. Może idzie ku lep-szemu. Znów będą mieli czas na poranne ćwiczenia. Dziś miał

zamiar pokazać słudze miasto. Uśmiechnął się pod nosem.

Przynajmniej nie będzie się musiał przenosić do Ministerstwa Ceremonii.

* * *

Tego wieczoru, zapewne najgorszego, jaki mógł wybrać na oprowadzanie Tory po mieście, stanął przed bramą posiadłości Kosehiry. Pokazywanie Tygrysowi Tokaido przyjemności, jakie skrywała stolica, pośród których były rzecz jasna winiarnie, wymazało w końcu z pamięci obraz gadzich oczu Minamoto.

Miało jednak swoją cenę. Akitada poczuł narastający powoli ból głowy.

363

Był prawdopodobnie jedynym gościem, który przybył pieszo.

Pochodnie rozświetlały ulicę i odgradzony murem dziedziniec, na którym stało ściśniętych obok siebie przynajmniej pięćdziesiąt najróżniejszych powozów. Wyprzęgnięte z nich woły pasły się w pobliżu, przeżuwając siano, podczas gdy ich woźnice siedzieli przy małych ogniskach, rozmawiając bądź grając w kości.

Znał drogę i skierował swe kroki w stronę głównego pawilonu i jego salonów. Wszędzie aż roiło się od służby. Ktoś pomógł mu zdjąć buty, ktoś wziął od niego pikowaną szatę, zaś trzecia osoba przystawiła mu pod nos lustro, tak by mógł poprawić kapelusz.

Z pokoi dobiegał gwar rozmów i donośne śmiechy. Zajrzał do każdego z nich, szukając znajomej, roześmianej i okrągłej twarzy Kosehiry. Pozostali goście onieśmielali go straszliwie. Są-

dząc po barwach dworskich szat i wstęgach na kapeluszach, świadczących o randze ich posiadacza, Motosuke miał w stolicy wpływowych przyjaciół. Być może, pomyślał, wciąż wspominając spotkanie z dyrektorem Minamoto, powinien zostawić wiadomość, w której pogratulowałby Motosuke, sam zaś wymknąć się stąd ukradkiem.

Za późno! Właśnie wypatrzyło go spojrzenie Kosehiry.

– A oto i nasz bohater! – zakrzyknął. – Wejdz, Akitada. Wejdz.

Wszyscy na ciebie czekają.

Zawstydzony spłonął rumieńcem. Rozejrzał się niepewnie i dostrzegł trzech książąt cesarskiej krwi, dwóch ministrów, kilku cesarskich doradców i jednego wuja boskiego władcy. Kosehira podszedł do niego i za rękaw wciągnął do pokoju. Jego dobry humor i radosny uśmiech były zaraźliwe. Zewsząd padały pytania, na które odpowiadał pobieżnie, acz ostrożnie, mając nadzieję, że nie łamie przy tym żadnej reguły, o której istnieniu go nie uprzedzono.

Wciąż czuł zawroty głowy i obawiając się, że może powiedzieć 364

coś niestosownego, odmówił wina. Ironią losu było widzieć tylu prominentnych ludzi zadowolonych z jego sukcesu, podczas gdy dwójka mężczyzn, w których rękach leżała jego przyszłość, uważała go za głupka i partacza.

Kosehira poprowadził go przez tłum do drugiego pokoju. Tam, na honorowym miejscu, siedział Motosuke ubrany w olśniewające purpury, cały czerwony na twarzy od wina i śmiechu. Gdy zobaczył Akitadę, zerwał się, objął go i kazał usiąść koło siebie na wygodnych poduszkach.

– Oto człowiek, któremu zawdzięczam moje szczęście – oznajmił. – Jeśli kiedykolwiek wpadniecie w tarapaty, pošlijcie po niego, a odmieni wasz los.

Odpowiedział mu gromki śmiech i kolejne pytania. Tym razem powściągliwość Akitady była zbędna. Motosuke sam, barwnie i szczegółowo, opowiedział o wydarzeniach, które rozegrały się w Kazusie, wtrącając tak pochlebne słowa o geniuszu inspektora, iż ten wolałby zapaść się ze wstydu pod ziemię.

Z kłopotliwej sytuacji wybawił go w końcu Kosehira. – Dość tego gadania, kuzynie – rzekł nowemu kanclerzowi. – Jest tu ktoś, kto chciałby poznać naszego bohatera.

Wyszli z głównego pawilonu przez jedną z zadaszonych galerii i weszli do prywatnych pokoi Kosehiry. Akitada umierał z ciekawości, lecz jego przyjaciel milczał jak grób. Śmiechy i rozmowy ucichły, a gałęzie i konary drzew zasłaniały światło pochodni i latarni. Otoczyła ich cisza zimowego ogrodu.

Dostrzegł jezioro, nad którym Kosehira wyprawił mu przed po-dróżą na wschód pożegnalne przyjęcie. – Jakże inaczej wygląda teraz ogród. Czy naprawdę ktoś na mnie czeka, czy też masz zamiar odbyć ze mną poufną rozmowę?

– Dowiesz się za chwilę – odrzekł tajemniczo przyjaciel. Wkroczyli do zaciemnionego korytarza, który prowadził do pracowni Kosehiry. Przed drzwiami młody Fuj i wara złapał Akitadę za 365

rękaw. – Jest w środku. Dołącz do nas później – powiedział i odszedł.

Otworzył drzwi. Jedyne światło księżycy i odbijający je na dworze śnieg oświetlały leżący za nimi pokój. Na werandzie siedziała nieruchoma postać ubrana w ciemne szaty mnicha.

Była odwrócona do Akitady plecami, przesuając pomiędzy palcami modlitewne paciorki.

Musiało zajść jakieś nieporozumienie. Cóż mógł chcieć od niego mnich? Miał zamiar wycofać się

niepostrzeżenie, gdy ciepły głos zapytał: – To ty, Akitada?

Poznał go od razu i poczuł wzbierający w sercu ból. – Tak, Tasuku. Przysłał mnie tu Kosehira.

Postać wskazała leżące obok niej poduszki i przywołała go gestem ręki. Podeszedł i usiadł.

Teraz, widząc wreszcie twarz przyjaciela, zdumiał się wielce. Po gęstych, błyszczących włosach nie było śladu, ogolona na łyso czaszka połyskiwała w księżycowej poświacie jak srebro. Przystojne niegdyś oblicze było wychudzone i wyniszczone. Zniknę-

ła gdzieś młodzieńcza krągłość policzków, podbródka i ust, zniknęła zdrowa opalenizna. W oczach płonął wciąż ciemny ogień, lecz usta przestały się uśmiechać. Co gorsza, przez skórę na nadgarstkach prześwitywały kości, a dawniej muskularne ramiona zapadły się, jakby ciężar ciemnych szat był dla nich nie do udźwignięcia.

– Tasuku – zakrzyknął. – Chorowałeś?

– Zwą mnie teraz Genshin. – Uśmiechnął się smutno. – Nic mi nie jest. A tobie? Wróciłeś okryły chwałą tak przynajmniej słyszałem. Wygląda na to, iż myliliśmy się wszyscy, gdy próbowaliśmy odwieść cię od tej podróży.

Akitada popatrzył na zasypany śniegiem ogród i jezioro, nad którym spędzali wiele czasu, godzinami układając wiersze. Jak-

że często musiał patrzeć na gwałtowną śmierć. Raz jeszcze zo-366

baczył zapisane w pamięci obrazy – połamane ciało malutkiego chłopczyka, rozplataną czaszkę Higeкуро i trupy zaścielające posadzkę wokół niego. Słabowite ciało pana Tachibany.

Po dużym tarasie głównego pawilonu przechadzali się goście Motosuke, podziwiając skąpane w poświacie księżycy drzewa.

Ktoś wychylał się poza balustradę, próbując dojrzeć przez gałę-

zie leżące za nimi jezioro. W ten sam sposób zwykła stawać Ayako. Westchnął.

– Nie, mieliście rację. To zadanie okazało się najtrudniejszą rzeczą, z jaką spotkałem się w całym moim krótkim życiu.

Przyjaciół spojrzeli na niego zdziwionym wzrokiem, po czym, unosząc głowę, popatrzyli na wiszący nad nimi księżyc. – To wciąż ten sam księżyc, ale jakże obaj się zmieniliśmy.

Kiedyś Tasuku skorzystałby z okazji i ułożył długi wiersz oplakujący utracone szczęście. Miał rację. Obaj zmienili się bardzo.

I tak już miało pozostać.

– Nie pytasz, czemu wyrzekłem się świata?

– Nie, Tasuku. Wybacz mi, Genshinie. Smuci mnie twoja decyzja, lecz ją rozumiem.

Żarzące się źrenice wpatrywały się w twarz Akitady. – Jakże to?

Zamiast odpowiadać, wyjął zza pasa mały, niebieski kwiat i podał go przyjacielowi.

Usłyszał głęboki, gwałtowny wdech i zobaczył szczupłą dłoń zaciskającą się na ozdobie.

– Wybacz, że sprawiam ci ból.

– Czynię znaczne postępy w klasztornej dyscyplinie. Niedługo, mam nadzieję, sprawy tego świata przestaną mnie obchodzić.

Prosiłem o spotkanie z tobą, by móc się pożegnać. I pogrzebać na zawsze to, co rani me serce. Słyszałem, że przywiozłeś ze sobą jej mordercę.

Żołądek Akitady skurczył się nagle na wspomnienie groźących słów dyrektora. – Nie chcę pomnażać twego cierpienia.

367

Na bladej twarzy mnicha zakwitł uśmiech, który przypomniiał

mu starego Tasuku. – Tylko w zapomnieniu leży wyzwolenie od bólu. A tylko prawda pomoże mi zapomnieć.

– Pani Asagao była twoją kochanką? – spytał, ulegając prośbie przyjaciela.

Młody mężczyzna pokiwał głową. – Nie ma wytłumaczenia na to, co zrobiłem, choć wychowywałem się razem z Asagao. Byli-

śmy sąsiadami. Kochałem się w niej już wtedy, lecz posłano ją na służbę do nowej cesarzowej. Od czasu do czasu składałem jej wizyty, przynosząc listy od rodziny. Wiedziałem, że nie jest szczęśliwa. Pewnego razu powiedziała mi, że cesarz zaszczycił

ją... zwracając na nią uwagę – dokończył, zamknąwszy powieki.

Po chwili milczenia wziął głęboki wdech i mówił dalej: – Umierałem z zazdrości i całą złość, całą wściekłość obróciłem przeciwko niej. Biedna dziewczyna. Cóż mogła począć? – Płonący wzrok mnicha utkwiał w oczach inspektora. – Uwiodłem ją Akitada. Spotykaliśmy się potajemnie w letnim pawilonie starej willi stojącej pośrodku opuszczonej części miasta. Wsiadała w palankin, który zabierał ją z pałacu do domu jej byłej niańki.

Stamtąd prowadziłem ją do naszej kryjówki. – Westchnął ciężko i popatrzył na biały ogród. Akitada czekał cierpliwie.

– Nie byłem jej wart. – Cierpiący głos dobywający się z ust mnicha brzmiał dziwnie. – Ryzyko, na jakie ją naraziłem i na jakie się zgodziła, było ogromne. Jej dowód miłości. Naraziła na niebezpieczeństwo swoją reputację i przyszłość rodziny tylko po to, by ze mną być. Ale ja nie byłem zadowolony. Chciałem jej tylko dla siebie. Żądałem, by raz po raz udowadniała mi swą miłość. Paradowałem dumny jak paw, wiedząc, że cesarska fa-woryta woli mnie od boskiego władcy. Lecz i to mi nie wystarczyło. – Głos załamał się i Tasuku zamilkł.

Akitada zadrżał. Zimowy chłód sączył się przez grube deski werandy. Żałował, że siedzą na dworze, a on nie wziął ze sobą 368

wierzchniego okrycia. Na jego przyjacielu mroźne powietrze zdawało się nie robić żadnego wrażenia, choć mnisie szaty, któ-

re nosił, były żałośnie cienkie.

– Ostatniej nocy zażądałem jeszcze jednego dowodu. Przekona-

łem ją, by cały następny dzień i całą noc spędziła ze mną. Wiedziałem, że przez to nasz związek wyjdzie na jaw. Płakała, klę-

cząc przede mną. Zaklinała się na wszystkie świętości, że nie dba o własne życie, ale nie może skrzywdzić jego cesarskiej mości, od którego doświadczyła samej dobroci. Byłem niewzruszony, lecz nie zmieniała zdania. Wychodząc, poprosiła, bym ją odprowadził. Odmówiłem.

Zapadła cisza. Inspektor położył dłoń na rękawie przyjaciela.

Ramię skryte pod lichym materiałem było przeraźliwie chude. –

Przykro mi – rzekł cicho.

– To straszne. Tej nocy, na moim pożegnalnym przyjęciu... mia-

łeś przy sobie jej wachlarz, prawda?

Wygolona głowa pochyliła się do przodu i pokiwała. – Zapomniała zabrać go ze sobą. Jedyne rzecz, jaka mi po niej została.

Wtedy widziałem ją po raz ostatni. Minęły tygodnie. Sądziłem, że wróciła do pałacu. Potem doszły mnie pierwsze plotki o jej zniknięciu. Z niepewności i niewiedzy wychodziłem wprost z siebie. Tak właśnie czułem się na twoim przyjęciu.

– Jak możesz słuchać opowieści o tym, co się stało?

Mnich podniósł do góry głowę. – Widziałem śmierć jej mordercy. – Co?

– Była to straszliwa śmierć. Śmierć, jaką ja powinienem był

zginąć, gdyż to ja byłem jedynym winnym. To ja dałem mu spo-sobność do popełnienia zbrodni. Oszczędzono mnie. Oszczę-

dzono, choć wszyscy znali prawdę. Oszczędzono, gdyż zostałem mnichem. – Zamilkł na chwilę i popatrzył w rozgwieżdżone niebo. – Nie wybaczone mi jednak wszystkiego. Osobisty sekretarz cesarza złożył mi w klasztorze wizytę. Przekazał wiado-369

mość, iż morderca pani Asagao został skazany na śmierć, lecz przed egzekucją poprosił o widzenie z duchownym. Ja miałem nim być.

– Tasuku, nic im o tobie nie powiedziałem.

Przyjaciel uśmiechnął się ciepło. – Wiem, lecz dowiedzieli się prawdy. Musiała zachować gdzieś moje wiersze. Rozpoznał

mnie też człowiek, od którego wynajmowaliśmy domek. Lecz to nieistotne. Odmówiłem życzeniu, wykręcając się brakiem do-

świadczenia, lecz usłyszałem w odpowiedzi, iż skazany prosił o mnie, wymieniając me imię.

Wtedy to domyśliłem się, że wiedzą o wszystkim. Sekretarz opowiedział mi, gdzie i kiedy zabito Asagao, a potem zostawił

mnie, bym wił się w potwornym poczuciu winy.

– Okrutnie się z tobą obeszli.

– Okrutnie? Och, nie. Już ci powiedziałem. Widziałem śmierć tego biedaka. Nie nadeszła szybko. Mnie włos nie spadł z gło-wy.

– Mogli nie zrobić ci fizycznej krzywdy, lecz i tak zemścili się w okropny sposób – odparł podenerwowanym tonem Akitada. –

I nie żałuj tego zwierzęcia. Zabił dwie inne kobiety, po tym jak zaspokoił się ich ciałami. Mogło się na tym nie skończyć, gdybym nie zgadł, iż to on jest mordercą pani Asagao.

– Nie zgadł? Więc ty to zgadłeś? – Skrzące się oczy Tasuku wpatrywały się uważnie w twarz przyjaciela.

– Być może pomogła mi w tym pani Asagao – odparł i zadrżał.

– Wszedłem w posiadanie tego niebieskiego kwiatu w Kazusie.

Mnich otworzył zaciśniętą dłoń i popatrzył na małą ozdobę. –

To część klejnotów, które wpinała we włosy. Prezent od cesarza.

– Morderca dał to kobiecie, którą później zabił. Ta sprzedała kwiat domokrażcy, który odsprzedał go mnie. Mniej więcej w tym samym czasie usłyszałem krążącą po mieście opowieść o 370

duchach, o demonie z płonącym obliczem, który uśmiercił

szlachciankę gdzieś w ruinach opuszczonej świątyni. Skradł jej klejnoty, po czym poderżnął gardło i wrzucił do wyschniętej studni.

Tasuku zadrżał na całym ciele.

– W jakiś niewytłumaczalny sposób tajemnica jej zniknięcia i fragment ozdoby zlały się w moich snach trawionych gorączką z dziwną opowieścią w jedno. Potem dostrzegłem pomiędzy nimi podobieństwa. Doniosłem o swoich podejrzeniach cesarzowi i przywiozłem z sobą do stolicy więźnia. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że zostaniesz w to wmieszany. Przykro mi. – Wpatrywał się niecierpliwie w oblicze przyjaciela, szukając w jego rysach zrozumienia.

Ku jego uldze mnich uśmiechnął się radośnie. – Dziękuję ci, kochany Akitada – rzekł, chowając dłonie w rękawach i spoglą-

dając w górę na księżyc. – Niczym płatki śniegu topniejące w poświacie miesiąca, niczym wołanie sowy milknące o świcie, kończy się ten sen, który zwiemy życiem. – Westchnąwszy, wstał, ukłonił się i bezszelestnie zniknął z werandy.

Inspektor siedział pogrążony w milczeniu. Tasuku, choć nie-

świadomie, otworzył świeżą jeszcze ranę. Zamknął oczy i przeniósł się w myślach na werandę świątyni miłosiernej bogini.

Gdzieś pośród zimowej nocy zahukała żałośnie samotna sowa.

W ogrodzie leżącym poniżej zobaczył obejmującą się parę. Noc przeszła w dzień, szary i mglisty, w którym płatki śniegu wirowały w powietrzu, by opaść w końcu na jej włosy niczym ozdoba z klejnotów. Lub krople rosy.

– Tu jesteś! Siedzisz sam po ciemku? – Kosehira położył dłoń na ramieniu Akitady. – Tasuku już sobie poszedł? Biedny człowiek.

– Masz rację, Kosehira. – Inspektor podniósł się powoli. Przez zdrętwiałe od zimna członki i myśli o śmierci poczuł się nagle 371

jak starzec. – Też muszę już iść. To był długi dzień.

– Nonsens, drogi przyjacielu. – Kosehira popatrzył na niego zdziwionym wzrokiem. – Nie możesz pozwolić, by decyzja Tasuku popsuka ci nastrój. Znudził mu się nasz świat i dlatego wybrał inne życie. Ty za to masz przed sobą świetlaną przyszłość.

Każdy to powtarza. Kiedyś dokonasz wielkich rzeczy, jestem tego pewien. – Pomógł mu wstać i

poprowadził w stronę gwaru rozmów i śmiechów, dźwięków cytry i fletu. Z powrotem do świata mężczyzn.

Nota historyczna

W erze Heian (794-1185) ustrój Japonii przypominał wciąż w ogólnym zarysie scentralizowane cesarstwo chińskiej dynastii Tang. Ze stolicy Heian Kyo (Kioto) państwem rządził cesarz z pomocą skomplikowanego aparatu biurokracji tworzonego przez dworską szlachtę. Odległe prowincje zarządzane były przez gubernatorów wysyłanych ze stolicy co cztery lata wraz z podległym im personelem, by pilnowali prawa i porządku, a także, by nadzorowali pobór podatków. Pod koniec ich kadencji inspektor, zwany *kageyushi*, przybywał do prowincji, by dopilnować i sprawdzić, czy wszystkie rachunki pozostawione przez ustępującego gubernatora znajdują się w należytym porządku.

Odległości pomiędzy miastami były jednak znaczne, a środki lokomocji dopiero w powijakach. Bandyty i piraci czyhali na bogatych podróżnych na lądzie i morzu. Prowincjonalni właściciele ziemscy, w tym duże klasztory, wystawiały własne armie, by te strzegły ich bogactwa. Pod koniec ery Heian siły i liczba tych prywatnych armii stały się zagrożeniem nie tylko dla władzy gubernatorów, lecz również dla władzy samego cesarza.

Wydarzenia opisane w tej książce są fikcyjne, lecz rozgrywają się w rzeczywistej scenerii polityki i kultury jedenastowiecznej Japonii. Akitada jest członkiem klasy panującej, służy w sto-

łecznej administracji, lecz znajduje się na dalekich obrzeżach z wolną erodującego systemu władzy. Dobrze urodzony i wykształcony na uniwersytecie, biegły w języku chińskim, którym musieli posługiwać się urzędnicy, przepojony konfucjańskimi ideami, próbujący piąć się w górę po administracyjnej drabinie rang, władzy i przywilejów. W przeciwieństwie do większości rówieśników ze swojej klasy zadaje się z prostym ludem, nie zna się na poezji i nie lubi buddyjskiej religii.

373

We wcześniejszym okresie kultura Japonii czerpała pełnymi garściami z kultury i historii starożytnych Chin. Dlatego też kalendarz bazował na kalendarzu chińskim opartym na sześć-

dziesięcioletnim cyklu, nazwy er wyznaczał zaś dwór. Przedstawiając wszystko w wielkim uproszczeniu i skrócie, można rzec, iż na rok przypadało dwanaście miesięcy i cztery pory, podobnie jak na Zachodzie, choć początek roku wypadał mniej więcej o miesiąc później. W jedenastym wieku tydzień pracy trwał sześć dni, po których następował dzień wolny. Tak jak w Chinach doba podzielona była na dwanaście dwugodzinnych części. Czas odmierzali zegary wodne, a jego upływ ogłaszali strażnicy, wartownicy i świątynne dzwony. Na ogół tylko wyż-

sze klasy i część kleru umiała czytać i pisać. Dla urzędników rządowych oznaczało to również konieczność nauki czytania i pisania w języku chińskim. Kobiety należące do wyższych klas czytały i pisały w ojczystym języku. To one w szczególności odpowiedzialne są za bogatą i piękną literaturę tego okresu. Pani Murasaki, dama dworu jednej z cesarzowych, napisała pierwszą na świecie powieść – *Opowieść o Genji*.

Do jedenastego wieku Japonia miała dwie religie – shinto i buddyzm. Współistniały w pokoju. Shinto, rodzima wiara oddawała cześć *kami*, boskim siłom natury, które zapewniały obfite zbior-

Buddyzm, przeszczepiony z Chin drogą przez Koreę, stał się bardzo wpływowy i silny głównie za sprawą dworskiej arysto-kracji. Shinto odpowiedzialne było za funkcjonowanie wielu tabu. Buddyzm dawał wiarę w drugie życie i w istnienie piekła oraz nieba. Po kraju rozsianych było wiele hojnie obdarzanych świątyń buddyjskich oraz zarówno męskich, jak i żeńskich klasztorów.

Wiele obszarów życia było w tych czasach ograniczonych nie-zliczonymi nakazami wywodzącymi się z przesądów – począwszy od wiary w istnienie duchów i nadprzyrodzonych potworów, 374

na tabu uznającym za złe określone kierunki i dni skończywszy.

Medycyna była w prymitywnym stadium rozwoju, a parali się nią zarówno wykształceni na uniwersytetach medycy, jak i mnisi oraz zielarze. W skład jej zainteresowań wchodziły zielarskie medykamenty, akupunktura, okadzanie, a także nauki dotyczące zdrowia oparte o jing-jang i cykl sześćdziesiąty.

Buddyzm narzucał swym wyznawcom dietę pozbawioną produktów mięsnych, na którą składały się głównie ryż, jak i pozostałe zboża, owoce, warzywa i ryby. Ludzie wciąż woleli pić ryżowe wino niż herbatę. Mężczyźni nie golili jeszcze czubków głów, zapuszczając długie włosy, które związywali w koki. Kobiety również zapuszczały długie włosy, lecz w przeciwieństwie do mężczyzn nosiły je tak, iż opadały do podłogi bądź przewią-

zywały je wstążką. Kobiety z wyższych warstw miały w zwyczaju czernić zęby. W zależności od klasy właściciela, jego ubranie szyto z jedwabiu bądź włókien konopnych. Wyższe klasy ubierały się w szaty podobne do kimon, podczas gdy rolnicy zadowalali się krótkimi spodniami i koszulą a czasem tylko przepaskami na biodrach.

Czas samurajów jeszcze nie nadszedł, lecz wszelkiego rodzaju sztuki walki zyskiwały stopniowo na znaczeniu. Szlachtę uczono jazdy konno, strzelania z łuku, władania mieczem i walki wręcz w bitewnym zamieszaniu, jednak większość jej przedstawicieli ponad walkę przedkładała pisanie wierszy i uczestniczenie w dworskich uroczystościach. Znano już wtedy walkę drewnianymi mieczami (*kendo*), choć prości ludzie woleli posługiwać się długimi kijami (*bo*), które były wszędzie dostępne i oczywiście tańsze. Stąd też w książce Tora uczy Akitadę umiejętności władania kijem (*bojitsu*).

Rola kobiet we wczesnym społeczeństwie japońskim była ograniczona. Kobiety z wyższych warstw spędzały większość życia w wewnętrznych pokojach domów ich rodziców bądź mężów, 375

zaś pochodzące z klas średnich i niższych pracowały razem ze swymi mężami. Wysoko urodzone mogły w jedenastym wieku posiadać na własność dobra, lecz znajdowały się pod ścisłym nadzorem mężów bądź rodziny. Kobiety z warstw niższych cieszyły się większą wolnością lecz miały mniej wolnego czasu, by to docenić. Ayako nie jest, rzecz jasna, typową przedstawicielką swojej płci tego okresu, choć należy nadmienić, iż z dobro-dziejstw ciała korzystano we wszystkich warstwach swobodnie.

Szlachta nie tylko praktykowała poligamię, lecz wypełniała wolny czas ciągłymi romansami.

Sprawy związane z prawem i porządkiem są szczególnie ważne dla powieści kryminalnej i detektywistycznej. Pod kilkoma względami jedenastowieczna Japonia przypominała dzisiejszą.

Istniała służba policyjna, sądy, więzienia i zbiór praw dotyczący wszelakich zbrodni i kar. Jednakże, skoro buddyzm zabraniał

zabijania, najgorsze, co mogło spotkać mordercę, to wygnanie bądź zesłanie do obozu ciężkiej pracy oraz konfiskata majątku osobistego i majątku rodziny. Podczas przesłuchań dopuszczano stosowanie tortur, gdyż przyznanie się do winy stanowiło ko-nieczny warunek skazania winnego. Więzienia były zazwyczaj przepełnione, choć opróżniano je co jakiś czas na mocy general-nych amnestii. W wyniku tego przestępczość wszelkiego rodzaju zdawała się kwitnąć ku wielkiemu rozczarowaniu i irytacji obywateli przestrzegających prawa.

Prowincja Kazusa leżała tam, gdzie teraz znajduje się prefektura Chiba. Słynny trakt Tokaido, łączący wschodnie prowincje ze stolicą, istniał już w jedenastym wieku, choć większość szczegółów dotyczących podróży Akitady, jak i życia w prowincji, jest fikcyjna.

Niektóre z wątków tworzących opisaną w „Smoczym zwoju historię zostały zaczerpnięte ze starożytnych japońskich opowieści. Kradzież podatków i zaginiona dama dworu pojawiają 376

się w *Uji Shui Monogatari*, a opowieść o trzech mnichach ma swe źródło w *Sannin Hoshi*.

Table of Contents

[Rozpoczni](#)